

# Tea Book 2

## Science Fiction

Najlepsze opowiadania z portalu  
"Herbatka u Heleny"

Adam Ozik  
Jan Maszczyzyn  
Przemek Morawski  
Grzegorz Patron  
Sebastian Stryjak  
Marianna Szygón  
Andrzej Trybuła  
Jarosław Turowski  
Franek Zarzecki



**ANTOLOGIA**

**TEA BOOK 2:**

**SCIENCE FICTION**

**Najlepsze opowiadania portalu  
„Herbatka u Heleny”**

## **Spis treści:**

Słów kilka...

Adam Dzik SPETRYFIKOWANI

Jan Maszczyszyn BOMBKOŃ

Jan Maszczyszyn LAS NAWIEDZONYCH

Jan Maszczyszyn PASJE MOJEJ MIŁOŚCI

Jan Maszczyszyn SPOTKANIE NA SKRZYŻOWANIU LOSÓW

Jan Maszczyszyn TESTIMONIUM

Przemek Morawski KRAFTWERK

Grzegorz Patroń GDY KARMISZ POTWORY

Sebastian Stryjak GL, HF!

Marianna Szygoń CZYNNIK ZHANGA

Andrzej Trybuła VAMOK

Jarosław Turowski CZERWIENŃ, CZERŃ, CZERWIENŃ...

Franek Zarzecki TAJEMNICA BABIEGO LATA

## Słów kilka...

Już piąty raz piszę wstęp do *Tea Booka*. I, o dziwo, jest to tom złożony w całości z opowiadań science fiction. Dlaczego „o dziwo”? Ponieważ przez cały pierwszy rok istnienia portalu „Herbatka u Heleny” sci-fi jakoś się nie przyjmowało. I tu mamy dowód, że portal jest jak żywy organizm. Jego gusta zmieniają się wraz z migracją użytkowników. W efekcie, drugi rok istnienia saloniku był zdominowany przez świetną i jak najbardziej docenianą fantastykę naukową.

Ten tom powstawał naprawdę długo, głównie z przyczyn braku czasu, poświęconego na rozwój Herbatki w trochę innym kierunku. W tym okresie część autorów zdążyła zadebiutować na papierze lub wydać książki. Co poświadcza, że opowiadania w niniejszym tomie nie są dobrane przypadkowo. Praca nad nimi była prawdziwą przyjemnością, bo mimo że nie są to świeżynki, można je czytać dziesiątki razy i zawsze robią wrażenie.

Wydawać by się mogło, że określenie „science fiction” jest wystarczająco wąskie, by dać czytelnikom pojęcie o tym, czego mogą się spodziewać. Jednak tych dziewięciu autorów, w trzynastu opowiadaniach, pokazało, jak różne barwy może mieć ten gatunek literatury.

*Spetryfikowani* Adama Dzika to klasyczny przedstawiciel gatunku z mocną nutą psychologiczną i dużą dawką niepokoju i paranoi.

Jan Maszczyzyn występuje aż w pięciu odsłonach. Pierwsza, *Bombkoń*, to tak właściwie bardzo mroczna opowieść bożonarodzeniowa. *Las nawiedzonych* to niesamowita fantazja w kwestii kontaktów z obcymi. Tytuł *Pasje mojej miłości* nie jest przewrotny, to naprawdę historia o uczuciach, aczkolwiek między kim i z jakim skutkiem, nie zdradzę ani słowem. *Spotkanie na skrzyżowaniu losów* to wariacja na

temat reinkarnacji i eksperymentów biologicznych. Natomiast *Testimonium* to opowiadanie, które darzę największym sentymentem, bo to właśnie po jego przeczytaniu zrozumiałam, z jak niesamowitym umysłem przyszło mi się zetknąć. Napisana z prawdziwym rozmachem klasyczna niemalże historia detektywistyczna, przeniesiona jednak w zupełnie „kosmiczne” uniwersum, jest moją osobistą polecanką, *the best from the best*.

Dalej przechodzimy do Przemka Morawskiego. *Kraftwerk* wyróżnia się na tle innych opowiadań, ponieważ autor cofa nas w czasie. Przenosimy się do Polski lat siedemdziesiątych, by wraz z oficerem milicji rozwikłać zagadkę śmierci profesora Krafta.

*Gdy karmisz potwory* Grzegorza Patronia to niemalże studium ludzkiej psychiki. Portret społeczeństwa w obliczu konieczności współżycia z przedstawicielami obcej cywilizacji.

Sebastian Stryjak i jego *Gl, hf!* to bardzo ciekawy eksperyment literacki. Bo czy komuś przyszłoby do głowy, jak wiele emocji może przysporzyć czytanie raportu z testowania gry komputerowej?

*Czynnik Zhanga* Marianny Szygoń to niesamowity thriller w klasycznej, kosmicznej oprawie. „Filmowy” styl autorki jest już niemalże jej wizytówką.

*Vamok* Andrzeja Trybuły ocieka seksem. Dosłownie i w przenośni, ale jak najbardziej z klasą. Aż mam ochotę dopisać: opowiadanie tylko dla dorosłych.

*Czerwień, czerń, czerwien...* Jarka Turowskiego to popis sci-fi w wykonaniu autora specjalizującego się w horrorach. Choć główną bestią jest tu człowiek, ataku gęsiej skórki możecie się spodziewać bez wątplenia.

*Tajemnica babiego lata* Franka Zarzeckiego to opowiadanie nad którym długo się zastanawiałam. Więcej tu historii alternatywnej niż fantastyki naukowej, a tematyka i klimat mocno odbiegają od pozostałych opowiadań. Ostatecznie uznałam, że będzie to świetne podsumowanie tomu, jak szczypta pozornie niepasującej przyprawy, dla podkreślenia smaku całości. O czym jest tekst, nie zdradzę, jednak

ostrzegam, że jest to opowiadanie, którego się nie zapomina.

Chyba piszę to przy każdym *Tea Booku*, ale naprawdę jestem dumna, że mogę tak niesamowite teksty opatrzyć logiem „Herbatki u Heleny”.

Bo są przy prowadzeniu portalu chwile dobre i złe, ale możliwość promowania i dzielenia się literaturą na najwyższym poziomie, należy do tych najprzyjemniejszych.

*Helena Chaos*

***Adam Dzik (prosiaczek)***

*Urodzony w Warszawie '88, choć wolałby '69. Człowiek skromny, inteligentny, ugodowy, uczciwy, empatyczny. Stara się szerzyć jedyną słuszną wizję sci-fi. Mieszka z książkami i dziewczyną, na balkonie rower i kwiaty, symbolizujące wrodzony romantyzm. Jak każdy prawdziwy esteta – wielbiciel dekoltów.*

**Adam Dzik**

**SPETRYFIKOWANI**

Do przodu, do przodu, powtarzałem sobie w myślach, starając się zignorować własny nierówny oddech, zaciskając dłonie na aluminiowych uchwytach żywnościowej boi. Platon znajdował się już blisko, wiedziałem jednak, że w bezkresie wystarczy chwila nieuwagi, wybiórcza głuchota, by było po mnie. Skupiłem się więc z całej siły, aby nie zapatrzeć się na łyskające z setek jednostek astronomicznych grynszpanowe cuda odległej galaktyki lub na gorejącego olbrzyma z prawej. Zezując na jego protuberancje, na te warkoczki plazmy wmrożone w gwiazdną koronę, odczuwałem nabrzmiewające w duszy ambiwalencje. Z jednej strony bowiem na samą myśl o późniejszym opuszczeniu Platona, hipotetycznie będąc na znacznie niższej orbicie i podczas piekielnego apocentrum niemal dławiłem się strachem, z drugiej jednak do gazowego boga ciągnęła mnie jakaś nieznana siła, zupełnie jakbym chciał przyspieszyć „Z prochu powstałeś...”. Całą świadomością trzymałem się wiary, że to nie brak instynktu przetrwania, lecz zwykłe fantazjowanie, chore wyobrażenia zbyt długo prze-

bywającego w kosmosie człowieka. Typowa aberracja, a nie patologia jak u Diany.

Przecież nikt normalny nie wystawiłby się dobrowolnie na działanie wiatru gwiazdnego. Przecież... Rozmyślanie, zagapienie, ale na szczęście nie wybiórcza głuchota. W hełmie rozległo się pikanie – taki znak ostrzegawczy ustawiłem sobie na lot do Ikara i z powrotem, na wypadek gdybym znalazł się w niewłaściwym położeniu.

Chcąc uniknąć wertykalizacji, odpaliłem silniczki korygujące kombinezonu i zacząłem łapać kolejne uchwyty, którymi upstrzona była boja żywnościowa.

Poruszałem się powoli jak opadający w wodnej toni plankton. Poza własnym oddechem słyszałem cichutkie trzaski pracującej elektroniki. Część z nich synchronizowała się z moimi ruchami; zgięcie nóg, wyprostowanie ręki, zakleszczające się na uchwycie palce dłoni – trzask, trzask – i wtedy wydawało mi się, że to łożyska skafandra zamarzają, że gdzieś powstała nieszczelność.

Ale przecież nawet wtedy nadal słyszałbym tylko siebie.

Odzyskawszy właściwą pozycję, obejrzałem się na Ikara. Podczas gwiazdnej podróży wiele razy nawiedzał mnie sen. Wkraczałem na pokład opuszczonej stacji orbitalnej, na której dokonywałem wstrząsających odkryć. Nocne mary powstające z ciągłych rozmyślań, ze snucia hipotez, tworzonych siłą rozpędu przez mój rozszalały umysł; perpetuum mobile następnych i następnych teorii spiskowych. Ale na opuszczonej stacji realia okazały się nie tylko bardziej złożone, ale paradoksalnie również znacznie dziwniejsze od snów. Zderzenie z rzeczywistością silnego przekonania, że jedna wizyta w opuszczonym Ikarze pozwoli wyciągnąć sensowne wnioski, skończyło się bolesnym zawodem.

Rutynowo zerknąłem na wskaźnik napromieniowania; zielone tło, wszystko ok. Nagle, wciąż słysząc te cichutkie trzaski w radiu, ujrzałem w pustce człowieka, w pomarańczowym kombinezonie dziurawionym niezliczoną liczbą mikrometeorów. Nie, nie, to przecież niemożliwe. Poruszyłem głową, chcąc w ten sposób strząsnąć fanta-



smagoryczne obrazy, ale zerowa grawitacja nie pozwalała na szybkie ruchy. Psyche totalnie sprzężona z ciałem, obce środowisko dodaje do zmiennych tryb *slow motion* i już nie możesz funkcjonować normalnie. Leciałem więc dalej, przez chwilę jakby w stuporze, a potem naprzemiennie odrywając ręce od uchwytów boi, żeby nie odciąć narządów i członków od umysłu, żeby kosmos nie stał się moją trumną floatinową.

Nie wytrzymałem, włączyłem radio. Przez chwilę nasłuchiwałem, lecz w eterze grała cisza. Wszyscy na Platonie albo zajmowali się swoimi sprawami, albo rozmawiali na prywatnych częstotliwościach. Ciekawe, że jeszcze nie zauważyli mojego wyjścia; bazę opuściłem dobre trzy godziny temu.

Znów ujrzałem. Na początku tylko zbyt często migające gwiazdy, potem zaś uzmysłowiłem sobie, że to na ich tle porusza się jakiś obiekt. Poruszał się w stronę Platona z prędkością podobną do mojej. I tym razem wcale nie był wytworem mojej wyobraźni.

– Halo, słyszy mnie ktoś? – spytałem na ogólnej częstotliwości.

Cisza.

Obliziałem suche podniebienie i odezwałem się drugi raz.

Cisza.

Wyglądało na to, że faktycznie wszyscy wyłączyli radia. Ale jak... – Słyszę.

– Piotrek? – spytałem.

– Tak. Ja dziś czuwam, pamiętasz? Dlaczego nie śpisz? Ustaliśmy, że wszyscy chodzimy o tej samej porze. Nie wiadomo, co jest na Ikarze... Czeka, czy ty...

Mówił coś dalej, lecz ja z powrotem skupiłem się na obiekcie lecącym do Platona.

\* \* \*

Palce zawieszono tuż nad klawiaturą, grzbiet wygięty w łuk, nogi podkurczone od przynajmniej trzech godzin. Diana pociągnęła przez

słomkę napój izotoniczny, gardłem przelała się kaskada chłodu; impuls przypominający o posiadaniu ciała. Astrofizyczka oblizwała suche wargi, mrugnęła, przeciągnęła się z cichym westchnieniem. Jeszcze nie wydarzyło się nic spektakularnego, ale kobieta wiedziała, że to tylko kwestia czasu. Na pierwszy rzut oka gwiazda wyglądała typowo. Zdjęcia w podczerwieni i ultrafiolecie, odczyty fal radiowych, analiza promieniowania korpuskularnego – wszystko było zgodne z dotychczasową wiedzą o podobnych ciałach niebieskich. Prawda jednak kryła się głębiej. Diana wierzyła, że wystarczy oddzielić szczegóły od tła, niuanse od szumu, wyekstrahować istotę, aby zrozumieć niezwykłość RS Essedi. Poznać Demiurga.

Pochyliła się nad pulpitem i znów wczytała w tabele, wykresy i dane, w tę niezwykle złożoną historię aktywności. Zmiany – intensywnie myślała, marszcząc czoło i przykładając do ust palec – to właśnie zmiany stanowiły olbrzyma. Tam, miliony kilometrów od Platona, miała miejsce przyspieszona ewolucja. Miliony, miliardy chemio-fizycznych iteracji, ale również akumulacja nowych konfiguracji; plateau plus nowość równa się progres. Tylko gdzie, do cholery, Diana miała szukać? W polu magnetycznym, protuberancjach, koronalnych wyrzutach masy, a może niżej, w fotosferze lub nawet w samym jądrze? Od czego zacząć, jak nie pomylić skutku z przyczyną, korelacji z wynikaniem? Nie, zaraz, przecież tu nie ma żadnych korelacji, to nie zwykłe życie, żadna biologia. Diana zamrugnęła, przetarła zmęczone oczy. Jak nie wpaść w pułapkę percepcji własnego gatunku? Bezwiednie obgryzając paznokieć, kobieta przeskoczyła od wpłaszczonego w układ współrzędnych widma spektroskopowego, przez obrazy poszczególnych promieniowań, aż po graficzną analizę procesów zachodzących w samym jądrze Demiurga.

Astrofizyczka pociągnęła kolejny łyk napoju izotonicznego i prawie się zakrztusiła, słysząc Jerzego: – Przecież wystarczy wyregulować, żeby się nie męczyć.

Odkręciła się, spojrzała na medyka przekrwionymi oczami. Czyżby znał sposób...? – Co? – spytała zachrypniętym głosem.

– Zniszczysz sobie kręgosłup. Trzeba cię pilnować jak dziecka.  
Odetchnęła, ponuro się uśmiechając.

– Odwal się. Na dorożkarza lepiej się myśli.

– Na dorożkarza? – zdziwił się Jerzy.

– Taka pozycja. Nieważne. Czego chcesz? – Martwię się o ciebie.  
Od kiedy... Zbyła go gestem dłoni, ale zreflektowała się, zanim Jerzy zaczął swoje monotonne pouczania.

– Chyba masz rację – wybąkała, zezując na interfejs. Gdyby przegapiła coś ważnego przez tę dumną rozmowę... Westchnęła, przeciągnęła się i zastygła w wyprostowanej pozycji. – Okej. Będę pamiętać o plecach.

Jerzy jednak nadal nad nią stał.

– Posłuchaj... – Przyniosłeś tabletki? – przerwała mu.

– Już ci się skończyły? – zdziwił się.

– Prawie. Nie chcę przerywać pracy.

Jerzy zasepił się.

– Pod warunkiem, że wreszcie ruszysz się stąd.

Spojrzała na niego pytająco.

– Poćwiczysz – wyjaśnił.

– Zwariowałeś!? Jerzy podszedł, położył dłoń na jej ramieniu, ścisnął.

– Badania są bardzo ważne, ale w takim stanie wiele nie odkryjesz.

Prędszej się wykończysz.

– Dobra. – Zrzuciła natrętną dłoń z ramienia. – Niech ci będzie.  
Jeśli mógłbyś teraz wyjść...

Ale Jerzy nie zamierzał wychodzić.

– Chcę czegoś jeszcze.

– Nie mam czasu... Jerzy, delikatnie chwytając pod pachy, podniósł ją z krzesła.

– Będzie szybko – obiecał.

Najpierw ocierał się kroczem o jej tyłek. Dalej Diana miała czarną dziurę w pamięci.

Kiedy została sama, usiadła, przysunęła się bliżej interfejsu i wznowiła prace. Protuberancje, koronalne wyrzuty masy, tak, to tutaj znajdzie odpowiedzi. Potężne burze radiowe z pewnością nie bez przyczyny były tak rzadkim zjawiskiem na Demiurgu.

\* \* \*

Kiedy śluza próżniowa zamknęła się, poczułem zawroty głowy. Moduł wyjściowy Ikara przywitał mnie migocącym bladyszarym oświetleniem oraz... sztuczną grawitacją? Nieufnie puściłem uchwyty stabilizujące i przez moment stałem cały spięty; kora nowa jakby zastygła, czekając na weryfikację przesączanych przez ciało danych. Gadzi mózg wreszcie uznał, że wszystko jest w porządku, zrobiłem więc pierwszy, drugi, trzeci krok przed siebie. Z każdym kolejnym wchodziłem głębiej w korytarz, przypominający gardło potężnej bestii, mgliście zdając sobie sprawę, że mrugam do taktu migającego oświetlenia, że nierówno oddycham.

Poruszałem się powoli, ostrożnie, co chwilę zerkając na prawą dłoń z analizatorem; optymalna do życia mieszanka gazów, szkodliwe promieniowanie na akceptowalnym poziomie.

Trafiłem na rozwidlenie. Rozejrzałem się po ścianach, szukając jakichkolwiek drogowskazów; przypadkowość, w którą wpadłem, zaczynała mnie przerażać. Cholerna wycieczka na Ikara, impuls, improwizacja nie uwzględniająca reszty załogi Platona. Nikt nie wiedział, że tu jestem.

A teraz, jako psycholog, któremu w tętnice wgryzał się dysonans poznawczy, próbowałem swym działaniom nadać przynajmniej odrobinę logiki.

Wszystkie ściany były jednolicie szare, tylko w jednym miejscu zauważyłem drobne pęknięcie, spod którego wзираł splot kabelków, więc nie miałem innego wyboru, jak znowu zdać się na losowe rozwiązanie. Poszedłem w prawo. Korytarz kończył się kolejną śluzą, za którą było ciasne pomieszczenie.

Panowała tu ciemność, ale nie całkowita i po chwili się do niej przyzwyczailem.

W kilku miejscach migaly punkciki, przypominajace slepia dra-  
pieznikow schowanych w leśnych gestwinach. Prawdopodobnie to  
tylko pełna agregatów sterownia, ale przez kilka silnych uderzeń serca  
mialem przemożną ochotę cofnąć się, wrócić na Platona... W obliczu  
tkwienia na opuszczonym Ikarze nawet rozmowa z Dianą wydała mi  
się kusząca. Bo w pewnym sensie to miejsce naprawdę wyglądało jak  
dżungla. Logika oddawała wodze pobudzonej wyobraźni, przekształ-  
cającej setki półcieni i krzywizn w niebezpieczny leśny habitat.

Problem polegał na tym, że nie mogłem teraz zrezygnować.  
Uświadomiłem sobie, dlaczego tu naprawdę jestem. Powodował mną  
irracjonalny egocentryzm, imperatyw każący chronić Ikara przed ja-  
kimkolwiek zewnętrznym wpływem. Przynajmniej do czasu, aż nie  
rozeznam się w sytuacji dokładniej, a póki co wiedziałem niewiele.

Co chwilę sprawdzałem poziom tlenu i promieniowania. Według  
odczytów mogłem bez obaw wyłączyć tlen. Doskonale zdawałem sobie  
sprawę, że z podekscytowania marnuję go znacznie więcej, niż powi-  
nienem. Wystarczyło odciąć dopływ i schować hełm, żeby zyskać  
cenny czas na zagłębianie się w zakamarki opustoszałej bazy, być może  
nawet dojść do części B. O ile jednak w jasnym module wyjściowym  
wahałem się, o tyle w tych ciemnościach nie miałem najmniejszych  
wątpliwości; w grę nie wchodziło najmniejsze ryzyko. Zdecydowałem  
się jedynie włączyć zintegrowane ze skafandrem reflektory, jeden  
przymocowany w okolicy tułowia, drugi na przedramieniu; światło  
wydobyło z mroku wąską alejkę, musnęło obłe kształty agregatów.  
Ruszyłem przed siebie, cienie popłynęły, zafalowały. W radiu coś  
trzasnęło, pisnęło, pojawił się szum. Pokrzepiłem się myślą, że to jakieś  
sprzężenie z tutejszą aparaturą.

Za zakrętem trafiłem na wyjście ze sterowni. Wpisałem na ter-  
minalu przy śluzie kod, mrużąc oczy przed odbijanym z bliskiej odle-  
głości światłem reflektorów, i ostrożnie wszedłem do kolejnego kory-  
tarza. Na jego końcu trafiłem na rozwidlenie, lecz w przeciwieństwie

do poprzedniego na ścianie były strzałki, pod nimi zaś napisy. W prawo do sypialni, w lewo do pomieszczeń badawczych, rekreacyjnych i mesy.

Westchnąłem, sprawdziłem poziom tlenu i promieniowania – w normie – kilka razy pogłośliłem i przyciszyłem radio, podreptałem w miejscu, a potem powtórzyłem te czynności, i jeszcze raz, w innej kolejności, jak w nerwicy natręctw. Impas przełamały ciarki na przedramionach i plecach. Na samą myśl o... Wyobraziłem sobie dziesiątki sypialni, a w każdej rozciągnięty na łóżku trup. Ze zwiotczalymi członkami, z wykręconą pod nienaturalnym kątem głową, błądy, obmierzły, o twarzy zastygłej w potwornym grymasie uśmiechu, bez oczu, z oczami, pozbawiony dolnej szczęki... Przełknąłem ślinę i zmusiłem się do skręcenia w prawo, obawiając się, że gdybym zwlekał jeszcze choćby chwilę, strach sparaliżowałby mnie na wieczność. To dziecinne, powtarzałem w duchu, nic złego mnie tu nie spotka.

I znowu ujrzałem martwe ciała.

Pokręciłem głową, jakby to miało pomóc pozbyć się chorych wizji, zamrugałem, wziąłem głębszy wdech.

Postanowiłem liczyć. Własny głos na tle sączonego się z radia szumu brzmiał dziwnie obco, dodał jednak otuchy. Jeden reflektor oświetlał drogę przede mną, drugi błądził po ścianach, miejscami idealnie gładkich, miejscami upstrzonych puszkami instalacyjnymi, kamerami oraz siateczkami kabli.

Te ostatnie jak gigantyczne sploty nerwowe, wychodzące ze ściany w jednym miejscu i ginące w niej w drugim wraz z innymi skupiskami syntetycznych neuronów. Albo gdzieś daleko w mroku, poza zasięgiem wzroku.

Przestałem liczyć, stanąłem, oblizałem suche usta. To musiał być jeden z pasaży wypoczynkowych. Omiatając snopem światła biegnące po obu stronach wejścia do sypialń, wyobrażałem sobie, jak jeszcze kilka lat temu chodzili tędy ludzie, spieszący się na badania, do mesy, hali rekreacyjnej czy innych miejsc.

Stopniowo docierało do mnie, że Ikar jest naprawdę olbrzymi.

Platon, nasz niewielki statek, był w porównaniu z nim żałośnie mały. Jeśli zamierzałem odkryć tajemnice tego opustoszałego miejsca, będę musiał zdjąć kask. Inaczej... Radio zapiszczało, a potem rozległ się czyjś głos.

– Halo? – spytałem na kanale ogólnym.

Coś trzasnęło, zaszumiało.

– Słyszycie mnie? Cisza.

Kto mógłby próbować się skontaktować? Marek i Jerzy z pewnością spali, Adam, ten apatyczny socjolog, z powodu słabego samopoczucia od kilku dni nawet nie wychodził ze swojej kajuty. Zostawał Piotr albo szurnięta Diana.

Astrofizyczkę natychmiast wykluczyłem, w związku z czym trafiło na pilota.

Przez chwilę wywoływałem go. Bezskutecznie. Tłumaczyłem sobie, że to tylko niegroźna paranoja, spowodowana deprecjacją zmysłu wzroku; cholerne ciemności z jednej strony wyostrzały słuch, z drugiej sprawiały, że mózg zaczynał składać docierające informacje jak ćpun puzzle.

Otworzyły się drzwi jednej z sypialni. Ot tak, po prostu, akurat na nie świeciłem, były zamknięte, aż nagle wsunęły się w ścianę. Boże, Jezu, kurwa. Czułem, jak strach mrozi mi krew w żyłach. Serce skurczyło się, zamarło i rozkurczyło z podwójną siłą. Zerknąłem na aparaturę – powietrze i promieniowanie okej – pogłośliem i przyciszyłem radio. Oddychałem wolno i głęboko, w skroniach nieregularnie dudniła krew. Światło reflektora podrygiwało na metalicznych futrynach. Serce jak zapowietrzający się maratończyk – dum–dum dum–dum du–DUM.

Za wszelką cenę chcąc uniknąć katatonicznego osłupienia, zebrałem się w sobie i ruszyłem w stronę sypialni.

W środku znajdowało się łóżko, jakieś szuflady i to wszystko. Nic nie znalazłem.

Oddychałem jak wariat, w skroniach łomotała krew, gardło wyschło na wiór.

Wyszedłem na korytarz tyłem, zaświeciłem w lewo i wtedy zo-

baczyłem COŚ.

Radio zapiszczało, przez szum przebił się jakiś niewyraźny głos.

Z tej odległości widziałem jedynie odcinający się na tle tunelu kształt. Jakby rozciągniętą w pionie plamę, falującą i... Zmrużyłem oczy, zamrugalem.

Miałem ochotę je przetrzeć, nie wierząc... Plama rosła, rosła, rosła.

Rzuciłem się do ucieczki. Korytarzem – jeden snop reflektora oświetlał drogę przede mną, drugi, trzymany w dłoni, spastycznie wyrywał ciemności sploty nerwowe Ikara – sterownią/dżunglą – prehistoryczne atawizmy do oporu dokreśliły śruby gruczołom dokrewnym; adrenalina zasztorowała w żyłach – prosto w światło modułu wyjściowego. Drżącą dłonią wpisałem na terminalu kod.

Odsunąłem się od śluzy kilka kroków. Wydawało mi się, że ktoś w nią uderza od drugiej strony.

Dum–dum dum–dum du–DUM.

Chwilę tak stałem, a potem, kiedy się odwróciłem i ruszyłem do śluzy próżniowej, zauważyłem w kącie ogromną boję żywnościową. Miałem pewność, że wcześniej jej tu nie było.

\* \* \*

Siedziałem przy stole cicho, mając nadzieję, iż nikt nie poruszy kwestii mojej niesubordynacji, że przegapili kluczowe momenty z nagrania kamer.

Z kamienną twarzą obserwowałem dyskusję, obawiając się, że najdrobniejszy grymas mogą zinterpretować jako dowód winy.

Piotr zerknął na zegarek i zaczął mówić dalej, skacząc wzrokiem od jednego do drugiego członka załogi, jakby w ten sposób chciał zachować nad nami pełną władzę. Co było niemożliwe – choćby nie wiadomo jak wielką miał siłę perswazji, w obecnych warunkach mógł liczyć jedynie na to, że się nie pozabijamy. Czułem ulgę, ponieważ pilot swym zachowaniem skutecznie absorbował uwagę pozostałych.



Obserwowałem.

Jerzy, nasz medyk, stał oparty o ścianę, ze splecionymi z tyłu dłońmi. Nieruchomo, jak idealnie wyeksponowana grą światła i cieni postać z horroru.

Prawa część twarzy dziwnie spięta: kącik ust podniesiony, błysk zębów niby w grymasie grożenia, policzek podkurczony tuż przy oku, oko rozszerzone... Przełknąłem ślinę, spojrzałem na radiolożkę.

Ewa siedziała na stole, machała zwieszonymi z niego nogami, sącząc z kubka napój izotoniczny. W jej ciemnych oczach błyszczało podekscytowanie.

– Czterdziesta godzina na orbicie – powtórzył słowa Piotra Marka.

Inżynier siedział na krześle, odchyłony do tyłu, z nogami opartymi o stół, ze skrzyżowanymi ramionami i elektrycznym papierosem wsadzonym za ucho. – Czterdziesta godzina, a my nic. Czekamy na zbawienie? – Ewa próbowała w tym czasie nawiązać kontakt z Ikarzem – odparł Piotr.

– To nie wyścigi. Przed wyruszeniem powinniśmy zebrać jak najwięcej danych.

– Najwięcej danych zbierzemy na Ikarze.

– Dajmy Ewie jeszcze trochę czasu.

Marek pokręcił z dezaprobatą głową i zapalił papierosa.

– Świetnie – powiedział. – Miesiącami dobierają członków załogi, a potem i tak jeden drugiego traktuje jak kretyna.

Nogi Ewy zamarły.

– Masz jakiś problem? – spytała Marka.

– Tak, z marnowaniem czasu.

– Sugerujesz... – Skarbie, mówię wprost, że to było bezsensowne. Przecież próbowaliśmy nawiązać z nimi kontakt przez całą drogę. Co miałyby się teraz zmienić? – Pomyśleliśmy – wtrącił Piotr – że jeśli wejdziemy na orbitę, zauważą nas i dadzą jakiś znak życia. Poza tym komunikujemy nie tylko drogą radiową.

Marek odchrząknął.

– Okej, nie moje kompetencje. Chcę tylko wiedzieć, kiedy wreszcie zaczniemy działać.

Wszyscy spojrzeli na Piotra.

Na samą myśl o powrocie na Ikara zrobiło mi się słabo; krew zadudniła w skroniach, oddech przyspieszył, czoło zrosił pot. Zacząłem gorączkowo rozmyślać, czy nie powinienem powiedzieć im o tym, co odkryłem podczas samotnej wycieczki. Z jednej strony pragnąłem to z siebie wyrzucić, z drugiej domyślałem się, że raczej by mi nie uwierzyli. Lub uznaliby za szaleńca.

W końcu kto normalny opuszcza Platona, nie informując reszty załogi? – Jestem ciekawy, co myśli Karol – powiedział pilot.

Poczułem na sobie lustrujące spojrzenia.

– Słucham? A, prawda. Nie jestem osobą od podejmowania takich decyzji, ale jeśli moja opinia ma w czymś pomoc, to... Piotr patrzył na mnie szczególnie intensywnie.

Uciekłem wzrokiem, przypominając sobie wszystkie wyniki testów psychologicznych, do których miałem wgląd przed wyruszeniem Platona. Badania pomyślnie przeszli wszyscy – Jerzy, Adam, Piotr, Ewa, Diana – lecz to było jakiś czas temu. Natomiast testy okresowe... Podróż niewątpliwie odcisnęła na nas swe piętno, ale tylko Diana odmówiła mi dalszej współpracy.

Zastukałem palcami w blat, zamknąłem oczy.

– Karol? Rozejrzałem się jak osaczone zwierzę, przełknąłem ślinę.

– W mojej opinii jesteśmy gotowi wyruszyć na Ikara. Poza Dianą, która nie chce poddawać się testom.

– To ją automatycznie wyklucza? – spytał Jerzy.

– Nie, ale jak sami wiecie... zachowuje się nietypowo... nieprzewidywalnie, uważam.

– Widzimy – powiedział przeciągle Piotr, patrząc mi głęboko w oczy. – Nie jesteś w stanie nic wywnioskować z rozmów z nią? Wzruszyłem ramionami.

– Dla mnie nie ma wątpliwości, że Diana zostaje – rzucił jakby od

niechcenia Marek. – Ta dupa jest stuknięta.

Na zdrowej części twarzy Jerzego mignęła irytacja.

– Diana prowadzi badania gwiazdy – powiedział medyk.

– Co nie zmienia faktu, iż powinna tu z nami być – zauważył Piotr.

– Ani tego – Jerzy spojrział na mnie spode łba – że Karol sobie odpuścił.

– Stan Diany nie jest groźny – skłamałem.

Jerzy prychnął.

– Natomiast Adam – prędko zmieniłem temat. – Adam... – Właśnie! – Ożywił się Marek. – Chciałem z nim porozmawiać, ale w pokoju go nie było.

– Był – powiedziałem. – Rzadko od siebie wychodzi. Wydaje mi się, że stracił... motywację do działania. Nic mu się nie chce. Odpowiada na pytania, lecz sam nie nawiązuje interakcji. – Przetarłem szczypiące oczy, westchnąłem. – Adam jest bardzo ważny, prawda? – Spojrzałem na Piotra.

– Socjolog na statku, na którym ludzie znikli bez śladu. Cholera wie.

– Co mu właściwie dolega? – spytała medyka Ewa.

Jerzy rozłożył ręce.

– Nie wiem. To raczej choroba umysłu, nie ciała. Spytajmy psychologa. – Podeszedł pewnym krokiem, stanął tuż nade mną. – Karol, potrafisz zaobserwować coś poza tym, że ktoś się uśmiechnął albo skrzywił? Wstałem i spojrzałem chudemu fiutowi w oczy.

– Co jesteś taki spięty? – spytałem głośno. A potem, przystawiając usta do jego ucha, szepnąłem: – Nie ruchałeś Diany? Na szpetnej gębie Jerzego mignął strach.

– Odpierdol się – wybąkał i wrócił pod ścianę.

Tylko ja wiedziałem o upodobaniach sukinsyna.

– Może podzielisz się tym, co ci powiedziałem? – pytając, nie mogłem powstrzymać złośliwego uśmiechu.

– Uspokójcie się – powiedział Piotr. Omiótł załogę chłodnym

spojrzeniem.

– Musimy porozmawiać z Adamem. I ktoś koniecznie musi zostać z Dianą.

Marek uniósł ręce w obronnym geście.

– Ja z wariatką nie chcę mieć nic wspólnego.

Jerzy przez chwile wyraźnie się wahał, widziałem jak nerwowo na mnie spogląda, ale ostatecznie zgłosił się na ochotnika.

– Piotr, jesteś pilotem – wtrąciła Ewa – więc to ty powinieneś zostać.

Piotr otworzył usta, zawahał się i zamilkł.

– Polecę z wami – rzekł wreszcie. – Jerzy sobie poradzi. Odpocznijcie i przygotujcie się zgodnie z wcześniejszymi wytycznymi. Wyruszamy za dziesięć godzin.

Jerzy, nagle pełny wigoru, opuścił mesę pierwszy. Domyśliłem się, że idzie do Diany. Jezu, jak ona mogła się nim nie brzydzić? Marek wstał, włożył papierosa za ucho i przeciągnął się, podążając spojrzeniem za Ewą.

– Dziesięć godzin – burknął, udając się za radiolożką.

– Karol, zaczekaj – zatrzymał mnie Piotr.

Kiedy wszyscy opuścili mesę, pilot syknął: – Czy ty całkiem oszalałeś? Dlaczego poleciałeś sam na Ikara? Zdajesz sobie sprawę, jakie to było bezmyślne? – Przepraszam.

Piotr wytrzeszczył oczy.

– Przepraszasz? Może sam zrób sobie te cholerne testy? – Walnął pięścią w ścianę. – Człowieku, po wszystkich spodziewałbym się czegoś głupiego, ale nie po tobie. Miałeś mnie wspierać, pomagać trzymać porządek... Jesteś stuknięty bardziej od Diany! – Zgoda, głupio zrobiłem... – Wróciłeś z boja żywnościową – przerwał ostro Piotr.

Wzruszyłem ramionami.

– Pomyślałem, że może się przydać. Do badań, wyjaśnić przyczynę zaginięcia załogi... Chciałem wam o tym powiedzieć.

Piotr pokręcił głową.

– Jezu, Karol... Mamy badać własne jedzenie? Zamrugalem,

zdziwiony.

– Chodź.

Ruszyłem za nim do modułu wyjściowego.

– To jest nasza boja żywnościowa! – wyjaśnił Piotr, zatrzymując się przy metalicznie połyskującej kuli. – Zabrałeś ją na Ikara, a potem z nią wróciłeś.

– Pokręcił głową. Na jego opanowanej zwykle twarzy malowała się zgroza.

Obejrzałem boję ze wszystkich stron. Wyglądało na to, że miał rację.

– To nie wszystko – odezwał się pilot.

Poszliśmy do kabiny. Piotr pokazał mi nagranie z kamery.

– Film urywa się jakieś dwie godziny przed twoim wyjściem i tuż przed tym, jak wróciłeś.

– A mnie nagrało – powiedziałem głupio.

– Tak. Zobacz teraz to. Każdy z nas ma identyfikator, który jest odczytywany przez SI Platona. – Mamy okres obejmujący pierwsze chwilowe wyłączenie kamer, twoje opuszczenie statku, drugie kilkunutowe wyłączenie kamer i wreszcie twój powrót. Siedem odczytów, natomiast gdy poleciałeś na Ikara, już sześć. Teoretycznie wszystko się zgadza.

– Ja nie wyłączyłem kamery.

– Może i nie. Z kim tam byłeś? – Co? – zdziwiłem się. – Przecież sam wspomniałeś, że bez mnie było sześć identyfikatorów.

Piotr uśmiechnął się podstępnie.

– Teoretycznie wszystko się zgadza. Dla pewności sprawdziłem odczyty emisji cieplnej prowadzone przez SI. Zgadnij. SI rozpoznała pięć źródeł, pięć ciał, pięcioro członków załogi... Jeszcze przed twoim wyjściem było ich sześć... Z kim poleciałeś? Kto opuścił Platona, z nim ty to zrobiłeś? – Byłem sam na Ikarze.

– Ktoś opuścił Platona dwie godziny przed tobą. Kto? – Nie wiem.

Piotr westchnął ciężko.

– Niedługo wyruszamy. Opowiedz mi o wszystkim. Statek jest skażony? Można tam normalnie oddychać? – W jego głosie usłyszałem ciekawość poznawczą, ten głód wiedzy, który mnie ostatecznie pchnął w objęcia irracjonalizmu. – Opowiedz mi.

\* \* \*

Biegła po trzydziestopięciometrowej elipsie, niezbornie jak uwięzione w pułapce zwierzę, na które zaczynał działać pocisk usypiający. Dawno nie ćwiczyła, a teraz zaczęła bez rozgrzewki. Trudno było złapać odpowiedni rytm, odnaleźć pozycję ciała, wyrównać oddech. Po prawej stronie przesuwawa się gładka ściana, drzwi, znowu ściana, zawieszona u góry kamera szerokokątna, i tak w kółko; błędnik powoli się przyzwyczajał. Diana dotknęła palcami okularów VR, bojąc się, że mogą spaść, przełknęła ślinę, pokręciła głową, zatrzepotała rzęsami, pragnąc strząsnąć z powiek zmęczenie. Wirtualna rzeczywistość przysłaniała salę ćwiczeń niby muślinowa zasłona. W centrum gwiazda, po bokach najważniejsze odczyty – wszystko na bieżąco przesyłane z komputerów astrofizyczki.

Oddzielić szczegóły od tła.

Niuanse od szumu.

Wyekstrahować istotę.

Tylko że... Brak wystarczających danych.

Pułapki ludzkiej percepcji.

Brzytwa Ockhama? Ściana–drzwi–ściana–kamera.

Nie widziała ich już. Skupiona całkowicie na przesłaniającym rzeczywistość kosmicznym woalu, na tabelach i wykresach, na odczytach promieniowania, zaabsorbowana gorejącą gwiazdą.

Biegła wpatrzona w gazowego Demiurga i miała wrażenie, że tam jest, na zewnątrz, w kosmosie, w przestrzeni, tuż przy nim. Razem krążą wokół centrum galaktyki, po boskiej orbicie, roznieceni przestrzenią i czasem, zahipnotyzowani szeptem ciemnej materii. Mięśnie ud palił żar kelwinów, na pierś napierał wiatr cząsteczek, próżnia

podgrzewała płyny, a oni pędzili.

Przez wszechkalejdoskop supernowych, czerwonych karłów, horyzontów zdarzeń. Diana wpadła w trans i poczuła, że może biec tak bez końca.

Osiemdziesiąte piąte okrążenie, dziewięćdziesiąte, sił przybywało, osiągała kolejne i kolejne transcendentności, wznosiła się na coraz wyższe poziomy poznania, ad infinitum, biegła i biegła, zanurzona w muślinowych projekcjach. Aż Demiurg wyrwał się z grawitacyjnych okowów i obrał nowy tor wędrówki, wprost ku czarnej dziurze; Diana zamrugwała, zdziwiona, zgubiła dotychczasowy rytm i omal się nie przewróciła.

W wejściu do modułu ćwiczebnego stał Karol. Patrzył na nią badawczo, przez pierwszych kilka sekund nie kryjąc zdziwienia.

– Musimy porozmawiać – powiedział, powoli się do niej zbliżając, wchodząc w światłocienie jak skradający się do ofiary drapieżca. – Diana... – Daj mi spokój.

– Nie musisz mnie unikać.

Diana zmniejszyła kontrast między muślinową zasłoną a rzeczywistością i gniewnie spojrzała na psychologa.

– Najpierw mnie męczysz tymi cholernymi testami, potem olewasz, a teraz znowu zaczynasz. Nie potrzebuję twojej pomocy. Znajdź sobie inny obiekt do eksperymentów.

– Jedno pytanie.

– Nie potrzebuję twojej pomocy! – syknęła. – Nieś ją innym, nie wiem, na przykład Adamowi.

– Adamowi? – Karol z trudem przełknął ślinę. – Skąd wiesz? – To mały statek. Wszyscy wszystko wiedzą.

Karol pokręcił głową.

– Nie zamierzam ci pomagać. Ani prosić o wykonanie testu. Przyszedłem porozmawiać o twojej samotnej wycieczce na Ikara.

Diana osłupiała.

Psycholog zbliżył się, przesłaniając sylwetką wirtualną połączyć kosmosu, zatrzymał, a potem zrobił kolejne dwa kroki, aż jego głowa

idealnie wpasowała się w projekcję gwiazdy.

– To jak będzie? – spytał Karol–Demiurg. – Powiesz mi o tym, czy mam spytać innych? Pomyśl. Ty mi powiesz, dlaczego tam byłaś, a ja... ja zdradzę ci swój sekret.

Diana prychnęła, przekręciła głowę w lewo, usuwając natręta z pola widzenia.

– Wal się.

Karol parsknął.

– Mamy tak podobne priorytety, a zachowujesz się... jakbym zrobił ci jakąś krzywdę. Pomyśl tylko.

Diana od wielu dni bezustannie śledziła odczyty aktywności Demiurga, rzadko kiedy wychodziła z własnej kabiny, niewiele jadła, a ten kretyn oskarżał ją o beztroską wycieczkę na Ikara!

– Siedzę u siebie. Spytaj, kogokolwiek, nie ruszam się... – A dziś? – Co? – Jesteś poza gniazdkiem. Dlaczego nagle zaczęłaś ćwiczyć? Mhm? Diana chciała go ominąć i wyjść stąd, ale Karol chwycił ją za przegub.

– Ja też tam byłem – powiedział konspiracyjnie, gdy ich twarze znalazły się w odległości stosownej jedynie kochankom. – W ciemnościach, tam gdzie okazało się, że człowiek może swobodnie oddychać. Sam w tym okropnym, opustoszałym miejscu... A potem widziałem, jak wracasz na Platona.

– Wzmocnił uścisk. – Nie rób ze mnie kretyna. Byłaś na Ikarze, w pasażu kabin wypoczynkowych. – Jego głos zadrżał, ale się nie złamał. – To był impuls, gdybym jednak wiedział, przysięgam, gdybyś mi tylko powiedziała o swoich planach, nie uciekłbym. Mogliśmy udać się tam razem – westchnął, puścił ją.

Mówił dalej, lecz Diana już go nie słyszała. Widząc rozbłyskujący woal – rodzącą się na Demiurgu potężną protuberancję – odepchnęła Karola i pobiegła do swojej kabiny.

\* \* \*



Piotr kazał autopilotowi Platona podlecieć jak najbliżej Ikara.

Byliśmy gotowi, skupieni w ciasnej służbie wyjściowej. Ewa oparta o ścianę, niby spokojna, zdradzały ją jednak nerwowe ruchy nogą. Marka nosiło – chodził w kółko, zatrzymywał się, a gdy zerkał na wciąż migające czerwone światełko, unosił w rezygnacji ramiona, kręcił głową lub kłął pod nosem; aktywność fizyczna dawała upust emocjom, z którymi bez papierosa, swoistego uspołeczniającego rekwiwytu, inżynier słabo sobie radził.

Albo, zastanawiałem się, może to ja się denerwuję, rzutuję afekty na innych.

Projekcje, tak, to całkiem prawdopodobne, bo przecież jaki człowiek, tym bardziej psycholog, akceptowałby u siebie napady paniki – ktoś w takim stanie nie chciałby podjąć walki o kontrolę nad własnym ja? Stałem nieruchomo pod natrętnym spojrzeniem Piotra i starałem się powstrzymać lawinę myśli. Po głowie chodził mi Adam, nasz socjolog, który najwidoczniej sfiksował. Dwie godziny temu próbowałem z nim porozmawiać. Drzwi do kabiny były zamknięte, więc włączyłem radio.

O dziwo udało się. Powiedział, że wie, iż wyruszamy, a kiedy potwierdziłem i spytałem, czyby chciał też polecieć, rzucił szybkie „powodzenia” i rozłączył się. Wciąż słyszałem ten smutny, cichy głos. Bardziej męczyły mnie jednak myśli o Dianie, powracające jak bumerang pieprzone ruminacje. Czy słusznie ją podejrzewałem? Na pewno zrobiłem dobrze, mówiąc o swojej wyprawie na Ikara? Sęk w tym, że wszyscy mogli już o tym wiedzieć, ale uparcie wierzyłem w profesjonalizm Piotra.

Czerwone światełko przestało migać, zmieniło kolor na zielony i wylecieliśmy w kosmiczną przestrzeń. Ikar znajdował się znacznie bliżej niż podczas mojej ostatniej podróży. Blisko tysiącosobowa kolonia orbitalna, z którą nie było żadnego kontaktu. Oddalona o czterdzieści jeden i pół tysiąca jednostek astronomicznych od najbliższej zamieszkałej przez ludzi planety. Niegdysiejszy azyl, obecnie opuszczona kupa stopów metali, elektroniki, niezliczonych kompozytów.

Ślepa, głucha na nawoływania bestia. Ona, kwintesencja aberracji, suma ludzkich patologii, na orbicie gwiazdy RS Essedi. Niedoskonałość krążąca wokół doskonałości. Wesz żerująca na energii gazowego boga.

Piotr wpisał kod do śluzy próżniowej i znaleźliśmy się w module wejściowym. Poczekaliśmy, aż uwierzą w sztuczną grawitację, tak jak ja wtedy, i ruszyłem przed siebie.

– Moment – zaskrzeczał w radiu głos Piotra.

Nacisnął coś na przedramieniu i w powietrzu pojawił się obraz. Po chwili zrozumiałem, że to mapa. Gdy Piotr zoomował na nasze położenie, oszołomił mnie ogrom Ikara.

– Znajdujemy się na osiemnastym, czyli jednym z górnych poziomów.

Marek podszedł bliżej i wskazał coś na mapie.

– Muszę to zobaczyć – powiedział.

W sterowni włączyliśmy reflektory; snopy światła zawirowały w mrokach.

Marek podchodził do agregatów, interfejsów, nad niektórymi zatrzymywał się na dłużej, dotykał kabli, instalacji, sprawdzał ich przebieg, kręcił głową, mruczał, wzdychał. Jak zardzewiały robot, który kiedyś wykonywał tu pracę, ale zapomniał jaką. Piotr podążał za nim, ja z Ewą staliśmy w miejscu i błędziliśmy światłami.

– Znalazłem interfejs – powiedział Marek. – Chyba nawet działa.

– Szczytaj z niego dane – polecił Piotr.

– *Captain Obvious*. Mam złączkę, ale interfejs jest kodowany. To chwilę zajmie.

– Ile? – Zależy. Jeśli złamię kod, na samo sczytanie danych, dajmy na to, góra piętnaście minut.

– Okej. Nie wyłączaj radia. Nie będziemy tracić czasu. Idziemy dalej.

– Mamy go tu zostawić? – spytała Ewa. – Jak się rozdzielać, to lepiej po dwie osoby.

– Dlatego zostaniecie razem. Ja z Karolem... Karol, chodź do

mnie.

Zbliżyłem się do zawieszanej w powietrzu niebieskiej mapy.

– To tu widziałeś tę... rzecz? – Spytał Piotr, uprzednio zmieniając kanał na prywatny.

Potwierdziłem.

Ruszyliśmy w głąb bestii.

W pasażu sypialnianym Piotr zdjął hełm. Mnie kazał zrobić to samo.

Spojrzałem na odczyty – poziom tlenu i promieniowania w akceptowalnym poziomie. Na polecenie głosowe hełm złożył się i schował z tyłu kombinezonu. Ikar żył. Słyszałem jego cichutkie po-brzękiwanie, cykanie, stukot, szum.

W pewnym momencie zacząłem dywagować na temat wątpliwych kwestii. Nie miałem pewności, czy Piotr mnie słucha. Szedł z przodu, powoli, ostrożnie, skrupulatnie wyszarpując światłem tajemnice ciemności. Mimo to mówiłem dalej; własny głos dodawał pewności siebie.

– Fale radiowe potrzebują szesnaście miesięcy, aby dotrzeć z Ikara do naszej stacji, dodaj kolejne pół roku zwłoki Federacji, tyle samo czasu na przygotowania, i wreszcie piętnaście lat lotu Platona. Od dawna nie ma z nimi kontaktu. Przepadli na siedemnaście lat. Mhm. – Kroczyliśmy pasażem i zaglądaliśmy do pokojów wypoczynkowych. – Zastanawia mnie jednak inna kwestia: dlaczego wysłano nas tak późno.

Piotr omiół światłem kolejny pusty pokój, odetchnął z ulgą i spojrzał na mnie.

– Widocznie teoria rozproszenia *homo sapiens* ma odzwierciedlenie w rzeczywistości. A przynajmniej niektóre z jej twierdzeń.

– Rozproszenie? Piotr uniósł brwi.

– Nie słyszałeś? – Ruszył ciemnym pasażem dalej. – Czym się zajmowałeś wcześniej? – Byłem mentorem przedsiębiorców, lekarzem dusz, od czego, nawiasem mówiąc, moja mocno ucierpiała, wchodziłem w skład członków Najwyższej Rady zajmującej się cenzurą sztuki. Wiesz, jak trudna jest walka o fundusze na pionierskie badania neuro-

logiczne? Za tamte bzdury mi płacili, ale żeby pomóc lepiej poznać mózg, zapomnij. Swoją drogą to zabawne, mózg poznający mózg.

Umysł oglądający się w lustrze – zachichotałem, odchrząknąłem.  
– Oczywiście, trafiło na mnie nie tylko dlatego, że jestem psychologiem. W Progresji Inc.

Wybierałem ludzi, którzy mieli zasiedlać planowane kolonie orbitalne.

– I nie słyszałeś o jednej z podstawowych teorii? To już niemal aksjomat. Chodziło mi o ten punkt, który mówi o ratowaniu odległych kolonii... orbitalnych, planetarnych, wszystko jedno.

– Słyszałem, słyszałem. Nie zawsze opłaca się lecieć wyciągać z tarapatów *ad hoc*. Raz – ekonomia, dwa – żadna prowizorka nie wchodzi w grę. Ale... – Co ale? – Piotr zatrzymał się.

– Demografia takich miejsc jest zupełnie inna niż ta, którą znaleźliśmy z Ziemi. Dobierz lemingi tak, żeby populacja za jakiś czas nie okazała się ani za duża, ani za mała. Psychosocjologiczna probablistyka, mhm, na pierwszy rzut oka może wydawać się wróżbiarstwem, w rzeczywistości jednak faktycznie zmniejsza do minimum ryzyko niepowodzenia. W tworzeniu takiej społeczności musisz być precyzyjny jak nanochirurg. Nie zawsze się udaje.

Niby przewidywania genetyczne poszły do przodu, niby łatwiej ocenić kto–co–kiedy–jak, ale historia zna przecież przypadki, i to nie odległe w czasie, gdy trzeba było dowozić ludzi. Lecz nigdy nie zdarzyło się tak, żeby nagle cała baza, cała pierdolona stacja, opustoszała. Powinni nas wysłać od razu.

– Kto by przypuszczał... – Właśnie.

– Wnioski? Wzruszyłem ramionami. Bynajmniej nie dlatego, że wiedza, którą chciałem się podzielić, była mi obojętna. Powoli dochodziłem do konkluzji, od których przejęło mnie dotkliwe zimno. Chciałem zagadać własne lęki, te jednak chwyciły mnie mocno za trzewia i wiedziałem, że żadna sztuczka, żaden gest, żaden mechanizm obronny już nie pomoże. Wziąłem głębszy wdech, znów wzruszyłem ramionami, pragnąc zdeprecjonować powagę sytuacji. Dum–dum

dum–dum du–DUM.

– Weź na warsztat wszystkie możliwości. Przyleciał ktoś z innego społeczeństwa i porwał lub zabił mieszkańców Ikara? Mało prawdopodobne, zbyt duże odległości. Poza tym nie ma sensownych powodów, dla których mieliby to zrobić. Dwa, zapasć pola grawitacyjnego? – Stuknąłem nogą o metal. – Nie. Brak tlenu, zbyt wysokie promieniowanie? Kurwa, nie. Co jeszcze? Zapadła chwila pół–ciszy. Cichutkie pobrząkiwanie, cykanie, stukot, szum. Ikar z nas drwił.

– Musi istnieć jakieś logiczne wytłumaczenie – rzekł Piotr.

Lód skuł mi kręgosłup.

– I tego właśnie się obawiam.

– Złamałem zabezpieczenia – odezwał się w radiu Marek.

– I? – spytał Piotr.

– Jeszcze nie wiem, dajcie mi chwilę... Straszny tu bałagan. Niemożliwe, żeby te rejestry były defaultowe. Ktoś nieźle namieszał.

Pasaż wypoczynkowy skończył się. Przez entę służę wkroczyliśmy do wielkiego, owalnego pomieszczenia, w którym częściowo działało oświetlenie.

Na okrągłym stole wały się jednorazowe kubeczki, tu i ówdzie widniały pozasychane plamy po rozlanych napojach, przywodzące na myśl prymitywny test Rorschacha, ołówki, e–notatnik, sterta elektronicznych papierosów, iniektory, jakieś rękawice... Powoli, bardzo powoli podeszliśmy do tego bałaganu. Podniosłem urządzenie z kilkunastocalowym wyświetlaczem.

Ekran ożył w moich dłoniach. Piotr stanął obok.

– Jezu, co to za bohomazy.

Cała strona w różnokolorowych piktogramach, słowach, szlaczkach, połączonych liniami. Strzałki do góry, do dołu, w dwie strony, przyczyny i skutki, domniemane implikacje.

– Mapa umysłu – mruknąłem.

Gwiazdy, słońca, wielorękie istoty, progres, regres, mała, spirala DNA, w centrum *homo sapiens* otoczony emanującym promieniście kołem; kierunek: – genetyka, epigenetyka, mutacje, dawna Ziemia, –

biotechnologia, bioinżynieria, wszczepy, – genetyka, epigenetyka, mutacje, stacja orbitalna, Niżej jakby opalizująca bańka. Napierały na nią groty włócznie, włócznie tworzyły wachlarz wypełniony wyrazami; jonizujące alfa i beta, elektromagnetyczne, mieszane, korpuskularne, a od każdego z nich odchodziły przerywane linie prowadzące do reszty słów–kluczy. Kombinezon, milisiwierty, Ikar, przepuszczalność... – Co to, kurwa, jest – jęknął Piotr.

– Jakiś notatnik.

– Panowie, mamy problem – odezwał się w radiu Marek. – Wszystkie systemy są sprawne, udało mi się nawet włączyć oświetlenie w paru miejscach. Bąbel magnetosferyczny jest aktywny.

– W czym więc ten pieprzony problem? – spytał oschle Piotr.

– To, co działa poprawnie, to cała część A. Część B Ikara jest... Ja pierdolę, nie mam pojęcia, co tam się dzieje. Te wszystkie dziwne rejestry, o których wcześniej wspomniałem, pochodzą właśnie z części B. Albo to błędy systemu, jakieś artefakty, albo... – Tak? – Nie wiem. Naprawdę nie wiem.

Piotr wyświetlił mapę Ikara.

– Okej, idziemy tam z Karolem.

Wziąłem ze sobą notatnik z mapą myśli i ruszyłem za pilotem.

– A – dodał Marek. – System nadawczy też działa.

– Co? – zdziwiłem się.

– Radio – powiedziała Ewa. – Ktoś coś rozumie? Zarechotałem nerwowo.

– Więc mamy ludzi, którzy odbierają sygnały, ale z jakiegoś powodu nie dają odpowiedzi.

– O ile faktycznie ktoś tu jest – rzucił Piotr.

– Przecież nie wyparowali.

Wszyscy zgodnie zamilkli.

Doszliśmy do śluzy łączącej części A i B. Piotr wpisał na terminalu kod dostępu. Nie zadziałał. Pilot jeszcze raz wstukał kombinację cyfr i liter, spojrzął na łyskającą czerwoną lampkę, walnął pięścią w ścianę.

– Odpalaj hełm – powiedział.

Zaklął siarczyście, wyjął palnik acetylenowy. Błękit błysnął, zasyczał w kontakcie ze śluzą, poleciały skry. Gdy ostatnie z nich odbiły się od podłogi i zakończyły efemeryczny żywot, Piotr pchnął wypaloną część śluzu. Nastąpił huk i w kuckach przeszliśmy do tunelu, jednego z wielu łączników części A i B Ikara. Słyszając pisk czujników promieniowania, zatrzymaliśmy się.

Milisiwierty trzaskały w nas jak skompresowane w czasie zdjęcia rentgenowskie.

Na końcu tunelu powtórka z rozrywki; palnik, błękit, skry.

I znów wkroczyliśmy w półmroki. Włączyliśmy reflektory, snopy światła zawisły w sporym pomieszczeniu jak gargantuiczne pajęcznice, po czym zaczęły leniwie błądzić po ścianach. Według mapy znajdowaliśmy się w przedsionku. Niedaleko stąd powinna być sterownia, ale i tak niczego byśmy się nie dowiedzieli; jedynie Marek miał złącze do interfejsów.

– Nic więcej tu nie znajdziemy. – Na głos Ewy w radiu aż podskoczyłem.

– Pójdziemy dalej.

– Zostańcie na miejscu – powiedział Piotr.

– Nie będziemy bezsensownie marnować tlenu – włączył się Marek.

– Nie macie mapy. Zostańcie.

– Bujaj się – warknął Marek.

Rozłączyli się.

\* \* \*

Jerzy patrzył, jak załoga Platona wylatuje w kosmos. Gdy cztery punkciki dotarły do Ikara, medyk odetchnął z ulgą. Czekał na ten moment od dawna. Był podekscytowany tak bardzo, że idąc do własnego pokoju, cały się trząsał. Na miejscu musiał zaaplikować sobie zastrzyk uspokajający. Trochę pomógł, ale jaja nadal bolały jak diabli.

Obawiał się, że Diana nie będzie chciała z nim rozmawiać, tym bardziej po tym, jak złamał dane słowo, lecz z drugiej strony bez tabletek astrofizyczka w końcu uśnie, a przecież przerwanie badań nad tą durną gwiazdą jest ostatnią rzeczą, której by chciała. Dlatego założył, że jednak poświęci mu trochę uwagi.

Jednak nawet jeśli Diana się odezwie, nie liczył na nic więcej. Dlatego zabrał ze sobą chusteczkę oraz środek usypiający w aerozolu. Astrofizyczka wreszcie zregeneruje siły, a on sobie ulży. Zaczął fantazjować, co z nią zrobi, aż mu stanął.

Wyszedł z kabiny, lecz szybko wrócił, klnąc pod nosem; w korytarzu kręcił się Adam. Cholerny socjolog przez ostatni tydzień większość czasu siedział zamknięty u siebie, a teraz, akurat teraz zebrało mu się na spacer.

Jerzy, wkurwiony jak nigdy, z kutasem twardym jak stal, czekał.

Po dłuższym czasie, zdziwiony, poderwał się z koi. Przez minutę sądził, że tylko mu się zdaje, ale tego delikatnego, osobliwego czucia w kościach nie pomyliłby z niczym innym; Platon z całą pewnością przyspieszał.

Jerzy pobiegł do kabiny pilota. Przy konsolach tkwił Adam.

– Co tu robisz? – spytał medyk.

Adam odwrócił się, powoli, jakby w zwolnionym tempie.

– Nic – odpowiedział.

– Dlaczego nie poleciałeś z resztą? Powinieneś rozeznaczyć się w sytuacji, wyjść na zewnątrz... Adam ruszył w jego kierunku.

– Byłem – powiedział beznamiętnie. – Byłem na zewnątrz.

\* \* \*

Prawie udało się.

Oddzielić szczegóły od tła.

Niuanse od szumu.

Wyekstrahować istotę.

Prawie... Potwornie zmęczona Diana, wpatrzona w Demiurga,



popijała kolejny napój izotoniczny. Miotają ją ambiwalentne emocje. Czowała się zawiedziona, ponieważ sądziła, że potężne protuberancje zapowiadają gwałtownie rosnącą aktywność gwiazdy. Gdyby okazało się to prawdą, astrofizyczka byłaby niemal bezpośrednim świadkiem niesamowitych zdarzeń. Tak wielkie koronalne wyrzuty masy mogły stanowić klucz do rozwikłania zagadki Ikara.

Gdy jednak przeanalizowała odczyty skrupulatniej, wyszło na jaw, że w koronalnych wyrzutach masy Demiurga nie ma żadnej osobliwości. Być może była jakaś podczas poprzednich burz radiowych, tego jednak już nie sprawdzi.

Analizując RS Essedi, Diana srodze się zawiodła, ale gdy mimowolnie zaczęła wspominać ćwiczenia, doznała olśnienia. Wystarczyło bowiem wyjść poza schemat tu i teraz, rozszerzyć badania, zmienić rozdzielczość obserwowanych zdarzeń. *Essedum*, sprawdziła, to po łacinie rydwan. Jaki był kiedyś Demiurg? Gdzie się znajdował, gdzie jest obecnie i dokąd zmierza? Tak, to orbita jest niezmiernie ważna. Dianie zaświtało to już podczas treningu, gdy krążyła z RS Essedi po boskiej elipsie. Tylko że wtedy pojawił się ten durny psycholog.

Ambiwalencje.

Gorycz porażki i nagła wiara w sukces Diana nie mogła usiedzieć w miejscu. Wstała, wyprostowała zeszywniały grzbiet, kości chrupnęły. Nachyliła się nad terminalem, wstukała kilka poleceń. Ok, zaraz, gdzieś tu były... Są! Obiekt: gwiazda RS Essedi.

*Położenie: galaktyka Wielkiego Oka*

*Jedno okrążenie wokół centrum galaktyki: sto milionów lat*

*Najbliższa gwiazda: pięć lat świetlnych*

*Najbliższa planeta: 0,65 roku świetlnego*

Diana zaczęła analizować tor lotu RS Essedi, piekielne sto, dwieście milionów lat. Znała położenie gwiazdy względem pozostałych ciał niebieskich w galaktyce Wielkiego Oka, mogła sprawdzić, co

ma istotny wpływ na Demiurga, ale ustalić, gdzie powyższy zaczepi się po połączeniu galaktyk? Niemożliwe. Komputery zwyczajnie nie były w stanie – podczas obliczeń albo się zacinały, albo sypały artefaktami jak obłąkani magicy.

Powieki ciążyły coraz bardziej, ciało zalewały fale ciepła, umysł zwalniał, zwalniał... Diana się poderwała, przeciągnęła i wyszła na korytarz. Jerzego nie znalazła ani w jego pokoju, ani w mesie. Rdzeń Platona także pogrążony był w mroku, ciszy i bezruchu. Gdzie był ten upierdliwy medyk? Została kajuta kapitana.

– Piotrek? – Diana zmarszczyła brwi, widząc stojącą przy konsolach sylwetkę.

– Słucham? – Strach w głosie. A potem nagła ulga. – Nie, przecież poleciał na Ikarę. Z Karolem, Markiem i Ewą.

Diana rozpoznała Adama. Zrobiła niepewny krok do przodu.

– A medyk? – Jerzy... Tak, on też. Z nimi.

Diana podeszła bliżej, spojrzała na instrumentarium pilota, a potem na socjologa, zacisnęła pięści.

– Dokąd lecimy? Nie odpowiedział, więc spróbowała go minąć i zatrzymać Platona. Adam zagroził jej drogę.

– Pojechało cię? – syknęła.

– Nic nie rozumiesz. – Socjolog na znak szczerości uniósł rękę. – Nie chcę, żebyśmy kontaktowali się z bazą.

– Nie wierzę. Piotr nigdy by... – Mam go w dupie! – Adam wybuchnął i odwrócił się do niej plecami.

– Pokażę ci coś. – Zaczął manipulować przy konsoli sterowniczej.

– Tam, na Ikarze, dzieją się niesamowite rzeczy. Ci ludzie chcą wyzwolić własny gatunek. Wiesz, czym jest bierność w kosmosie? To petryfikacja, wegetowanie.

– Rozmawiałeś z nimi? – Diana podeszła bliżej mężczyzny. – I nic nam nie powiedziałeś? Ewa sześć lat próbowała się z nimi skontaktować.

– Tak, wiem. Ja zrobiłem to szybciej, jeszcze na początku naszego lotu.

Zrozum, Ikar jest jak drzewko bonsai. Odpowiednio pielęgnowany, będzie żył długo. A Federacja nie słynie z subtelności. Wiesz, że część B stacji jest zbudowana z innych kompozytów? Zobacz, głównie aluminium, brakuje wody, oczywiście poza środkowymi poziomami, które zostały zbudowane z myślą o hydroponicznych uprawach. To dlatego, żeby...

Diana użyła paralizatora; Adam zadygotał i padł na ziemię. Astrofizyczka ukucnęła nad zwiniętym jak embrion mężczyzną, uważnie się mu przyjrzała.

– Nie rozumiesz – wymamrotał Adam. – Nadal nic nie rozumiesz. Pomyśl tylko, poświęciłaś się badaniu gwiazdy, żeby zrozumieć jej niezwykłość.

Teraz masz gotowe odpowiedzi, musisz tylko wyciągnąć po nie rękę.

Diana zwiększyła moc pastucha i przyłożyła go do mocno tętniącej skroni.

– Dlaczego Federacja nic nam nie powiedziała? – Ponieważ nic nie wiedzieli. Ikar jest własnością Tabula Incorporated, a ta nie chciała pozwolić na wysłanie nas.

– Nie rozumiem.

– Do diabła, kobieto, szefowie Tabula to planowali! Ale Federacja we wszystkim musi maczać palce, nikt nie jest w stanie się jej sprzeciwić, więc... Diana docisnęła paralizator mocniej, palec wskazujący położyła na przycisku i zastygła w bezruchu. Nie mając najmniejszego pojęcia, że i tak już podjęła decyzję.

\* \* \*

Szliśmy w milczeniu, z otwartymi ustami, szperając w półcieniach snopami światła, starając się zrozumieć otaczającą rzeczywistość. Jak znaleźć logikę w całkowitym chaosie? W pasażu sypialnianym rosły rośliny, z sufitu kapała woda, ściany sypały skrami. Fragmentaryczne, migające lampy wygrywały światłocieniem melodie

chaosu. Szedłem za Piotrem, milisiwierty trzaskały, w skroniach dum–dum dum–dum DU–dum, kręgosłupem mroźne szzzz–szzzz. W pokojach wypoczynkowych dzicz: paprocie, trawy, ręczniki, skafandry, e–notatniki, w kątach pajęczyny. Piotr w jedną wszedł i zaklął. Pierwszy raz usłyszałem w jego głosie rodzący się strach.

Za pasażem wypoczynkowym przepastne pomieszczenie, trudno powiedzieć mesa czy sala ćwiczeń. A potem weszliśmy głębiej i głębiej w gardło bestii.

Przed kolejnym wejściem sączyła się niebieska luna. Piotr zaklął i wszedł do środka.

– Jezu – usłyszałem w radiu.

Dum–dum dum–dum DU–dum.

– Co? – spytałem głupio.

Nie odpowiedział. Wydawało mi się, że czuję na ramieniu czyjś oddech.

Piotr stał przed ogromnym hologramem.

– Jezu... – szeptał.

Na hologramie punkciki; krążyły, gasły i rozświetlały się niczym boje żywnościowe, ciągnęły za sobą warkocze, emanowały światłem.

– Mapa kosmosu – powiedziałem, podchodząc bliżej.

Skinął głową.

– Galaktyka Wielkiego Oka. Niesamowite.

Zmrużyłem oczy.

– Nie rozumiem.

Wskazał palcem.

– Orbita RS Essedi. Zobacz, jest dokładnie opisana. Gwiazda znajduje na obrzeżu Wielkiego Oka... – Którego środkiem jest olbrzymia czarna dziura.

– Tak. Ale nie o to chodzi. Spójrz. Tu, na końcu hologramu, wyraźnie widać skrawek galaktyki Einsteina. Animacja się zapętla. Galaktyki mają się zderzyć za około trzy miliony lat.

– Przecież to powszechna wiedza.

– Tak. Nas interesuje, co stanie się z RS Essedi. Według holo-

gramu, pod wpływem zmiany sił grawitacyjnych, wstrzeli się tu.

– Ktoś to obliczył? – zdziwiłem się.

– Na to wygląda.

Prychnąłem. Absurd sytuacji zaczynał mnie przerażać.

– To niemożliwe. Przecież... Po co im ta wiedza? Piotr pokręcił głową.

– Istotniejsze jest promieniowanie. Dlaczego część A jest nie-skażona? Podejrzewam, że bąbel magnetosferyczny skurczył się i nie obejmuje działaniem części B.

– Przecież promieniowanie jest zbyt niskie.

– Jeżeli masz rację, to...

Nagle szybka jego hełmu pękła. Wytrzeszczył oczy, dotknął uszkodzonej powierzchni palcami dłoni.

– Co... Spojrzałem na napromieniowanie. Dwieście milisiwier-tów.

Piotr uśmiechnął się.

– Mogę oddychać. Jezu, Karol, mogę oddychać.

Cień mignął za hologramem. Odsunąłem się w stronę wyjścia. Widziałem, jak Piotr się uśmiecha, jak chce mi coś powiedzieć, otwiera usta, a potem coś na niego skoczyło.

Nawet nie zauważyłem, kiedy zacząłem biec, wstrząsany dreszczami przerażenia. Na granicy świadomości zdawałem sobie sprawę, że powinienem pomóc Piotrowi, bo przecież miałem broń, ale wzburzone hormony miast walczyć kazały uciekać. Popędziłem ile sił w płucach, omal nie wpadając na ściany, na przemian klnąc i błagając nie wiadomo o co. Dum–dum DU–dum DU–dum. Gdy zbliżyłem się do tunelu łączącego obydwie części stacji, wywołałem na radiu Marka i Ewę.

Cisza.

Wypalonym w służbie otworem wpadłem prosto w silne światło.

– Karol? – kobiecy głos.

Zwolniłem, obejrzałem się za siebie.

– Ewa? – wydyszałem. – Ewa, uciekajcie do służby próżniowej.

– On tu jest.

Przez kilka mocnych uderzeń serca myślałem, że chodzi jej o Marka.

– Kto? Gdzie jesteś? – Na dole. My... – Ewa szlochała. – Niepotrzebnie tu zeszedliśmy. Marek.

On... On chyba nie żyje.

Zawirowało mi w głowie, stanąłem, zgiąłem się w pół, dłońmi oparłem o drżące kolana.

– Co? – Tu ktoś jest. Jejku, Karol, pomóż mi.

Ciało zlał zimny pot, nudności podeszły do gardła.

– Boję się. Pomóż mi.

Przed oczami zamigotały mroczki.

– Po cholere tam schodziliście – sapnąłem.

– Proszę, pomóż. Proszę... – Po chuj tam schodziliście! – warknąłem.

Ewa się rozplakała. Wyłączyłem radio i udałem się do modułu wyjściowego.

Raz jeszcze włączyłem radio – Ewa szlochała – a potem ją zablokowałem i, cały roztrzęsiony, wyleciałem w przestrzeń. Ani na sekundę nie spuszczałem z przeskłonnych oczu Platona. Leciałem, leciałem, leciałem, serce biło coraz spokojniej, myśli zwolniły, zastygły, aż w końcu straciłem poczucie czasu, wpadłem w percepcyjny oniryzm; skafander trumną floatingową.

Ocknąłem się i zdałem sobie sprawę, że ani trochę nie zbliżyłem się do statku. Wywołałem na radiu Jerzego. Cisza. Dianę. Cisza. Adama, nic.

Spojrzałem za siebie, na Ikara; jeszcze nie było za późno, mogłem tam wrócić.

Do miejsca, w którym COŚ zabiło Piotra. „...bąbel magnetosferyczny skurczył się i nie obejmuje działaniem części B”. Nie, pomyślałem, nie, nie, nie.

DNA dwóch populacji, różnice między nimi, sterylna część A, zapuszczona B... Albo rozwiązanie okazało się banalnie proste, albo

zaczynałem mieć urojenia. Ikar posiadał nie jeden, lecz dwa bąble magnetosferyczne. Jeden działał prawidłowo, drugi zaś był ustawiony na słabszą moc, tak aby promieniowanie... Jezu, oni chcieli zmodyfikować ciśnienie ewolucyjne, sprawić, żeby zmiany w kodzie genetycznym zachodziły szybciej/inaczej.

A jeśli chodziło o coś więcej? Zderzenie galaktyk, zmiana orbity RS Essedi... Czy ktoś planowałby ewolucję w tak potężnej perspektywie? To był impuls, coś przeskoczyło w głowie i ogarnął mnie paniczny strach.

Dum–dum dum–dum DU–dum. Chciałem się miotać, wierzgać, ale kosmos odziera człowiecze ciało z wszelkiej ekspresji. Przerazenie rosło, a ja miałem nadzieję, że serce podobnie jak gwiazda spuchnie i zapadnie się w sobie.

Dum–dum dum–dum DU–dum.

Błagam... Dum–dum dum–dum DU–dum.

Spróbowałem połączyć się z Jerzym, Dianą, Adamem. Cisza.

Odblokowałem Ewę. Głucho.

Dum–dum dum–dum dum–dum.

Ułożyłem usta, ale słowa więzły w gardle.

– S... – Scho... Schowaj hełm? Nie, nie poddam się teraz, gdy rozwiązałem zagadkę. Muszę wysłać wiadomość do naszej bazy, przylecą po mnie... Za siedemnaście lat.

Odpuściłem. Przez jakiś czas po prostu leciałem. Mój umysł barykadował się mechanizmami obronnymi, budował fortece, odcinał się od bodźców jak mógł, aż nagle... poczułem się malutki i nic nieznający. Instykt przetrwania, wdrukowany w DNA każdego organizmu imperatyw, przestał mieć znaczenie. Kosmos odarł mnie do cna.

Tym razem słowa nie uwięzły w gardle.

***Jan Maszczyszyn (jahusz)***

*Urodzony w 1960 roku w Bytomiu. Laureat pierwszego konkursu literackiego ogłoszonego przez miesięcznik „Fantastyka” (obok Sapkowskiego i Huberatha). Debiutował na łamach „Nowego Wyrazu” w 1977 roku opowiadaniem Strażnik. Swoje teksty publikował w „Fantastyce”, „Politechniku”, „Faktach”, „Merkuriuszu”, „Odgłosach”, w fanzinach: „Somnambul”, „Fikcje”, „Kwazar”, „Feniks”, „Spectrum”, kwartalniku literackim „Matafora” oraz w prasie Polonii Australijskiej. W roku 2013 ukazała się antologia jego opowiadań pt.: Testimonium, a w 2015 debiutancka powieść Światy Solarne.*

*Kilka opowiadań opublikował w antologiach Spotkanie w przestworzach (1977), Sposób na wszechświat (1983), Pożeracz szarości (1991), Dira necessitas (1988), Bizarro Bazar (2013), Bizarro Bizarro (2013), i Toy stories (2014).*

*Był jednym z założycieli pierwszego w Polsce klubu fantastyki „Somnambul”, wydającego periodyk o tej samej nazwie.*

*W 1989 roku wyemigrował do Australii, gdzie mieszka do dzisiaj.*

*Powrócił po latach do pisania SF, publikuje na różnych portalach fantastycznych i w czasopismach.*

**Jan Maszczyszyn**  
**BOMBKOŃ**

To była dziwna choinka. A sprzedający wyglądał na żebraka. W okolicach świąt taki widok szczególnie rozbija. Zastanowił mnie jego nieobecny wzrok. Patrzył parą szklanych, pozbawionych źrenic oczu.



Takich, jakie się widzi na reklamach elektronicznych protez dla niewidomych. Nie byłoby w tym nic dziwnego, bo w końcu wielu ludzi dobrowolnie decyduje się na wymianę narządów naturalnych na sztuczne. Diametralnie polepsza się jakość wykonywanej funkcji. Tylko skąd u bezdomnego taki drogi sprzęt? – Dawid, weź, odbierz od pana drzewko. Co tak patrzysz jak otępiały? – Pani Hollows jak zwykle w takich sytuacjach stawiała się agresywna. Pełniła funkcję dyrektora finansowego naszego sierocińca. Wysoka, o mrocznym spojrzeniu, z zaledwie tłącym się uśmiezkiem na suchych wargach – uczyniła dziwny ruch ręką. Jakby odegnała upartą muchę.

Ale skąd mucha w środku zimy? Choinkę musiałem dosłownie oderwać z rąk żebraka. Werbalnie ją odsprzedał. Fizycznie, miał opory z jej przekazaniem. Położyłem pieniądze pani dyrektor na odśnieżonym w tym celu murku, tuż obok miejsca, gdzie stał. I znów pociągnąłem za iglasty trzon. Jednak drzewko, jakby samo od siebie, dalej kleiło się do właściciela. Zdębiałem, kiedy żebrak wyszeptał jakiś przekonywujący argument w stronę zielonej gęstwiny. Choinka nieoczekiwanie dosłownie wpadła w moje ręce.

Obejrzałem ją sobie dokładnie. Była niezwykle lekka. I dźwięcząca.

Pachniała świeżo rozpuszczonym syntetykiem wzmacniającym. Zapewne wyrosła w doniczce hipermetrycznej, stąd te nieznaczne domieszki plastyku i afrodyzjaków. Nawet marchewka z takiej doniczki posiadała w pierwszym momencie posmak proszku do prania, a potem – niebo rozpuszczone w gębie! No cóż, takie czasy, nie ma miejsca na lasy i ogrody, więc trzeba cieszyć się dwumetrowym hipermetronem w każdym, bogatym domu.

– Dała mi pani o dziesięć baksów za mało! – warknął w stronę pani Hollows rozsierdzony żebrak.

Pani dyrektor obróciła się na pięcie. Jej gładkie czoło dziwnie załśniło, jakby pod powierzchnię skóry przewlekl właśnie swe nici otaczający nas siarczasty mróz.

– Przecież słyszę brzęk starych bombek. Czuję smród wilgotnego,

nierozplecionego łańcucha. A przerwane przewody po oświetleniu? Zapomniało się? Zabrakło cierpliwości? To towar z drugiej ręki. I tak dostałeś za dużo, szmaciarzu...

Dłubała paznokciem w zębie, kiedy mówiła, ale wszystko rozumiałem.

Nawet tę mgłę gęstniejącą wokół zebraka. Zbrązowiał. Gra półcieni na twarzy zrobiła policzki jeszcze bardziej szklistymi, wręcz demoniczne ostrymi.

– A żebyś się udławiła rybią ością, ty stara kurwo! – rzucił na odchodnym, jakoś beznadziejnie zmęczonym głosem.

Jego postać rozmył wczesny zmrok, a my zwawym krokiem rozegnaliśmy lecące, śnieżne płatki. Udaliśmy się do roziskrzonego światłami budynku.

Idąc mimowolnie przysłuchiwałem się szelestowi drzewka. Jakbym niósł trupa szczególnie mocno zapakowanego w gruby celofan. Coś w jego głębi niepokojąco dzwoniło i kwiliło. Czyżby rzeczywiście zapomniane ozdoby? – przemknęła mi myśl. – A może zapomniany ptaszek przywiązany za złamaną nóżkę drutem do gniazdka? Kto wie? Dzieci robią różne rzeczy małym ptaszkom w oczekiwaniu na prezenty. Uśmiechnąłem się mimo woli.

Wtedy poczułem galaretowate kropelki wilgoci toczące się po moich plecach. Szybko zastygły i równie szybko uległy wchłonięciu. Poczułem się niezwykle lekki i radosny, i jakiś... inaczej zapłodniony? Po powrocie do sierocińca i umocowaniu drzewka w dysku hipermetrona na środku wielkiej sali tanecznej, gdzie już tkwiła przerośnięta marchewka, wczółgałem się pod drzewko. Zawsze marzyłem o ucieczce w naturę. Zazdrościłem naszym przodkom tej szczególnej harmonii współtowarzyszenia innym formom biologicznego, wolnego życia, której w dwudziestym szóstym stuleciu próżno było szukać. Moro–betono–plastik zabił w nas człowieczeństwo.

Przyjrzałem się uważniej rozhuśtanym gałęziom.

Gdzieś tam ku szczytowi pięła się srebrna żyłka. I druga... I mógłbym przysiąc, że widzę równie srebrny dzwoneczek.

– Dawid! – Pani Hollows znów napominała z wysokości schodów. Jej gniew miał coś z wulgarno–wolno wspinającego się gada. – Co tam robisz, kopciuchu! Przypominam ci, że nie jesteś już dzieckiem! – Przepraszam – rzuciłem w stronę kobiety. Ciągłe w pozycji klęczącej patrzyłem się w daleki szczyt świątecznego drzewka. Zieleń niemal stykała się z odrapanym sklepieniem sali. Nie sposób było nie zauważyć zgniłego blasku ostrza. Tym czymś kończyło się drzewko. Wyglądało na „re–pre–zecherochion”, który ściąga z okolicy prezenty? Czy tak tłumaczono małym durniom reguły rządzące światem upominków? Wystarczy pomyśleć o transmisji darów? Co za żmije? – Widzi pani? – zapytałem, wskazując promieniujące opalizującym blaskiem ostrze. Trzęsło się. Boże... Drzewko dostawało drgawek! Coś odbierało, sygnał? Sygnał czego? Poczulem słodycz w ustach.

– Nie widzę nawet ciebie... Jest już ciemno. Idź już spać młokosie – rozkazała rozzłoszczona. Miała na sobie wymiętoloną koszulę nocną, pod którą jej stare piersi wyglądały jak beznadziejnie odwieszona, boksyrskie rękawice. Spuściłem wzrok. Zawsze mnie onieśmiałała swoją obrazoburczą cielesnością. Przebiegłem bezszelestnie tuż obok, wdychając zapach jej potu. Nie zauważyła, kiedy zliziałem koniuszkiem języka jej włosy.

Przeszedł ją tylko zimny dreszcz.

Nie mogłem zasnąć. Tkwiłem obok łóżka niczym powiązany nitkami blasku księżycy cień. Na pewno nie byłem już sobą.

Brzask przyniósł pierwszy krzyk.

A ja nie ruszyłem się nawet na krok.

Ponury poranek, przyniósł krzyk – drugi.

Wtedy...

Pobiegłem w dół po skrzypiących schodach. Wyrobione stopnie więcej miały w sobie kurzu niż drewna.

Wpadłem do sali tanecznej. Ciągłe zalegał tu zawieszisty półmrok i niesamowity chłód. Na podłodze, pod choinką siedziała już cała gromadka oczekujących prezentów dzieciaków z największą plotkarką na czele. Nancy Brighton, bo pieguska takie nosiła imię, właśnie roz-

plotła warkocze. Jej oczy lśniły jak dwa magiczne kryształy.

– Wiecie skąd przychodzą prezenty? – szeptała w stronę małych słuchaczy. Aż im od tej napiętej uwagi zeszkliły się twarze. – Zsuwają się po trzonie drzewka. Tam jest mnóstwo kontaktorów i trzydzieści tysięcy teleportacyjnych diod.

– Bredzisz, małpo. – Ron Galay Cartenbury szturchnął ją łokciem. Aż syknęła z bólu. – Wszyscy tylko rozpowiadacie historie o elektronicznych transmisjach z „re-pre-zecherochionu”. Ja tam swoje wiem. To mały Jezusek, opadły z krzyża, w przebraniu bezdzietnego Mikołaja opuszcza się na linie przez komin. Przynosi prezenty w koszykach po jajkach.

Przysunąłem się bliżej.

– Tylko cierpliwi otrzymują nagrodę – wyszeptałem. Zmroził ich mój szept. Był jakiś zimny i szklany. Dzieciaki rozglądały się, a nie odnajdując mnie w ciemnościach, zadrżały. Strasznie się przy tym drapały, jakby oblażała je armia krwiożerczych kleszczy. – To Bombkoń decyduje komu nagroda, a komu śmierć. A nie twój pleciuch – koszykarz – dodałem z przeciągłym sykiem. Nie wiem, skąd wziął się u mnie ten okropny pomysł. Może sam byłem zazdrosny o miejsce zajęte przez gromadkę pod choinką? Może już je znienawidziłem za niecierpliwe wyczekiwanie pod drzewkiem? A może nadchodził nowy prąd? Prąd z „re-pre-zecherochionu”? Doskonale widziałem te małe, rozwiercające, dziecięce oczka. Zawisły na mnie wzrokiem teraz bez wyrazu, mocno zobojętniałe i głuche... W nieruchomości wręcz obelżywe.

– Teraz wszystkie dzieci idą ze mną do pudełka – powiedziałem tonem łagodnej perswazji. Posłuchały w milczeniu. Było w moim głosie coś strasznego.

Rozkaz re-montażu? Ruszył smutny korowód. Nocne koszule falowały w małych, mniejszych i jeszcze mniejszych krokach, a wschodzące słońce rozrysowywało na nich pajęczyny pęknięć.

Spoczęły jak w futerale.

Po godzinie wróciłem do drzewka. Pochyliłem się ponad mniej-

szą ode mnie postacią. Rozpoznałem twarz. Siedmioletni Harry Logan z Albury.

Miał na dłoniach plamy zaschniętej krwi. Trząśnięty z zimna i pochlipywał.

– Co się stało? – zapytałem nie wiadomo czemu szeptem. Podniósł na mnie smutne oczy. Widział mnie. Jego twarz odbijała się w mojej twarzy, jak w upiornym zwierciadle! – Ten uparciuch Flanley wczółgał się pod drzewko, a ja zaraz po nim. – Mały załkał cicho. – I wtedy w górnych gałęziach coś się poruszyło.

– Po prostu potrząsnęliście drzewkiem i spadła jakaś stara bombka...

– Nie. Nawet go nie dotknęliśmy. To coś posypało nas rozbitym szkłem.

Widziałem gołe plecy Flanleya. Wbijało się w nie drzazgami i wierciło jak rój szalejących kleszczy. Jego krew była nawet na mojej twarzy. Wyczołgałem się spod szybko obniżających się gałęzi. A on ciągle tam leżał i dzwonił tysiącem szklanych dzwonków. Idź posłuchać, smoluchu.

Popchnął mnie w stronę choinki. Zabolało mnie takie lekceważenie.

Białe dzieci zawsze miały mnie za coś gorszego. Pochwyliłem jego wątłą szyję. Zacząłem dusić... Nagle...

Zrezygnowałem, masując zgrabiałe z zimna dłonie.

Mały uciekł wrzeszcząc o pomoc.

Wczółgałem się pod krzywy piwniczny stopień, gdzie przeleżałem święta. Policja zabrała wszystkie pudełka z nowymi bombkami. Sprzątaczką długo szorowała napęczniałe od krwi deski. A ja nasłuchiwałem tupotu małych stóp. Ich rytm odmierzał pory dnia i dni leniwie biegnącego tygodnia. Poczułem, że już czas, gdy zabrakło zwyczajowych gapiów. Już nikt nie czekał pod drzewkiem na prezenty. Panowała cicha, spokojna noc.

Wyszedłem w blaskach księżycowego światła, jakby poprzetykany niemi ze srebra.

Obok stała choinka. Nocami wciągała na siebie wszystkie trofea, których nie znalazła policja. Kogo tu nie było? Mały Harry w zestawie bombkowym z pokurczonymi do skali zabawki nóżkami, Flanley z rozdziawioną, szklaną gębą, siostry Rochester splecione warkoczami, zawsze ciekawska Allana Keivy, a nawet stary pan od geografii, Rupert Jordan.

\* \* \*

Na szklanej twarzy żebraka pojawił się zakłopotanie. Szyja kobiety była ciasno opasana bandażem. Lśniły metalem naciągacze.

– Chciałbym odzyskać swoje drzewko. Tu są pieniądze – podał zwitek pomiętych banknotów.

– Niech je pan weźmie w cholere – z trudem odpowiedziała panna Hollows. Jeszcze czuła uderzenia ości w każdym ciężko wyartykułowanym słowie. I posmak krwi na języku.

– Nie myślałem...

Kobieta sięgnęła ręką gdzieś poza krawędź pieczołowicie obciętego żywopłotu.

– Tu jest choinka! I już mi wypieprzać! – Pozwoli pani, że zapytam?...

– Czego?...

– Gdzie jest ten piękny, miedzianozłoty chłopak? – Jaki on tam był złoty? Jaki miedziany? Zwykły Hindus. – Wzruszyła ramionami. – Prysnał wraz z kilkunastoma innymi. Zawsze tak robią na święta, smoluchy.

Nie spostrzegła mnie uwieszzonego na gałęzi. Zamachałem żabimi nóżkami.

Usta żebraka przebiegł cień uśmiechu. Wargi drgały przez chwilę, jak u świeżo zabitego karpia.

– A, to dobrze. Bombkoń się ucieszy.

Zamierzał odejść.

– Chwileczkę. Jaki Bombkoń? Cofnął się o kilka kroków. A

choinka wraz z nim. I ja. Roześmiany jak małeletni pajacyk.

Podążyliśmy w rozwirowanym, brzękliwym tańcu jakby związani tysiącem welonów. Pochłaniała nas gęstniejąca mgła. Nadchodzące słowa wykręciła złośliwa akustyka zamkniętego pudła.

– Nie zna pani współczesnych baśni? Taka zafajdana mamuśka? Tylko te parszywe gry i elektroniczne symulacje? Bombkoń otwiera nową kartę w historii świata. Wymierza kary dla niecierpliwych. I nagradza obojętnych. Transformuje autentycznych ludzi w cyfrowy kod ozdoby. I potem retransmituje do wszystkich gałęzi naszych naprawdę, jeszcze żywych drzew. Pewnego, jutrzejszego dnia, rozwiesi ludzkość jak pranie – wybuchł skrzekliwym śmiechem.

Panna Hollows przyskoczyła w kierunku cienia z wykrzywionymi jak szpony dłońmi. Które on, niesforny drań, ucałował. A potem nadgryzł.

Zębem cienkim jak płatek wirującego śniegu.

– Precz mi z mojego świata! – wrzasnęła, gubiąc więcej i więcej kropli drogocennej krwi.

**Jan Maszczyszyn**  
**LAS NAWIEDZONYCH**

**1.**

Lotnisko Tullamarine jest niewielkim portem lotniczym. Ponad płytą lądowiska górują szerniałe od wylizwów spalin parkingi i wieża hotelu Park Royal. Dwa mosty rozpięte ponad ruchliwą drogą łączą je z główną halą lotów. To wszystko, co zbudowano tu dla pasażera.

Jeśli mowa o serwisie, to muchy stają na wysokości zadania. Mieszkają na poręczach schodów, na kulkach przezutej gumy, w puszkach z niedokończoną colą. W spiekocie pory lunchu zajęte są spijaniem wilgoci z ust spieszących ludzi. Niektórym wystarcza krótki, natarczywy taniec łapek na lepkiej od potu skórze. W temperaturze czterdziestu stopni, jakie panują tu w styczniu, nazwałbym to dreptanie złościwością matki natury.

Inne gubią się w małżowinie ucha. Wypluwają tam swoje brzęczące żale, jakby na dobre oczadziały w jaskrawym do bólu słońcu.

Nastał rok 2012. Każdy oczekiwał końca świata. Ale kto może przewidzieć wydarzenie podobnej rangi? Na pewno nie starożytna cywilizacja, która nigdy nie poznała koła. Nie kultura, która w codziennym życiu kierowała się obłądnym rytuałem krwawego bóstwa. Nie ludzie przerażeni wykroczeniami myśli. Przewidywalność wymagała perfekcyjnej lotności umysłu. A tego brakowało wszystkim cywilizacjom Ziemi począwszy od zarania dziejów aż do obłądnego dzisiaj.

Pozostało mi trochę zaległego urlopu i parę dolarów na skromnym koncie. Panująca wokół mania nadchodzącego kataklizmu, w specyficzny sposób napędzająca koniunkturę, udzieliła się również i mojej niespokojnej duszy, popychając do czynów ostatecznych. Kupiłem najtańszy bilet, spakowałem niewielką walizkę. Odnalazłem zakurzony pokrowiec na laptopa.



iPhone'a wrzuciłem w boczną kieszeń spodni i stanąłem w wielkiej hali lotniska w kolejce do automatu obsługującego. Parę minut później maszerowałem już w refleksach szyb do właściwego rękawa odlotowego.

Wszędzie tłoczyli się ludzie. Jakby całą tę hołotę nagle ogarnęła przemożna chęć latania. Górował chaos dziecięcych krzyków. Jakieś wyścigi z lodami, upadki, krzyki i płacz. Słyszałem ciągłe przestrogi przed złodziejami bagażu, tkliwe jak niecierpliwe instrukcje matki. Informacje o statusie lotów w tym kontekście brzmiały jak uderzenia przeciągłego werbla. Kłótnie, pożegnalne pocałunki, okolicznościowe milczenia, rozpacz i nadzieje wypełniały pejzaż ludzkich twarzy w dalekim tle. Zdawały się zamglone. Zlewały się w oddalony o kilometry chaos dźwięków... Przysnąłem na stojąco.

Obudził mnie rozbłysk światła. Uaktywnił się rękaw odlotowy. Bramka numer siedem stanęła otworem z miłą stewardesą na końcu dusznego korytarza. Nie było nas zbyt wielu. Port Moresby nie stanowił ulubionego punktu docelowego dla poszukiwaczy odpoczynku. Kilku posiwiąłych inżynierów górniczych, grupa wielbicieli Kokoda Trail, gdzie australijscy żołnierze wraz z zaprzyjaźnionymi plemionami nowogwinejskimi spuścili łomot japońskiej armii inwazyjnej podczas drugiej wojny światowej.

Jakaś ładna dziewczyna zaledwie mignęła w tłumie. Nie wiadomo, skąd się tu wzięła, pośród tego kwaśnego zapachu męskiego potu i papierosów. Wyglądała jakby była filigranowo wykończona, w każdym drobiazgu doskonała, jednocześnie zagubiona i zmieszana. Miała jakiś cień uśmiechu na twarzy, ale nasze oczy już więcej się nie spotkały. Zginęła gdzieś poza brudnym okapem siedzenia.

Miałem miejsce w parszywie roztrzęsionym ognie samolotu i obserwowałem srebrne iglice wieżowców w City. Domy uparcie opierały się o ołowiane niebo. Malowały, kiedy maszyna ociężała wspinała się na swój bezpieczny pułap lotu. Jeszcze przebłyskiwały refleksami szyb, gdy resztę rozciągniętych w nieskończoność dzielnic już dawno przykryła mgła oddalenia.

Mieliśmy swoją wysokość.

Samolot pochodził z jakiejś zapomnianej rodziny DC-10. Wiedziałem, że ta wibracja wcześniej czy później zaprowadzi mnie na krawędź przeciągłej sraczki. Silniki ryczały, podłoga drżała, a wraz z nią moje kolana i wspomnienia, w których to drzenie mnie w końcu zatopilo.

Odkąd pamiętam, moje życie na tym lądzie wypełniała fascynacja sztuką plemienną maski. Nie wszystkie okazy mnie interesowały. I nawet nie zawsze te najbardziej intrygujące wizualnie sprawiały mi przyjemność patrzenia. Główną rolę odgrywało coś jeszcze. Coś przedziwnie nieokreślonego, wstrząsające zimnem i jednocześnie wywołujące jakieś przyjemne mrowienie. Doznanie niemal o seksualnym podtekście.

W sztuce tkwiła, jak zwykle, przyczajona groza. Tajemne wzory posiadały...

Świadomość? Cała gorączka kolekcjonerska sporadycznie wybuchła i gasła.

Czym były maski? Według wierzeń Papuasów rodziły się z inspiracji wyobraźni, z rozdwojenia kreatywności jaźni. Były zatem tworem absolutnie duchowym, o własnej, niezależnej percepcji świata. Rodziły się w potrzebie zaistnienia i wpływania na losy żyjących ludzi. Dla Papuasów głowa była siedliskiem duszy i jako taka, nawet odcięta, spełniała funkcję opiekuńczego ducha. Zbyteczna więc była owa zniewalająca wiara w pomocne towarzystwo ubezpieczeniowe. Wystarczał prawidłowo odrąbany łeb wroga, umieszczony na wybornym kawałku bambusa, aby skutecznie chronić poletko, powiedzmy, bratków przed atakiem szarańczy, bądź znienawidzonych dzieci sąsiada.

Posiadałem w skromnej biblioteczce wszystkie opracowania zajmujące się szczegółowo badaniem sztuki plemienną Nowej Gwinei. Wybitnym dziełem było trójjęzyczne opracowanie wydawnictwa Konemann – *Sztuka oceaniczna* Anthony'ego JP Meyera. Prawdziwa biblioteczka kolekcjonerska. Stamtąd czerpałem niezliczone chwile natchnienia i paranormalnego pouczenia.

Rok wcześniej nabyłem przedziwną maskę pochodzącą z nieprzebytego gąszczu tego lądu. Nie istniała żadna dotycząca jej informacja. Katalogi milczały. Zdobiące ją linie nie należały do żadnych znanych prądów artystycznych. A sama maska była szczególnie mała. Zaledwie zakrywała pół twarzy. W jakim celu ją wykonano? Do czego służyła? Czy noszeniu towarzyszyła jakaś pieśń? Czy magia słowa budziła kolory? Miałem takie, które reagowały. Kilka słów w narzeczu Asaru wyjaskrawiało, dodawało głębi i lśnienia! Ta zdawała się na swój sposób jałowa. Zagmatwana w wyrazie. Materiał przypominał wyschniętą skórę węża. I tak właśnie twierdził jej dawny właściciel – antykwariusz.

– Pierdolona żmija naciągnięta na bambusową ramę – warknął obojętnie.

Nie przekonało mnie to wyjaśnienie sprzedawcy. Przeszukałem Internet. Było kilka artefaktów o podobnym profilu artystycznym w Danii. Tam podobne tworzywo budziło podejrzenie, że skóra pochodzi z jakiegoś nieznanego praszczura. Sam pamiętam, że odnalezienie podobnego fragmentu w Ameryce Południowej swego czasu zrobiło furorę. Okazało się autentycznym okazem megafauny tego kontynentu. Tylko gigantyczny leniwiec posiadał tego typu gruzelkową skórę.

Niezmiernie podniecony odkryciem, za kilkaset marnych baksów poddałem to coś analizie genetycznej. Jakie było moje zdziwienie, gdy okazało się, że próbka posiadała odwrotną polaryzację białek kodu DNA.

Czyżby obcy? A może analityczna pomyłka? To ostatnie było całkiem prawdopodobne. Facet robiący analizy za flaszkę whisky zatańczyłby nago na środku Federation Square. Dodatkowo na oczekaniu zrobiłby z tej skórki fiuta aliena. Niektórym portfel zastępuje mózg. Nie wierzyłem w rezultaty ani trochę, a jednak... ciągnęło mnie do tego lądu jak cholera. Pragnąłem całą duszą tego spotkania trzeciego stopnia z kulturą tak archaiczną, że wręcz przerażającą.

## 2.

W samolocie podano niewielki posiłek, który wytrącił mnie z zamyślenia.

Jakiś niesforny żart z jedzenia umieszczony w kartonowym głównie, pośpiesznie okraszony standardowym uśmiechem stewardesy. Zerknąłem przez okno. Ciągle jeszcze australijski kontynent.

Ta ziemia trwała w oczekiwaniu na jakąś inną, bardziej przychylną epokę geologiczną. Niewielkie rozbłyski wodnych tafli wyglądały tu jak pośpiesznie zagrabione diamenty, w panice roztrzęsione przez złodzieja w gigantycznej twarzy przerdzewiałej skały. Długie godziny lotu zepchnęły wreszcie ten upieczony do szaleństwa kontynent poza horyzont. Krajobraz orzeźwiła błękitnolazurowa wstęga oceanu. Rify koralowe i wtopione w nie wyspy.

Wreszcie Port Moresby. Mały, zatłoczony, wrzeszczący spocynym tłumem czarnuchów. Miał mnie stąd odebrać przyjaciel plantatora kawy. Pojawił się wreszcie, zziębnięty i spocony do granic ciekłej możliwości, dopiero po godzinie. Przepraszał namolnie. Miał kłopoty z realizacją czeków w banku. Ale przywiózł ze sobą niewielki kawałek tej rybiej skóry i krótki list polecający.

Właśnie tego szukałem. To był nowy trop i prowadził do ludów Ramu.

Nasz samochód w końcu potoczył się wąskimi uliczkami. Wkrótce mknęliśmy pośród pól całkiem niezłą drogą w kierunku Borea, gdzie przyjaciel miał dom i stojący na froncie samolot-awionetkę. Samolot był w komplecie z czarnym, usłużnym pilotem. Po lunchu, zakrapianym przywiezioną w prezencie Wyborową wódką, wrzucił moją walizkę na siedzenie i kazał usadowić się wygodnie na pozostałych kilku centymetrach.

Jakoś najtrudniej przyszło mi zmieścić się w zaduchu kabiny.

Lot nie należał do przyjemnych, ale był najtańszym i najbezpieczniejszym sposobem dotarcia do stolicy prowincji Madang, stamtąd udałem się zaś górniczym samochodem przez Bogia do Awaru.

Przewodnicy mieli poprowadzić mnie do wioski pomiędzy Muruken a Kwanga w dorzeczu Ramu, gdzie zdecydowałem się spędzić czas i doświadczyć gościnności ludu Ramu tuż przed końcem świata 2012 roku.

Dobrze opłaceni przewodnicy to tak zwani porterzy. Wspecjalizowani i doskonali w swojej profesji. Ci akurat nie prezentowali się okazale. Przez dobrą chwilę kłócili się, kto ma nieść mojego laptopa i stwierdzili, że dołączy do nas trzeci porter za sto dolarów ekstra. Młody chłopak o imieniu Mayolo. Był chorobliwie chudy, a jego głowa, będąc nedorzecznie wielką, ledwo utrzymywała się na wątlej szyi. Chłopak szedł czwarty, tuż za mną, kiedy wkroczyliśmy w pierwsze pasma dżungli.

Nieraz byłem już w tego typu lesie, ale jeszcze nigdy w tak wścieklej plątaninie zieleni jak ta. Woda i parne powietrze napierały na nas jak szkło.

Stopy wytaczały breję błota i martwych liści przy każdym stąpieniu. Gdyby jeszcze nie insekty... Ale było ich wszędzie zatrzesienie. Co ciekawe, w Australii nie wchodziły do nosa, a te tutaj wprost lubowały się we wtykaniu swych ciał w zasmarkaną głębię, drząc i wiercąc się szybkim ruchem w poszukiwaniu smakowitości.

Ścieżka zwężała się. Biegła teraz na szczyt lesistego wzgórza. Wkrótce pomknęła pomiędzy omszałymi głazami. Nieco dalej zamażała się, niemal ginąc w świeżych trawach. Raptem znów ostro zarysowana ciągnęła się pomiędzy palmami i leżącymi pniami spróchniałych drzew. Wszystko to było dla mnie nowe, ale jednocześnie czułem, że współgra z jakąś najgłębszą, dotąd ukrytą struną mojej duszy. Nastraja ją, rzeźbi na nowo, wygładza na niej zmarszczki i nagradza trudy.

W ciągu niespełna dwóch dni marszu pokonaliśmy dwadzieścia pięć kilometrów dżungli. Niezwykły wynik, muszę przyznać. Stanęliśmy u progu wioski późnym popołudniem. Oparliśmy bagaże o wielki pal, zwiastujący istnienie chaty gdzieś powyżej. W koronach palm czaił się już ponury mrok.

Akurat lunął rześisty, tropikalny deszcz i przez chwilę słychać

było tylko przewalające się krople. Szczeble drabiny były aż szkliste od nadmiaru wody.

Ledwie pierwszy porter wdrapał się na wysokość płaszczyzny podłogi, a już krzyknął przeraźliwie. Odskoczył. Wpadł na mnie i strącił z pierwszych szczebli wprost na moką ziemię. Wcale nie patrząc, pobiegł w dżunglę, wrzeszcząc niezrozumiałe komendy do reszty. Mój laptop pomknął wraz z chłopcem, a złośliwie kopnięta walizka wysypała swą zawartość wprost do kałuży pełnej błota. Ręce mi opadły. Przecież jeszcze chwila i tragarze zginą w dżungli, a deszcz zamaze w błocie ślady. Stałem przez chwilę, nie widząc, co zrobić. Dręczyło mnie pytanie. Co ten kretyń tam zobaczył? Wspiąłem się ostrożnie po drabinie i w niekończącym się poszumie deszczu zajrzałem do wnętrza chaty.

Panował tu półmrok. Ulewa szeleściła na słomianym dachu. Spływające chaotycznie krople pluskały na kałużach poniżej. Wzrok przyzwyczajał się.

Zobaczyłem bezgłowe trupy leżące w całym tym pomieszczeniu jak wielkie, napuchnięte poduchy. Szyje były już dawno wyschnięte. Krew stężała w czarne, złowieszcze plamy.

Nieruchomość ciał i ruchliwość deszczu mnie już nie przerażały.

Ogarnęły mnie obojętność i spokój. Przemierzyłem wszystkie siedem chat i wszędzie napotkałem ten sam widok. Dzieci miały dodatkowo wyrwane ręce. To wzbudziło moją nienawiść do tych istot z głębi nieprzebytego lasu.

Las był strażnikiem ich porządku, wiecznego obrzędu, usprawiedliwienia czynu, wzniesienia i narodzin barbarzyńskiego gniewu.

W naszym świecie prawo, sprawiedliwość, kordony policji, mury więzień.

W ich przypadku las deszczowy, jako jedyny oskarżyciel i obrońca. Tam ukrywali swoje troski, ból i samotność. On wyznaczał im kary za zbrodnie, których nie było, bo istniał las. Las wiecznie wydzierający życie wszystkiemu, co żywe, i oddający zgromadzony skarb temu wszystkiemu, co tak niecierpliwie oczekuje ponownego ożywie-

nia.

W końcu pobiegłem za moimi porterami w dżungłę, próbując pośpiesznie zamknąć zabłoconą walizkę. Zupełnie mokry w strugach deszczu, nie miałem pojęcia, czego jest więcej w tej przejmującej wilgoci: obcej wody czy swojego potu.

W dżungli nie było już żadnych śladów po moich tragarzach. Tylko rozrzucone w jakimś szalonym bezładzie puzzle wprasowanych w błoto liści, patyków i kamieni. Kiedy trącałem gałęzie, wybuchały chmurą złośliwych insektów. Jakaś roślina poszarpała mi skórę. Nie widziałem kolców, ale czułem, że mają się dobrze głęboko pod skórą, rozpalając ogień piekącego bólu. Biegłem i przystawałem, nasłuchując. Walizka ciążyła mi jak głaz. Deszcz zamienił się w rozszalałą ulewę. Strącał lawiny liści. Gdzieś wysoko w górze wiatr szarpał korony drzew. Ptaki umykały w popłochu, milczące i głuche.

Dałem spokój tej bezsensownej pogoni... Usiadłem na walizce. Droga wydawała się ślepa we wszystkich kierunkach. Pod stopami czułem coraz bardziej miękącą ziemię, jakby chciała mnie wchłonąć, rozpoczynając trawienie od rozmoczonych już spodów butów. Ziemiasta masa była wewnątrz gęsta od świeżych korzeni i dopiero co zagrzebanych pnączy. Przypominała tkankę pełną nerwów i soczystych żył. Nie było w niej już miejsca na wetknięcie świeżego trupa. Mogłem co najwyżej położyć się na powierzchni i wniknąć w nią jakiś czas później jedynie soczystościami wnętrza, pozostawiając wysuszone truchło kości na pastwę owadów i wiatru.

Nie widziałem drogi ucieczki. Zdawałem sobie sprawę, że wioska będąca w pobliżu nosi niewidzialne piętno zagłady, że to coś powróci i upomni się o wciąż żywych. Z drugiej strony las proponował perspektywę tułaczkiej śmierci.

I to wybrałem, gdy w końcu przebrzmiał werbel deszczu. Ruszyłem pomiędzy drzewa, goniąc umykający szelest kropel. Walizka już teraz nie przedstawiała żadnej wartości. Wczoraj zjadłem ostatni kawałek sera, a torebki cukru z restauracji McDonald's w Port Moresby upchałem po kieszeniach spodni.

Było tu całe mnóstwo palm. Prześcigały się w drodze do światła. Gigantyczne figowce oplatały każdy napotkany przedmiot. Obojętne czy była to skała, obce drzewo, czy żywy człowiek. Przypuszczam, że gdybym zatrzymał się na dostatecznie długo, jakiś figowiec oplótłby mnie na swym szorstkim i seksownym korzeniu...

Droga wiła się w dół. Napotykałem strumienie, ale woda cuchnęła gliną. Wolałem spijać pozostałości deszczu z szerokich liści filodendronów.

Prawdziwy głód dał mi się we znaki dopiero późnym popołudniem. Nie znalazłem nic, czym mógłbym go zaspokoić.

Wieczorem dotarłem do pierwszych wzgórz. Ale wzniesienia były inne niż te, które mijaliśmy z tragarzami. Szczyty wypełniały omszałe głazy, połamane drzewa, kłębiące się liany i rzędy świeżo w nie wetkniętych młodych palm. Tam nocowałem. Pierwsza prawdziwie samotna noc na mojej wyspie marzeń. Jakby los postanowił mnie tu zaciągnąć tajemniczą siłą i uśmiercić dla zwykłego kaprysu.

Noc nie przyoblekła szaty z gwiazd dla nieproszonego gościa. Nadeszła uzbrojona w kłębiastą zbroję chmur. Upuściła delikatną mżawkę, która nie wybudzała ze snu życia, tylko zachęcała do nękania owady. Całymi chmarami lepiły się do mojej twarzy, ramion i nóg. Rankiem byłem czerwony od ukąszeń jak najwspanialszy wschód słońca. Uciekałem od tego miejsca do późnego popołudnia. Zauważyłem też pijawki na skórze. Były wszędzie.

Odrywałem je z obrzydzeniem. Barbarzyńskie stworzenia pozostawiały niegojące się rany. Pod wieczór odnalazłem zupełnie przypadkiem roślinę, której liście przytknięte do skaleczenia przynosiły krótkotrwałą ulgę.

Wieczorem znów wypełniały tłumnie moją skórę. Łydki były naprawdę biedne. Wątpiłem, czy została tam kropla krwi. Wtedy odkryłem nowe przeznaczenie pijawek. Kiedy głód stał się problemem nie do zniesienia, ostrożnie rozgryzałem je w ustach i szybko połykałem, kiedy umierały w konwulsjach.

Owszem, czułem posmak krwi, ale to była w końcu moja własna,



swojska krew. Stanowiłem niezłą przynętę. Zebrałem dobre dziesięć dekagramów przysmaku. Miały gorzki, kwaskowaty smak. Wtedy przypomniałem sobie o torebkach cukru z McDonald's i postanowiłem osłodzić sobie resztę kolacji. Był to pierwszy posiłek od dwóch dni zjedzony w tym piekielnym lesie.

Czas odmierzał deszcz. Był dokładny jak zegarek. Noce spędzałem na omszałych głazach. Dni w podobnych do siebie wąwozach. Powoli zatraciłem poczucie rzeczywistości. Buty zamieniły się w kule zaschniętego błota. Nogi piekły od zadrapań, wolno zamieniających się w przewlekłe zainfekowane rany. Pozostałem już tylko w swojej ulubionej podkoszulce i szortach. Kapelusz mokry od potu i ciężki od soli już tylko mi przeszkadzał.

Miałem wszystkiego dość. Drzewa wydawały się wszystkie takie same.

Ścieżki wiły się w dal jak labirynt wiecznej zasadzki. Jadłem jakieś grzyby, żułem orzeszki, próbowałem owoców podobnych do wielkich jagód.

Pragnąłem już tylko przerwać jak najszybciej to zjawisko zwane życiem.

Siła, która mnie tu przyniosła, była niewątpliwie szaleństwem i obłąkaniem mojego umysłu. Nie istniało sensowne wytłumaczenie nieracjonalnego zachowania. Maską? Teraz pragnąłem tylko od tego lasu śmierci. Pragnąłem, aby stał się wyrocznią i mądrym do niej przewodnikiem.

### 3.

Naprawdę pożerane owoce mnie jednak nie zabiły. Wyostrzyły mi tylko zmysły, naćpały mnie jakąś niebywałą wrażliwością. Nieoczekiwanie doznałem krótkotrwałego olśnienia. Ptaki ponad moją głowę nie nawoływały się tak bezmyślnie i jałowo jak dotąd myślałem. Wydawały dźwięki zachęty do magicznie natchnionego tańca. Wybijały

rytm dla nóg, dla moich nieustających kroków w błocie i mazi z liści. Usłyszałem tę nagłą, wybuchającą wzniosłymi tonami muzykę, która wypełniła mnie nadzieją na zmianę. Ucieszyłem się i wkrótce zatańczyłem. Nagle objawiły mi się wszystkie ścieżki i kierunki, i cele. Wszystkie najbliższe wioski i te najdalsze.

Poczułem zapach oceanu zaledwie o setkę kilometrów przed sobą i runąłem kolanami w błoto. Zadyszany tańcem, chichoczący. Potem zawstydzony... Niespodziewanie upadłem na wznak. Tak trwałem godzinami, poruszając ramionami jak zbłądzony pływak. Maż przepływała ponad ręką ciepłą falą.

Nagle zauważyłem pochylającą się postać. Twarz miała zamazaną i starą jak kora drzewa. Bezzębne, głębokie w rozwarciu usta. Oczy przymrużone i mocno zapadnięte w czaszkę. Zamknąłem powieki, kiedy poczułem ręce tego człowieka zaciskające się na moim gardle. Wahał się.

„No dalej”, myślałem. Przyduszał delikatnie i puszczał, jakby z szyi wyrabiał ciasto. Znow spróbował. O ile dotąd miałem jakieś mętne pojęcie o rzeczywistości, to teraz straciłem przytomność na dobre.

Budziłem się kilkanaście razy. Zawsze w jakimś duszącym dymie. Były to wnętrza chat. Możliwe, że tylko różne jej pokoje, ale odnosiłem nieprzeparte wrażenie, że były to odrębne chaty. Małe, większe, czasem zwykłe szałaszy.

Ludzie wpatrywali się we mnie osłupiali, z nedorzecznym zachwytem, a czasem z wręcz bogobojnym lękiem. Były to wszystkie wioski, które znałem z mapy i też te, których na mapie nie było. Skąd wiedziałem? Hm... Śniłem? Pewnego dnia znalazłem się w duszącym dymie sam. Panująca cisza mnie zaszokowała, ale nie przejęła lękiem. Czekałem. Czuję, że coś nastąpi. Po godzinie dostrzegłem rysy znajomej twarzy. Ten człowiek zdawał się być wyciosany w grubej warstwie niezmiernie starego drzewa. Niezwykła chudość tworzyła wizję nieregularnego w zarysie ciała. Kości miał chaotycznie i bez sensu wystające. Z zapachu starzec przypominał stare, wilgotne książki na półkach mojego domowego stryszku. Mrużył oczy. Sapał. Kasłał

przeciągle i ciężko. Poruszał się momentami jak ślepiec, dorzucając pachnących ziół do palącego się ogniska, ale jednocześnie jego kroki posiadały wiele magicznej precyzji. Po zastanowieniu doszedłem do wniosku, że pełen był tych wizualnych sprzeczności i niezgody z jakiegoś ważnego powodu. Trwało misterium... Mamrotał chłopięcym głosem i chrząkał jak starzec. Wyśpiewał jakiś fragment pieśni głosem młodej indonezyjskiej praczki, by po chwili zaklinać w dymie ogniska tonem zatrutej fanatyczną gorączką wiedźmy.

Znów milczał i kołysał się na skrzyżowanych nogach. Zatrząsał się w malarycznym jasnovidzeniu i... Nagle spostrzegł mnie. Jego usta drgnęły i wydały ciche cmoknięcia. To były krótkie wyrazy języka ludu Ramu.

„Mój Boże, co się ze mną dzieje?”, pomyślałem z dzikim przestraszeniem.

Nie rozumiałem ani słowa!

Obudziłem się innego dnia. Dym niósł z sobą ostry zapach palonej ptasiej skóry. Gryzł w oczy. Budził odruch kaszlu i wymiotów, wyostrzał percepcję niemal do granic ostrego bólu. Wtedy poczułem... Ją! Miałem na sobie jakąś przedziwną suknię. Chyba żywą! Co ja mówię? Żywą? Przypomniała mi dziecięcą zabawę w ducha z długim prześcieradłem narzuconym na głowę. Tym razem wszystko doskonale widziałem, jakby tkanina przyrosła do czaszki albo zabrakło jej w miejscu głowy! Czyżby zaszleściła zaintrygowana? Spała setki lat. Zesztywniała nieco i wyschła od tego leżenia, ale na powrót wracała do pełni życia.

Starzec mówił do mnie.

Ignorowałem jego wołanie. Zatańczyłem w tej ciężkiej szacie zupełnie pozbawiony poczucia rzeczywistości. Tkanina przypominała śliską i lepłą skórę ryby. Tę samą, z której wyprodukowano moją miniaturową maskę.

Nagle poczułem, jak moje wirujące nogi zdrętwiały i, na Boga, odpadły z przedziwnym, długim stukiem kolan o drewniane bale podłogi. Słowa starca brzmiały teraz jak magiczne wezwania. Pętały mnie!

Osaczały. Może po prostu śniłem? Starzec śpiewał. Płomień ogniska lizał mu brzuch, niemal opalał nagie przyrodzenie, łasząc się do brudnych kolan. Nagle krzyknął, a mi odpadły wirujące ręce, zapadły się piersi i ciało pozostało w jednym momencie bez oddechu. To był krytyczny moment. Poczulem odkręcającą się szyję i usłyszałem głuchy łoskot padającego ciała. Rozpadło się jak części plastikowej lalki.

W sumie było to bez znaczenia. Ciągłe wirowałem w tańcu. Czułem się wyzwolony, radosny i lekki. Suknia była teraz wszystkim. To ona pozwalała na tę szaloną, swobodną lewitację.

– Janie? Ktoś wołał mnie po imieniu? Któż mógł mnie tu znać? – Janie? – pytał powtórnie zwiędły, aczkolwiek uroczystym tonem.

– Tak, słucham cię – odpowiedziałem niechętnie, bo już grała we mnie inna, nowa nuta. Samo powietrze poniosło mnie tam, gdzie naprawdę chciałem pójść. Stanowiliśmy nierozzerwalną, wyzwoloną całość. Co z tego, że stary mnie znał? Odnalazł mnie i wykradł ze społeczeństwa materialistycznego, zaszczutego konformizmem i wieczną pogonią za ulotnym poczuciem doskonałości? Wszył w materię duchowości wszechświata Papuasów, napoił ich dosłownym postrzeganiem świata i szukał wdzięczności w formie mojej bezkrytycznej uległości?

– Masz w sobie tę potencję, której oni poszukują od wieków – mówił starzec. – Głowa normalnego człowieka potrafi uwięzić duszę tylko na krótki okres życia. Ty, wypełniony tym wyjątkowym dualizmem osoby chorej psychicznie, posiadasz pełnię płaszczyzn odrębnych rzeczywistości, czego obcy właśnie poszukują.

– Dlaczego nie ruszasz ustami, kiedy mówisz? – zapytałem zaintrygowany zaciętą nieruchomością jego warg.

– A skąd wiesz, że ty ruszasz ustami? – Wiem, bo mówię.

– Wiesz, że ja cię słyszę.

– A więc to nie jest rozmowa? – To jest rozmowa.

Nic z tego nie rozumiałem.

– Wiesz, gdzie jesteśmy? – zapytał ponownie starzec.

Rozejrzałem się uważnie.

– To jest pojedyncza, długa chata. Widzę setki masek opartych o ściany.

Niektóre z nich wypełniają duchy zmarłych, inne zawierają zasoby niespożytej nienawiści. To demony. Są jeszcze puste maski. Te są najpiękniejsze. – Odwróciłem się w przeciwległą stronę. Ruchowi towarzyszył delikatny dźwięk dzwoneczków. – Widzę półki z głowami przodków, z głowami naszych najwspanialszych wrogów, z ornamentami uroczystości i chwały. Tam mieszczą się totemy klanów i taborety dla słuchających chłopców. Widzę rzeźbione pale i broń. Czuję w tym ducha Yiamin i Ramu. To jest uświęcony dom mężczyzn – zakończyłem opis.

Starzec kiwnął głową z uznaniem.

– Dobrze. Po to cię tu sprowadziłem. Zabrało mi to wiele lat poszukiwań.

Tysiące snów wysyłanych do podświadomości setek tysięcy ludzi i miliony szepczących zachęć.

– Wezwałś? Po co? – zapytałem, ciągle wirując w coraz powolniejszym tańcu. Za każdym obrotem omiatałem wzrokiem to zadymione pomieszczenie. Przez krótkie chwile widziałem moje leżące ciało. Pozbawione rąk i nóg, przypominało gigantyczną porcję związanego sznurami żeber baleronu. Było dla mnie obce i teraz, i wtedy, gdy mogłem nim w dobrej wierze kierować.

Ale serio... Naprawdę wierzycie, że udaje wam się każdego dnia precyzyjnie kierować tym biologicznym złodem? Przecież jest niedokładne.

Złośliwie przekomarza się z poleceniami ducha jak tani, chiński zegarek.

Dlatego, wierzcie mi, obojętny był mi jego widok. No, hm... Miałem patrzeć na proces owej, prowadzonej z dokładnością do jednej molekuly, dekompozycji organizmu? I może jeszcze go żałować? W odpowiedzi na moje pytanie starzec dźwignął się ociężale. Podeszedł do skalistej ściany, o jaką opierała się cała konstrukcja chaty, i nie wiadomo jak spowodował, że zamieniła się w tafłę precyzyjnego lustera.

Oniemiałem z zachwytu, widząc siebie rozigranego w ferii tajemniczych ogni.

– Podoba ci się? – spytał.

No i do dziś nie wiem, dlaczego pytał. Przecież widział mój bezgraniczny, milczący podziw.

– To nie jest maska. To nie jest nawet suknia. To nie demon, którego zapewne się spodziewasz... To Eleonorianin – odpowiedział.

#### 4.

Co za głupie pierdolenie?! Przecież ja już od pierwszego rozwianego w tańcu rąbka tej rybiej skóry, od chwili, gdy tak dziwnie stanęła moja noga, wiedziałem o tej istocie. Kiedy odpadły stopy i łydki, i kolana, poczułem, że pozbyłem się czegoś prawdziwie zbytecznego! Jakbym odrzucił kule! Wyzbył się kalectwa i podeptał nędzne, przyziemne człowieczeństwo.

A sama suknia? Tak, dobrze pamiętam to nagłe stwardnienie wokół mej szyi, przypominające w ruchach ciepłe i wilgotne ruchy brzytwy.

Patrzyłem w lustro ciągle urzeczony pulsującymi kolorami. Moja głowa była gdzieś wewnątrz pięknego latawca z długimi mackami aż do ziemi.

Nawet koniuszkami jej nie dotykał, a sunął w powietrzu wspaniale zbalansowany. Jakże zachwycające monstrum! Lustro nagle obrzmiało. Zagotowało się wewnątrz, zabulgotało i wylało się z ramy srebrną ciecżą. Tak naprawdę było wejściem do pierwszej komory statku kosmicznego. Nieco dalej, w długim korytarzu, wisiał cały rząd tych przedziwnych ubrań, kombinezonów, sukni. Nie wiem, jakbyście chcieli, żebym je nazwał. Grunt, że wszystkie były olśniewająco piękne. Nie, nie! To nie był salon Dotti, gdzie zwykle moja córka traciła głowę. Te suknie, jak prawidłowo przeczuwałem, były uśpionymi Eleonorianami. Czekały na taki zakuty łeb, podobny do mojego, żeby

wczepić się w demona duszy i móc żyć na nim jak pasożyt. Bez tego, przepraszam bardzo, ale, kurwa, nie istniały...

Dlaczego mnie to tak poirytowało? Bo wyobraźcie sobie technologicznie wysoko stojącą rasę, która jest zdolna do podróży międzygwiazdnej, a jest uzależniona od organizmu, na którym pasożytuje i, co gorsza, nie potrafi odnaleźć takiego organizmu z całego dostępnego wachlarza życia na Ziemi. Dopiero później dowiedziałem się, że to wina przekonań filozoficznych i wpojonej wiary o dobrowolności. Ja się, do pizdy pańskiej, pytam! Kto mnie pytał o zdanie? Jaka wolność wyboru została mi zaprezentowana? Nagle zdałem sobie sprawę, że rozmawiamy. Boże! To był pierwszy kontakt z obcą cywilizacją! Ja tu byłem ambasadorem Ludzkości! To nic, że oderwali mi głowę od tułowia, że siedzieli na mnie jak na ośle. Miałem kontakt z Nimi! Psia-krew, kto by pomyślał, że będą w formie sukienki i będą szukać niszy ekologicznej, w tym przypadku bagna o rozmiarach sto na sto kilometrów. My, ludzie biali, zamieniamy całą planetę w gigantyczną niszę ekologiczną. Bez pardonu niszczymy objawy życia innego niż nasze.

Wynajdujemy miliony usprawiedliwień. Nawet do sracza wlewamy mordercze środki bakteriobójcze. Niech w imię higieny popłyną do morza i wykastrują mikroorganizmy z reprodukcyjnej potencji, płynąc na czubku naszej śmierdzącej kupy.

Świat, z którego przybyli obcy, był, owszem, zatłoczony. Dwie pełne galaktyki. Ale nie! Oni nie znali słowa „inwazja”. Inwazja może wystąpić na głupawym filmie science fiction, bo przecież walka o swoją niszę ekologiczną nie oznacza zburzenia zastanego porządku świata. Planeta poddana procesowi terraformacji w przypadku tych istot nie wchodziła w grę.

Potrzebowali bagna i niekoniecznie miało ono obejmować cały glob. Po prostu potrafili się dzielić i nie mieli tego chamskiego, wrodzonego pędu do zasiedlenia swoją jedynie słuszną formą życia wszystkich możliwych dziur w ekosystemie. Inwazja była nonsensem. Ich statek był przeniesieniem, niszą ekologiczną poszukującą wsparcia symbiozy. Tylko tyle i aż tyle. Patetycznie wzniosłe założenie.

## 5.

Budził się kolejny dzień w czerwieni. Im bardziej asymilował się we mnie mój towarzysz, tym bardziej korzystałem z jego zmysłów odczuwania. Zaznałem kolorów zmian prędkości biegu czasu. Dziwny zmysł. Jednak całkiem sensowny. W wyniku ruchu ciał niebieskich w obrębie naszego systemu słonecznego powstaje w przeciągu sekundy miliony, miliardy drobnych zakłóceń grawitacyjnych, nakładających się na otaczający świat jak warstwy farby.

Statek wyglądał dzisiaj jak ślimak przylepiony do skały. Z łatwością rozgraniczałem jego zamazane kontury, wchłaniałem barwy i dziwny zapach, jakby świeżo parzonej kawy. Na pewno nie była to kawa. Moja niczym nieograniczona percepcja poszukiwała środków odwołania, skali porównawczej bliskiej istocie ludzkiej. Ta feeria odczuć, przepełnienie bogactwem skali należały do percepcji obcego! Jakże byłem szczęśliwy...

Spacerowaliśmy po dżungli w towarzystwie setki dzieci. Eleonorianin wypluwał z ust z szybkością karabinu maszynowego swoją ślinę krystalizującą się w ostre igły szkła i ta zabijała przelatujące ptaki. Ziemię pokrywały poszarpane ptasie ciała, z których bezlitosna dziatwa wyrывała olśniewająco kolorowe pióra. Zabite zwierzęta wzbudziły mój żal. Szczególnie że darzyłem wielką sympatią żółtobrazowe kokomo. Wkrótce malcy biegali ogarnięci gorączką podobną do tej, jaka opanowała ich szalonych ojców. Ciała lśniły naoliwione potem. Przerazały dygotem. Wiły się, poplamione kredą i farbą. Wszystkich porwał dziękczynny taniec. Pieśni i krzyk pośród ptasiej krwawej czerwieni i jaskrawej żółci. Demon sunął pośród nich niczym mesjasz. Śmierć wydawała się poskromiona raz na zawsze.

Obcy magią, jakiej nie znał mój świat, starał się wyrwać mi duszę. Zagarnąć jaźń. Zgnieść objawy niezależnej woli. Podkupić swawolne instynkty. Dławiłem natręctwa jego myśli. Dusilem w za-



rodku i kiedy mnie przypadkiem przeraził, sam atakowałem. Wtedy milczał osaczony. Kurczył się w najdalszym kącie jaźni i mamrotał. Ośmielałem się wówczas i rewidowałem zasoby jego wspomnień, bo odsłaniał się w tej regresji myśli. Obnażał się głupio i długo pozostawał dziecinnie bezbronny. Intrygowała mnie jego rodzinna planeta. W końcu wydarłem z niego ten obraz. Wstrząsnął mną dogłębnie. Pochłonął niczym ciemny tunel. Nawet żałowałem tego doświadczenia, bo na długi czas ogarnął mnie przemożny strach i chłód, jakiego dotąd nie zaznałem w życiu.

Mgły i niekończące się mokradła, zatopione w ponurym półmroku.

Pasożytowali wszyscy na wszystkich. Zupełnie jak w naszym chrześcijańskim społeczeństwie. Ten jednak rodzaj pasożytnictwa duszy pozostawał dla mnie ciągle niezrozumiały. Brzydził mnie. Wiem, że my, tu na Ziemi, jesteśmy nieświadomymi organizmami symbiotycznymi. Naszym uznaniem o wyższości jaźni zaniedbujemy współżyjące miliony komórek ciała i miliardy współpracujących bakterii. To one decydują o naszym życiu. Jesteśmy im winni konsultacje w myśli o samobójstwie, w decyzji o wszelkiego typu zamroczeniach.

Mój obcy nazywał się Uoloyi.

– Duch, tłoczący się w jaźni twojej głowy, jest tworem perwersyjnie wirtualnym. Można na nim oprzeć budowlę eleonoriańskiej duszy jak na fundamencie szkieletu. Może więc działać kilka płaszczyzn świadomości jednocześnie. Wieloświadomość jest w naszym świecie najzupełniej normalna, ale zupełnie wyjątkowa w waszym. „Człowiek opętany” to tutaj określenie pejoratywne. Dwoistość istoty ludzkiej we współczesnym świecie chrześcijańskim jest potępiona. A skrajna, chemicznie wyzwolona inspiracja prowadzi do zagubienia i niezrozumiałego przerażenia.

Rozmawiał ze mną! Naprawdę fascynujące.

– To dlaczego musiałeś pozbawić mnie ciała? – Ja? Przecież to ty sam odrzuciłeś zbędne części.

Wiedziałem, że, kurwa, kłamie. Czulem to w jego skórze. Robił

to z jakichś pobudek cwaniackiego bezpieczeństwa. W sumie prosta reguła zagarnięcia i utrzymania za wszelką cenę. Poza tym uczynienie mnie całkowicie zależnym było mu na rękę. Czyżby Bóg, który ich stworzył, zapomniał zaopatrzyć ciało w duszę? Dlaczego potrzebowali takich jak ja, potrafiących wytrzymać tę dualizację osobowości bez konsekwencji immunologicznego odrzutu? Czy jestem dla nich programem operacyjnym? Jeśli tyle wiedzieli, czyż nie potrafili dokonać cudu samowystarczalności? Następnego poranek był różowy. Przypuszczałem, że to Mars zbliżył się do Ziemi na odległość pozwalającą wizualnie zaobserwować zmiany w czasoprzestrzeni. Sumujące się pola grawitacyjne obu planet spowalniały obowiązujący je czas.

Zadziwiające, że mogłem to precyzyjnie zaobserwować. Apogeum zjawiska zanurzyło dzień w ciemności głębokiego fioletu. Byłem podekscytowany.

Odnalazłem starca w domu mężczyzn. Jego usta zamieniły się w nowe światło w ruchome, czarne kreski. Nie witał mnie. Raczej mamrotał odpędzające zaklęcia. Jego oddech był nie mniej śmierdzący niż on sam. Zapomniałem wspomnieć, że miał na imię Imohtu. Tyle że równie dobrze potrafił zmieniać imiona jak czas kolory. Twierdził, że zmienione, utrzymują swoją wartość w krzywiznie czasoprzestrzeni. Skąd taki chudy Papuas mógł o tym wiedzieć? Czekałem. W nowej skórze byłem bardzo cierpliwy.

– Wyrosłeś – powiedział po tygodniu, patrząc na mnie z powierzchni odległej podłogi.

Rzeczywiście. Ledwo mieściłem się pod strzechą chaty. Zrobiłem się szerszy, płynniejszy w ruchach i trochę bardziej agresywny. Bił ze mnie żar jak z otwartego pieca, a on dygotał z zimna.

– Uoloyi chce pójść ze mną na rajd. Co to znaczy? – zapytałem.

Przecież wiedziałem... Szukałem usprawiedliwienia dla grzechu.

Znałem rajdy ludów Anga. Jeszcze przed drugą wojną światową spustoszyli w kanibalistycznej gorączce ogromne obszary południowo-zachodniej części wyspy. To tam powstały trzymetrowe maski o mocy przerastającej nasze wyobrażenie o magii. Zostały wściekle i

doszczętnie zniszczone przez ogarniętych paniką niemieckich misjonarzy. Nie po raz pierwszy zresztą.

Palili artefakty od pierwszego kroku na tej ziemi. Bożych adwokatów ogarnia strach na widok niczym nieograniczonej ekspresji artystycznego wyrazu.

Teraz wiedziałem, że źródłem ich przerażenia nie był artyzm prymitywnego ludu. Nie był nim również zmaterializowany szatan. Nic z tych religijnych bzdur. Był nim... obcy, w swej najczarniejszej, najbardziej przerażającej formie osaczającego duszę jestestwa. Czy było to nawiedzenie? – Posłuchaj. Musisz już dokonywać wyborów sam – przerwał moje rozmyślania starzec. – Istota jest świętym ucieleśnieniem naszych plemiennych marzeń o kontakcie z duchami praojców. W zamian pragnie rozbudzić resztę swego ludu. Może zamieszka z nami tutaj, na Ziemi, i nauczy nas szeroko patrzeć w zaświaty? Sam chciałbym uszczknąć nieco z tych mrocznych mocy.

Pomóż mu wybrać ofiary. Ludzie biali, dobrze wykształceni byliby idealni.

– Czy mam rozumieć, że ten rajd oznacza polowanie na głowy? Wiem, że moje słowa były pełne... entuzjazmu. Ale czułem się tak silny, ba, bezkarny, że mógłbym zrobić wszystko. Miałem za sobą dzikich, ten gigantyczny deszczowy las i przede wszystkim technologię voodoo obcych.

Gdybym mógł, to już zacierałbym ręce.

– Spokojnie. Wiem, co robię. – Też kłamałem. Jak mogłem wiedzieć? W życiu zabiłem parę kur, karpia i na pewno sporo much, ale nigdy nie zabiłem człowieka. A tutaj nie był potrzebny tylko bierny udział. Liczył się zamysł i wykonanie. Stary uśmiechał się z politowaniem. On już kochał mnie na swój papuaski sposób. No bo w końcu ilu znał podobnie jak ja jebniętych w naszym wyedukowanym na biało świecie? Droga przez dżunglę w wykonaniu eleonoriańskim była czystą przyjemnością. Ledwie muskałem grunt w locie. Wydawaliśmy z siebie głęboki, wyostrzony dźwięk instrumentu. Mógłbym porównać go do pisków fletu. Towarzyszyły nam akordy muzycznego podkładu,

kwilenia i harmonijne pohukiwania zwierząt i roślin. Falowanie głosów, dotąd jednostajne i nużące, zamieniło się nagle w ekscytujące i porywające. Braлиśmy udział w tej kakofonii dźwięków. Ogarnął mnie trans i euforia. Chciałem zawisnąć w tym locie na wieki.

Las gęstniał. Młode palmy niemal stykały się ze sobą. Przemknęliśmy przez nie jak przez kordon z papieru. Szybko i z dzikim szelestem przerwaliśmy bariery trawy i giętkich trzcin. Mknęliśmy jak spiętrzona fala błyskawic. Splątane liany, powalone drzewa, omszałe głazy i nieprzeliczone, rozszerzające się strumyki były jakby klawiszami fortepianu, które muskałem rąbkiem sukni, by wydobyć subtelną różnicę dźwięków.

Dostrzegłem drogę biegnącą równoległe do krawędzi lasu. Drobiniki szarego kurzu już były obecne w błyskotliwych migotach słońca. Nie padało od kilku dni. To niezwykle na tym obszarze.

Wpadliśmy na szosę dokładnie w tym samym momencie, kiedy pojawił się na niej terenowy Nissan. Zapach przeciążonej klimatyzacji i smród rozgrzanego oleju były szokującym zestawem po miesiącu przebywania tylko pośród roślin. Jednym skokiem wystrzeliliśmy nasze ciała w powietrze.

Czułem się jak przelatujący na spowolnionym filmie zwierz. Odczuwałem cierpkość smaku, kiedy mój obcy formował w płytkich ustach język w kształt lejka. Doznawałem dreszczy podniecenia, kiedy toksyczna, żrąca substancja raz po raz wypełniała tę przestrzeń.

W oczy uderzył nowy obraz. Rozbłysk szyby widziany pod ostrym kątem.

Wykrzywiona przerażeniem twarz kierowcy i ślina z mojej perspektywy.

Poleciała jak strzałka z bawełnianym łebkiem. Nawet usłyszałem dźwięk podobny do odgłosu bambusowej dmuchawki. Jad skrytyzował się w powietrzu do twardości diamentu. Z łatwością przebił szybę i wgryzł się w ludzkie czoło. Tam błyskawicznie przeobraził się ze szkła w mieszającą się w krwioobieg truczynę. Mężczyzna tężał w paraliżu. Sztywniał jak ptasie truchło.

A mój obcy, przelatując obok kierowcy, zręcznym ruchem otworzył drzwi.

Sprawnie poderwał ciało i niezwykle sprytnie wyłuskał je z wnętrza, zanim rozpędzona maszyna z hukiem uderzyła w przydrożny martwy pień drzewa.

## 6.

Imohtu zajął się ciałem australijskiego inżyniera bardzo pieczołowicie.

Z uwagą obserwowałem, jak dokładnie zaszywa usta starymi niciami, wydłubuje oczy dziwną łyżką, zastępując je drobnymi muszelkami. Jak wciska głęboko w nos wygładzone kamyki, a uszy napełnia woskiem. Najdziwniejsze, że człowiek ten nagle powstał i począł ostrożnie się przechadzać.

Szedł wzdłuż chaty w dymie wieczornego ogniska. Mruczał coś do siebie.

Klął pod nosem. Ale dźwięk wydobywał się z jego brzucha i brzmiał jak szelest garści żwiru wrzuconego do wnętrza wirującego bębna pralki. Musiał być rzeczywiście poirytowany tą sytuacją. Biedak nie zdawał sobie jeszcze sprawy z doniosłości pierwszego, dobrze udokumentowanego kontaktu z obcymi.

Imohtu chwycił go w ostatniej chwili na krawędzi kończącej się podłogi.

Frankenstein był niczym w porównaniu z tą poczwarą. Z oczu i ust wyciekały stróżki krwi. Sklejone włosy pełne były mrówek, a skórę ramion pokrywały magiczne nacięcia papuaskiego noża.

Imohtu bardzo uroczyście zaprowadził go do skalnej ściany. Z sykiem otworzył się lustrzany właz. Starzec długo szukał pośród specjalnych wieszaków pierwszej komory statku. W końcu wybrał. Suknia spadła nazbyt nieoczekiwanie na zaskoczonego inżyniera. Całym ciałem wstrząsnęły drgawki, a wzdłuż prawej nogi potoczyła się kropla

popuszczanego moczu.

Co stało się powodem mojego wściekłego wybuchu gniewu? Nie to, że nowy Eleonorianin miał piękniejsze wzory na ciele. Nawet nie to, że posiadał dwie pary cudownych, niemalże kobiecych oczu, z których biła cierpliwość i rozwaga. Przebaczyłbym i zapomniał. Ale ten inżynierjny głąb dalej spokojnie chodził! Korzystał z dobrodziejstw pełni cielesności! Pozostał zniekształconym, ale ciągle kompletnym człowiekiem! Dlaczego tak szybko zrezygnowałem z ciała? Jaka siła, do kurwy nędzy, zmusiła mnie do poświęcenia własnego życia dla dobra tego kontaktu? Nie mogłem uwierzyć we własną głupotę. Patrzyłem i życzyłem mu, żeby pod wpływem natchnienia odrzucił kończyny z tą samą łatwością, z jaką zdejmuje się buty.

Albo żeby zagarnęła nim myśl o zbyteczności cielesnej skorupy! Niechby tułów stał się ciężarem nie do udźwignięcia! Próżne zaklęcia. Nic się nie wydarzyło. Inżynier dalej ze stoickim spokojem paradował w tym, zapewne nie w pełni szczęśliwym, eleonoriańskim płaszczu.

Wieczorem Imohtu zwołał starszyzny plemienne siedemnastu wiosek dorzecza Ramu. Wywlekli z podziemia chaty maski, o jakich nie śniło się światu. To one sprawiły, że zwątpiłem w rzeczywistość. Maski nie były wystrugane w pradawnym drewnie. Były na wpół materialne, jakby wyryte z galarety o twardości górskiego kryształu. Fizjonomie podlegały ciągłej zmianie. Usta drżały, oczy pokrywały ruchome powieki, nos wydmuchiwał dziwną mgłę czy gaz. Może dlatego pachniały słodkim kadzidłem.

Dotknięte, ożywały na moment i wtedy inicjowały zwrotki krótkiej pieśni.

Gromada dzieci, stojąca u podnóża chaty, chórem kontynuowała melodię.

Śpiewali do ułaskawionej śmierci. Brzmiało to jak miłe Bogu modły.

Stałem z inżynierem najbliżej starca. Kiedy mówił, wyglądał na wykręconego, jakby stanowił jedność z szarym dymem ogniska.

– Tysiące lat temu, jeszcze zanim krokodyl Nuga nadał imię

człowiekowi i wysłał go na stały ląd, niebo posiało setki gwiazdnych ziaren. Wielu użyli praojcowie. Nieliczne pozostałe ciągle tkwią zagrzebane w bagnach Asmatu. Oczekują przebudzenia, jakie może im dać tylko martwy człowiek.

W wioskach ludu Ramu oczekiwanie dobiegło końca. Demony szczęśliwie zamieszkały pośród nas.

Mieszkańcy zawtórowali mu jednogłośnie rykiem. Patrzyli na nas wzrokiem pełnym miłości i podziwu.

– W naszym lesie nie ma organizmów, z którymi obcy mogliby przejść w fazę asymilacji. Pozostaje człowiek i limitacja jego percepcji. Już wcześniej ludy Asaru, Bogia i Sylarii wydobywały ziarna z błota. Wykorzystując moce magii najstarszych klanów, otwierały włazy i rabowały zawartość. Od setek lat egzozskielety obcych służą nam przy krwawych mordach. Zawsze niosą sprawiedliwy wyrok w plemiennych waśniach. Są najcenniejszą monetą w przetargach o granice wpływów. Biali nie mają zielonego pojęcia o prawdziwych źródłach kanibalizmu. Przejęcie ducha miałyby być zrozumiałe dla tych, którzy nigdy nie oderwali się od wyłącznie materialnej konsumpcji dóbr tego świata? Imohtu mówił dalej przez godzinę. Ja nie mogłem tego słuchać. Po pierwsze, to jakaś degradacja wizji. Jak to? Wysoko rozwinięta cywilizacja chce skolonizować sto kilometrów ziemskiego bagna? Co za głupota? Każdy kraj arabski za ich technologie udostępniłby im tysiące kilometrów pustyni. Bez mrugnięcia okiem zamieniłby je w dobrze prosperujące bagno.

A zresztą oni... Dlaczego potrzebują błota? Powinni już dawno odnaleźć odpowiedź na proste pytania. Nie wiem, może farmakologia, aromaterapia, hipnoza – żeby pozbyć się odwiecznej chłycy do taplania w błocie i dokonać wreszcie inwazji jak się patrzy na suche lądy jakiejś planety.

Inwazja na San Francisco?! Już widzę zakamuflowane w rzędach ciuchów renomowanych galerii sklepowych eleonoriańskie suknie. Słyszę ten wrzask w przebieralniach i widzę te porzucone odnóża młodych dziewcząt. Może dresiarnia Wall Street albo przebieralnia

Katedry Świętego Piotra na wzgórzu watykańskim? To rozumiem. Ale tu, wpaść na zależność od ludu dotkniętego obsesją śmierci? Na celebrantów cielesnej martyrologii? Inwazja wioski zdrowo pojebanych Papuasów? Jaki kontrast w zestawieniu dwóch kosmicznych kultur? Ujrzałem oczyma wyobraźni ludzi z planety Ziemia biegających po lesie z piórami rajskiego ptaka wepchanymi w każdy zakamarek głupiego łba. Dmuchawy, oszczepy? Krew? Strzępy porwanych ciał rozrzuconych pośród traw jak muchomory? Dlaczego automatycznie pilotowane statki wybrały tę planetę? Jak głupi był automatyzm zasiedlania? Następnego dnia spotkaliśmy się nieopodal rzeki w bitwie nie mającej precedensu w historii tego zakątka. Jak dowiedziałem się później, myliłem się w tej sprawie. Nie pierwszej i nie ostatniej z udziałem demonów z głębokiego wszechświata.

W dżungli rozstawiły się dwie potężne armie, wspierane eleonoriańskim sprzętem militarnym. Nigdy, nawet w najczarniejszych snach, nie wyobrażałem sobie walczących gigantycznych masek. Wyglądały jak samobieżne działa. Zniekształcały czasoprzestrzeń, wywracały las i pluły korzeniami zmieszanyymi z błotem i ludźmi.

Stałem wraz z australijskim inżynierem nieopodal gigantycznego figowca.

Wspierały nas tłumy szalonych wojowników, naćpanych po granice szerokich nosów. Rząd gwinejski dbał o młodzież w wioskach, wysyłając najzdolniejszych na australijskie uniwersytety. A oni powracali z wiedzą o tym, jak w warunkach dżungli wyprodukować alkohol bez udziału bezzębnej babci lub założyć poletko wiecznie zielonej marihuany. Teraz ten ogromny tłum, masa lśniących ciał, wył w gorączce walki. Długie strzały furkotały w powietrzu. Mój Eleonorianin wysyłał swoją zatrutą ślinę, a ja obserwowałem w milczeniu martwych wojów Asmatu, leżących we krwi wypływającej spod ich wspaniałych, błotnych masek. Cała wyspa oszalała. Ludzie na pewno chorowali tu psychicznie. Śmierć zanosila życie do innego świata. Jakże to podobne i chrześcijańsko żalosne. Ten brak szacunku i pogarda dla ciała.



W kanibalistycznym Asmacie panował cudowny obyczaj nadawania imienia po zmarłym. Należało imię ukraść, najlepiej wrogowi. Wydrzeć wraz z życiem i samym gardłem. Przyswajając imię, zagarniało się i duszę. Imię, dla nas również, jest przecież zaklęciem mocy? A sama śmierć? Z tym wiąże się interesująca legenda. W mitologii gwinejskiej pewnego dnia nieśmiertelny człowiek wyrzeźbił drewniane figury.

Papuasi wierzą, że inspiracja pochodzi od ducha, który z zaświatów dopomina się o zaistnienie. Tak było i teraz. Nocą w rzeźbach rozbudził się złośliwy prabyt. Zamienił drewno w gnijące trupy. Inspiracja była pretekstem. Poraziła nie tylko myślą, ale i rozkładem, samego artystę. Szybko umarł.

Zapach gnijącego ciała przeraził ludzi. Co więcej, demon rozsmakował się w cierpieniu innych i rozmnożył wśród dotąd nieśmiertelnych organizmów Ziemi. Ustanowił życie przemijającym, krótkim i pełnym bólu. Nigdy jednak nie udało mu się złamać ducha. Pozostał na wieczność niepokonany przez śmierć.

Nasz mord był więc miły demonom. Czułem słodki zapach ich lepkich stóp w koronach drzew, gdzie magią szelestu liści zaklinały nawet rajskie ptaki. Znow wszystko wirowało, oddane igraszkom zagłady. Krew, fragmenty ciał, niegdyś bezcenne, każdy tu rzucał jak ochłap na szalę przeznaczenia.

Mój Boże, jak obcy nas postrzegają w tym zagubieniu wartości istnienia? Pierwszego martwego Eleonorianina znaleźliśmy na polanie. Leżał dobrze rozgrzany słońcem, cuchnący i w połowie objedzony przez kleszcze.

Człowiek, którego zasiedlał, posiadał kompletne ciało. Byłem wściekły na siebie. Zbyt łatwo poddałem się władzy tego pajaca. Teraz wątpię już nawet w istnienie mojej wolnej, odrębnej woli. Przemykałem wraz z nim przez ten uciszony las i to on zabijał. Ja tylko liczyłem twarze. I aż dreszcz mnie przechodził, kiedy malutkie głowy dzieci wirowały w powietrzu jak po przejściu żywej gilotyny.

Wiedziałem od starca o śledztwie policji federalnej ściągniętej z

kontynentu. Badali sprawę. Wojna na taką skalę nie mogła przejść niezauważona.

Tym bardziej, że doszło do wycięcia w pień rodziny plantatora kawy, Stevena MacRoya. Plantator był biały, a to w kraju takim jak ten nie uchodzi na sucho. Zupełnie się nie zdziwiłem, widząc w wiosce nieopodal mundury policji. A kiedy zobaczyłem wycelowany w siebie rewolwer, nawet nie potrafiłem przeciwstawić się obojętności. Do tej pory wszystko się udawało.

Kolosalna szybkość, odskok, czas na kontratak. Ta kula musiała być przypadkowa. Ból głowy był nie do zniesienia...

I w tym punkcie historii pochłonęła mnie mętna, przedśmiertna rzeczywistość, pełna urojeń i dziwnych smaków. Tylko z podań ustnych i pieśni wiem, co się wydarzyło dalej.

Nasz statek, pilotowany przez australijskiego inżyniera – Eleonoriana, widowiskowo wystartował, zabierając ze sobą całą tę szatnię i pół męskiej chaty. Resztę pojazdów i pięciometrowe samobieżne maski na powrót zagrzebano w odmętach błot. Prymitywy i opierzeni psychopaci w samą porę uchronili kulturowe dziedzictwo niebios przed zarazą białych kupczyków i religijnych fanatyków – misjonarzy. Policja i wojskowi maruderzy wrócili z niczym, nie licząc ran kłutych i ciętych. A kadra naukowa pozostała w swoich laboratoriach, trawiąc czas na leniwych symulacjach i założeniach.

Pamiętam urywane myśli i pieśni kobiet o dalszej części tej historii.

Dolatywały do mnie z głębi chaty, gdy stary Imohtu próbował załatać dziury w mojej głowie woskiem i tuzinami cennych muszelek. Byłem mu wdzięczny za tę hojność. Zwykle używano gliny zmieszanej z kolorowymi ziarnami zbóż. Wiem, że naprawa udała się wyśmienicie. Jakiś zachwycony niemiecki antropolog zakupił za bająską sumę na festynie w Goroka moją głowę do złudzenia przypominającą muszelkowe żelazko.

Jak już uprzednio wspominałem, ostrość mojej świadomości była uzależniona od intensywności zapachów, jakie mnie otaczały. Wyo-

strzały lub przytępiały percepcję aż do mroźnego niebytu. Kiedy mój nowy właściciel schował mnie przed swoją żoną w starej szafie, ogarnął mnie smród zdolny obudzić trupa. Spoglądałem na otoczenie z obojętnym zainteresowaniem, gdy oto zupełnie niespodziewanie spadło na mnie olśnienie. Obok wisiały dziwne płaszcze z kapturami, poncha, jesionki i wyleżane prochowce. Zapierały dech w piersiach okrycia wierzchnie pozbawione otworów na głowę, o kompletnie zaszytych bądź lejkowato zwężających się rękawach.

Ciemność rozjarzyła się guzikami wielkimi jak oczy. Przez chwilę nie mogłem pojąć, co się dzieje. Nieoczekiwanie nastąpiło szokujące objawienie. Egzoorganizmy! Rozwieszane egzozskielety w zróżnicowanej formie, barwie i delikatności faktury skóry. Roznosiły woń nieskazitelnie doskonałą w natłoku zalotnych komunikatów. I te zapachy orzeźwiły mnie na dobre!

Boże, kogo tu nie było? Przedstawiciele ras całej galaktyki. A najbliższe: Fomalhaut, 55 Cnc, 51 Pegasus? Widziałem ich planety. Zadawałem pytania i uczyłem się intensywnie. Ta wiedza przyda się ludzkości. Sami przecież kiedyś ruszymy w gwiazdy w poszukiwaniu naszego bagna...

Von Truppen rozbroił mnie zupełnie, kiedy obojętnie ubrał jeden z płaszczy i wyszedł w nim na spacer z psem. Skąd znałem jego nazwisko? Sam go tak nazwałem ze względu na beznadziejną chudość i przenikliwy wzrok sępa, którym mnie przewiercał za każdym razem, kiedy otwierał skrzypiące drzwi. Wał pierdolony, odwiesił płaszcz po przyjściu i nawet nie przeprosił.

Dziwne, że nie odpadły mu ręce i nogi. Wiem, ja byłem za łagodny. Eksplozja gorączki euforii... Kontakt trzeciego stopnia? Ten odwieszony prochowiec był egzociałem Formianina, wysłannika cywilizacji z Gliese 674 b. Wał! Zupełnie się nie orientował, jakim skarbem dysponował w swojej szafie. Usilnie proszę, sprawdzajcie wasze płaszcze! I przenigdy nie odrzucajcie odnóży.

## 7.

Po miesiącu mój nowy właściciel usunął mnie z przyjemnego haka w szafie i powiesił na małym gwoździu wbitym w ścianę swojego gabinetu. Tłumaczył coś...

– Stara mątwą zdechła... Nigdy więcej poźółkłych dyplomów! – wydierał się zgorzkniałym głosem. Potem te niemieckie komunikaty, że lubi patrzeć na mnie. Kocha wydłubane oczy i zaszyte usta.

Zasypiał, siedząc z wielką fajką w zębach. Godzinami chrapał w fotelu naprzeciw. W sumie dym wyostrzał mi zmysły i mogłem znów całą sytuację przemyśleć.

Czy dać mu do zrozumienia, że posiada taki skarb kontaktowy w swojej szafie? Za każdym razem jego nałóg palenia rozbudzał moje zmysły na nowo.

Ale jednego dnia zabrakło staruszka i jego fajki. Odszedł. Córki nawet nie zatkały nosa muszelkami, a oczu trupa nie zastąpiły wo-  
skiem. Przykre.

W tydzień później ktoś litościwy zakopał mnie pod drzewem. Skąd wiem? Przecież czuję tysiące wżerających się w czaszkę robali. Wciąż nie potrafię pozbyć się wrażenia, że jestem na tej planecie dualistycznie obcym.

*Opowiadanie pochodzi ze zbioru Testimonium (Warszawska Firma Wydawnicza, 2013).*

**Jan Maszczyzyn**  
**PASJE MOJEJ MIŁOŚCI**

**1.**

Tu rozciągał się świat Igholat. Po kres horyzontu stały na mornarnych nogach krążowniki dawnego imperium. Nikt nie krztał się wokół, jak to zazwyczaj bywało w czasach wojny. Wiatr nanosił tylko kurz, a deszcze wpychały miałki muł w załamania konstrukcji.

Kosmodrom od południa okalały góry. U ich podnóża wznosiło się miasto, skąd chciwi władcy kontrolowali ogromne połacie Galaktyki i prowadzili niekończące się wojny. Teraz zaledwie kilku przechodniów przemknęło chyłkiem w obawie przed innym panem tej planety – człowiekiem.

Przybył tu niedawno. Statki ludzi nie przypominały niczego, co dotąd spotkali na polach bitewnych. Zagarnęli armadę Igholat w konie czasoprzestrzeni i pojedynczo z uśmiechem nieopisanego okrucieństwa wysłali w śmiercionośny ogień gwiazdy. Światy Igholat rozciągały się niemal po jądro galaktyki i zawsze, napotykaając życie, dumni konkwistadorzy respektowali garnitur genetyczny. Jednoczyli wszelkie możliwe opcje, wprowadzali unowocześnienia, czasami uproszczenia symbiotyczne. Nigdy nie była to destrukcja, nazbyt cenna była bowiem ta spontaniczność i zarazem geniusz ewolucji. Ludzie byli inni. Igholatanie nigdy nie spotkali tak bezlitosnych i wyrachowanych bestii. Na każdą z planet tego świata zrzucili wirusy–demonatory, struktury dezorganizujące ustalony porządek genetyczny. Istotom żywym nie pozostawiły innego wyboru oprócz słodkiej zagłady. Już każdą planetę spotkała milcząca śmierć. Z wyjątkiem tej.

G–Ramu poddał się wibracji przestrzeni i wolno schodził do lądowania.

Szukał wolnego miejsca. Nie chciał zniszczyć misternych siatek gniazd, *wormholes*, jakie pokrywały lądowisko. Mogły się jeszcze

przydać. Patrzył na zamarte krążowniki dawnego imperium. Prosił Bogów Losu o łaskę i odmianę przeznaczenia tego świata. Niestety, było coraz gorzej. Ludzie lądowali już po przeciwnej stronie globu. Sprowadzili ze sobą miliony chorych osobników, obce rośliny i biotechnologię, która pozwalała szybko asymilować ten inwentarz do nowych warunków panujących w świecie Igholat.

G-Ramu odepchnął właz. Zwinnym skokiem wydostał się na powierzchnię lądowiska. Ponad nim, nieco z boku, zawisł potężny niszczyciel Ziemi. Wysypali się w tęczowych kulach z brzucha statku. Pilotowali je dość sprawnie. Większość poleciała w stronę miasta. Jedna osiadła tuż obok i z wnętrza wyszedł człowiek. W kuli siedziała kobieta. Czytała książkę. Na jednym jej kolanie leżał chłopiec, a na drugim głowę opierała dziewczynka. Chłopiec dłubał w nosie.

Mężczyzna podszedł. Miał przenikliwe spojrzenie i jakąś miękkość w ruchach. Pozdrowił go ruchem ręki.

– Widzę, że traktujesz moją propozycję poważnie – rzucił w transgalaktycznym.

Ci ludzie szybko się uczą, pomyślał G-Ramu. Dopiero co tu przybyli, a już dość biegle opanowali język i niektóre zwyczaje panujące w gromadzie gwiazdnej. Rozwarł swoją szeroką paszczę w uśmiechu.

– Jeśli mogę zrobić coś przeciwko zniechędzonym nieprzyjaciołom, to jestem do usług – powiedział.

Był dość muskularny i dobrze uzbrojony, ale człowiek, choć dużo mniejszy i bez broni, wydawał się tym zupełnie nie przejmować.

– Dotrzymam słowa. Ty i twoja rodzina będziecie mogli odlecieć, gdzie wam się podoba, ale z daleka od ziemskich kolonii. Powiedz mi, wy naprawdę potrzebujecie aż dwudziestu siedmiu osobników do prokreacji? – Owszem – odparł G-Ramu, znów z przyjaznym uśmiechem na swej szkaradnej twarzy. – Jeśli natrafimy na akumulację płodności, to możemy wydać na świat aż miliard młodych osobników w jednym miocie.

– Ale jeżeli jeden z waszej dwudziestosiedmiopłciowej rodziny będzie niesprawny seksualnie, to nastąpi koniec rasy? – Wtedy musimy wziąć pod uwagę inne opcje.

– Tak. A jakie? – Jego ciekawość miała w sobie sporo jadu.

– Niech to pozostanie moją tajemnicą – powiedział i jego uśmiech zamarł w cichym syku. Pytania obudziły jego podejrzliwość. Wielu z jego braci odradzało mu ten kontrakt. Nikt nie ufał istotom zdolnym do takich okrucieństw.

– Potrzebuję całej waszej floty. Znajdź mi załogę dla tych krążowników.

Nic im nie obiecuj, ale wezmę pod uwagę ich bohaterstwo. Musimy dostać się jak najbliżej Pytranii niepostrzeżenie.

## 2.

Pytrania nie była pojedynczą planetą. Pytrania była gromadą kulistą wielkości tysiąca lat świetlnych. Otaczały ją mgławice pyłu gwiazdowego i gazu. Podświetlone od wewnątrz potężnym blaskiem masywnych niebieskich olbrzymów, wypełniały niebo wysokoenergetycznymi łunami bieli i fioleto. Gromada w większości zawierała stare gwiazdy populacji drugiej i mnóstwo planet skalistych. Nie powinno ich tu być. Zwykle w takich gromadach spotyka się niewielką metaliczność. Są to gwiazdy pierwszej generacji, bez okazji na wyprodukowanie czegoś cięższego atomowo niż hel, lit czy beryl. Gromada kulista porusza się wokół galaktyki na wydłużonej orbicie eliptycznej.

Takie obiekty nierzadko bywają przechwycone z przestrzeni międzygalaktycznej. Powstały więc z niemal czystych chmur wodorowych, w odróżnieniu od gwiazd centrum, gdzie słońca formują się już z domieszką bogatej różnorodności atomów. Po prostu w tamtej przestrzeni trup gwiazd ściele się gęsto. Łatwo o rozszarpaną supernową i jej życiodajne atomy.

Gromady kuliste mogą się też zabrudzić, kiedy orbita przebiegnie przez bogate w ciężkie pierwiastki rejony galaktycznego równika. Jednak to rzadkość. Tak więc nie ma podstaw, by sądzić, że ktokolwiek znajdzie w gromadzie kulistej dobrze uformowaną planetę skalistą. Raczej może spotkać globy jowiszowe, w całym wachlarzu wielkości i stanów energetycznych.

Materiałem budulcowym zawsze pozostanie jednak wodór z nieznacznymi domieszkami litu i helu.

Tutaj metaliczność gromady, czyli procent atomów cięższych od wodoru, sięgała dwudziestu procent. Nie ma takich obiektów w galaktyce, ba, nawet w całym obserwowalnym wszechświecie. Dla porównania: z danych *Universopedii* wynika, że metaliczność w układzie słonecznym Belli, Oradimusa czy Ziemi wynosi tylko dwie setne procenta. Te obiekty zostały tutaj sztucznie zgromadzone. Spektroskopia wykazała też inną tajemnicę. Wewnątrz gwiazd były obecne superciężkie metale z rodziny orkidowców. Znowu nie natrafimy na nie w stabilnym stanie nigdzie w dostępnym świecie fizycznym. Ktoś wykorzystywał środowiska wnętrza gwiazd do kontrolowanej manipulacji nie występującymi w naturze prawami fizyki i produkcji tych elementów. Ludzie potrafili utrzymać w swoich laboratoriach WiFi pojedynczy atom orkidowca przez ułamek sekundy, rasa zamieszkująca Petranię wytwarzała je w ilościach spektroskopowych.

Wpadli do granicznych układów i już na podświetlonej zaatakowali czekające na nich statki. Pierwsze były krążowniki igholatańskie, korzystały z korytarzy ludzi. Wytraciły szybkość zaraz po wyjściu z nadświetlonej.

Rozpoczęły ostrzał liniowy. Za nimi wlokły się transportowce. Wypadały z czarnej otchłani podprzestrzeni wprost w pola minowe granic układu gwiazdowego. Zapalały się w eksplozji i gasły. Nie było chwili do stracenia.

Statki ludzi były zbyt wielkie, żeby w ogóle zatrzymać się w tym układzie.

Przechodziły po hiperbolicznej zamiatając flotę wroga falą cza-



soprzestrzennego zniekształcenia grawitacyjnego, uderzały nią w bladoniebieskie słońce, aż rozciągało się w kształt wyciągniętego jaja, puszczały i znikały w drodze do następnego układu.

Pozostawiały za sobą masywne czarne dziury grawitacyjnych boi przechwytyjących. Tylko statki igholatańskie były na tyle zgrabne, żeby, wypadając z nadświatlnej, świetnie manewrować i być zdolnymi do starcia.

Pytranowie przegrupowali swoje wielkie statki wojenne i ukryli się na orbitach najmasywniejszych planet układu.

To była tylko zaczepka. Flota ludzi miała inny cel i tam mknęły statek za statkiem, pędząc przed sobą wzbierające fale zniekształconej czasoprzestrzeni. Słońce układu pękło na dwoje. Stanowiło przecież tylko gigantyczną kumulację zjonizowanego gazu i skomasowanej mocy materii. Przestrzeń, którą zakrzywiało, formowała się na nowo pod wpływem innej siły. Fragmenty zawirowały, znów powróciły do sferycznie skoncentrowanych obiektów. Potem wzburzone kule gazu rozdrobniły się na jeszcze mniejsze, wirujące fragmenty wielkości Jowisza i przygasły wiedzione w głąb ciemności impetem uderzenia. Teraz nie dawały już za wiele światła, nie kumulowały też grawitacji. Służyły tylko gigantycznym i ociężałym statkom ludzi jako dodatkowe grawitacyjne boje do hamowania i zakrzywiania trajektorii lotu. System przestał istnieć. Układ planetarny z wolna objęła noc, planety rozsypywały się na zagubionych orbitach, a jego mieszkańców ogarnęła bezsilna rozpacz. Nigdy nikt nie zachowywał się tak barbarzyńsko i podle. Bezgraniczna wściekłość popychała ich do walki. Nie było już właściwie z kim walczyć. Igholatańskie statki pomknęły za flotą ludzi. Pozostały tylko dziwne, długie okręty minujące. Przechodziły setkami, szybkie jak widma. Część floty jeszcze ewakuowała planety, reszta w wydłużonym szyku ruszyła za nimi. Przechodzili w nadświatlną, ale jakąś dziwną, widmową. Gwiazdy gromady, tak olśniewające, w potężnym blasku przygasły, rozmasowały się, zszarzały, by nagle wybuchnąć jaskrawością, od której bolały oczy. Wchodzili do słońc Rihitiolu. Potęgi nad potęgami. Tu skończyły się żarty. Tu rozpoczął się re-

gularny front świata Pytranii. Statki ludzi rąbały przestrzeń grawitacyjnymi salwami, wyrывая w przestrzeni dziury chaosu. Oberwało się jednej z planet wielkości Saturna. Rozlała się gazowymi jezorami atmosfery przeplecionej oceanami metanu. Trzeba było ciąć kawałki krótkimi seriami omiataczy laserowych, żeby wyjść na czyste pole. Stąd aż do granic układu tłoczyły się walczące okręty. Tylko jedno było jasne. Ludzie za wszelką cenę pragnęli dotrzeć do centrum. Był to gigant klasy widmowej B. Jego fioletowobiałe światło miało coś z psychodelicznej mocy. Szli szerokim klinem. Znow te same manewry i kumulowanie grawitacyjnych uderzeń. Flota Rihitiolu należała do najpotężniejszych i czekała na nich, przeczuwając, że tam, za plecami, rodzinna gwiazda znalazła się w niebezpieczeństwie. Igholatanie nadgryzli kilka statków z boku. Było to zagranie szybkie, sprytne, przeprowadzone z pasją wytrawnego gracza. Przez sekundy wprowadzało zamieszanie, na które ludzie tylko czekali. Fala grawitacyjna ogromnej mocy przeszła przez czoło floty jak sztylet. Wygięła czasoprzestrzeń, wciągając w siebie statki i druzgocąc je w kataklizmie zderzeń, i jeszcze liznęła błękitną planetę tuż za nimi, aż ta szerniała, kiedy ocean zamienił się w pył i błoto. Kilka gigantycznych statków ludzi przeszło przez wyrwę na grzbiecie fali. Bezbronne słońce rozszczepiło się na dwoje. Jedna część przygasła natychmiast, druga, wirując jak kropla rozwścieczonego temperaturą metalu, wskoczyła w otchłań kosmosu. Osierocone znow planety rozsypały się w rosnącym bałaganie. Ale flota ludzi i ich sprzymierzeńców już leciała do następnego układu, a za nimi rwała znacznie liczniejsza i potężniejsza – rihitiolańska. Spotkali się w połowie drogi, na naprędcie zaminowanej przez ludzi przestrzeni. Bitwa w ciemnościach była czymś, w czym wyspecjalizował się człowiek. Szybkie zamykanie kokonów przestrzennych i anihilacja. Energia, jaką wytworzyli, pozwoliła im zniszczyć następne słońca bez walki. Wtedy świat Pytranii poprosił o rozejm. Ludzie tylko na to czekali. Nie negocjowali warunków, pomimo że tamci czekali. Do układów gwiazdnych napłynęły nowe statki i coś, czego nikt jeszcze tutaj nie widział. Ciągnięte przez rzędy grawitacyjnych holowników

wyglądało jak brązowy karzeł. Zachowywał się jak niesforna neutronowa gwiazda. Łypał smugami wysoko energetycznych wiązek protonowych w odstępach nanosekund. Dla oka to był stały, bolesny blask.

Grawitacyjna fala wepchnęła monstera do wnętrza gwiazdy systemu jako główne jądro. Jądro, które potrzebowało demonicznych zasobów energii, aby wypromieniować coś więcej niż energię. Moc WIFI, którą ludzie ochrzcili mianem Universal Router. UR. Ta moc nadała im miano Bogów wirtualnego świata, który wiązał się z rzeczywistością w mieszance nie do odróżnienia.

Bez słowa zapytania wylądowali na jednej z planet w pasie mieszkalnym.

Wysypali się w swych tęczowych kulach zamiast skafandrów i ze śmiechem wypełnili ulice największej metropolii. Igholatanie postawili swoje statki obok. Stały w jednym lśniącym rzędzie. G–Ramu wyszedł na płytę lądowiska.

Atmosfera planet Pytranii zawsze wywoływała u niego duszący kaszel.

Patrzył z uznaniem na ludzi. Ile lat bezsensownych zmagień kosztowały jego rasę wojny o ten żyzny kawałek galaktyki. Nikogo nie interesowały obszary z niską metalicznością. Potrzeba było milionów supernowych, żeby gwiazdny pył mógł użyźnić przestrzeń w atomy cięższe od wodoru. Na to potrzeba było miliardów lat wypalania w piecach termonuklearnych gwiazd. Tylko niektóre ze względu na masę były zdolne do eksplozji i rozprowadzenia nowych substancji, a bez nich nie było życia. Wszyscy rwali się do centrów, gdzie królowały światy pełne wody i ciepła. Szczególnie tu w gromadzie gwiazdnej, ktoś na przestrzeni miliardów lat skumulował niemożliwe bogactwo, teraz przechodzące w ręce tych dwunożnych istot.

Kilka tęczowych kul poczęło krążyć nad jego statkiem. Jedną zniżyła się, dotknęła powierzchni i z wnętrza wyszedł człowiek. Stanął naprzeciw niego. G–Ramu traktował to jako osobisty zaszczyt.

– Znowu się spotykamy, G–Ramu – powiedział ciepło człowiek.  
– Nie masz już chyba do nas żalu za wasze światy, po tym, co zoba-

czyłeś do tej pory.

– Nie mam, panie – stwierdził w odpowiedzi, patrząc na przechadzającą się tam i z powrotem kobietę. Po raz pierwszy opuściła kulę. W jej oczach widział niecierpliwość. Najwyraźniej nie akceptowała tego, co robi mąż.

– Możesz mnie nazywać Lord Carter – stwierdził sucho człowiek.  
– Teraz zobaczysz coś, o czym twoja rasa, ani nawet Rihitolanie nie mają bladego pojęcia.

Wyciągnął z kieszeni ubrania niewielkie pudełko po landrynkach. Szukał w nim wytrwale i wybierał, jakby to były kawałki czekoladek. Wreszcie założył na palce kilka przedziwnych, starych pierścieni. Każdy odpowiadał innemu pasmu mocy. Wszystkie wrosły mu w ciało. Skóra dłoni aż pozieleniała.

Pochylił się i zebrał trochę pyłu. Potem pozwolił drobinom unieść się w powietrze, mamrotał jakieś zaklęcia czy krótkie komendy i słońce przygasało, zbladło, nagle pociemniało otwierając wąski przesmyk dla światła, który oświetlał tylko te drobiny srebrzystego pyłu, aż stopniały i upadły powrotem na ziemię. Powiał lodowaty wiatr. Carter machnął ręką zniecierpliwiony. Gwiazda zapaliła się na nowo.

– To pradawna technologia. Trochę unowocześniliśmy ją naszymi promiennikami WIFI. Zanieczyszczają rzeczywistość naszym wirtualnym światem mocy. Zniekształcają parametry psychofizyczne. W tym Realu nie ma już praw natury, są tylko zachcianki człowieka. Każda z tych gwiazd w gromadzie wkrótce będzie miała zabudowany Globalny Router, emiter wirtualnego świata. Woda nie będzie płynąć, jeśli nie zezwoli na to ludzka wola, ty nie będziesz nawet oddychać, jeżeli nie uzyskasz na to pozwolenia.

– Wskazał metropolię za plecami. – Nie będzie negocjacji. Zamkniemy ich oddechy w ułamku sekundy. Uśmiercimy ich, zanim odlecą na bezpieczną odległość z dala od naszej strefy WIFI. Tylko zbadamy ich przydatność dla naszego projektu, co zajmie chwilę, i... zginą.

– Co mam zrobić, panie Carter? – zapytał G-Ramu z budzącą się

paniką w głosie.

– Tylko jeden z twoich statków będzie ocalony. Upewnij się, że masz na nim najcenniejsze, co posiadasz. Resztę użyjemy w boju, ale nikt nie zginie z naszej ręki, może nawet niektórym oferujemy wolność. Jesteśmy archeologami. To nieoficjalna misja. Pomożecie nam w naszych wykopaliskach.

– A gdzie, jeśli można spytać? – Wiesz, czego boją się te szczury rihitiolańskie? G–Ramu spojrział na niego badawczo. Nie podejrzewał go o aż takie szaleństwo. – Nie myślisz chyba, panie Carter...? – wyjąkał pytanie.

– A właśnie, myślę o planetach Troarów.

Nikt nie zapuścił się w głąb gromady gwiazdnej tak głęboko. Gwiazdy były stłoczone za ciasno, dystans pomiędzy nimi wynosił co najwyżej tygodnie lotu światła. Mimo to nigdy nie doszło do zderzenia. Poruszały się w perfekcyjnym tańcu wokół serca systemu. Serca, którym była pustka.

– Polecimy tam jednym statkiem – powiedział Carter. Dotknął jego zrogowaciałej piersi swoim wskazującym palcem, na którym błysnął czarnym okiem starożytny pierścień. – Twoim statkiem.

### 3.

– Kurwa, „Lord”. – Kiwała z politowaniem głową – Wszystko, tylko nie „Lord”. Coś ty znowu wymyślił? – mówiła, układając rzeczy w szafkach igholatańskiej kajuty, która miała być ich domem przez długie miesiące.

– No, dobra – mruknął z niechętną zgodą. – Powiem mu jutro, żeby mnie tytułował „Pan”.

– I jeszcze jedno – kontynuowała z nieustępliwością godną prawdziwej kobiety. – Na jaką cholere używasz tych pierścieni? Wykryją to na parsek.

Przecież zamkną nas za taki show.

– Pierścienie nie są notowane. Pochodzą z niezarejestrowanego wykopaliska z głębi Drogi Mlecznej. To obca, przypadkowo kompatybilna z naszą technologia. Nikt nie zorientuje się w tym wojennym rozgardiaszu. Zresztą mam kilka identyfikatorów genetycznych. Zanim mnie znajdą, miną wieki.

– Miną wieki, zanim coś trafi do twojej pustej pały. – Mówiąc to, odwróciła się do chłopca. – Orsan, mówiłam! Nie dłub w nosie! Na tym statku są takie hordy bakterii, że nawet dziesięć zestawów immunologicznych nie pomoże. – Znow z oburzeniem zwróciła się do męża. – Powiedz coś temu chłopakowi! To przecież twój syn.

– A co, mam mu dać lekcje dłubania w nosie? – Wzruszył ramionami. Potem kontynuował z krzywym uśmiechem: – Zleję go po paluchach młotkiem, to go wyleczy. – Parsknął dzikim śmiechem, widząc zaskoczoną minę syna.

Nie wiedział, co to starożytny młotek. – Tata żartuje – uspokoił go.

– Wiesz, co myślę... – powiedziała Cynthie, kiedy przynosili i ustawiali bagaże w nowym pokoju. – Mogliśmy wynająć za parę groszy najemników z Hlidii. Nie ufam tym... – Igholatańczykom? To poważne istoty. Dwadzieścia siedem płci to dość bezpieczna bariera. Nawet na ciebie nie spojrzą.

– Ja widziałam wzrok tego Ramu.

– Przesadzasz.

#### 4.

Wyszli z nadświetlnej trochę za wcześnie. Rihitiolańskie statki przeszły akurat obok. Czy można w kosmosie mówić „obok”, kiedy ma się na myśli tylko cztery jednostki astronomiczne? Faktem jest, że gdyby ich zauważyli, zmietliby ich jedną salwą, jak tylko przestrzeń wykazałaby pierwsze oznaki anomalii. Zabarwiała się wtedy czerwienią na obszarze miliona kilometrów sześciennych, jakby krwawiła tym

nadejściem. G-Ramu nerwowo śledził odlot jednostek wroga. Byli zaprzątnięci ciągle toczącą się inwazją w rejonie granic gromady gwiazdnej. Byli butni i pewni siebie, nie znali jeszcze ludzi.

– Mamy jeszcze dwa na kursie. – Carter wskazał palcem nadchodzące statki. Jeden był ogromny i ten nie wiadomo czemu trzymał się z tyłu. Drugi nie bawił się w ceremonię powitania i już raził ich serią z dziobowych laserów. Statek igholatański zatrzęsł się od ciosów. Coś zawyło przeraźliwie i poleciełi wykrzywionym kursem wprost na księżyc jowiszowej planety, którą właśnie mijali. To poszły sterowniki nadświatłne, nieodzowna część przy każdym skoku w nadprzestrzeń. Bez nich do najbliższego systemu wlekliby się miesiącami. Schowali się w cień księżyca. Planeta za nim wręcz razila oczy. Musiała mieć swoje własne źródło energii.

Statek Rihitiolan przyjmował wyczekującą pozycję po przeciwnej stronie satelity i gotował się na śmiertelny cios. Panowało niepisane prawo nieingerencji w ruch ciał niebieskich. Nikt nie miał prawa uszkodzić, bądź zmienić ze skutkiem katastrofalnym orbity planety. Znalazły się wyjątki w tym świecie. Znalazł się ktoś, kto ignorował prawo i ustalał własne zasady.

Carter stał w sterówce sam. Zapanowała całkowita panika. Załoga rzuciła się do szalup. Miarowo tykały mierniki. Krajobraz za całościenną szybą sterowni wypełniała przemykająca powierzchnia księżyca. Carter sięgnął po swoje pudełko mocy. Szybko wybierał kombinacje pierścieni. Nie było chwili do stracenia. Kilka spadło mu na podłogę.

– Zawsze mówię, durniu, żebyś kupił sobie na te śmieci wreszcie jakiś profesjonalne etui – rzuciła Cynthie, podając mu kilka skwierczących od bliskości dłoni pierścieni.

Założył je na palce w gorączkowym pośpiechu. Powoli wrastały. Jego dłoń stała się fioletowa, wreszcie zamieniła się w coś podobnego do spalonej pięści, pęknięcia skóry pobiegły aż do łokcia. Walczył z bólem, ale wytrzymał. Ręka nie była już ręką człowieka. Zawsze łatwiej jest wtedy pobroić.

Poza cieniem planety WIFI było ledwo uchwytne. Potrzeba było nie lada umiejętności, żeby zapanować nad strumieniem plików informacyjnych dla czasoprzestrzeni. Kiedy włączył dodatkowe pola grawitacji, zrozumiał, że wygrał. Zatrzymał statek zupełnie, a krater za oknem rozpalił się do czerwoności. Zbielał i zgasł czernią, która zaczęła wciągać ku sobie elementy krajobrazu i topić je w odmętach czarnej dziury. Z niesłychanym impetem proces porwał sąsiadującą przestrzeń i coś, co tkwiło ukryte poza nią. Kształt wrogiego krążownika wydłużył się, pękł w ogniu eksplozji i gasł pojedynczymi iskrami czarnej mazi zniekształcenia.

Drugi próbował uciec. Szedł całą wstecz, a mimo to zbliżał się nieustannie. Carter zakreślał nad nim koło swoim magicznym narzędziem. Nić jego mocy wiła się wyciągnięta do długości setek milionów kilometrów, a i tak to było nic w porównaniu z pełnym polem WIFI w pobliżu gwiazdnego Routera. Odetchnął z ulgą i zwałił się zmęczony w wielki fotel igholatański. Znikąd pojawił się G–Ramu. On też oddychał ciężko, a długie żerdzie jego palców drżały nerwowo.

– Ten dokujący statek będzie nasz – stwierdził człowiek.

– Tak, panie Carter – odpowiedział bez zmrużenia oka. Stał zapatrzony w podziwie dla człowieka. Oto nadistota, na którą czekała jego rasa. Oto system genetyczny, wzór, który należy kopiować bez końca.

– Załoga powinna już nie żyć – stwierdził znów Carter, przerywając jego rozmarzenie. – Dopiero co udusiłem ich wszystkich – roześmiał się, wskazując swoje pudełko po landrynkach. – Nie powiem, miałem w tym swoją przyjemność. Te szorstkie, jakby wypełnione kamieniami gardła były ciężkie do zamknięcia.

Wszyscy ryknęli śmiechem. Nie wiadomo, kiedy wypełnili mroczną sterówkę. Ale nienawiść była im bliska. Zdążyli polubić za to pana Cartera.

Rechotali jeszcze, kiedy kazał im wyrzucić martwe ciała przez luk wyładunkowy. Sporo tego było i wszyscy należeli do pytrańskiej elity rządowej, nie mówiąc o Matce Żyworodnej, nabrzmiałej zapłod-



nionymi komórkami.

Wyglądała jak nadmuchany, obśliniony wieloryb. Rozszarpali ją na strzępy.

Pozostawili stary okręt na ciasnej orbicie stacjonarnej. Nowy statek był zgrabniejszy i bardziej zwrotny. Przelot na następną planetę układu zajął im kilkanaście bezwzględnych minut. Planeta posiadała kilka księżyców wielkości Ziemi. G-Ramu szczególnie interesował jeden z nich. Podzielił się swymi uwagami z partnerami. Później zażytkował pytanie.

– Panie Carter? – zaczął. – Ten księżyc tam w dole ma w sobie coś dziwnego.

– Tak, wyczuwam odpychającą moc, chociaż wszystko wskazuje na to, że jest pusty – odpowiedział spokojnie. – Już się spotkałem z tym zjawiskiem w poprzednim układzie planetarnym, to są dzikie osady WIFI. Ale to niech nas nie interesuje. Przelecimy w głąb gromady. Tam jest więcej tych milczących planet. Jedna z nich zawiera to, czego szukam.

Zadrżeli na dźwięk tych słów. Nikt nie zapuszczał się w te strony. Nawet waleczni Rihitolanie trzymali się na obrzeżach. Technologie technologiami, ale magia, ciemne, niewytłumaczalne moce to było za wiele dla racjonalizmu zwykłej ekspansjonistycznej cywilizacji. Empiryczny stosunek do rzeczywistości nakazywał trzymanie się z daleka. Dopiero ten Carter dysponujący dziwną mocą, którą sam nazywał WIFI, obudził w nich ciekawość tych zakazanych miejsc.

## 5.

– Po co ci była ta czarna dziura, do cholery?! – rozpoczęła swą codzienną dawkę narzekań Cynthia. Układała rzeczy w nowej szafie. Gabinet admirała Floty Rihitiolańskiej był znacznie bardziej przestronny. Miał widok na całą dziobową część statku. W oknie rozpiniała się galaktyka, nieco z boku gromada kulista, w głąb której zmierzali. –

To jest karalne i niebezpieczne. Nie chcesz mnie chyba pozostawić wdową na pastwę tych parszywych istot.

– Myślisz, że... oni się zorientowali, że reprezentujemy tu tylko siebie? – spytał, przeglądając mapy na tablecie.

– Nie – odpowiedziała, wycierając nos. – Są przestraszeni. Zbyt sterroryzowani regułami technokratycznego społeczeństwa. Poza tym ta ich multiseksualność...

– To ciekawe. Zauważyłaś? Reagują jak zbiorowa matka. Nadopiekuńczość i wścibstwo.

## 6.

Przeszli w nadświatlną z duszą na ramieniu. Podróż z tą szybkością w takim gwiazdym tłoku zakrawała na szaleństwo. Na szczęście był to krótki skok do samego centrum. Wypadli wprost na gigantyczną planetę przypominającą Ziemię. Lśniła od błękitu oceanu, a białe chmury wręcz oślepiały. Zeszli do lądowania łagodnym łukiem. Odkryli miasta jeszcze na orbicie. Były puste. Pomimo panującego dnia, emanował z nich obcy i odpychający mrok.

Wylądowali w płątaniu ulic. Rozdmuchali falą akustyczną kilka starych kamienic, żeby wygodnie ustawić statek. I tak górował ponad zabudowaniami swym stalowym łbem. Wysypali się na ulicę z niechęcią. G–Ramu szedł pierwszy. Carter nasłuchiwał coś swoim zwyczajem, przechadzając się gdzieś w cieniu niebotycznych murów. Podeszli do niego.

– Tu nigdy nikt nie mieszkał – wyjaśnił z nutą niepokoju w głosie.  
– To sztuczne miasto. Ma przyciągnąć naszą uwagę – dodał, poirytowany tym faktem. Spojrzał na G–Ramu przenikliwie. – To tutaj. Odeślij ludzi na orbitę, bo robi się niebezpiecznie. Potrzebuję tylko ciebie.

Na żabiej twarzy Igholatańczyka pojawił się niemal ludzki grymas uwielbienia. Ta istota zadbała o bezpieczeństwo jego rodziny. Czuł rodzącą się więź przyjaźni z człowiekiem.

Przez chwilę trudno było im iść w kurzu, jaki wzniecił startujący statek.

Wisiał ponad nimi długą chwilę, penetrując wylotami miotaczy wszystkie otaczające ulice. Potem nagłym skokiem wzleciał ponad atmosferę. Słyszeli krzyżujące się komendy w słuchawkach G–Ramu.

Jeszcze z orbity wiedzieli tysiące trupów zwierząt leżących u wrót miasta.

Były to legendarne Troary, władcy magicznych mocy. Ktoś skosił je szybką salwą z baterii laserowych, podchodząc do lądowania. Zrzucił też na ciała góry śmieci i stare kubły po oleju.

– Skurwiele. – Carter nie mógł opanować drżenia rąk. Z zaułka ulicy przesuwawała się w ich kierunku wysoka na dziesiątki metrów fala ciemności.

Kiedy podeszli do niej, zatrzymała się w pulsującym wyczekiwaniu. – To są stare skóry – mówił Carter, przesuwając dłonią po podobnej do zamszu powierzchni zagadkowego obiektu. – To Ruch 35–tego Lipca, z planety Oktuss. Ekstremiści, pchają się wszędzie pierwsi. Ale jak dotarli tutaj przede mną? Nie wiem.

– Co to znaczy, panie Carter? – zapytał G–Ramu.

– To nielegalny świat Prywatnej Alternatywny. Rozbili się tutaj na dziko ze swoimi niezależnymi stacjami WIFI. Armia przywoła ich później do porządku – powiedział człowiek i dodał: – Ale to lepiej dla nas. Tym razem olejemy ten pierdolony śmietnik. Znajdziemy lepsze miejsce na wykopaliska. A teraz chodź.

Uśmiechnął się tajemniczo. Wyciągnął swoje pudełko po lan-drynkach i zaczął grzebać długo i wytrwale.

– Może mój sposób podróży wyda ci się nietypowy, ale podejdź tutaj. – Skinął na G–Ramu dłonią. Kiedy ten znalazł się dostatecznie blisko, przytulił go mocno ramionami. Igholatańczyk był w uścisku twardy jak żółw. Miało to coś wspólnego z jego wyglądem. Szyja, delikatna, chociaż chropowata, przypominała białą szyję kobiety. Usta w żabiej twarzy były miękkie i mięsiste. Oddech świeży i delikatny. Carter sam zastanawiał się nad faktem, że to zauważył.

Ziemia pod ich stopami zadrżała i raptem otworzyła się czeluść. Przeszyli ją na wskroś i znaleźli się po przeciwnej stronie planety. Tutaj budził się dopiero dzień. Carter zauważył, że jego usta szukają tamtych dziwnych ust tej obcej istoty. Nie czuł obrzydzenia tylko jakiś dziki pociąg, żeby spróbować musnąć zaledwie, poczuć powiew oddechu w nosie. Zachłysnąć się czyjaś wilgocią. G–Ramu dziwnie zmiękł w jego ramionach, jakby przez chwilę stał się kobietą. Kiedy grunt pod nogami uspokoił się, odepchnął go ociężale i niechętnie. Ta bliskość go przerażała. Na domiar złego w oczach obcego widział tylko oddanie.

– Jak podobała ci się podróż? – zapytał, żeby ukryć zamieszanie.

– Wspaniała, panie Carter – rzucił z uśmiechem G–Ramu. Jego głębokie oczy śledziły z uwagą każdy grymas człowieka. Był mu bliski w niemal wszystkich ekspresjach twarzy. Mimika, gesty, szczególne wygięcia śmiesznie małych ust. Odetchnął z ulgą, kiedy odepchnął go... tak całkiem nie dawno. Tęsknił? – Możesz wezwać statek.

## 7.

Płaska równina, rozcięta korytami wyschniętych rzek, ciągnęła się po siny horyzont. Skąpa, blada roślinność zaledwie muskała ją swoją zielenią.

Niebo, jaskrawo pomarańczowe o poranku, z wolna przykrywały chmury.

Wiało od nich chłodem. W dali poruszały się ogromne kształty legendarnych w galaktyce zwierząt. Sześcionożna podstawa biologicznej konstrukcji ledwie utrzymywała nieproporcjonalnie wyrosnięte ciało. Masywna głowa posiadała na dodatek wąsy. Zwierzęta manipulowały nimi jak gigantycznymi palcami. Wwiercały się pod powierzchnię ziemi w poszukiwaniu pokarmu.

To nie siła nóg utrzymywała ociężałe cielska istot w równowadze. Istniała druga, niebywale potężniejsza moc, pozwalająca nawet na ich swobodną lewitację z miejsca na miejsce. Moc magii nowego świata,

WIFI obcych.

W niebo wznosiły się kurz i odległe porykiwania. Jakby rój gigantycznych bąków próbował usadzić się na wiotkiej gałęzi. Widać, dotarły do wąskiej nici snującego się pod ziemią pokarmu, bo nie ustawały w przepychance o najlepsze miejsca.

Niedaleko nich poruszała się osamotniona bestia. Znudzona szukała swojego kęsa w ziemi. Towarzyszył jej łoskot osypujących się kamieni.

Reagowała cichym, basowym lamentem na suchość i beznadziejną jałowość podłoża. Do niej skierowali kroki. Zdołali się zbliżyć na odległość paru metrów zanim Troar odkrył ich obecność.

Ryknął krótko, przestępując z nogi na nogę. Zapewne ze zdziwienia. Podniósł się na potężnych nogach, a jego ceglasty łeb z obrzydliwym nosem pochylił się i zaczął ich obwąchiwać. Popękane, z wyglądu kamienne, usta szeptały przy tym jakieś zaklęcia. Potężne na tyle, że ziemia spękała od żaru, który wzniecały słowa.

Carter uniósł dłonie. Metal pierścieni płonął w nich żywym ogniem. Delikatnie dotknął palcami skóry zwierzęcia i szybkimi ruchami wypalił na niej runy posłuszeństwa. Troar natychmiast pochwycił go wąsami, ale uścisk szybko zelżał, stał się delikatny i poddańczy.

– Będiesz dla nas kopaczem. – W tonie głosu Cartera nie było pytania, a raczej rozkaz.

– Rzucasz obelgami? Ty ludzki psie! – wychrypiała bestia. – Nikt nie nazwał mnie kopaczem! – Gdzieś w środku implodował gniew. – Nikt od tysiącleci nie ośmielił się wypowiedzieć wobec mnie komendy. Takich śmiałków spotyka żałosny koniec. Lepiej zawróć ze swojej drogi, głupcze! – Mogę sam wyrwać tej planecie jej tajemnice. Ale szukam precyzji. – Prosty gniew rozpałił mu oczy.

– Wiem, czego szukasz ty i ten igholatański zdrajca. Czuję piekło w waszych duszach. – Był niecierpliwy. Bardziej emanował słowami, niż udzielał się werbalnie.

– To bardzo pięknie. Dowiedz się jeszcze, że ja nie odchodzę z

pustymi rękami. Nigdy! – Grymas złości nie schodził z twarzy Cartera, zdawało się, że od dawna tam mieszka.

Odszedł kilka kroków. Jego ręce już pracowały. Pieczołowicie układał czasoprzestrzeń. Zwoje zniekształceń wyostrzyły się. Długa na kilometr deformacja przecięła plaster gleby jak masło, potem dodatkowe wiry uniosły masy skalne i wyrzuciły gdzieś na bok. Następny plaster ziemi poleciał poza horyzont. Carter wiedział, że jest obserwowany. Ta manifestacja mocy miała posłużyć do kruszenia oporu, do łamania woli, wreszcie do niewiary we własne siły.

Teraz potrzebował delikatności i precyzji. Odwrócił się, wydając nieme polecenie. Troar, ociągając się, sięgnął ręką do wykopu. Jego palce wiły się i przeplatały. Pod dłonią wyrósł kształt odkrytego muru, oszczędził nawet fantasmagoryjne ozdoby wieńczące krawędź cegły.

– Wystarczy – rzucił człowiek oschle. – Te ruiny mnie interesują. Wiem, że w głębi są następne, jeszcze starsze. Wiem również, że ta planeta posiada ruiny w skali paleontologicznej. Tworzą warstwy skały osadowej. Była od miliardów lat zamieszkała. Gatunek po gatunku pozostawił tu swoje ślady, a one nawarstwiały się i starzały. Pomiędzy nimi są niezniszczalne artefakty, jak dobrze zachowane skamienieline, jak rodzynki w cieście. Chcę je zabrać!

## 8.

– Znowu zgrywałeś maga. Wszystko widziałam na podglądzie. Ile zaznaczyłeś tych krówek? Nikt się nie zorientował, że to zwykły szwindel Cecylii z kodem dla bydła? – Cynthie była wkurzona. Lubiła być wkurzona.

– Nie. Zauroczyłem wiarę – odrzekł, ściągając niemrawo buty. – Patrzą na mnie teraz jak na Boga. – Wstał bosy, przytulił ją i pocałował w oczy.

– Mamy koło setki tych zwierząt razem z małymi. Gdzieś używaliśmy podobnych do wykopalisk... Nie pamiętam dokładnie, może

Rynthia? Wiesz, te wyschnięte oceany i podwodne miasta. Graffie? Ale te tutaj nie mogą się równać z niczym w galaktyce. Posiadają jakąś przedziwną moc, ich wąsy wydłużają się pod ziemią do monstrualnych rozmiarów. Dosięgają skały metamorficznej, nawet gorącej magmy i się nie palą. Nie wiem, na czym cud polega, ale dojdę do tego.

Stali na brzegu ciągnącego się po horyzont wykopu. Nieopodal błyszczał statek. Spod mocarnych nóg ciągle wznosił się dym. Ściany pokrywały dziwne rihitiolańskie ryty.

– Śmierdzisz – stwierdziła, patrząc mu w oczy.

– Czym? – Śmierdzisz jak pedał.

– Jak śmierdzi pedał... – Przycisnął ją mocniej, wdzierając się kolanem pomiędzy uda. – ...kochanie? – Czuję wodę kwiatową na twojej szyi.

To była tylko zaschnięta ślina G–Ramu.

## 9.

G–Ramu skoczył, odepchnął człowieka i z całą siłą swoich mocarnych ramion wbił ostre jak stalowe drągi palce w twardą szyję Troara. Stał chwilę nieruchomo, czekając, aż ustaną konwulsje ogromnego, zawieszzonego ponad nim ciała. Popuścił uchwyt. Zwaliło się w głąb rowu. Pierścienie WIFI ukazały swą moc zwielokrotniając jego siłę.

– No, brawo! – Carter podszedł do Igholatańczyka, prosząc go gestem o zwrot pierścienia. – Niech reszta była wie, co je czeka w razie niesubordynacji. – Pomógł mu ściągnąć pierścień. Jeszcze przez chwilę ręka G–Ramu pozostawała sina i poparzona.

– Boli.

– No. O! To nie są żarty. Ale twoje ciało bardzo szybko ulega metamorfozie – rzucił z uśmiechem. – Musisz bardzo uważać. To niebezpieczne narzędzia. Do bólu przyzwyczaisz się. Za każdym razem jest łatwiej.

Ale uważaj na czas ekspozycji. Nie jesteś tak wytrzymały jak człowiek. – Poglądził go po twarzy na pocieszenie. – Dziwne, że ten pierścień pasuje ci na jeden palec, a żaden inny z pozostałej kolekcji w ogóle nie wchodzi. To jakaś rasowa predyspozycja. Hm... Nigdy nie myślałem w tych kategoriach.

– Troar niemal cię zabił, panie.

– On zamknął mnie w swoim polu. Czuję kontakt. – Człowiek wyglądał na podekscytowanego. Nic sobie nie robił z bliskości śmierci.

Po chwili wahania G–Ramu przyciągnął go ramieniem do siebie.

Przycisnął delikatnie i wpił żabie usta w jego małe, wąskie i suche. Igholatanie nie posiadali języka, to gardło formowało się stosownie do żądanego kształtu. Wypełnił nim usta tego człowieka, aż stały się lepkie, gorące, spragnione, uległe, a wreszcie pełne i radosne. Puścił go i aż się zatoczył.

Patrzyli na siebie przez chwilę w milczeniu. Carter podrapał się po głowie. Takie coś zdarzyło mu się po raz pierwszy w życiu. Nie chciał o tym pamiętać. Podszedł do ostatniego oczyszczonego przez Troara fragmentu skały. Pochylił się i w końcu usiadł. Przesunął dłoń ponad powierzchnią, skanując. Na wierzchu dłoni pojawiły się ekrany biologicznych monitorów, a na nich skomplikowane wykresy.

– Zobacz tutaj – mówił do G–Ramu. – Ta delikatna linia biegnąca wzdłuż ma grubość pół milimetra i reprezentuje około miliona lat. To skamieniałe drewno. Jest interesujące, że w każdym fragmencie konstrukcji murów odnajdujemy tę właśnie warstwę reprezentującą szmat czasu. Ma więc specjalne rytualne znaczenie, a może nawet znaczenie praktyczne. Hm... Przejrzał następny odłamek skały, który Troar odłożył przed śmiercią specjalnie dla niego.

– Przychylam się do drugiej opcji. Wyczuwam pradawne promieniowanie WIFI, nawet... Zobacz, zmienia wygląd moich rąk. Ma niemal niewyczuwalną moc, a moja dłoń stała się szkliście przezroczysta. Jednak czym znalezisko młodsze, tym wyższa jest skala radiacji. – Przesunął palcami po krawędzi skały. Krótki ruch, a mimo to wystudiowany. – Wydaje mi się, że pradawni mistrzowie budowlani



wznosili tu swoje konstrukcje na bazie tego drewna, ale nie spełniało ono roli fundamentu, a raczej relikwii posiadającej całkiem praktyczną i wymierną moc. Zamykali w trumnach swoich mistrzów, a oni śnili, wypełniając rzeczywistość nowym, alternatywnym wymiarem. Znowu ślady tej samej idei, która przewija się przez wszystkie wykopaliska archeologiczne galaktyki. – Spojrzał wokół. – Już wiem, to drewno pochodzi z drzewa, które śni. Wytwarza wokół pole nierealnego świata, w którym można się zagubić... – Przerwał rozmarzony.

– Wyobraź sobie, znaleźć się w takim lesie. – Oczy mu zaślniły nowym blaskiem. – Budowniczkowie używali ich do budowy trumien – kontynuował – w których zmarła istota resztkami swoich żywotnych energii mogła budować w świecie realnym wirtualne rzeczywistości. Takie obrazy mają wrogów.

Nikt nigdy nie przedarł się przez przeszkodę własnego snu.

Podjął z ziemi niewielki odłamek skały. Bładoczną powierzchnię wypełniały ryty minionego życia. To był pięknie zachowany fragment flory pomieszanej z misterną siecią elektronicznego elementu pochodzącego, tak na oko, z pradawnego telefonu komórkowego.

Było coś jeszcze i to coś niepokoiło Cartera. Odkąd zabili Troara, nad jego trupem pojawiła się jakaś zielonkawa poświata wyglądająca jak miliardy owadów. Wiła się jak dym i wprost trudno było oddychać. Nadchodziły też dziwne myśli, pełne niezrozumiałych, pradawnych słów. Odkopane mury coś szeptały między sobą. Zarzucały na nich z wolna śpiący czar. Najbliższe, z cegłą twardą jak stal, nawet wydawały się tracić kształt. Ten mur falował, zbliżał się i oddalał, zupełnie nagle objął go jak zimna fala wody. Zdusił oddech, niemal powalił intensywnością szeptu. Kamień wypadł z jego rąk.

Carter upadł, wbijając dłonie w grząski piasek. Czuł, że wrasta w tę ziemię jak drzewo. G-Ramu objął go i napał całą powierzchnią ciała.

– Witaj w moim śnie – szeptała ściana. – Witaj. Witaj.

– Panie Carter! – szeptał Igholatańczyk. – Proszę się odprężyć. Te

ściany nie są agresywne. Czuję to i potrafię kontrolować. To nie jest rzeczywistość, to pan sam wpycha ręce pod piasek. To się nie wydarza, to omam.

Przesunął swymi rękami ponad plecami człowieka. Przyciągał jego ciało coraz bardziej do swojego, próbując ze wszystkich sił wlać w jego agresję trochę spokoju i opanowania. Opór Cartera zelżał. Upadł na ziemię, a za nim G-Ramu. Przyciskał jego plecy. Człowiek obrócił się pod nim na wznak. Chciał coś powiedzieć, kiedy usta Igholatańczyka zamknęły go w kolejnym pocałunku. Carter nie oponował. Działo się z nim coś dziwnego. Powoli nie mógł żyć bez tej delikatnie pachnącej wilgoci, bez tego doskonale wypełniającego, manewrującego w ustach jęzora poruszającego się w doskonałym rytmie pozwalającym na swobodny oddech. Nigdy żadna kobieta w jego życiu, a miał ich wiele, nie potrafiła tak wspaniale całować.

To co, że to może się wydać obrzydliwe dla osób postronnych. I tak nikt nie patrzy, WIFI jest za słabe, żeby go śledzić z takiej odległości. Zresztą on tu jest panem stworzenia, a ta istota w swoim poddaństwie zrobi wszystko, żeby zwiększyć jego doznania i przyjemności. Poczuł, że G-Ramu ściąga z niego kombinezon. Drżał trochę. Broń Boże z zimna! Nie! Z drżącego oczekiwania, z niewyczerpanej żądzy przyjemności. Samo obnażenie się przed obcą istotą było niewypowiedzianie przyjemne. Czuł ten dotyk, ten pietyzm w mięśniach warg na jego torsie, lawinę ciepłych, wilgotnych pocałunków na udach. Wił się z lubością, czując, kiedy wnika językiem gdzieś pomiędzy jego męskość. Kiedy zetknął się na powrót z jego ustami, poczuł wzbierająca rozkosz, potem fala zelżała i znów gorąco i oddech niemal łamały mu ciało na dwoje. Zauważył, że G-Ramu obnażył się również. Z rosnącą radością dostrzegł tę jego niewieścią nieśmiałość, kiedy w miejscach erotycznych pokazywały się i znikwały dziwne i figlarne wypustki. Wszędzie było ich pełno, jakby oszalały w euforii dzikości i wyuzdania. G-Ramu objął go delikatnie, potem mocniej, niemal wypił z niego usta. Jego wypustki zupełnie i dogłębnie wypełniły każde zagłębienie ludzkiego ciała. Wchodził w Cartera głębiej i głębiej. Zetknął

się, połączył, zespolił zupełnie, a potem wijąc się i wzdychając zaczęli ten taniec na nowo. Coś jak tysiące jęzorków zamknęło się na jego twardniejącej męskości i zaczęło pieścić do szaleństwa. Stoczyli się gdzieś w dół na łachę piachu, potem na dzikie kwiaty, pomięli je w wężowych ruchach ciał, łamali łodygi, tręcali kielichy. Potem długo leżeli w rozkosznym zjednoczeniu. Człowiek leżał z szeroko otwartymi oczyma.

Nie mógł się nadziwić zapachowi igholatańskiego torsu.

– Wiesz, pachnie jak piersi kobiety. Jest twardy i miękki na przemian. Czy ma coś wspólnego z karmieniem młodych? – spytał, gdy leżeli tak obaj rozmarzeni, patrząc w barwy zachodu.

G–Ramu nie odpowiadał. Dopiero po chwili stwierdził z przeciągłym westchnieniem:

– Panie Carter, chciałbym tu z panem pozostać do skończenia świata i oddychać zapachem pańskich ud.

Carter uśmiechnął się. Dziwne, ale on też nie chciał stąd nigdzie odchodzić.

Akurat zdążyli się ubrać, kiedy nadeszły Troary na wieczorne karmienie.

## 10.

– Tylko popatrz na siebie. Wyglądasz jak zboczona świnia. – Cynthie nerwowo zagryzła wargi. Stali na dnie wykopu. Setki metrów w głąb ciągnęły się odkopane ruiny ścian. – Popatrz na siebie jeszcze raz. Gdzie masz kombinezon?! Ta potargana koszula, rozerwany pasek u spodni, włosy... Kto wyrwał ci włosy? Usta ci krwawią!

– Wpadłem do rowu... – Carter ciągle nie mógł przyjść do siebie. Trudno mu było wyrównać oddech.

– Biłeś się z jakimś Igholatańczykiem? – niemal stwierdziła. – Widziałam to martwe zwierzę. Jakby ktoś pastwił się nad nim cały dzień. Okropny widok. Sama bym się wściekła, gdybym tylko wie-

działa, kto to zrobił? – Ten zwierz był oporny. Poza tym celowo niszczył artefakty. – Chciał odwrócić uwagę żony. – Lepiej powiedz mi, co mamy do tej pory.

Uśmiechnęła się. Zawsze kiedy rozmawiali o eksponatach, odzyskiwała nastrój.

– To pomieszczenie za mną to była dawna zbrojownia. Pełno tu różnorodnej broni, prawdziwy skarb dla kolekcjonera, ale ten kawałek to prawdziwy rarytas – powiedziała, podając mu coś w rodzaju Colta.

– Co w nim takiego dziwnego? Wygląda jak marna podróba z dzikiego zachodu.

– To jest warte kupę kasy na rynku kolekcjonerskim. Ta broń nie strzela. Wysyła coś, co imploduje w żądanej odległości. Nie wiem, jak to działa, jakie jest zasilanie. Cholera, to powinno być zardzewiałe od miliona lat, a jest pięćdziesiąt milionów lat starsze. Na Ziemi mogłyby się tym bawić dinozaury.

Carter ważył broń w dłoni. Była ciepła. Może żarła energię wprost z jego serca.

– No, dawaj to z powrotem. Nie dam ci nawet połówki egzemplarza, na pewno strzelałbyś jutro z tym twoim G–Ramu do zwierząt.

Przełknął ślinę w straszliwym podejrzeniu, że jednak wszystko widziała.

– Odkryliśmy dziwne pasma drewna emanującego promieniowanie WIFI.

– Tak? – Dowiedziałem się też od Igholatańczyków, że istnieje legenda na temat Pierwszych Istot. Pozostawały zamknięte po śmierci w sarkofagach, które zamieniały ich sen w rzeczywistość. Według legendy ten wszechświat należy do snu jednej z nich.

– Spotkałam się już z podobnymi bzdurami.

– Tak, ale to drewno, które wykopałem, jest zupełnie podobne do tego, jakie spotkaliśmy w jądrze galaktyki. Pamiętasz ten frachtowiec napakowany po korek klockami? G–Ramu twierdzi, że legenda mówi o planecie, na której rosną drzewa sięgające przestrzeni kosmicznej. Drzewa, których nasiona przenoszą się poprzez próżnię do innych

światów i tam rosną. Drzewa, o które rozpętano niejedną wojnę.

– Myślisz... – Przerwała, widząc nadbiegających Igholatańczyków. Biegli z nowiną. Odkopano jedną z trumien. Zginęło kilka Troarów i czterech obcych. Byli poruszeni. Bali się.

Carter i Cynthie wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Ogarnęła ich euforia. Ale numer, takich trumien pozazdrościłoby im niejedno muzeum w galaktyce. Pobiegli.

## 11.

Ponad wykopem krążyły Troary. Teraz można było zobaczyć, skąd pobierają tę swoją niespożytą energię. Były szybkie jak rój pszczoł. Bystre i niebezpieczne. Trudne do osaczenia i kontroli. Odebrały znalezisko jako swój osobisty sukces. Nie pozwalały podejść obcym i ludziom nawet na krok. Trzeba było użyć mocy pierścieni, żeby je przepędzić. Carter zakładał je wszystkie po kolei. Ręce mu się trzęsły i połowa nie pasowała. Utył czy co? Musiał użyć wszystkich. Wciskał je, aż darła się skóra i lała krew. Ręce mu nabrzmiały od ciężaru zarośniętych żyłami fioletu dłoni. Pomimo że Troary odsunęły się na bezpieczną odległość, na poły wykopana trumna emanowała takimi ilościami energii, że łatwo wymykały się spod kontroli.

Mogli zapomnieć, że to świństwo musi dać się załadować na statek, a potem jeszcze gdzieś po cichu trzeba je sprzedać.

Carter podszedł na odległość kilkunastu metrów. Tutaj rozpoczynał się mrok w środku jasnego dnia. Powietrze falowało. Zaduch bił od odsłoniętego fragmentu trumny. Widział ją dobrze. Jarzyła się zimną zielenią.

Delikatnymi ruchami tasował czasoprzestrzeń. Zmywał grudki ziemi z drewnianej powierzchni. Pośród rytów pisma jaśniały dwa głębokie pęknięcia. To stamtąd wydobywała się moc, która w miejscu wykopu zawiądywała światem. Rozwarł te miejsca. Ryk wzmagął się. Nie wiadomo, kiedy się zaczął, ale trwał i potężniał. Wieko trzasnęło.

Coś jak potężny wybuch targnęło powietrzem.

– No, dzisiaj mi zaimponowałeś, kotku. – Cynthie tuliła się do męża całym arsenałem piersi. Przyciągnął ją bliżej za pośladki. Leżeli nadzy w samym centrum pokoju. Obok bawiły się dzieci.

– Wiesz, pomyślałem sobie, że jeśli zamykali dawnego króla czy mistrza w tej trumnie, to otwarta musiała nie przejawiać wielkiej mocy – mówił. Jego oddech pełen był zapachu rihitiolańskiego wina, które pili razem ze śmiesznie wielkiej butelki. – Dopiero po uzyskaniu wskazówek czy też wzmocniona jakimś duchem zamkniętej w niej istoty naprawdę osiągała niesamowitą moc. Mój komplet WIFI potrafi utworzyć niewielką, co prawda, czarną dziurę, przeciąć księżyc na pół, a tu byłem niemal bezsilny wobec siły kilku desek i trupa.

– Ten G–Ramu dziwnie na ciebie patrzy... – Jej usta musnęły jego tors.

– Przesadzasz. – Zdawał się palcami przeliczać jej włosy.

– Tak, ja też widziałem, tato! Zachowujecie się jak dwa pedały! – nadbiegł głos z głębi pokoju.

Mały Orsan jeszcze nie spał.

– Widzę to, kotku. Nie wywiniesz się. – Pocałowała go namiętnie w usta. Czuł jak twardnieją jej sutki. – Czytałam opracowanie w necie na temat seksuologii Igholatu.

– No i co?

– Mają te swoje dwadzieścia siedem płci, mieszają swoje geny pomiędzy sobą w skomplikowanej grze miłosnej, ale kiedy osiągną pełne nasycenie swojego genetycznego garnituru, ich goole są gotowe do złożenia tylko w jednym optymalnie doskonałym osobniku, którego wybierają spośród siebie. Reszta musi uciekać albo...

– Albo?

– Zostaje zamordowana przez najbardziej doskonałego genetycznie osobnika. Przez tego, który ma już uformowane goole.

– A po czym poznaje się takiego osobnika?

– Po zapachu.

– Hmm...

– Zapachu wody kwiatowej.

Wbiła się w jego usta swoim pocałunkiem. Zdławiła jego niewypowiedziane słowa, potem oddech. Przewrócił ją na plecy. Nigdy nie była aż tak gorąca jak tej nocy. Wiła się pod nim i jęczała. Wypinała. Gięła. Zlizywała pot z jego torsu. Łamała udami. Mimo to miał kłopoty z ejakulacją. Męczył się z tym od dłuższego czasu. Od czasu pierwszego pocałunku z G–Ramu.

Cynthia usnęła wyczerpana. Smutna pinda z pojedynczą dziurką rozkoszy. On wykradł się z pokoju. Całkiem nagi przebiegł ciemnymi korytarzami statku. Zapukał dość nieśmiało. Drzwi otworzył obcy. Uśmiechnął się na samą myśl o tym, co go czeka.

## 12.

Carter nie przypuszczał, że zapach, jakim był przesiąknięty, mimo że tak delikatny i subtelny, będzie czytelny dla rodziny G–Ramu. Wszyscy patrzyli na niego z przestrawieniem. W niektórych oczach zobaczył nienawiść. Dopiero teraz znalazł czas, żeby się wszystkim dokładnie przyglądnąć. Nie byli jednakowi. Każdy reprezentował trochę inną odmianę tej samej rasy. To nie tak subtelna różnica jak kolor skóry, nie, raczej jak odrębny gatunek zwierzęcia.

Wygląd, zachowanie, zwyczaje, nawet język był ciut inny, różny w intonacji czy naleciałości. Gdzieś to wszystko musiało się kulminować, jednoczyć we wspólnym celu posiadania potomstwa. Ale wszyscy byli trudni, wszyscy uparci, jacyś niejednolici, różni. Zauważył, że cieszy go ten fakt panującej niezgody, braku porozumienia i harmonii. Nawet pogłębiał ich wzajemne złośliwości, jak się to mówi, dolewał po cichu oliwy do ognia. Rozpalał ich ciągłe dyskusje, wzburzał swoimi poglądami, które zmuszeni byli tolerować. Uwielbiał wysuwać argumenty, to wspierając, to druzgocąc jedną ze stron w nieustających kłótniach.

Zawsze chodziło o dawne pola bitewne, o starych generałów czy

stan techniczny floty. Carter nie tolerował umizgów. Baczenie przyglądał się tego typu gestom.

Szczególnie jeden osobnik w rodzinnej braci, drab w miękkim chitynowym pancerzu, nawet próbował pieszczotliwie szczypać jego genitalia. Prawdopodobnie zachęcony nieprzemijającym zapachem ich miłości z G–Ramu. Carter nie zawahał się dopaść go w miejscu odosobnienia i utopić w rihitiolańskim nocniku wielkim jak wanna. Miał też w tym swój prywatny cel, nie chciał, żeby ta rasa pozostała na rynku wojennym. Z tego, co do tej pory odgadł, brakujące ogniwo w procesie rozrodczym zapewni brak potomstwa. Zresztą postanowił nie dzielić się więcej G–Ramu z nikim. Obcy należał tylko do niego. Później, gdy już mu się znudzi, będzie cenną zabawką najznakomitszych burdeli galaktyki.

Miał tylko kłopot z Cynthie. Patrzyła na niego jakoś dziko i pożądliwie.

W nocy nie dawała mu spać. Jękami budziła nawet dzieci. Kiedy usnęła... uciekał.

### 13.

Zamknęli się w pokoju sami. To był słabo oświetlony, przesycony aromatem starych igholatańskich win, standardowy mostek kapitański. Nic, tylko surowy osprzęt i szerokie rihitiolańskie łóżka, takie właściwie dla wszystkich ras w tym rejonie galaktyki.

– Panie Carter – powiedział nagle G–Ramu, stając na wprost. Widział, że walczy ze sobą. Przetykał gwałtownie ślinę i oddychał nerwowo. Bał się swojej decyzji. – Ja już nie umiem myśleć o niczym innym.

Nie dokończył, bo człowiek musnął ustami jego wielkie oczy. Były miękkie w dotyku języka, jakieś zamszowe i ciepłe powieki drgały pod nimi jakby dotknięte snem.

– Nie trzeba, ja sam czuję się przy tobie bosko. Tylko nie lubię



całej tej twojej rodziny.

G–Ramu wzruszył ramionami. – Mogę ich wszystkich zabić dla pana... – wyszeptał.

– O, to mi się podoba. Zabij ich. Wszystkich po kolei. – Przez chwilę się zastanawiał. – Albo lepiej razem. Albo jednak po kolei.

Oczy człowieka znów zamglila żądza mordy. Był piękny w swojej nagiej mocy.

– Mam coś dla pana – rzekł po chwili krótkiego wahania G–Ramu. Długo przygotowywał się do tej rozmowy, walczył ze sobą. Sięgnął pod łoże, chwilę błędził ręką w ciemności, ale niebawem coś zaszurało, zachrobotało i pojawiła się niewielka skrzynia z dziwnego drewna. Drewno wydawało nieśmiały blask Wiana.

Otworzył wieko i ostrożnie wyciągnął dziwny przedmiot przypominający wagę.

– Na jednej z podbitych planet znaleźliśmy bardzo stary statek kosmiczny. Musieliśmy użyć Troarów, wiadomo są najdoskonalszymi kopaczami, ale w rejonie gdzie było znalezisko bardzo o nich trudno. Wydobyć wraku spod skał i błota zajęło nam kilkanaście lat. Planeta była przesiąknięta wodą, statek ledwo trzymał się w ramie rdzy i kabli. – Carter uśmiechnął się.

Znał tę planetę. W tym czasie G–Ramu kontynuował. – Właściwie to kable utrzymywały całość. Nie wiemy, do kogo należał, ale analiza wykazała, że ma około dwanaście miliardów lat. To wiek niemożliwy do osiągnięcia dla obiektu materialnego tej klasy. Wtedy było bardzo trudno o elementy cięższe od wodoru. Ktoś jednak posiadał już wtedy bardzo rozwiniętą technologię. Ktoś, kto przybył może z innego wszechświata. Ten przedmiot pozwoli ci, panie Carter, odnaleźć sarkofag z Pierwszą Istotą. Widocznie nie była pierwsza, skoro jej szukali, ale zrobiła coś, co zapragnęli jej odebrać.

Carter ważył przedmiot w dłoniach. Była to legendarna busola Th Irtów.

Poszukiwały jej generacje ziemskich badaczy, na próżno. Teraz trzymał ją w dłoniach, dotykał tego metalu. Orkidowiec, prawdziwy

Orkidowiec.

– Jest więcej narzędzi na dnie tej skrzyni – pośpieszył z wyjaśnieniami G–Ramu. Wyciągał wszystko pośpiesznie. Dłonie człowieka drżały, a usta otwierały się z coraz większym zachwytem, kiedy dziwnych przedmiotów przybywało. – Ta długa rurka z przedziwnym, ostrym zakończeniem pozwala otworzyć trumnę. To małe urządzenie zaczepiające się o krawędzie pozwala na nieprzerwanie snu istoty. Następne na usunięcie wszystkich zbytecznych części obcego organizmu. Ten proszek pozwala na zjednoczenie się z pozostałą częścią istoty i zawładnięcie jej snem.

– O czym może śnić trup? – O byciu Bogiem, panie Carter. Czy pan chce być Bogiem? – W jego pytaniu zabrzmiało uwielbienie.

G–Ramu podał mu ostatnie z narzędzi. Carter trzymał przedmiot z niemal nabożną czcią. Był to legendarny kompas Th Irtów. To właściwie był już pierdolony komplet.

Był bogaty i, kto wie, może nieśmiertelny.

– Ten przedmiot pozwoli zlokalizować sarkofag – powiedział rozgorączkowanym głosem. – Znam to urządzenie z opisów i legend.

Po paru jego dotknięciach przedmiot ożył. Wypełniał pokój lekko różowym światłem. Takim, które znów ośmieliło ich do miłości. Tym razem G–Ramu obnażył się pierwszy. Carter nie pozostał daleko z tyłu. Obaj wpadli na łoże ze śmiechem, trudno im było zdecydować, który z nich smakuje bardziej jak kobieta. Ale czy to ważne? Carter znów poczuł tysiące pieszczotliwych języczków na przyrodzeniu, znów wypełniały się cudownym zapachem jego usta. Język taki wspaniały, wibrujący, penetrował gardło, nawet głębiej. Odnalazł jakieś przyjemne nuty w przełyku, w żołądku. Drugi wsuwał się w jelita, był wibrujący, miękki i zarazem witalny i radosny.

Carter czuł się zamknięty w tym miłosnym tańcu. Sam też próbował być czynny, ale gdzie cała jego technika mogła być porównywalna z techniką miłości Igholatańczyka. Kiedy próbował delikatnie popieścić jego język swoim, tamten natychmiast się rozpałał i cała lawina doznań spadała na Cartera, tak że czuł się wręcz zawstydzony

swoim ruchem. Rozkosz po rozkoszy, nie potrafił się od tego uwolnić. Nawet jak G–Ramu już przestał i stanął obok łoża rozkochany, z oczami ciągle rozplamionymi i czułym uśmiechem, Carter czuł się ciągle nim wypełniony. Nie potrafił się ruszyć, a nawet nie chciał. Zastygł i czekał, aż rozkosz przeminie i uwolni mięśnie.

– Będiesz mnie tak kochał do skończenia świata? – zapytał szeptem.

Igholatańczyk zawstydział się. Uciekł wzrokiem, ale Carter już mu przebaczył. Poza tym obcy pomógł mu wstać. Podpierał go rękami o długich cienkich palcach, stworzonych, żeby jednym ruchem przesywać i mordować, a tu delikatnych, wspaniale czułych. Podnosił go powoli, z obawą, aby ulotna chwila przyjemności Pana i Władcy nie uległa zakłóceniu.

Carter czuł się ocieślały i błogi, i pragnął z całej siły, żeby ten czas zamienił się w wieczność. Zaledwie powłóczył nogami w radosnym zmęczeniu.

G–Ramu pomógł mu dojść do głównej sterowni. Jakoś zapomniał go ubrać.

## 14.

Carter siedział na głównym fotelu pilota. To był statek obcych. Fotel nie był robiony na jego miarę, zdawał się w nim mały i niepozorny. Poza tym był nagi. Powierzchnia siedzenia była lodowato zimna, jednak rozgrzewała go perspektywa masochistycznego obnażenia. Nie wiedział, skąd u niego nagle tyle dewiacji. Ale wobec całej tej skubanej rodziny i kochanka okazywał dumę i rozkoszne poczucie wyższości. Też nie rozumiał, gdzie to uczucie ma swe korzenie.

Do sterowni wbiegła Cynthia. Była w przeciwsłonecznym kapełuszu.

Drżała. Z jej oczu płynęły łzy.

– Ty męska dziwko! – krzyknęła i natychmiast zakryła usta

brudną od gliny dłonią... z obrzydzenia.

Carter uśmiechnął się do niej. Kiedy go szarpała, nawet się nie poruszył, żeby nie stracić niczego z błogości chwili, w jakiej zamknął go G-Ramu.

Igholatańczyk odciągnął ją na bok.

– G-Ramu, ty musisz mi pomóc – wyszlochała w jego ramiona. – Ten drań jest w orgazmie. Stary zbok! – wykrzyknęła, zanosząc się płaczem.

– Co się stało? – zapytał obcy.

– Znalazłam córkę – ledwo mówiła łkając. – Znalazłam zamordowaną córeczkę. Miała dopiero osiem lat. Ktoś rozerwał jej nogi i wrzucił do wykopu. – Jej ręce dygotały. Wspomnienie mydlanej korony na głowie córeczki ją oślepiało, a słowo „mamoszek” ogłuszało do bólu, który wyciskał łzy. – Taka straszna śmierć – mówiła. – G-Ramu?! – zapytała, patrząc mu głęboko w oczy.

– Tak? – Pytaniem i tak wyrażał gotowość.

– Pomóż mi znaleźć mordercę – poprosiła. Myślała przez chwilę i dobitnie stwierdziła: – To musiał być ktoś od nas. Znalazłam ślady bestialskiego gwałtu.

Twarz G-Ramu była jak z kamienia. Tylko w oczach rodziło się zimne, obojętne spojrzenie, które przebiegło kobietę jak dreszcz od stóp do głów.

– Dobrze więc. – Skinął na dwóch pilotów. Obaj drżeli, kiedy wychodzili we czwórkę na zewnątrz. Zrobili kilka kroków i zatrzymali się pod wielkim wspornikiem statku. Coś miarowo syczało im ponad głową.

– Gdzie masz tę broń, którą znalazłaś wczoraj w wykopaliskach? – zapytał G-Ramu z lodowatą nutą w głosie.

Patrzyła na niego z niedowierzaniem.

– No... Mówię o tej, którą chowałaś za pasek od swoich jeansów – wyjaśnił zimno.

W jego oczach widziała tylko beznamiętną wściekłość. Podała mu z wahaniem miniaturowego colta, którego znalazła podczas sa-

motnego spaceru przed zachodem słońca.

– Ładny – rzucił twardo. Wymierzył do swoich towarzyszy i strzelił im kilkakrotnie w brzuchy. Zwinęli się jak puste, papierowe worki. Ta broń strasznie wysuszała.

– Teraz jesteśmy już kwita? – zapytał. W jego ustach coś ruszało się nieustannie. Wielkie gardło przesuwano się tam i z powrotem. Czuła jego słodki oddech, jakby najadł się przed chwilą cukierków.

– Ja... Ja... – Nie umiała wykrztusić słowa. Cofnęła się o krok. Wtedy z wnętrza statku wybiegł młody igholatański chłopak. G–Ramu wystrzelił mu w głowę. Czaszka zapadła się z sykiem i skwierczeniem do środka. Chłopak biegł jeszcze krzywo, ale w końcu zwałił się na bok z westchnieniem.

– Nie pomyślałem o tym – mruknął swoim lodowatym tonem. – Masz rację. Ostatnia ofiara była w zbliżonym wieku. Teraz jesteśmy kwita. O zwłoki się nie martw. Troary zeżrą wszystko. Na tej pustyni nie ma wielkiego wyboru.

Podał jej jeszcze ciepły rewolwer. W oczach już tylko paliła mu się obojętność. Po twarzy Cynthie lały się łzy. Nie przestawała się trząść.

Odrząciła jego rękę. Nie chciała broni i jego jarzma wyrzutów.

## 15.

– To potwory! Zrób coś! – Stała naprzeciwko niego w samym biustonoszu.

– Nie mogłam znaleźć jej głowy! Rozumiesz?! Głowy! Mój Boże... Znalazłam pojedyncze, małe oko, które okazało się jakimś parazytem, oślizłym grzybem, włosy, które były wysuszonym mchem! Ja zwariuję, rozumiesz?! – Spokojnie, Cynthie. Mamy kopię naszej Riany w głównym banku genetycznym Ziemi. No co? – zachnął się. – Najwyżej nie będzie pamiętać ostatniego roku. Nie było nawet czego. Tylko wojna i podróże.

– Ale ty i ten G–Ramu! Durniu! – Jej dłonie zacisnęły się na niewidzialnej złości.

– Mam ci przypomnieć tych sukinsynów z Loganii? Co z nimi robiłaś? – Miał na ustach drwiący uśmiech. Dziwny jak na tak obrzękłą twarz.

– Ale zobacz, co on z tobą robi. Wyglądasz jak podtruty. Straciłeś naturalne kolory. Jesteś jakiś zimno siny. Brak ci koordynacji ruchu. I... Nie dotykaj mnie! – rzuciła szybko, kiedy próbował chwycić jej rękę.

Zrobił nieśmiały krok do tyłu. – Nawet już nie chcę. – Stracił nadzieję na jej udobruchanie. – Chciałem tylko powiedzieć, że wyprowadzam się.

– Że co? – Nie wyszło jej to zdziwienie. Duchowo już nie mieszkali razem.

– Dobrze słyszałaś. Przenoszę się do mieszkania G–Ramu. – To imię uderzyło ją jak cios.

– Ty... – Brakowało jej słów. – Całkiem oszalałeś. – Gwałtownie uniosła rękę. – Ale zrób jeden krok w tamtą stronę i nie chcę cię znać.

– A pewnie. W banku genetycznym znajdziesz moją kopię z czasów przed tą wyprawą – rzucił za siebie. Jej ostatnie słowa tylko go zachęciły.

– Przecież jesteś notowanym kryminalistą. Takich się nie kopiuje – stwierdziła sardonicznie.

– Trudno, znajdziesz kogoś innego. – Trzasnęły drzwi.

## 16.

– No, cześć... – Chłopak podniósł wzrok znad znaleziska. Siedział sam w wykopie. Słońce paliło tu niemiłosiernie. Był cały spocony, ale, jak rodzice, zainteresowany znaleziskiem. Sam sprzedawał, co znalazł. Była to forma kieszonkowego.

– Nie znam pana – rzucił oschle.

– Znasz, znasz. – G–Ramu zmierzwił mu włosy swoją żabią dło-

nią. – Pamiętam cię stojącego za szybą więzienia. Co tam robiłeś? He? – Nie znam, po tym, co robi pan z moim ojcem. – Ze złością odepchnął dłoń Igholatańczyka. Przełknął ślinę. Nawet język drżał.

– Słuchaj – mówił dalej bardzo spokojnie G–Ramu – lubię twojego ojca.

A nawet bardziej lubię ciebie.

– Mama mówiła, żeby was wszystkich omijać z daleka.

– I dlatego tu jesteś? Chłopak zmieszał się.

– Nie wie, że tu jestem. – Przeraził się dźwięku własnych słów. Głina na dłoni zasychała. Czuł jak pęka, kiedy przetacza się pod nią linia strachu.

– Myśli, że jesteś na statku? Przytaknął głową w odpowiedzi.

G–Ramu pociągnął go za ramię. – W takim razie chodź ze mną. Coś ci pokażę.

Chłopak podążył bardzo niechętnie. Zagłębili się w labirynt na poły zniszczonych ścian. Wszystko tu szeptało jakieś zaklęcia czy wiersze. Można było od tego oszaleć. Od paru dni pojawiły się chmury jakichś owadów.

Były nieznośne. W tym końcu pracowało kilku Igholatańczyków. G–Ramu przywitał się z nimi uśmiechem. Stali przez chwilę nieruchomo. Jak skazani przed szwadronem śmierci. Nieoczekiwanie obcy wyciągnął niewielki przedmiot z kieszeni. Czarny rewolwer mamy. G–Ramu wsunął go w dłoń chłopaka.

– Jak masz na imię? – zapytał z uśmiechem jaszczurki.

– Orsan – rzucił niechętnie chłopiec.

– Żal ci siostry. Chciałbyś ją pomścić? Zastrzel tych tam pod ścianą. Już ich nie kocham.

– Mama wczoraj... – zaczął wyjaśniać.

– Ale ty nie masz do mnie żalu? Chcesz wyrównać straty? Zabij ich. – Jego wielkie oczy miały już krótkie błyskawice.

– To nie jest czysty interes. Ja kochałem swoją siostrę. Ty chcesz jej życie w zamian za śmierć tych, których sam chcesz się pozbyć. Musiałbym zabić ciebie.

– O, targujesz się – warknął.

– Jeśli czujesz się winny, to pozwól mi ustalić cenę – przekonywał Orsan.

– Nic nie będę z tobą ustalał, smarku. – Złapał go, ścisnął za ramię i cisnął do rowu. Chłopak upadł na dno wypełnione wodą. Nie tracąc chwili, rzucił się do ucieczki. G–Ramu był za nim. Czuł jego oddech na plecach.

Wtem ktoś go złapał, uniósł za nogi wysoko w powietrze. Ciągle rozwierał dziecięce nogi szerzej i szerzej, niemal je rozrywając. Orsan krzyczał z bólu.

Poczuł w swojej dłoni broń. Strzelił na oślep za siebie. Coś trafił, bo upadł razem z kimś, ale nie był to G–Ramu. Ten ciągle śmiał się gdzieś z boku.

– Tylko to... sprawi mi przyjemność... smarku! – krzyczał i rechotał na przemian.

– Później pogadamy o przyjemnościach, jak dopadnie cię moja kula! – odkrzyknął chłopiec, biegnąc wzdłuż rowu.

– O, to lubię. Zachowujesz się jak twój tatuś.

– Pieprz się! Do końca rowu pozostało parę metrów. Tam zaczynała się skarpa.

– Dopadnę cię, nie pożałujesz.

– Mammmo! – Stanowisko archeologiczne Cynthie było tuż obok.

G–Ramu wpadł na jego plecy jak rozwścieczony zwierz. Kąsał go zębami, dość pieszczotliwie. Wykręcił mu głowę i wcałował się w dziecięce oczy. Cieszył się, że mały krzyczy, że jest cały sztywny, obolały w rozpacz.

Ścisnął go mocniej długimi, sztywnymi w podnieceniu palcami. Potrafiły nieść ból, pieszczotliwie gładzić i penetrować, przebijać i rozrywać, nawet ciąć, będąc w specyficznym złożeniu. Była to w końcu jedyna broń tej rasy w pradawnych zamierzchłych czasach. Kiedy wszyscy mieszkali na drzewach. Wpił się pocałunkiem w małe usta, rozerwał ubranie i począł zlizywać to małe ciało. Jednak mały błąd i



małe ciało się wymknęło z przeraźliwym wrzaskiem. Zarechotał. Jego śmiech przerodził się w przeciągły gulgot, potem warczenie, kiedy mały strzelił w skarpę ziemi tuż obok głowy.

– Jesteś cholernie nieczuły, jak twoja siostra! Z waszej rasy dobrze smakują tylko dojrzałe mężczyźni! – krzyknął za nim, poprawiając generalski mundur.

## 17.

Patrzyli na niego na poły z nienawiścią, na poły z zazdrością. Niektórzy zwierali szczęki z wścieklej bezsilności. Wiedzieli, że jeden jego ruch może pozbawić ich życia. Carter nie dbał o to. Wystarczyło jedno przerwane ogniwo, żeby ta rasa przestała istnieć, ale dla bezpieczeństwa rozkazał G-Ramu wszystkich ich wysłać do diabła. Pamiętał, jaką miał minę, gdy wyjawiał mu swój plan. Nic, tylko zaćmione uwielbienie malowało się w jego oczach. Potrafił wzbudzić w tej istocie okrucieństwo. Nawet zażądał głowy najmłodszego członka rodziny. E-Lamu bawił się wtedy z nanorobotami.

Udusić go zabawką nie było żadnym problemem. Czego nie robi się w pragnieniu udowodnienia miłości? Kochali się potem namiętnie całą dobę. Do sterowni przyniósł go od razu po lądowaniu. Carter, nie wiadomo dlaczego, miał ostatnio problemy z chodzeniem.

Znowu spojrzął na wszystkich z pogardą. Nagi, z obleśnym uśmiechem, wyglądał jak dziwka. Jego usta były krwistoczerwone, oczy niemal sine z braku snu, ciało opuchnięte i białe jak świeczka, w której ktoś tylko przypadkiem nakleił plastry włosów na jeszcze męskim torsie. Pokrywały go linie zadrapań. W wielu miejscach wykwitły sińce, zwykle tam, gdzie uścisk był najsilniejszy.

## 18.

– Mammmo... – Orsan wpadł na nią potargany i skrwawiony. W jego dłoni jeszcze dymił mały rewolwer. Ten sam, który nosiła od dłuższego czasu w swojej kieszeni. Wpadł na nią jak burza. Zwiśł ramionami na jej brzuchu, upadł do stóp łkając.

Trzęsąc się od wizji i przeczucia, upadła razem z nim.

– Co się stało, dziecko? Dzieciaku, uspokój się, mów. Mały mój! Przestań płakać! Mów! – G–Ramu... – Co G–Ramu?!

– Lizał mi usta, lizał mi brzuch i potem... pupę. – Trząsał się jak w gorączce.

– Kazał mi zabijać swoich krewnych. Mówił, że już ich nie kocha! – szlochał bardziej. – Mówił... że mam sobie odebrać dług. – Łzy ciekły mu po twarzy. – Mówił, że jestem mały, sztywny smark, że nie znam się na pieszczotach! – W kąciku jego ust pojawiła się krew z pękniętej wargi. – Taki sam sztywny smark jak moja siostra.

– Gdzie jest ten skurwiel?! – Za skarpą. Nie idź tam! Proszę nie idź! – Trzymał się mocno jej ręki. – On tu nie przyjdzie. Wiem! Boi się ciebie, mamó! – Boi się... – prawie wyprostowało ją to zdziwienie – mnie?! Chłopiec całował jej dłoń, kiedy mówił. – Nie jest dobrze, kiedy się nie kochacie z ojcem. Mała Riana powiedziała mi jednej nocy, kiedy słuchaliśmy odgłosów z waszego łóża, że bez seksu nie ma zdrowej rodziny, że tata oszaleje od chcicy i wybierze sobie obiekt zastępczy. Dla mamoszka liczy się archeologia. Tylko kopanie i dłubanie.

– Więc to wszystko moja wina? – Była więcej niż zła. Uderzały jeszcze żal i fala goryczy, która wysusza serce.

– Tak myślałem przedtem. – Orsan przełknął ślinę. Ciągle się bał... nawet mamy! – Trochę czytałem. Kiedy rozmawiałaś z ojcem na ten temat, sam przeszukałem net. Igholatanie mają dwadzieścia siedem płci. Tak? Skinęła głową na zgodę.

– Współżyją razem do czasu, kiedy jeden z nich uzyska gotowy do rozrodu pakiet genetyczny. Tak zwane goole. Wtedy wynajduje z pozostałej paczki najlepiej rokujący garnitur rozrodu i składa w nim swoje goole.

Resztę rodziny usuwa. Może ich nawet zabić.

– Wiem o tym wszystkim. Nie myśl o tym. To cię straszy. – Gładziła jego włosy. To był ciepły ruch. Upajał go.

– Nie, mamó. On się ciebie boi, bo ty możesz odebrać mu ojca. – Orsan był odkrywcoy, był przekonywujący, był szokujący w swojej odkrytej prawdzie.

– O czym ty mówisz? – Oni posiadają bardzo silny instykt posłuszeństwa wobec tego seksualnego rytuału. Członkowie rodziny Ramu go nie zabiją. Ty możesz. – Patrzył w jej twarz z bolesną nadzieją.

– Zabić ojca? – Miała nagle szklane oczy.

– I ja mogę... – Zadrżały mu usta.

– Co ty? O czym ty, do diabła, mówisz?! – Lepiej biegnijmy na statek, mamó. Nie mamy chwili do stracenia.

## 19.

Po ostatniej upojnej nocy z G–Ramu Carter leżał na ogromnym rihitiolańskim łózu otoczonym przyrządami niewiadomego pochodzenia. Nie umiał się ruszać, nawet nie chciał uronić chwili z błogości, którą odczuwał. Ruch oznaczał bodźce, oznaczał ponowne zatrudnienie układu sensorycznego i stłumienie rozkoszy. Czuł, że jego ciało napęczniało, wzdęło się w ogromie tego uczucia. To był puch, pianka sięgająca nieba, to nie była gumista naciągnięta skóra. Zaledwie można go było rozpoznać w tym stanie. Tylko jego usta i bezczelne, upiorne oczy pozostały takie same. Roześmiał się zjadliwie na dźwięk kroków G–Ramu. Patrzył na Igholatańczyka z bezgraniczną miłością i oddaniem. Oddał mu wszystko, nawet pierścienie mocy WIFI, wiedząc, że Armia i tak go z nimi kiedyś przyskrzyni. G–Ramu potrzebował tej mocy, było niemożliwością dźwignąć ważące ponad tonę ciało człowieka.

– Tylko ja i ty – wyszeptał człowiek. Ton jego głosu pieścił nawet słowa.

Nie mógł dojrzeć sufitu. Skąd na tym statku taka wielka hala? – Tak, panie Carter.

– Nie musisz mnie tak nazywać. Mówiłem, że dla ciebie mogę być po prostu Geoffrey. – Zabrzmiało to jak delikatne upomnienie.

– Ja... Ja nienawidzę pana od pierwszego dnia, kiedy pana ujrzałem.

– To boli, G–Ramu. – Nie potrafił nawet wiercić się na łóżku, a pamiętał, że tak to lubił przed seksem.

– Niech więcej niż boli. Niech cię piecze w najgłębszym zakątku twego serca, niech ten rozjątrzony ból wyleje się na ciało, niech zszarpie najmniejszy splot twoich nerwów, niech przejmie cię goryczą i niepojętą niemocą.

Poczujesz wtedy to, co czułem ja, kiedy mordowaliście moich bliskich, paliliście miasta i niszczyliście miejsca Wartości.

– Nie wierzę w to, co mówisz, łotrze... Powiedz, że tylko droczysz się ze mną, że to znowu figlarna zabawa... – Należy ci się pewne wyjaśnienie – zaczął G–Ramu poważnym tonem.

Carter nie był przyzwyczajony to poważnych rozmów już od dłuższego czasu. Ranił go ten ton. – Moja rasa jest inna niż twoja. My nie niszczymy życia, raczej celebруем jego różnorodność. Wynaleźliśmy sposób na jednoczenie genetycznych struktur. Rasy, które napotkaliśmy, podbijając galaktykę, miały nie tylko wady, ale również zalety. Zrobiliśmy wszystko, żeby te właśnie zalety wyzyskać w nowym projekcie nadistoty. Nie było to łatwe.

Natura wydała nas na świat, bo miała w tym cel – propagację i ochronę życia. Wyniesienie tego życia pomiędzy gwiazdy. Dlatego nie niszczyliśmy.

To była nasza filozofia i wiara. Wszystko, co napotkaliśmy na naszej drodze, poddawaliśmy drobiazgowym badaniom. Każdy nowy wzór genotypu był dla nas bezcenny. Ładowaliśmy to do naszej zbiorowej genetycznej pamięci i stosowaliśmy w tworzeniu i doskonaleniu nowych gatunków. Zaczynaliśmy od drobnoustrojów. Potem udało się kreować nowe gatunki zwierząt, wreszcie spróbowaliśmy na nas sa-

mych. Dlatego potrzebowaliśmy aż dwudziestu sześciu osobników o różnej potencji genetycznej i lat grupowej miłości, aby uzyskać jednolity pakiet nasienia zdolnego zawrzeć w sobie wszystkie genotypy. Z tobą to było eksperymentowanie i wielkie wyzwanie. Goolo było gotowe. Udało się. Ty i pięćdziesiąt procent naszego materiału genetycznego pozwoli na stworzenie rasy, która będzie zewnątrznie nie do odróżnienia od człowieka, a wewnątrznie będą to tylko nasze igholańskie dzieci.

– To będą bękarty! – ryknął ciepłym głosem Carter. Ciągłe go jeszcze kochał. Pomimo tych słów. Pomimo ich brzmienia.

– Panie Carter, to będą nasze dzieci, a jeśli się nie uda z panem, spróbujemy jeszcze raz. Pełno jest w waszej rasie takich jak pan starych lubieżników, pedałów i wszelkiej maści zбочeńców seksualnych. Dotrzemy do właściwego genotypu, zrewidujemy i zmiażdżymy tę waszą butę i arogancję.

Zjednoczymy z tym, co pozostanie, naszą nienawiść i okrucieństwo. To, co się urodzi, stanie się przekleństwem wszechświata! – Wybuchł szalonym śmiechem. – Ta hala nie jest kolejną sypialnią. To łóżce, na którym tak wygodnie leżysz, nie jest łóżkiem do uprawiania miłości. Te wanny pełne odżywczych cieczy nie służą do kąpania. Skrzętnie to miejsce ukrywałem.

Nie będzie więcej miłości między nami. Tak, tak, nigdy jej nie było, zawsze cię tylko nienawidziłem, nienawidziłem aż do granic rozkoszy. Jesteś w pokoju porodowym Rihitiolan. Przychodzili na świat bardzo podobnie jak my, podobnie jak my pokochali naturę i jej troskę o zachowanie gatunków. Seks w waszym ludzkim wykonaniu jest prostacki uczuciowo, prymitywny technicznie i w ogóle nieinteresujący erotycznie. Nawet ewolucja nie zadbała o odizolowanie miejsc usuwania odpadków z organizmu od miejsc erogennych. Musiałem się za każdym razem przebijać przez pokłady zwykłego łajna. Posiadacie w technologii rozrodu mikroskopijne, pojedyncze jajeczko i miliony, ba, miliardy ślepych strzałów, żeby je trafić i zapłodnić. Co za prymitywne marnotrawstwo. Moje goolo przenika wszystkie miliardy pana

komórek i przekształca je w komórki macierzyste nowego ciała. Każda z nich będzie nowym niezależnym organizmem. Sami wybieramy spośród siebie Matkę Żyworodną. Od czasu zapłodnienia po poród nasze ciało przyjmujące czuje tylko rozkosz i dumę. Będziemy mieli nagle miliardowe potomstwo, panie Carter. Kiedy nasze dzieci przybiorą ludzki kształt, będą na zawsze bezpieczne.

Carter zarechotał na dźwięk tych słów.

– Ty igholatański psie – zaczął. – My zabijamy samych siebie z jeszcze większą przyjemnością. Nie jestem tu oficjalnie. Ja to wszystko robiłem na własną rękę.

Dopiero poznasz smak ludzkiej potęgi, jak się do ciebie dobierze policja genetyczna. – Jego głos był zachrypnięty, ale mocny i straszny w tak wielkim ciele.

– Jak to? Przecież jesteście doskonali. Zabijacie samych siebie? Nie usłyszał odpowiedzi. Statek zakołysał się. Wstrząsnęła nim detonacja. Stabilizatory położenia przez chwilę z trudem utrzymywały pionową pozycję. Ktoś wysadził solidnie zamknięty właz wejściowy. Niepotrzebnie zwlekał, powinien był natychmiast wystartować.

## 20.

Cynthia skradała się w ciemnościach korytarza. W jej rękach drżał mały karabin z laserowymi ładunkami detonującymi. Trzęsła się. Nie chciała krzyczeć. Jeszcze nie teraz. Orsan wbiegł do statku razem z nią, ale straciła go z oczu, kiedy w dymie po wybuchu po prostu się rozkaszała. Jeśli go zawoła, odsłoni swój słaby punkt. Igholatańczyk będzie wiedział, że zgubiła syna. Znajdzie go i użyje jako tarczy. Drżała na myśl o takim zwrocie akcji.

Trzymała się ściany. Gdzieś tam były drzwi do ładowni. Załadowali wszystkie trumny, jakie znaleźli. Były otwarte, w razie czego schowa się do wnętrza i poeksperymentuje z kontrolowaną magią. Uśmiechnęła się do tej myśli.

– Hhhej? – Ten szept przerażał. Ten szept nadchodził gdzieś z góry. Ten szept mógł spadać z czarnych krążków komunikatorów. Ten szept mógł być pytaniem o jej położenie.

Milczała dalej, posuwając się wzdłuż ściany z palcem na podwójnym spuście broni. Plecami wycierała cały chłód ze ściany, aż spływał z niej mrozącym potem.

– CCCynthiieeee... – szept syczał. – Jesteś, pizdo, blisko. Czuję to. Dalej nie dawała się sprowokować. Tylko na ustach poczuła smak łyzy.

Jakiś cień, czarniejszy niż ta ciemność, skoczył gdzieś w bok, gdzie powinny być drzwi. Strzeliła. Detonacja oślepiła ją. Upadła na kolana, jęknęła.

Nikogo tam nie było, tylko ściana zapadła się do środka jakiegoś pomieszczenia, paląc się z furją. Dym znów niemal ją udusił. Pobiegnęła w ciemność.

Tylko żeby się ukryć. Teraz już mamrotała słowa jakiejś bojowej pieśni z kobiecych szwadronów inwazyjnych. Pomagały w takich chwilach jak najlepsza modlitwa. Gdzieś tu była ładownia, gdzieś tu... – Cynthiieeee... – Szept był blisko. Nadchodził z za rogu ściany. Wierzyła, że widzi tę żabią twarz z wielkimi jak u sowy oczyma. Bała się tylko spać strzał.

– Twój mąż rodzi – mówił – Cynthiieeee. Będziemy... tatusiamiiii... – Rechotał przez chwilę, zanim zamilkł w przeciągłym syku.

Drzwi. Drzwi. Drzwi. Zobaczyła zarys klamki i drzwi. Klamka.

Nacisnęła w pośpiechu. Źle. Poprawiła uchwyt, karabin przeszkadzał. To była rihitiolańska pierdolona klamka. Zawsze miała z nią kłopoty. Szybko odłożyła broń pomiędzy nogi i napała dłońmi z całej siły. I to nieomal ją zgubiło. G–Ramu tylko na to czekał. Wyskoczył z ciemności wprost na otwierane drzwi. Szczepił się z jej ciałem, wierzgnął nogami, żeby dobrze ją przygwoździć swoim ciężarem, kiedy upadną na podłogę. Cynthie stęknęła głucho, jej plecy niemal się rozpadły na dwoje. Było tu kilka stalowych stopni. Czowała jak ścinają jej skórę razem z superwytrzymałym kombinezonem.

Obcy unieruchomił ją tuż pod schodami splotem ramion. Czowała jego kwiatowy, pełen jadu oddech. Nawet zlizął swoją własną ślinę z jej ust.

– To taki żarcik, Cynthia – skomentował. – Bawimy się dalej?  
Milczała przez chwilę.

– Masz mojego męża.

– Mam was wszystkich – zachargotał wręcz z podziwu dla swego geniuszu. – Ciebie, zmijo, zostawię sobie na sam koniec. Jesteś zbyt wulgarnie zachęcająca. Wolę wstrzeźliwość i opanowanie. Łatwiej uzyskać stadium miłosnego upojenia, tak bezwzględnie niezbędnego do rozpoczęcia procesu fuzji moich goolo z komórkami ciała donora.

– Mi już nic nie zrobisz.

– Zrobię, zrobię – syknął krótko. Z oczu sypały mu się iskry.

Cynthia splunęła mu w twarz.

– Czujesz?! – warknęła. – To nie jest zapach mojego męża. Ja też jestem zapłodniona przez jednego z was. Czujesz, psie?

Nie wierzył. Nie wierzył, ale zwłóknął się z niej załamany. Nawet gdyby kłamała, to czuł w jej ślinie... smak pędzącego przez żyły, jak trucizna, rozrodczego płynu.

– Kto?! – Jakże stanowczo to zabrzmiało.

Biedny dureń się pyta.

– Moogie. – Słowo jeszcze nie zdążyło opuścić jej ust, a już na łokciach wymknęła się spod niego.

Kopnęła go jeszcze na wylocie z całej siły w żółwią pierś. Ciągle tkwił jak ogłuszony w tej samej pozycji, z rozdziawioną paszczą pełną jakiegoś wyrodnego mlasku, który brała za niesmak czy oburzenie. Dość, że dał jej czas na skok w ciemność.

G–Ramu leniwym ruchem sięgnął do włącznika na ścianie. Ładownię zalało jaskrawe światło. Oboje wyglądali na śmiesznie małych naprzeciw rzędu gigantycznych trumien. Wieka leżały oparte o ścianę. Wszędzie pałętały się sterty skrzyń i kosze nieprzesegregowanych artefaktów. Na niektórych widniał biały numer identyfikacyjny. Cynthia ciągle się cofała w stronę najbliższej trumny. G–Ramu wahał się.



– Nie możesz mnie zabić... To wbrew regułom – wyjawiała mu swą myśl.

Zdała sobie sprawę, że zgubiła gdzieś laserowy karabinek. Przeszedł ją dreszcz złego przeczucia. Było coraz mniej miejsca i coraz mniej czasu.

G-Ramu uniósł wolno głowę. Patrzył na nią z wściekłą nienawiścią.

– Mogę olać reguły. Jestem tu sam, bez świadków nie istnieją prawa. Nie wierzę w duszę, nie mam więc wewnętrznej bariery dla czynu. Zastanawiam się tylko... – Długo ci to zajmuje. – Próbowała ręką namacać pudła za plecami.

Musi w nich być jakaś broń czy choćby zardzewiały, długi gwóźdź.

– Zastanawiam się tylko, jak cię rozszarpać. I tego twojego smarka. – Nagle drgnął przerażony. – Gdzie masz smarka? – ryknął. Jaskrawe światło wykreśliło sporo cieni na skórze jego ciała. Był jak złożony z kościanych, sztywnych fragmentów. Co za dziwna istota... – Mój Orsan? – roześmiała się radośnie, ręka znalazła kilka rewolwerów na raz. – Mój syn zabija teraz swojego ojca.

Stał oniemiały. W jego twarzy malowała się zgroza.

– Czy...?! – Czy ziemskie dzieci zabijają rodziców?! – dokończyła za niego pytanie. – Pewnie! Synowie karzą śmiercią ojców z różnych powodów! Czeka cię miliard śmierci, tatusiu! – rzuciła za nim, gdy wyrwał się jednym skokiem na korytarz.

Nie traciła czasu. Wyszarpnęła kilka rewolwerów i pobiegła za nim, krzycząc i płacząc na przemian.

## 21.

Nacisnął rihitiolańską klamkę i kopnął drzwi. Stał jak wryty. Naprzeciw łóża stał chłopiec. Oburącz trzymał broń. Wizja strzału w głowę ojca roztrząsała każdy skrawek jego ciała. Topniały mu oczy.

Płakał. Opuszczał i podnosił lufę swojego jakże małego rewolweru, jakby próbując wszystkie parszywe zaklęcia śmierci.

– Ej, smarku! – zawołał G–Ramu sprężony w swoim biegu, bo już biegł, mocarny w każdym kroku, pochylony i syczący jak jaszczur. – Zobacz, co mam. – Pokazał trzymany w jednej dłoni okrągły pulsujący przedmiot. – Twoją pukawką możesz mnie i twojego ojca co najwyżej kurewsko uszczypnąć.

Chłopiec stał oniemiały. Zadanie widać mocno go przerosło.

G–Ramu biegł. Sala była potężna. Kilkanaście kadzi do filtrowania i karmienia małych. Wielkie nagrzewnice i wentylatory. To był technologicznie wysoko rozwinięty przemysł rozrodczy. Nic, z czym mógłby się równać człowiek z jego pojedynczą macicą i ślepą jak kura szansą zaistnienia.

– To jest blokator. – Machnął nim w powietrzu jak policjant odznaką. – Pozwala na ograniczenie mocy broni w całym tym obszarze. Doskonały podczas rozejmu dla dowódcy. Niezastąpiony dla policjanta w akcji. Znalazłem to w ruinach.

Zatrzymał się parę metrów przed nim. Mówiąc, wyszczerzył do niego... dłonie. Palce rosły, sztywniały. Nie, nie, to nie była jakaś tam erekcja palców.

To był pradawny zew mordy. Mechanizm, broń ukryta w igho-latańskim ciele od milionów lat. Kiedyś, jak ludzie w dzikich hordach, przemierzali bezkresy planety w poszukiwaniu pożywienia i życiowej przestrzeni. Walcząc tylko... na ręce.

Palce puchły, potężniały, przedtem sflaczałe, stały się teraz zrogowaciałe i ostre jak szpony. Te parę metrów do chłopca pokonał w jakimś dzikim tańcu, w podskokach, które nie miały nic z hojności dynamizmu, a raczej wiele z radości szczura. Wytrącił mu z rąk rewolwer i przebił go jedną z dłoni jak harpunem. Rzucił zwiotczone ciało bardzo daleko, bo aż na ścianę. Roztarł plamę krwi na podłodze zabią nogą. Brzydziła go. Odpychała jej czerwień.

– Aaaa... Cynthia uderzyła go w plecy. Upadł, ale od razu zerwał się na równe nogi. Biegła do łoża porodowego. Z jej nogi kapłała krew.

Kulała.

Biegł za nią i chichotał. Strzelała i nie trafiała. Chichotał i biegł, drapiąc ją po plecach długim pazurem. Miał ją na wyciągnięcie ręki i mógł tylko szarpnąć raz i definitywnie. Otworzyć jej skórę aż po dumnie wypięte piersi. Mógł.

Mógł... ale nie chciał. Strzeliła w ciało Cartera, aż ten drgnął obudzony.

– Kochanie? Cynthia? – Miał spojrzenie pełne białej mgły.

– Milcz, ty zapleśniały dupku.

Następny strzał był nieprzyjemny. Był bliższy.

– Mówiłem smarkowi, że ta broń jest dobra na pchły. – G–Ramu złapał ją i odwrócił do siebie. Odtrącała go. Odskoczyła. Miała jeszcze tyle siły wśród łez i rozpacz.

– Gińńń!!! To, co zrobiła teraz, zaskoczyło nawet ją samą. To była mała zardzewiała wyrzutnia miniaturowych strzał z rozwierającym się ostrzem. Piękna broń nieznanego rasy z granic galaktyki Mlecznej Drogi. Użyła jej przedtem tylko raz. Teraz znalazła ją w swojej skrytce z narzędziami archeologicznymi.

Wyrwała to małe żelastwo z kieszeni kombinezonu. Zbliżyła jak najbliżej głowy męża i wystrzeliła. Bryzgi krwi lśniły na jej czole, kiedy cofała się w stronę wyjścia. Krok za krokiem, byle dalej od tej przeklętej poczwary.

G–Ramu pochylił się do skoku. Potem nagle zwiotczał i uśmiechnął się zrezygnowany.

– Mam jeszcze ciebie i twoje igholatańskie bękarty Moogie’ego.

– Wzruszył ramionami. – Chodź do mnie, Cynthia, poczujesz pasję mojej miłości. – Znów pochylił się z sykiem żmijki.

Cynthia przełknęła ślinę. Jej decyzja była nieodwołalna, jedyna, przeszywająca przerażeniem i lekkim dreszczykiem satysfakcji, słuszna i jednocześnie przeraźliwie druzgocąca, oparta na pryncypialnych przesłankach zemsty za syna? Jaka? Jaka?, pytała samej siebie, kiedy wyrzutnia tuż pod szczęką eksplodowała w przeraźliwie zardzewiałym smaku.

*Opowiadanie pochodzi ze zbioru Testimonium (Warszawska  
Firma Wydawnicza, 2013).*

**Jan Maszcyszyn**

## **SPOTKANIE NA SKRZYŻOWANIU LOSÓW**

### **1.**

Kelvin Klein był wroną. Dla przyjaciół – Kej Kej. Było późne popołudnie.

Wiatr rozhuśtał elektryczny przewód, na którym siedział. W dole zatańczyła rozciągnięta linia pojazdów. Czerwone światła stopu mogły przyprawić o zawrót głowy. Wtedy łatwo spaść i skończyć jako czarna miotła do wycierania kurzu z żaluzji. Widział takie wycierusy w willi starego Alberta. Trudno było znaleźć pojedyncze, zdrowe pióro w miękkim worku z pajęczyn.

Znowu był gdzieś korek na Somerton Road. Od smrodu spalin kręciło się w głowie. Gdzieś chodził niskotonowy głośnik. Gdzie indziej system audio wydobywał krystalicznie czyste tony. Daleko w tyle był w radiu arabski duchowny w świętej transmisji bez końca. Muzyka tłoczyła się, plątała, tworząc breję, której nie powstydziliby się gabinet przyjęć szpitala psychiatrycznego.

Ktoś małą rączką rzucił hamburgerem o drzewo. Smarkacz w żółtym golfie wypluł gumę z rozmachem, staruszka rozkaszała się gwałtownie, brudny robotnik zasnął opierając głowę o kierownicę. „Co za zbiorowisko sprzeczności i ogłupienia”, pomyślał ptak. Popuścił małego bąka i przy okazji kropla gówna zmieszanego z moczem chlusnęła o szybę ciężarówki w dole.

Lubił, kiedy ludzie przeklinają i wygrażają do niego pięściami. Miał to głęboko... pod skrzydłem.

Przeczyścił pióra. Lotki były już trochę zjechane. Ostatnio podziobali się z Kate. Kate była Wolna. Wymówiła mu gniazdo. Nigdy nie chodził na boki, jajka miał tylko z nią. Widziała go parę razy na Drucie w podejrzanym towarzystwie. Drut to słup telekomunikacyjny Telstry w pobliżu przecznicy.

Nie zrobił nic złego, przeczyścił tylko pióra przelotnej wronie z okolic Donybrook. I tak nigdy by tam nie poleciał. Wiocha i wydmuch.

Policyjny wóz wreszcie znalazł wolne miejsce i podjechał pod stację benzynową Woolwortha. Kej Kej tylko na to czekał. Sfrunął łagodnie na blaszany daszek, tuż przy wejściu do Subwaya. Pewnymi krokami przebiegł po falistej powierzchni, potem udawał, że przeciera dziób o krawędź, a tak naprawdę obserwował.

Bill Crosbow ociężale wyszedł z policyjnego wozu. Gdzieś koło pięćdziesiątki, mały, krępy gość, przezywany Kuszą. Za nim szedł młody inspektor–praktykant Roy Chaplain. Obaj podeszli do parkingu tuż za stacją benzynową. Kej Kej musiał przelecieć parę metrów dalej. Wylądował obok starej torebki po burgerze. W środku tkwił jakiś obśliniony przez psa kawałek mielonego mięsa. Kej Kej udał, że rozdziobuje to świństwo.

Poziom parkingu był niższy niż stacji i zielony Ford wylądował na dachu zaparkowanego tu samochodu. Drzwi miał wyrwane, a koła tak samo upaprane błotem jak buty Roya Chaplaina. Miejsce było opasane niebiesko–białą wstęgą policji. Dwóch gliniarzy patrolowało parking, mlaskając gumą. Na widok oficerów, starszy z nich po prostu mrugnął okiem. Kusza był lubiany.

– Nie było świadków? – zapytał Bill, szukając po kieszeniach długopisu.

– Nie. Wszystko wydarzyło się w nocy. W opinii biegłych lekarzy około czwartej trzydzieści rano – pośpieszył z odpowiedzią Roy Chaplain.

– No a obsługa stacji? Nikogo nie widziała? – Proszę pamiętać, że to stacja Plus, Woolwortha. Dostaje się bonus cztery centy przy zakupach powyżej trzydziestu baksów. Serwis jest otwarty tylko przez dwanaście godzin. – Roy wzruszył ramionami. – Zresztą to oni znaleźli zwłoki całej trójki i zawiadomili policję.

– Turasy? – Obsługa? Nie, Hindusi. Zaszczekali mnie, kiedy pytałem o szczegóły.

– Tak, to trudni ludzie.

Inspektor wreszcie znalazł długopis. Otworzył mały notes, przekartkował i zapytał w końcu: – To co my tu mamy, Roy? – Mamy trzech zabitych. Wiek między dwadzieścia a trzydzieści lat.

Młodzi, wysportowani, dobrze ubrani. W kieszeniach kasa i broń. Słowem chłopaki jak się patrzy – mówił Roy. – Pochodzili z okolicy Weribee. Wydaje się, że niekarani.

Roy wyciągnął z kieszeni kurtki mały elektroniczny tablet. Ekran za dotknięciem rozjarzył się kolorami. Kusza wzdrygnął się. Zamknął wolno notes.

– *Fuck!* Co? Mam sobie to przerysować? Chłopak przestraszył się i zrobił krok do tyłu.

– Zawsze będziesz mi tym machał przed oczyma?! – Już dawno powinien pan sobie zmienić swój wykropkowany notes na coś takiego.

– Już dawno? – Zezłościł się jeszcze bardziej. – Już dawno znaczy przed twoimi urodzinami? A co, jak ci pierdyknie bateria? Dalej będziesz tym migał? Co najwyżej będzie się nadawało na podstawkę pod gorący talerz makaronu. Oj, młokosie, młokosie... Dawaj, co tam masz.

Roy wyświetlił plik JPEG-ów.

– To oni. Jakby to powiedzieć... Wszyscy po jednym strzale w lewe oko.

– Analiza balistyczna pocisku? – Zbyteczna.

– A to czemu? – Dziurę ktoś wydziobał.

– Analiza termiczna? – Rana była zamrożona.

Bill znacząco uniósł brwi.

– Mieliliśmy też informacje od rodziny... – Roy zawiesił głos, czekając na ostateczne odpalenie informacyjnej bomby.

– No... No mów! – Kusza tracił szybko cierpliwość. – Kiedyś to ja wydlubię ci oko.

– Nie ma możliwości dokonania zabiegu transferowego.

– A to ciekawe, to znaczy, że nośniki w mózgu zostały zniszczone? – Dokładnie i z premedytacją.

– Co to było? Gaz? Ciecz? – Gaz. Duża doza gazu degenerującego komórki nerwowe mózgu, aż po najdalsze jego zakończenia w

rdzeniu kręgowym.

– Praktycznie to mózg ogarnia całe ciało człowieka, są to wszelkiego rodzaju receptory. Te ostatnie pozostały nienaruszone? – Wydarło do ostatniego neurona.

– Tak. Oznacza to, że chciał pozbyć się gagatków na dobre. W takich przestępstwach główną rolę zawsze odgrywają ludzie. Pytanie, dlaczego? – Inspektor podrapał się po głowie. – Znalezione coś poza tym? – Jest tu spory ładunek prochów w workach po cukrze. Również wykryliśmy mikrocząsteczki gotówki. Ktoś przeliczał w kabinie samochodu pieniądze na tyle długo, że nie mamy co do tego żadnej wątpliwości. Z analizy ilościowej cząstek spodziewamy się około dziesięciu milionów baksów.

– No chyba że liczyli to dziesięć razy i był tylko milion.

– To możliwe.

– Oczywiście pieniędzy nie ma? – Nie.

Kusza rozejrzał się po okolicznych dachach.

– Nie mają tu monitoringu? – Nie mają, ale jest pies.

– Przejrzeście jego pliki wideo? – Nic na nich nie ma. Kundel patrzył cały czas na tylne drzwi restauracji McDonald's. Sprawdzałem go reidentyfikatorem. Jest od siedmiu lat zasiedlony. Analiza aktywatorów ruchowych w mózgu zdawała się przekonywać, że się stąd nie ruszał, a w krytycznym czasie spał.

– No i...? – Nie przekonał mnie tą kroniką ruchową. Taką bibliotekę można ściągnąć z każdej strony Netu. Wie pan, jak mi śmierdzą takie kundele. Znalazłem psią kupę tam w rogu. Stamtąd jest idealny widok na tę piętrową brykę – rzekł, wskazując spiętrzone samochody. – Analiza genetyczna wykazała bezsprzecznie, że kupsko należy do niego i czas zgadza się idealnie. Widział zdarzenie, a ktoś miał dostęp do jego plików za pomocą komórkowego aparatu telefonicznego. Szukaliśmy numeru, ale ta komenda tasująca informacje nadeszła z Facebooka. Tam straciliśmy trop. Zawsze tylko marnotrawimy czas na portalach społecznościowych.

– Dobra. Dawaj go. Chcę z nim pogadać.



Jeden z policjantów przyprowadził kundla. Ten wyraźnie się ociągał, widać unikał kontaktu z ludźmi. Bill patrzył na niego ze współczuciem.

– Potrzebujemy informacji – mówił wolno, pochylony nisko, jak to możliwe, w stronę brudnego psiego łba. – Powiesz, co widziałeś i nie będziemy więcej zakłócać ci tego psiego życia.

Pies zaczął z trudem. Mowa ludzka bolała.

– Nic nie widziałem. Spałem. – Zasapał się. Język mu prawie wypadł.

– Mamy tu twoją kartotekę. Nazywasz się Otto Owdey? – Pytanie zabrzmiało zbyt twardo.

– *Fuck yourself!* – wywarczał. Odwrócił się i krztusząc odszedł w stronę ściany.

Patrzyli za nim, kiedy się położył, kuląc pod siebie ogon. Kilka wróbli stanęło obok, przyglądając się z zaciekawieniem policji. Bardzo chciały pomóc, choć wyglądały na zwykłych imbecyli. Przebierały nóżkami niecierpliwie.

– Wiesz, Roy, kiedy patrzę na tego kundla, to nie mam ochoty na drugie życie. W ciele psa... Hm... – Pokręcił głową ze współczuciem. – To aż dziw, że po siedmiu latach on jeszcze kontaktuje. Ja bym tylko czekał już po miesiącu.

– Ma pan rację, szefie. Mózg psa jest za duży. Trudno pozbyć się z niego wszystkich instynktów i mechanicznych przyzwyczajęń. Człowiek prędzej czy później fiksuje w takim ciele. Ja na przykład nigdy nie przyzwyczaiałbym się do sikania w miejscu publicznym albo lizania ściany po koleżankach i kolegach. Brrr.

Kusza drgnął zaniepokojony. Coś przechodziło truchcikiem pomiędzy piramidą skrzynek na butelki a ścianą. Widział to cwane spojrzenie, lśnienie piór i dzioba. Lewą ręką sięgnął po broń. Roy dotknął w porę jego ramienia.

– Nie trzeba, inspektorze, od kwadransa mój sokół przygląda się tej wronie.

– To sukinsyn. – Kusza dyszał ciężko. – Nigdy się do tego nie

przyzwyczaję.

Słyszał wszystko.

– Może jest Wolny. Trochę takich wron się jeszcze uchowało. O, zrywa się.

Roy gwizdnął na sokoła. Ten bezszelestnie wzleciał do pościgu.

Kej Kej nie miał szans. Ten policyjny ptasi kutas posiadał więcej gazu w jednym skrzydle niż on w obu na pełnym biegu i to z wiatrem w dupie.

A za ziarno mógłby taki policyjny mop wyrwać matce język z dzioba. Jediną szansą ratunku pozostała Dzielnica.

Znał ją dość dobrze. Pełno tu było pojebów. Jedni uprawiali w ogrodzie otaczającym jednorodzinne domy marchewkę. Inni hodowali rybki w brudnych, zzieleniałych bajorach. Jeszcze inni żyli z gromadą wyliniałych kotów, którym nie chciało się nawet podejść do miski, żeby przepędzić muchy. Ale byli też tacy jak mały Jack! Nienawidził szkoły, a kochał swoją wiatrówkę.

I tam właśnie poleciał Kej Kej, dość nisko, ponad płotami. Niemal o włos zawadził o linkę na pranie. Skręcił gwałtownie, zapikował i wpadł do budy dla psa, uruchamiając dzwonek w wejściu. Psa nie było. Już dawno Jack zakopał go pod marchewką, żeby matka nie szukała go po okolicy, obiecując studolarowe banknoty znaleźnego. Nastąpił suchy trzask, potem drugi i coś zatrzepotało w koronie owocowego drzewa.

Jack poszedł do garażu po drabinę. Chciał sprawdzić, co udało mu się kropnąć tym razem. Szedł, ciągnąc za sobą urwany kłapek.

Teraz był czas, żeby wyskoczyć z budy i krótkim lotem dotrzeć do gałęzi, ponad trafionym sokołem. Kej Kej szybko skorzystał z okazji. Przysiadł.

Patrzyli na siebie przez chwilę w milczeniu, potem wrona skoczyła na sokoła. Nic nigdy jej tak nie smakowało jak te policyjne ślepia. Nogi sokoła powoli już sztywniały, ale serce jeszcze biło. Kej wydarł mu źrenice razem z transmitterami plików i kawałkami tego pierdoleńczego mózgu. Potem wytarł dziób o liście. Skończyły się żarty. Spo-

kojnie poprawił skrzydła. Od tej szalonej ucieczki lotki się zwichrowały.

Mały Jackie nadchodził z drabiną. W jednej ręce trzymał kromkę spalonego na wiór tosta. Gryzł ją zapamiętale, pociągając nosem lecące smarki.

Zaprzyjaźnili się rok temu, kiedy Kej przyniósł mu tabletkę ekstazy w czarnym dzióbku. Odtąd miał w tym ogrodzie spokojną przystań, a chłopak trochę uciechy, z dala od rozwodzących się wściekle rodziców.

Kej odleciał do skrzyżowania. Przecież tam cała reszta ptasiego towarzystwa sterczała na Drucie, rozpowiadając najnowsze plotki.

## 2.

Był stąd dobry widok na stację benzynową Woolwortha. Właśnie obok policyjnego wozu zaparkował samochód PETA.

– O, masz... – burknął pod nosem Billy, patrząc spode łba na nadchodzących dwóch mężczyzn w czarnych garniturach.

Jeden z nich zatrzymał się przy policyjnym samochodzie. Zapatrzył się na puste żerdzie umocowane na tylnej szybie, gdzie normalnie trzymali kilka sokołów pościgowych. Drugi stanął naprzeciw i żując gumę zagadnął: – Znów policja stanowa bawi się sokołami.

– To nie jest zabronione – mruknął Roy z rękami w kieszeniach. Odszedł jednak na bok, widząc wściekle spojrzenie aktywisty.

– Takich jak wy w reinkarnacji powinno wysyłać się do farmy kur albo świń. Wtedy poznalibyście prawdziwy smak życia.

– Hola, hola. Dokonano tu morderstwa na ludziach. – Billa zaczęła irytować zadziorna postawa nowo przybyłego.

– Oto moja legitymacja. – Machnął przed Billem srebrną odznaką Policji Etycznej. – Jestem funkcjonariuszem PETA i gównie mnie obchodzi ludzie.

Kiedy ubierze pan futro z lisa, to zapytam pana, skąd pan wziął

ciała tych biednych zwierząt i będę dochodził, jak doszło do zbrodni. Te trzy ciała ludzi nie posłużyłyby za nędzne futro nawet dla tego psa. Myśli pan, że znajdzie się taki trend w psiej modzie? – Nie żartowałbym sobie na pańskim miejscu.

– Nie? To gdzie są pańskie sokoły? Macie tutaj polowanko? Znowu znajdziecie jakieś winne zadymie zwierzątko i zabijecie bez pardonu? – Czego chcecie? – Otrzymaliśmy zażalenie.

– Jakie zażalenie?

– O, to jest łagodne sformułowanie. Obywatel Otto Owdey, korzystający obecnie z zasłużonego stanu reinkarnacji, został poddany szczegółowej i bolesnej analizie aktywatorów w mózgu, na co nie wyraził zgody.

– Kto by się przejmował zgodą jakiegoś kundla po dwunastu wyrokach w poprzednim życiu.

To zdanie rozwścieczyło aktywistę jeszcze bardziej. Prawie zszarzał na twarzy, jego ręce przeszło drżenie.

– Po to tu jesteśmy.

Wyciągnął tablet spod pachy. „Przez cały czas tam go, kurwa, trzymał, jak termometr”, pomyślał Bill.

– Przeczytam panu coś – ciągnął dalej aktywista. – Artykuł piąty. Każde zwierzę, jako istota żywa, ma prawa w sferze moralnej; że nieznajomość i nieuznanie tych praw spowodowały człowieka i prowadzą go nadal na drogę przestępstw przeciwko naturze i zwierzętom; że uznanie przez gatunek ludzki prawa innych gatunków zwierzęcych do egzystencji stanowi podstawę do współistnienia wszystkich istot żywych; że człowiek dopuścił się zbrodni wytopienia wielu gatunków zwierzęcych i że nadal istnieje ta sama groźba; że poszanowanie zwierząt przez człowieka wiąże się z poszanowaniem ludzi między sobą i że już od najmłodszych lat należy uczyć człowieka obserwować, rozumieć, szanować i kochać zwierzęta. Jeszcze jedno słowo i oskarżę pana o naruszenie tych praw.

– To bydlę nie jest już obywatelem. Nie płaci podatków i co najwyżej może być pod ochroną takich gniotów jak wy. Możesz mi

pan skoczyć i się pohuścić. I wypieprzać mi stąd, bo wezwę armię, żeby waszych zasrańców i sprzedawczyków mafii rozjechali czołgami. My bronimy prawa człowieka do życia i po to mam pistolet w kaburze... Roy nie poznawał swego szefa. Schował się do wozu i włączył sygnały świetlne policji. To zawsze działało uspokajająco.

Kej zatrzepotał skrzydłami. Właśnie z impetem wylądował na drucie Phil Ropucha. Siedzieli wszyscy razem w dziesiątkę. Czasem któryś puścił bąka i gówniany miks chlusnął na zaparkowane w dole auta.

– Byłem u Freda. – Phil miał wielki problem z ludzkim językiem. Odkąd był wroną, a minęło już siedem lat, z każdym dniem było gorzej. – Nie żyje.

Kej Kej nastroszył pióra. – A co z naszą kasą? – zapytał, obserwując siedzące obok wrony.

Phil dostrzegł jego podejrzliwe spojrzenia na boki.

– Spoko. To są wolne ptaki. Kasa została na stole. Już są tam gliny. Robią zdjęcia. Mają swoje wróble i wężą.

Wróble zawsze były wszędzie pierwsze. Odkąd ludzie odkryli reinkarnację, towarzyszyły im na każdym kroku. Czasem pracowały jako kamery przemysłowe, a nierzadko dla policji drogowej. Te ostatnie należały do wyjątkowych skurwieli. Udostępniać swoją bibliotekę wideo za kilka garści pszenicy i prosa? Phi. Reszta wróbli trzymała stronę gangów. Trzeba było tylko dobrze im podsypać.

– Lecimy. – Kej zerwał się, a za nim reszta ptaków. Policyjny wóz w dole też przetoczył się na ulicę. Prowadził wpieniony Bill Crosbow.

### 3.

Kusza stał w głębi pokoju. W jego twarzy paliły się ognie zachodzącego słońca. Okno było naprzeciw, jakby kto nie wiedział. Zastanawiał się, dlaczego szyba była wybita i co oznaczała odgryziona od zwłok dłoń, pozostawiona na parapecie. Tak pracowała mafia ze stacji

w Kingstone. Trop małych krwawych śladów wiódł wprost do łóżka.

– To wydarzyło się dzisiaj rano? – zapytał Roya Chaplaina. Chłopak miał czyściutkie buty. Pewno opłakiwał stratę swojego sokoła, stąd to lśnienie podobne do łez.

– Tak, wygląda na to, że morderstwa są powiązane. Znaleźliśmy walizkę pełną banknotów. Pięć milionów baksów. Analitycy twierdzą, że są to te same banknoty, które przeliczano w samochodzie na stacji benzynowej.

– To dlaczego tylko pięć, a nie dziesięć? – Może liczone je dwukrotnie.

– Tak, to sensowne wytłumaczenie. Gdyby je liczone czterokrotnie, to powinno być tylko dwa i pół miliona. Hm. Podziwiam odwagę tych panów.

– Była jeszcze ta kartka na dnie walizki.

Bill przyglądał się jej z nikłym uśmiechem. Dla niego dawno już wszystko było jasne.

Roy nie przestawał dzielić się zasobem swoich informacji. Wyciągnął swój tablet.

– Mam tu zdjęcia ofiary. Ma wypatroszoną szyję.

– Nie, wolę już oglądać mój notes. – Wzdrygnął się na samą myśl Bill. – Kto mu to zrobił?

– Ze wstępnych oględzin wynika, że był to kot.

– Stary miał kota? – I to nie jednego.

– Koty... A ile ich było? – Pięć siedziało w domu w czasie popełnienia czynu.

– Kto ma dzisiaj aż pięć kotów? – Ten zamordowany nazywał się Fred O'Neil i posiadał siedem kotów.

– Co się stało z pozostałymi dwoma? – Przejechał je samochodem poprzedniego dnia.

– Przejechał swoje koty? – Zbadaliśmy pliki wideo wszystkich zwierząt obejmujących swoim monitoringiem tę posesję. Skoncentrowaliśmy się szczególnie na tych niezasiedlonych, bo te reinkarnowane są stronicze. Wyłapaliśmy interesujący filmik ukazujący trupy

kotów. Była na nim cała siódemka. Po prostu leżały rzędem na ziemi, jakby ktoś je zaszlachtował i celowo tam poukładał. Zdjęcia wykonał skaczący po ciałach wróbel. Trochę są rozmazane. Zresztą on miał zeza.

– Zeza? Wróbel? Kurwa... Chcesz powiedzieć, że dwa przejechane koty nie były własnością O’Neila? – Wszystkie siedem kotów było podstawionymi fałszywkami. Stary nie zorientował się, bo miały te same futra, co oryginały. Dzisiaj wystarczy się przejść do wetkosmetologa, żeby wypalić twojemu ulubieńcowi nowy wzór na futrze. Nawet slogan antypaństwowy, ksywkę czy hasło. Nigdy nie rozmawiał ze swymi ulubieńcami, pomimo że autentycznie to były zasiedlone kryminały po odsiadkach. I przedtem, i teraz. Dopiero w garażu prawdopodobnie nastąpiła pierwsza próba morderstwa. Znaleźliśmy mnóstwo sierści.

– Koty były notowane? – No mówię przecież. Kryminały. To był stary gang Dżindżera Rudzielca. W klinice, gdzie przeprowadzono proces kontrolowanej reinkarnacji, wszyscy zażyczyli sobie futra, czyli ciała kota. Kto ich zlikwidował? Hm.

Te cztery leżące na tapczanie to dziewczynki, w dawnym życiu pracowały w tym samym burdelu. Z kartoteki genetycznej wiemy, kto rozgryzł staremu gardło i uciekł. Nosi ksywkę Pluszak. Moje sokoły krążą nad obszarem, gdzie zazwyczaj przebywa. Co do pieniędzy, to dom jest obserwowany przez wróble i czekamy na kuriera, który ma odebrać kasę.

– Tylko mi nie mów, że kurier to też wróbel. A tak poza tym, to twoje sokoły nie są zbyt inteligentne. Krzywo im z oczu patrzy. Jakby były od rana na delirce. Na pewno żrą właściwe ziarna? Nie te z Podpuchy? Zresztą wiesz, że jeśli informacje o tej łapance dostaną się do prasy będziemy mieli niezłe problemy z PETA. Departamentu nie stać na milionowe odszkodowania, które dostają się potem szefom gangów i kutasom z parlamentu.

– Politycy, mafia, kler. Wszyscy maczają w tym palce. Każdy chwyci się nawet żyłki, żeby uciec od śmierci.

– To, co zwierzęta robią między sobą, nas nie obchodzi, ale jeśli zamieszane są w śmierć ludzi... – Nie dokończył. Szybkim ruchem wyciągnął pistolet i strzelił. Z wrony, siedzącej na parapecie okna, pozostały tylko pęki fruujących piór. Strzępy mięśni, do których były przytwierdzone, pociągnęły je w dół i ułożyły w rozbryzganą falę na koślawym chodniku do ogrodu. Bill Crosbow wyjrzał przez okno. W jego oczach paliła się wściekłość.

– To była chyba twoja wrona. – Uśmiechnął się z satysfakcją. – Jeżeli nie, to za pomyłkę i tak nie pójdę siedzieć. Zakop to potem gdzieś dyskretnie.

– Kiedyś nas za to dopadną... – *Fuck this*, mam dość babrania się w tym zwierzyńcu. Kogo stać na reinkarnację? Polityków, księży i tych zasyfiałych gangsterów. Stąd ukuło się powiedzenie: „Masz kasę, ciesz się, stać cię na ptasi mózg”. Prosty ludzi czeka tylko prosta śmierć, a w trumnie zapomniany gwóźdź stolarza, kłujący w zgniłe nery. Co za świat? – Kusza splunął przez okno z rozmachem.

#### 4.

Kej Kej, w przeciwieństwie do glin, wiedział, gdzie szukać Pluszaka. Akurat czyścił pióra, siedząc na płocie, kiedy huknął strzał. Znał ten kaliber. Bill lubił jebany stary złom, a Kej, kiedy jeszcze był człowiekiem, wprost kochał.

Patrzył ze zgrozą, jak z Phila Ropuchy leci pierze. Sędziwy był i obrobili za życia nie jeden bank, stację benzynową czy norkę z trawką. Razem zdecydowali się na genetyczną krzyżówkę u Morrisona. Dlatego zbierali kasę.

Zanim go zastrzelił ten zapiżdziały policjant, plujący właśnie przez okno, byli razem na robalach. Supermarket Coles każdego wtorku wyrzucał mięso do kontenera–śmieciary przy murze, tym koło fabryki materacy Samuela Oldseya.

Przylecieli tu za samochodem Billa, bo inne wrony dały im cynk,



że pieniądze nie dotarły jeszcze do Doktorka. Phil wlaź na parapet, bach i cała historia. Ale Crosbow zadarł tym razem ostro. Kej Kej postanowił mu tego nie odpuścić. Cichutko zeskoczył z płotu. W kilku susach rozpędził ciało i wzleciał w przestworza.

Białe gołębie, w ogólnie znanej tajemnicy, wybierał do reinkarnacji kler.

Pluszak był zajadłym ateistą za życia. Znaleźć Pluszaka w trawie, gdzie zawsze czaił się na białe gołębie, było prostą sprawą.

Zapikował, mając za sobą słońce. Kot nie mógł go widzieć. Nawet nie usłyszał, tylko wydarł się wniebogłosy, kiedy ostry dziób Keja wbił mu się przez oko wprost do mózgu. Przewrócili się obaj na trawę. Wierzgający Pluszak, próbujący strząsnąć z siebie napastnika i szamoczący się ptak, zdecydowany świdrującym ruchem wgryźć się głębiej w mózg, a nawet w część podniebienia. Tak, żeby nigdy nie pisnął już nawet pojedynczego miauu! Wreszcie Kej Kej popuścił uchwyt. Odskoczył. Otrząsnął pióra z krwi, wytarł dziób o trawę i czekał, aż ustanie szamotanina życia ze śmiercią. Konwulsje przeniknęła rozciągająca sztywność. Można było krzyczeć z bólu, widząc ten beznadziejny opór mięśni i potem ich suchą jak patyk rezygnację.

Obok, na zeschniętym krzewie, siedziały wróble. Patrzyły z przestraczem na walkę. To były Wolne ptaki i często nie rozumiały nowych zasad, które wprowadzał do przyrody człowiek. Nie zazdrościł im. Jak nie one, to ich pisklęta padną łupem sztucznej reinkarnacji.

Kej Kej pociągnął jeszcze ciepłe truchło Pluszaka do skarpy i pozwolił mu się stoczyć do stawu. Z przyjemnością pomyślał, jak jutro z rana na powrót ciało rozgrzeje słońce i smród przyciągnie muchy.

Niedaleko leżała mała puszka po tuńczykach. Kej wolno składał litery. „Dla kotów, wyprodukowane z najdelikatniejszych elementów młodych ryb”, w domyśle – dzieci tuńczyków. „Pora wracać do swoich”, pomyślał. „Teraz, po śmierci Phila, spokojnie wystarczy kasy na zabieg”.

## 5.

– Trochę się zagalopowałem strzelając do ptaka, ale w mojej kartotece namierzyłem niejakiego Kelvina Kleina, zawodowego mordercę i seksualnego maniaka. Poszukiwaliśmy go hologramem gończym, ale drań uciekł w samobójstwo. Potem reinkarnator prętransmitował go w ciało wrony.

Bill zaciągnął się papierosem i wypuścił wolno dym. Huśtał się na krześle w gabinecie prywatnej kliniki „Thomas and Downer”. Naprzeciw siedział podstarzały jegomość w okularach. Na podłużnej twarzy igrał krzywy uśmiech.

– Oparłem się o framugę okna i traf chciał, że puch nasączony krwią przylepił się do ubrania. Kiedy wróciłem na komisariat, coś mnie tknęło.

Kazałem resztki zbadać genetykom. Jakież zdziwienie nastąpiło, kiedy się okazało, że nie jest to nasz ukochany Klein, tylko jakiś nieznaną Meksykanin, *notabene* też ścigany morderca. Jeszcze inny gangster, Arnold Housekeeper, pseudonim Pluszak, rywalizował z Kleinem o pierwszeństwo zabiegu w pańskim gabinecie. Wszystkie te dane były na pańskim serwerze, profesorze Morrison, do którego moi ludzie się właśnie włamali.

– Bardzo mi miło. – Profesor bawił się popielniczką. Grdyka mu śmiesznie chodziła, kiedy mówił. – Widzi pan, inspektorze, kiedy ktoś płaci mi za zabieg, nie pytam go, czy już odprowadził z tych pieniędzy podatek, bo nie jestem urzędem podatkowym. Nie zakładam mu kajdanek, bo nie znam jego przewinień. Nie odmawiam operacji, nawet jeśli jest to morderca, który ma ciepły rewolwer w kieszeni i parzy nim sobie jądra. Jeszcze mu je lecę na koszt państwa, zanim jego sprawa trafi do sądu i też za nią zapłaci podatnik. Morderca, który wystrzelał pół przedszkola z powodu depresji maniackalnej, wysyłany jest zazwyczaj do szpitala, a nie do więzienia. Pan mi tu imputuje winę za to, że kryminalistę zamieniłem we wronę?! To chyba byłaby zasługa dla parającej się czarami wiedźmy? Bill patrzył na doktora ze zdumieniem.

Nagle zaiskrzyły mu się oczy.

– *Fuck!* Ale pan gburowaty.

– Trzymam pański poziom.

Bill sapnął rozeźlony. Skinął na Roya. Ten położył mały neseser na blat biurka i otworzył zręcznym ruchem. Ukazały się rzędy banknotów.

– To pańskie – powiedział.

– Moje? – Profesor objawił zdziwienie.

– Znaleźliśmy tę kartkę. – Bill podał profesorowi zapisany kawałek papieru. – Napisał to niejaki Jack Oldshome. Chłopak parę lat temu olał szkołę.

– Tak, wygląda, jakby napisał to pod dyktando wrony. – Profesor uśmiechnął się, ukazując żółte i wyszczerbione zęby. – Pieniądze na zabieg – przeczytał. – Zabieg? To nie skrobanka! To jest skomplikowana operacja transmisji neuralnej. To nie jedna, a kilka trudnych transmisji. Żaden mózg nie przeżyłoby tego w jednej dawce.

– Profesorze, tam jest napisane: dla profa E.N. Morrisona. Przyjmuję, że te pieniądze należą do pana. Całe pięć milionów gorących baksów. Zamykam teraz tę walizeczkę. – Bill dokładnie zrobił to, o czym mówił. – I tak, jak ją zamknąłem, tak chcę ukreślić łeb tej sprawie. Mam dość zabawy w ciuciubabkę z wronami i innym ptactwem. – Inspektor usiadł z powrotem. – Wiem, że stoi za tym Klein. Poddaliśmy precyzyjnej analizie układ pamięci neuralnej małego Jacka. Wiemy o każdym jego ruchu, o drgnięciu mięśnia czy zwiększonym przepływie krwi. Mamy to w aktach sprawy. Mały kontaktował się z podejrzanymi elementami kryminalnego świata. Swoją śrutówką usuwał niewygodnych świadków i dostawał za to działkę albo kasę. – Wzruszył ramionami w ataku nagłej melancholii. – Cóż pięknego wnosimy do świata natury? Czy istnieje prawo obejmujące swoją jurysdykcją zwierzęta? Przecież większość z nich jest jeszcze piękna i wolna.

Jeśli zabiję kurę albo złowię rybę, nie mogę przypuszczać, że kryje się za nią świadomość człowieka, że ktoś zapłacił za przedłużenie

życia grubą kasę, a ja usmażyłem go na patelni.

– Nie. Tego typu operacjom poddaje się raczej zwierzęta domowe. Kot tak, pies raczej nie. Ciągłe nie potrafimy dać sobie rady z jego skomplikowaną siecią powiązań neuralnych. A baza instynktu jest tak wszechogarniająca, że klient byłby nią ubezwłasnowolniony w pięć lat. Większość wybiera dzikie ptactwo, ale takie żyjące w pobliżu ludzi. Na podwórkach, placach i ulicach.

Duża grupa ludzi robi zabiegi nielegalnie. Łączy się to z ryzykiem. Jeśli się nie uda za pierwszym razem, osobowość ginie bezpowrotnie.

– Wiem o pana eksperymentach z in vitro. – Bill postanowił zagrać bez ogródek.

– Co pan wie? – Głos profesora zabrzmiał jadowicie.

– Wiem, na przykład, o udanych doświadczeniach transmisji osobowości do mózgu ludzkiego zarodka. Robi się to w wieku około sześciu tygodni, kiedy struktura zaledwie zaczyna się krystalizować. Transmitowany intelekt przejmuje kontrolę nad świadomością jeszcze nienarodzonego dziecka, wypycha jego osobowość i staje się jedynym panem nowego ciała. Mózg musi być dostatecznie mały, żeby nie nastąpił odrzut. Wiem, że udało się wam przeszczepić na powrót reinkarnowanego do umysłu ludzkiego. Wiem, że wielu zapłaci za to krocie.

– Niech zgadnę – powiedział profesor. – Chce pan, żebym zrobił implant nowotworowy Kelvinowi, kiedy przyjdzie tu na operację? – Nie.

– Oczywiście, że nie. Chce go pan aresztować, kiedy będzie już odrodzony w swym nowym malutkim ciele. Założy pan kajdanki niemowlakowi? Panie inspektorze, wielu ludzi nie rozumie konsekwencji reinkarnacji.

Takie przebywanie w świecie wrony przez dwadzieścia lat, czy kota przez piętnaście, ma katastrofalny skutek dla osobowości. To są sny, którym się pan poddaje, system żywienia, nawet filozofii życia. Pański kryminalista staje się zupełnie kimś innym. Zdarza się być po

tym wszystkim zdrowo walnięty.

Nie może go pan karać po śmierci ciała, którym dokonał przestępstwa.

W nowym ciele zaczyna się nowe i czyste konto.

– I to właśnie będzie moim życzeniem na przyszłość, profesorze. Nie dać im wyboru. – Wstał i podał mu dłoń. – Jeśli rozumie pan, co mam na myśli? Ja ze swojej strony obiecuję przymknąć oko na pańską praktykę raz na zawsze.

– W to nie wątpię.

Tylko dla inspektora nie zabrzmiało to jak groźba. Kiedy wychodził, skromny uśmiezek nie schodził z twarzy profesora. Uprzejmie zamknął za nim drzwi. Potem otworzył drugie, wiodące do sterylnej czystej klatki na ptactwo. Nowe wrony siedziały stłoczone razem na najwyższej grzędzie. Na wszystkich tyłkach lśniły miniaturowe pampersy. Skrzydła zraszały drogie perfumy, a dzioby zagryzały ekskluzywne ptasie cygara. Mimo to wyglądały na totalnie zagubione w nowej rzeczywistości. Umysł budził się z szoku pierwszego dnia reinkarnacji.

W rogu pokoju stała wielka aluminiowa wanna. Prowadziły do niej splątane, rozjarzone kable. Łączyły się z krawędzią metalu, rozgrzewając ją do oślepiającej bieli. Wewnątrz, pod warstwą cuchnącej cieczy, tkwił zwyrodniały kształt ludzkiej wrony. Napuchnięta, wyrosła do rozmiarów kilkuletniego dziecka. Pióra odpadły zaraz w pierwszej fazie genetycznej transformacji. Lepiły się teraz do nowego ciała, tworząc splątany, mokry kożuch. Kej Kej od pierwszego dnia śmierdział czosnkiem.

## 6.

Przebudzenie miało coś z groteski pierwszych kroków Frankenstein.

Profesor podtrzymał go pod ramię, gdy opuszczał wannę.

Nieudolny krok zaprowadził go pod ścianę. Przysiadł w kącie i czekał. Gęsta ciecz utworzyła kałużę pod szponiastymi stopami. Czerniały w niej pióra! – No... Nie wyszło najlepiej. – Profesor pokręcił głową. Z jego twarzy nie zniknął grymas zniechęcenia. Wyszedł i wrócił po chwili, taszcząc krótką belkę.

Ułożył ją na dwóch krzesłach i zaparł wszystko o róg ściany. – Masz, możesz na tym przysiąc, ale nie rób sobie taryfy ulgowej. Musisz zachowywać się jak człowiek – uspokajał, gładząc nieopierzone, na wpół ptasie ciało.

Twarz Keja była niemal ludzka, z wyjątkiem szarozielonego dzioba, ostrego jak pięciocalowy gwóźdź. Ciągłe jeszcze pozostawał miękki i mięsisty jak wargi kobiety. Momentami drgał i kłapał, ciężko łapiąc powietrze. Czasem wypęłzał ze środka długi, pokręcony język, jakby w zwyrodniałym tańcu pragnienia pocałunku.

– No już. Wskakuj.

Kej wdrapał się na belkę. Przesunął się pod samą ścianę. Czuł w niej pewniejsze oparcie. Ciągłe jeszcze nie mógł pozbyć się uczucia braku właściwego balansu.

– Zwykle transmitujemy jaźń do ciała ludzkiego embriona, ale to jest głęboko nie humanitarne, inwazyjne, wstrętne i drogie. Rozumiesz, matki protestują. Stąd ten eksperyment użycia neutralnego materiału biologicznego, to jest skrzyżowania genetycznego człowieka ze zwierzęciem. Tak naprawdę oboje jesteście sobie bliscy. Przeżyłeś w obu postaciach kawał życia.

– Gdzie jest Eli Zor? – zdołał wyszeptać pytanie Kej Kej.

Profesor uśmiechnął się. Pokręcił z politowaniem głową.

– Kelvin! Nie posądzałem cię aż o taką uczuciową martyrologię. Czy to jego śmierć pociągnęła cię do samobójstwa? – Gdzie jest? – W oczach ptako–człowieka pojawiły się wściekłe błyski.

Profesor podszedł do drzwi. Uchylił je nieznacznie i spojrzał na ulicę.

– Wrywaj stąd zanim zasrasz mi podłogę! Kej Kej zeskoczył i przykuśtykał na chodnik. Wyglądał pokraccznie.

Małe rączki, jak u karła, porastał mu biały puch. Aż dziw, że kończyły się ludzkimi dłońmi.

– Tyle kasy za gówniane życie! – wykrzyknął z wronim akcentem. – *Fuck yourself!* – Teraz będziesz żałować? Trzeba było dać się poskładać do zimnego grobu! – Pewnego dnia ciebie tam wepchnę! Profesor nic sobie nie robił z głupich uwag. Już dawno odkrył bogactwo znaczenia słowa „istnienie”. Od dawna ratowanie, poszanowanie życia nie ograniczało się wyłącznie do wąsko pojmowanego ludzkiego bytu. Przyglądał się wynędzniałym oczom Kej Keja. Napiął mięśnie, spodziewając się ataku furii.

– Poszukaj starego homo Eli Zora na śmietniku przy supermarkecie Coles. Ma tam spanie na wyleniałych materacach – rzucił szybką informację.

Kej Kej zamachnął się dziobem. Profesor w samą porę zatrzasnął drzwi.

Poruszał się podskokami. Szpony tylko przeszkadzały w chodzeniu. Ludzie ustępowali mu z drogi. Nikt dotąd nie widział tak pokracznego dziecka, pomimo że emigranci ze Sri Lanki nie prezentowali się lepiej.

Supermarket nawet w dzień jarzył się światłami.

Zobaczył go siedzącego na krawędzi śmietnika. Był brudny. Kleił się od nadmiaru chałwy. Na ziemi leżało rozdarte pudełko tego paskudztwa. Ale też przybrał postać ptako-człowieka.

– Eli? To ty? – Kej Kej starał się nie poruszać zbyt gwałtownie. Każdy podskok mógł spłoszyć kogoś, dla kogo poświęcił całe swoje ludzkie życie.

– A kto pyta? – Kelvin Klein. Twój ostateczny wielbiciel! Roześmiali się obaj. Eli zrobił mu miejsce na krawędzi śmietnika. Ptasim zwyczajem zetknęli się dziobami. Nie było w tym nic z pocałunku, raczej wpychanie treści żołądkowej do gardła partnera. Ich oczy zrobiły się małe w gorączce podniecenia. Dobrze, że uchwycili się nawzajem rękoma, inaczej w tym karkołomnym tańcu wylądowaliby na dnie śmietnika.

– Trochę nieudolnie... – Sztywno... – Niemniej przyjemnie.  
– Wiem, wiem, Kelvinku. Ptaki robią to inaczej.  
– Mam spore doświadczenie w tej dziedzinie. Moja Kate złożyła kilka zdrowych jajek.

– Kate? Zdradziłeś mnie z samicą? – Ptaki naprawdę posiadają organy w stanie zaniku. Trudno się zorientować. Przynajmniej na początku.

Zarechotali zgodnie. Potarli się dziobami. Kej krótkim ruchem ręki zwichrzył partnerowi puch na głowie.

– Zadam ci teraz pytanie. Czekałem na odpowiedź zbyt długo, żeby dalej zwlekać. – Kej Kej zawiesił głos. – Kto zastrzelił cię tej piątkowej nocy? Eli Zor milczał przez chwilę, ważąc w myśli słowa.

– Bill Crosbow... – powiedział w końcu. – Tak. To był Bill Crosbow.

Czekał na mnie przy samochodzie. Był wściekły, bo nie miał dowodów.

Wszystkie spłonęły w furgonetce razem z jego wnukami... Rozśmieszyło ich samo wspomnienie.

– I wystrzelał magazynek? – Wystrzelał.

## 7.

Bill Crosbow wskoczył do basenu. Znużył go ten dzień. Kilka metrów zimnej ulgi, szerokie wymachy ramion, oddechy pozbawione oporu ubrania.

Położył się w wodzie na plecach. Mógłby tak leżeć godzinami, wpatrzony w czyste niebo i wierzchołki kokosowych palm. „Nigdy za mało luksusu”, pomyślał. Mocniej napał ramionami w wodę. Ciało wybujało na powierzchnię, wyprężyło się i ruszyło w stronę brzegu.

Tam ktoś stał... Bill widział bose, chude stopy, wystające ponad betonowe zwieńczenie.

Granatowe jeansy z plamami po keczupie. Niedomknięty rozpo-



rek. Naderwany pasek.

I wyżej... dłonie, straszliwie zaciśnięte. Bielały w nich cienkie linie kości.

Ręce trzymały ciężki karabin automatyczny Spearsa. Wyrzut kuli mógł urwać chłopakowi ramię, a trzymał go z nonszalancją i zimną obojętnością.

Obok stał zwierzo–upiór Kelvin.

„To ta wrona!”, przeleciało przez myśl Billowi, kiedy zanurkował pod gradem kul.

Czerwień zalewająca oczy była nieznośna, a woda w płucach ciążyła jak szkło. Pozostał tak obrócony, twarzą w stronę dna, zawieszony i milczący.

Nawet wtedy, gdy morderca pukał w plecy lufą karabinu, żeby upewnić się, że nikt mu już nie otworzy.

Dla Billa zwierzęcy świat wydawał się lepszy. Zwłaszcza z wykupionym w Prokuraturze Stanowej najnowocześniejszym kanałem reinkarnacji w świadomości symbiotycznej. Odtąd sam będzie wybierał organizm gospodarza dla tymczasowej egzystencji i inwigilacji. Policja dba o swoich ludzi i swoje interesy. Ale Kej Kej i inni się zdziwią, słysząc tak słodki głos sumienia...

*Opowiadanie pochodzi ze zbioru Testimonium (Warszawska Firma Wydawnicza, 2013).*

**Jan Maszczyszyn**  
**TESTIMONIUM**

*Od skalistych szczytów Itar Toszanu, poprzez poprzecinane siatką wyschniętych rzek równiny Fil Loji, ciągnęła się osławiona buntami kraina zwana Aszeharią. Nie rosło tu zbyt wiele. Ziemia, odkąd przybył człowiek, stała się nieurodzajna i wręcz nieprzyjazna niskoenergetycznej wegetacji.*

*Sporadycznie pojawiały się dridotolerancyjne trawy, kolczaste krzewy czy rozlane na kamieniach suche porosty. Nic przyjaznego dla oka, nic życzliwie strzelającego pąkami, nic, co przypominałoby rozsuchwaloną zieleni Ziemi.*

*W okresie lata Kergan poprzez planetę przetaczał się płomień dzikiego rozsadu. Szalony wiatr mieszał kurz z nasionami i rozpalonym żarem bijącym z nieba. Miotał tą mieszanką w huraganie bez początku i końca, obejmującym glob jak żarliwa gorączka. Temperatura gwałtownie rosła.*

*Wiatr potężniał. Falami nadchodziła duchota.*

*I wreszcie zapach stęchlizny pękających torebek nasiennych dridu tajemniczo uspokajał przyrodę. Jak gdyby tylko na to czekała.*

*W fazie rozsadu ziarna uzyskiwały mobilność i złośliwość owadów.*

*Szalały w poszukiwaniu wody. Mogły to być wilgotne usta, zalawione oczy czy po prostu mokry, niechroniony odbyt. Niewielki ładunek elektryczny, który niosły, mógł pozbawić przytomności królika, zabić szczura i oszołomić człowieka. Nie trudno sobie wyobrazić, co robiła setka nasion.*

*Pechowiec w mgnieniu oka zamieniał się w ruchome, wrzeszczące sito, na którym nasiona natychmiast rozpoczynały błyskawiczny rozrost.*

*Po kilku godzinach formowały dziki, gotowy do podboju niot.*

*Lato Kergan stawało się więc dla mieszkańców Hagunu czasem ukrycia. Niewolnicy kulili się w na długo przedtem przygotowanych norach, dzicy w przypadkowych dziurach, mocno owinięci w szmaty dorho, a farmerzy z Północy w dobrze wentylowanych, podziemnych bunkrach z basenami i bieżącą wodą.*

*Wymiar sprawiedliwości usypiał zanurzony w luksusie braku skuteczności.*

*Wtedy ogień walk ogarniał nawet miasta u stóp gór, dokąd oporni zmianom społecznym Testimonium nomadowie schodzili po zaopatrzenie.*

*Gdyby nie wprowadzona przymusowo ogólnoplanetarna blokada mechanizmów strzeleckich, wyrznęliby się w narkotykowej gorączce wszyscy.*

*Konflikty nawet dotyczyły ziemi. Każdego podwórka, domu i sklepu.*

*Jeszcze pierwsi kartografowie planety wpisali odpowiednie rubryki przydziałowe specyficznym markerom kodu genetycznego osadników.*

*Z czasem wyparły te kody odręcznie pisane testamenty. A te ginęły, były fałszowane, a nierzadko palone.*

*Ale ludzie uwielbiali stare papiery. Więcej, kochali krwawe mordy w imię pożółkłych tytułów własności, wytartych herbarzy i nadłamanych pieczęci.*

*Czasem wojny dziko rozlewały się na cały kraj, poczynając od wyżyny Kachamaszar, a kończąc na wybrzeżach wstrętne kwaśnego morza Foszam Bali, gdzie każda pożoga zamierała w trujących oparach.*

*Tylko plantacje Północy w zagadkowy sposób unikały tego wiecznego rozdarcia i testamentowej irytacji.*

*Zima Szonra przynosiła pokój. Hagun niestety miał krótką i ciasną orbitę wokół swego Słońca. Po czterech ziemskich miesiącach na nowo budził się wiatr, przynosząc ze sobą czas bezkarnych mordów, kiedy krew mieszała się z potem, a pot z kurzem i wreszcie błotem Je-*

*dynego deszczu.*

## 1.

Statek wylądował w miejscu szczególnym. Na cokole uhonorowanym powitalnymi wieńcami i zniczami pochwały. Piętnaście lat temu wyruszyli z Hagunu niemal całą Rodziną, z bohaterskimi dziećmi i oddanymi sługami.

I właśnie wracali. Na ten sam kontynent, do tego samego miasta, nawet do tego samego doku, na północ od Aszeharii.

Na kosmodromie krzątało się kilku Dahajów. Wychylali ciekawie swoje zabawne małe głowy. Szybko wymieniali szczebiotliwym językiem uwagi i znikali na długie chwile w ładowniach. Nigdy nie odpusciliby takiej gratki. Samo wypróżnienie przestrzeni załadowniczej, czyszczenie taśmociągów, a potem skomplikowanych dźwigów mogło zająć długie miesiące bezcennej, czystej pracy. Towary, zdobycze wojenne, dzieła sztuki i kilkunastu półnagich niewolników z Farn Hordu.

Ci ostatni szli w ponurym korowodzie, skuci podwójnym łańcuchem ciągniętym przez dwa zmutowane psy pociągowe. Przedtem, przez lata służyli Storom. Teraz los oddał ich w ręce nowego pana i jego potężniejszej rasy. Dźwięczały ogniwa, szurały zniszczone podszwy gormów, a ze spękanych ust wydobywał się przeciągły charkot nienawiści.

Zawsze tu, na Hagunie, było brudnej, niewolniczej pracy w bród. Na niewolników czekało kilka tysięcy podziemnych nor i mnóstwo pitnej wody.

Tak szanowana i stara Rodzina posiadała nioty ciągnące się od Głębokiego Jeziora aż po siny łańcuch górski Południa. Kilka kolonii robotniczych na dalekim zachodzie i mnóstwo młynów wodnych na wschodzie, gdzie najbardziej paliło słońce.

Jak zwykle największy problem stanowił wylądunek Ojca. Po-

trzebował pomocy kilku robotów protetycznych, pary platform i dźwigu osobowego.

Ledwo łapał oddech w porannej haguńskiej bryzie. Po bogatej w tlen mieszance pokładów zawsze niemałym szokiem była dzika normalność. Szczególnie dla organizmu złożonego wyłącznie z komórek macierzystych.

Wyglądał nieźle jak na swoje kilkaset lat. Wzrostem dwukrotnie przewyższał średniej budowy mężczyznę. Doskonale umięśniony, o gładkiej, niemal przezroczystej skórze, paradował nago. Nieapetyczny, przerośnięty, ociążały nie wzbudzał zainteresowania. Dlatego że w ogóle pozbawiony był płci. Był tym Trzecim. Z przypisanym na stałe agresywnym malkontenctwem, ociążałością poglądów i zwykłym uporem starego dziada.

Po długiej ceremonii zapinania pasów wokół torsu i łydek wiozący Ojca transportowiec wreszcie ruszył. W kurzu zawiózł go do rzędów pierwszych niotów. Tam kilkunastu kucharzy uniosło starca w powietrze, żeby tradycyjnie przenieść przez próg pierwszego pomieszczenia i wstęgę powitalną drugiego. Ceremonii towarzyszyła dzika muzyka południowoaszharyjska.

Piszczalki, flety i na wpół rozstrojone harfy.

Wiele się tu zmieniło od ostatniego razu. Przede wszystkim interes kręcił się niesłychanie dynamicznie. Dzięki szwindlom wojennym, inwestycjom w polityków i ich frakcje udały się zakupy cennej ziemi uprawnej. A rosło na Hagunie nie byle co... Drid! Helrion dała pokaz egzaltowanego wzruszenia. Już tak miała. Urodzona aktorka. Wydęte, napompowane usta, migotliwe rzęsy i obleśne cycki ledwie mieszczące się w ramie obcisłej bluzki.

– Bo się popłaczę – rzucił półgłosem Velcor. – Zawsze musisz robić taki cyrk? – Przecież twój papcio przyjechał. – W oczach miała święte oburzenie, ironię, szyderstwo i Bóg wie, co jeszcze.

– No i przywłókł całą tę hołotę – podsumował. – Będą grzebać w księgach rachunkowych i na nowo spisywać testamenty.

– Słuchaj, Ojciec to wasza świętość inwestycyjna... – Nic do

niego nie mam... – podkreślił ze złością.

Poruszali się tuż za robotami protetycznymi. Śmierdziało starym moczem. Widać serwisowi daleko było do doskonałości.

– Chyba stary ma odparzoną pupcię po tak długim locie – westchnęła ze współczuciem.

– Weź już przestań! Nie cierpiał tego typu uszczypliwych uwag. Skąd brała tyle pewności siebie, wybuchów ironii i lekceważenia? Jej Rodziny nigdy nie było stać na prawdziwego Ojca. Musieli korzystać z serwisów odległych ciotek i wujków albo upychać zmarłych w tuby przechowawcze za kilka kredytów na miesiąc.

Powinna pokornie milczeć.

W pokoju gościnnym zastali już Melkona i Fiadra. Obaj palili cygara. Mordy im wyolbrzymiały po tym pobycie w innych światach. Czoła błyszcząły dumnie. Na gołych torsach pyszniły się kolorami rozległe tatuaże orderów armii. Wojownicy, ich mać! Helrion usiadła na taborecie tuż przy barze.

Zajęła się poprawianiem piersi. Nigdy nie potrafiła pojąć różnicy pomiędzy tanim, ordynarnym wystawiennictwem, a subtelnym uwy pukleniem.

– Hej, Velcor – obaj uścisnęli mu rękę prawie równocześnie.

– No witam, panowie. Jak tam podróż? – A znośnie, znośnie – komentowali. Nie wyglądali na bliźniaków, chociaż nimi w stu procentach byli. – Zmieniliśmy ostatnio stosowniki bocznego dopalacza podświetlnego. Statek idzie dużo bardziej stabilnie.

– Helrion mówiła mi o nowych działkach pokładowych? – dopytywał się lakonicznie.

– A to... – Melkon westchnął. Wygiął usta w wymuszonym uśmiechu. – Taki mały kaprys starego.

– To stary ma kaprysy za prawie pół miliona? Wiesz, ile ja muszę się tu natyrać na taką kasę? – Przestań. Trochę przywieźliśmy. Dajom miesiąc zajmie samo wyładowanie.

– Większość waszych cudów to zwykłe badziewie – ocenił ze śmiechem.

– Do czego są mi potrzebne obrazy w ramach ze świecących kryształów? Gdzie sobie to powieszę?

Obaj zarechotali na samą myśl. Fiadr porozumiewawczo mrugnął okiem.

Dopiero teraz zauważył w ich dłoniach pełne szklanki jego ulubionej oliwy dymiandzkiej. Nie miał siły na docinki. Wyszedł, trzaskając drzwiami.

W gabinecie spotkał Lejola. Ten przynajmniej był na poziomie. Za biurkiem siedział jegomość w czarnym skórzanym kombinezonie. Przedstawił się krótko.

– Inspektor Mohany Hotar. – Miał wąskie, niemal białe usta i przenikliwy wzrok sępa. Pachniał wysokiej jakości dridem.

– Co się dzieje? – zapytał zaniepokojony Velcor. Usiadł z wrażenia, kiedy Lejol pokazał mu zawartość koperty.

Wewnątrz znajdowały się oczy. Nie takie zwykłe ludzkie z zamglonymi źrenicami, ale te, które po śmierci poruszają się w ciele Ojca wraz z osobowością, do której należą.

– Znalazłem to w kapciach papy – wyjaśnił z cieniem uśmiechu na twarzy inspektor. – Chyba próbował ten fakt ukryć.

– Jak można coś takiego ukryć? – obruszył się Velcor. – Czy wiadomo już, do kogo należały? – Właśnie nad tym pracujemy – rzucił sucho Hotar. Palił superkrótkiego papierosa. Zaledwie żarzył się pomiędzy palcami jak miniaturowa żarówka.

– Jak wiadomo, po śmierci świadomość najbogatszych z was kopiowana jest do organizmu Ojca. Pliki jaźni mogą zajmować dowolny fragment ciała.

Poruszać się i dawać zlokalizować materialnie tylko dzięki obecności pary oczu. Niezwykłej pary telepatycznych receptorów.

– Po śmierci i tak używamy normalnej percepcji zmysłów Ojca – spróbował popisać się Velcor.

– Tak, żeby nie zabałaganić systemu – uciął krótko dalszy komentarz Hotar. Nie spodobało mu się tego typu wcinanie w tekst. – Telepatia jednak pozostaje. To nie komunikacji i środek zawezwania.

– Zawsze się tego bałem. Pamiętam babcię Avocarę. Często budziła mnie nocami. Musiałem do rana siedzieć i trzymać kule jej wysychających oczu tuż pod skórą papcia. Albo te telepatyczne wezwania słyszalne w całym układzie słonecznym Gleese. Miały swoją odżywczą moc... – Daj spokój tym rzewnym wspomnieniom. Posłuchaj lepiej inspektora.

– Lejol stał twardo na ziemi.

– Jak już wspominałem, ten chodzący cmentarz musi posiadać centralny system osobowości. Jest stale kontrolowany z jednego miejsca, aby uniknąć chaosu i dezinformacji. To w końcu niezależny, samowystarczalny organizm. Świadomość gości zajmuje naprawdę niewielkie fragmenty ciała.

W sumie Ojciec jest zdolny zmieścić około tysiąca ludzkich istnień.

– Czyli gwarantuje ciągłość rodzinnych kłótni i wieczną walkę o testamentową zawartość – zakpił Velcor.

– Otóż to, panie Velcorze – podchwycił inspektor. Wstał i zaczął się przechadzać po gabinecie. Miał dłonie zabawnie splecione z tyłu pleców.

– Minęło piętnaście lat, podczas których Rodzina brała czynny udział w kampanii farnhordzkiej. Chaos, walka, kilkunastu zabitych braci, kilka zjedzonych przez dzikie groule dziewczynek. Wszyscy z sukcesem odnalezieni, ale nikt nieskopiowany. Dlaczego? – Zawyżyliśmy limit konta? Za biedni? Za mało przychylności przodków? – pytał Velcor, wskazując potencjalne tropy.

– Może blokada, celowy odrzut, pomieszane dokumenty bankowe? – Inspektor starał się być przenikliwy w tym spojrzeniu.

– Coś mi pan zarzuca? – Wiem, wiem. Był pan za daleko, żeby aż tak skutecznie działać w pojedynkę? – Znów jakieś podejrzenia? Tak zwykle bywa, kiedy ktoś haruje uczciwie od świtu do nocy! – Mnie irytuje brak kontaktu z pewną grupą pańskich testamentowych przodków.

– A są jakieś braki? – I to spore. Wstępne badania wykazują



ubytek około dwustu wczesnych zapisów. – Inspektor postukał prętem deszyfratora o krawędź biurka.

– Dwieście brakujących linii świadomości? – Velcor był zdumiony albo tylko udawał. Zamrugał zabawnie oczyma.

– Tylu nie odpowiada. Niech mi pan nie mówi, że śpią... – Może stary doznał jakiejś galopującej sklerozy? – wtrącił z głębi pokoju stojący przy oknie brat.

– Nie ma takich chorób w organizmie złożonym wyłącznie z komórek macierzystych, panie Lejol. – Hotar przeniósł spojrzenie na stojącego bliżej.

Niemal szeptał wprost do ucha Velcora. – Jest tylko jedno wytłumaczenie... – zawiesił głos. – Pański Ojciec jest seryjnym mordercą testamentowych figur... Zapanowała cisza i konsternacja. Nie wiadomo, co miał na myśli inspektor, mówiąc o figurach. Trochę zabrzmiało to jak niewydarzony żart o tematyce religijnej.

– Przecież to niemożliwe. Nie ma takiej opcji w oprogramowaniu biologicznym.

– Nie ma albo nie znamy podobnego przypadku. – Hotar rozsiadł się w fotelu, opierając nogi o biurko. Czuł się nadzwyczaj swobodnie pomimo młodego wieku. – Miałem kiedyś do czynienia z Ojcem Rodziny Welerod z dalekiego zachodu Aszeharii. Stary drań przejmował jaźń obecnego w nim krewnego za pomocą wewnętrznej hipnozy. Jak zwykle chodziło o szwindle testamentowe. Jednak nikt dotąd nie pozbył się krewnego w sposób tak dosadny i, że tak powiem, materialny, jak ten wasz stary skurwiel.

Velcor przełknął jawną zniewagę. To było wygodne wytłumaczenie.

Często Papcio wymykał się spod kontroli oprogramowania. Potrzeba było tylko całej fabryki papierów, żeby to udowodnić.

– Co zrobimy? – zapytał. – Jakiś ekspresowy trick? Inspektor myślał się przez moment.

– Jaka jest jego dawka dridu na dzień? – Około ośmiu gramów.

– Osiem gramów? – Inspektor gwizdnął z podziwem.

- Nic dziwnego. Przecież to opasły wieprz.
- Dobrze. Wobec tego dajcie mu potrójną działkę. To na pewno go zmiękczy. Będzie śnił o dupach na jawie... Cała trójka parsknęła zgodnym, szyderczym śmiechem.

## 2.

Ojciec leżał na potężnym krześle wspornikowym. Jego wielki brzuch przypominał brzuch brzemiennej słonicy. Nogi gładkie jak u niemowlaka były wzniesione wysoko w powietrze. Drgały nieustannie. Stopy śmierdziały rozdeptanymi, zgniłymi jabłkami. Właśnie wrócił ze spaceru w sadzie. Nawet fragmenty czerwonej skóry owoców przykleiły się do wielkiego palca.

– Śpi? – zapytał Velcor.

– Usnął przed kwadransem – rzucił obojętnie inspektor. Rozkładał sprzęt identyfikacyjny. To jest kilka lamp Kerfeira i wielki zwabiacz Hoina.

Zwabiacz był przysunięty niemal do samego brzucha i jego gorący koniec prawie parzył ruchomą powierzchnię przepony brzusznej.

Pierwsze jak zwykle pojawiły się bliźniacze siostry Gejfert. Skórzaste oczy były tak nienaturalne i obrzydliwe, że przyprawiały niemal o torsje.

Próbowały komunikatów telepatycznych. Jak zwykle pytały o plany na weekend dalekich krewnych na Ziemi albo po prostu biadoliły pod nosem. Mowa była o stylonowych pończochach i pomponach silikonowych na choinkę.

Nie mogły zapomnieć mu tego głupiego żartu z podpaleniem prezentów.

Inspektor dotykał powierzchni skóry małym jak długopis deszyfratorem osobowości i skrzętnie zapisywał dane.

– Bardzo ciężko... – stwierdził po chwili.

– O co chodzi? – Velcor zbliżył się ze swoim deszyfratorem.

Lubił pogadać ze zmarłymi krewnymi. Zawsze można było przedyskutować sprawy paru punktów testamentowych. Uszczknąć i udanie przekręcić fakty z przeszłości. Siostry uwielbiały na przykład ploty z okolic Drehenhort.

Zapominały wtedy o tych wiecznie potarganych pończochach.

– Nie mogę złapać kontaktu. Jakies szumy i pochrapywanie. Ma pan na swoim podobnie? – pytał poirytowany inspektor.

Velcor przysunął końcówkę do pary ruchomych oczu na leżącej się na bok prawej piersi Ojca. Bez przerwy ze środka organizmu napływały nowe i tłoczyły się obok siebie jak w kiści niedojrzałych winogron. Tak naprawdę to nie miały nic z piękna owoców. Wyglądały jak gule twardych nowotworów, biegających po ciele jak rozwścieczone pasożyty. Czasem na skórze pojawiała się krwiste przebarwienie albo rozlany pieprzyk i wtedy oczy wyglądały jak żywe. Zdawało się, że są przedziwnie widzące i agresywnie wytrzeszczone.

– Na moim to samo. Może stary się przepalił? Za dużo tego dźwigał poprzez te lata.

– Niemożliwe. Świadomość, indywidualizm czy jaźń człowieka to tylko wiązka informacyjna. Ktoś by powiedział: dusza. Taki plik może zaistnieć w mózgu człowieka, ale może równie dobrze zaistnieć w dowolnym punkcie organizmu, wykorzystując tkankę, jako bazę zapisu informatycznego. Tak zwany komputer biologiczny. Nie sądzę, żebyśmy mieli do czynienia z dziką ekspansywną osobowością. Nawet gdyby powstała w sposób incydentalnej ewolucji, to w systemie miliardów komórek jest tyle miejsca, że nie ma potrzeby morderstwa czy celowego wypychania ofiary poza system cielesnego hostingu.

– Wie pan... – Wydawało się, że w głosie Velcora pojawił się strach. Słyszał w słuchawkach jakieś przeciągłe chrapanie i przerywane wersy nieznanych poematów. – Takich rzeczy nigdy nie słyszałem z ust moich krewnych.

– I ja również – przełknął głośno ślinę inspektor. – Proszę pana, ja siedzę w tych sprawach od dwudziestu jeden lat i nie wierzę w historie o transmitujących siebie Praojcach. To dobre co najwyżej na historyjki

do gazetki ściennej na kosmodromie.

Velcor przez długą chwilę przyglądał mu się dyskretnie. „Czyżby ten drań coś wywęszył?”, pomyślał.

### 3.

Tłoczyli się w wielkiej sali Zgromadzenia Rodzinnego. Przez rolety zaledwie przeciskało się słońce, a pokój pękał od gorąca i zawiesistego dymu cygar. Brzękliwie krążyły jakieś przypadkowe mu-  
chy.

– Przeliczyłem państwa krewnych. – Inspektor wycierał pot z czoła.

Usta mu drżały jakby nasłuchiwał się najgorszych horrorów albo wściekłych narzekañ bezzębnych babci. – Dokładnie brakuje wam stu sześćdziesięciu siedmiu osób.

– Aż tylu? A co z wartością testamentową? – zapytał ktoś spośród zgromadzonych członków Rodziny.

– Dokumenty pozostają aktualne.

Wszyscy odetchnęli z ulgą.

– Ale zachodzi podejrzenie celowego przeładowania Ojca danymi osobowymi.

Spojrzeni po sobie podejrzliwie. Raczej słabo orientowali się w tego typu terminologii fachowej. Tylko Velcor potrafił sformułować sensowną uwagę.

– To znaczy, że Ojciec jednak jest przepalony.

Inspektor uśmiechnął się wyrozumiale.

– To znaczy, że jest wypełniony w stu procentach. Naładowany jak bateria po samą, najdalszą krawędź ogniwa. Tylko nasuwa się pytanie: czym? Splotami sporadycznej programatyki? Może kimś? – Cholera... Szemrali. W przypadku wymiany na nowszy model wyobrazili sobie ubytek kilkunastu milionów na bankowych kontach. Setki tysięcy wydanych na specjalistyczne oprogramowanie i jeszcze może

kilkunastu tysięcy na skopiowanie danych ze starego sprzętu biologicznego. Sama osobowość Ojca, jego indywidualizm, wysiłek, wkład w budowę międzygeneracyjnej harmonii, nisko im zwiślały.

– Jaka jest państwa decyzja? – No, jeśli kasacja, to musimy mieć wszyscy wgląd w recording. Nie będę się potem tłumaczył przed żoną i dziećmi, że dałem się wykołować chłopakom z psiarni. – Melkon patrzył na Fiadra z przemądrzałym uśmiechem. – Ciekawe, których krewnych zabrakło? Czy to był wirus strony Euframów czy Hudolfów? – Zawsze szukasz problemów. Inspektor już wyjaśnił, że stoimy w papierach w fazie neutralnej.

– Kasacja? Wzruszyli ramionami. Jakie pozostało wyjście? I tak nikt nie zgodziłby się na skopiowanie własnych danych osobowych po śmierci do tak nieodpowiedzialnego nosiciela. Tym bardziej, że zachodziło podejrzenie o seryjnego mordercę plików osobowych.

#### 4.

Inspektor stał na polu dridu. Wkomponowany w złote kwiaty, wyglądał jak strach na wróble. Chudy z orlim nosem, w czapce z futra długiego ogona triota. Nagle zauważył go.

Podszedł i przywitał się z udawaną wylewnością. Potem bawił się w dłoni krótkim sztylecikiem do otwierania wielkich kopert.

– Widzi pan ten brezent na ziemi? – spytał z flegmą. – Pod spodem są zwłoki Fiadra.

Velcor poruszył się niepewnie. Dolna warga drgnęła mu nieznacznie.

Przetarł nerwowo czoło.

– Nie, ja nie podejrzewam pana... – Hotar splunął za siebie. – Wczoraj uciekł nam z laboratorium wasz Ojciec nosiciel. Znalazłem też to... Wielka żółta koperta zawierała kilkanaście par oczu. Wszystkie z nitkami czerwonych żył.

– Też były ukryte w porannych pantoflach? – Velcor pozwolił

sobie na grubiański żart. Miał dość tego wężącego chudzielca.

– No chyba pan żartuje. Zabrakłoby pantofli w naszym więzieniu.

– Leżały na ziemi? – To już była kpina podszyta silną dozą ironii.

– Ciekawe ma pan podejście... – inspektor przeciągnął ostatnie słowo.

Ściągnął usta w sposób, w jaki się to robi pustej sakiewce. – Pyta mnie pan o rzeczy tak kurewsko banalne, że aż mnie to osłabia. Czemu nie zapyta pan o dane biograficzne ofiar? – A powinienem? – Wszystkie ofiary coś łączy. Wszyscy mają w pewnym punkcie życia zbieżną historię, wspólne konto i podobny testament.

– I gdzie jest ten punkt zbieżności, jeśli wolno zapytać?

– Na Farn Hordzie, planecie ostatniej kampanii wojennej Ojca. Jakieś bohaterstwo, obietniki praciotek, telepatyczne pieśni pogrzebowe? Coś pan wie na ten temat? – Mogę tylko przypuszczać. Rodzina ma specyficzne podejście do tubylców... – To znaczy? Ma pan na myśli, że nie przebiera w środkach? – Otóż właśnie. Nie przebiera w środkach, można by rzec. Wojna wojną, ale to, co oni wyprawiają, przechodzi ludzkie pojęcie. Później nazywają to bohaterstwem.

– Dobra. Niech mi pan oszczędzi szczegółów. Nie mogę go zastrzelić, bo wie pan, to podochodzi pod paragraf o ludobójstwie. Wasz Ojciec jest, że tak powiem, zasiedlony przez okupujących ciało przodków. Lepiej jeśli wy to zrobicie.

– My? A co my mamy wspólnego z wymiarem sprawiedliwości?

– Panie Velcorze, Rodzina jest podstawową komórką nie tylko społeczną, lecz również fundamentalnym kamieniem węgielnym naszego wymiaru sprawiedliwości. Rozstrzelanie przez reprezentanta władzy niesie również wydźwięk polityczny, tak bardzo niechętnie widziany przez Zarząd Kolonizacyjny Planetarnej Federacji. Ja mogę zająć się sprawą dwóch, no trzech, zaginionych przodków. Odkurzyć jakieś dane, przeładować pliki, wyczyścić biologiczne łącza. Ale niech pan ode mnie nie wymaga zajmowania się psychodelicznym mordercą, którego do czynu popycha nieznaną chorobą zniekształcenia plików osobowych. Ja się boję przejść obok własnych niotów.

– Boi się pan rządów samo rozsadowych? I pan jest policjantem? Pożałowania godne. – Velcor pokiwał z politowaniem głową.

– Proszę. Tutaj są kluczyki od transportera, a te od miotacza rotonów.

Niech pan nie zapomni wyłączyć zgrzewnicy po wszystkim. To wasza rodzinna sprawa. Jest pan w końcu mężczyzną – krzyczał jeszcze Hotar, kiedy Velcor już zapalał rzeżący silnik.

## 5.

Poczuł gwałtowne szarpnięcie i ból, kiedy transporter przewrócił się na bok i zarył nadwoziem w gliniastą skarpe. Z trudem wydostał się na zewnątrz. Nieopodal stał Ojciec. Wymachiwał w jakiś niesubordinowany sposób ogromnymi rękami. Był nie do poznania. Aktywny, agresywny, wściekły. Tylko chodzenie po polu bywało zabójcze. A zlizywanie soku z łodyg, przegryzanie nasion? Stary robił to cały dzień. Ogarniało go szaleństwo. Prawie zbiegał od proszku. Był chodzącym dowodem na to, co narkotyk mógł zrobić w tak krótkim czasie z niemrawym, starym cielskiem.

Papcio zamruczał pod nosem, potupał gwałtownie w ziemię, odwrócił się na pięcie i ruszył z powrotem na pole dridu. Jakby tylko ruch maszyny przeszkodził mu w kontemplacji ciszy i zażywaniu spokoju. Velcor nie tracił czasu. Szybko odnalazł broń. Przeładował kilkakrotnie i wsadził do zamka klucz zezwalający. Lufa zajarzyła się czerwienią. I nic poza tym.

– Cholera! To był fałszywy klucz. Potrzebował satelitarnej akceptacji organów ścigania.

Karabin przez dobry kwadrans mógł buczeć jak zamknięta mucha, a Velcor używać go co najwyżej jako lokówki, żeby opalić nią komuś tyłek.

Pobiegnął pomiędzy rośliny lekko pochylony, skupiony, gotowy na szybki odskok. Odnalazł Ojca na polanie nieużytków. Zatrzymał się i

obserwował jego dziwną grzebaninę. Ruchy były szybkie i widać bardzo bolesne.

Stary wyciskał coś z nacięcia na ogromnej fałdzie brzucha. Z troda kapiała rozcieńczona krew. Syczała, parując na rozgrzanej ziemi.

Szybko operujące ręce na pewno nie przypominały ludzkich. Były zbyt wielkie, płaskie i pokryte czerwonym śluzem. To, co wypadło w końcu na ziemię, było wielkości dwóch mocno przerośniętych ziaren fasoli. Niewielki zwój łączącej je tkanki – zestawem biologicznego obwodu pamięci. Ojciec rozgniół je bosą stopą.

– Stój, nie ruszaj się! – krzyknął Velcor. Zawahał się. Nie strzelał, mimo że broń schłodziła się już na tyle, żeby być gotowa. Ciągłe było mu szkoda tych kilku milionów udziału w zakupie nowego nosiciela. Poza tym lubił swoich zmarłych. Były to w końcu najbogatsze ciotki i wujkowie. Każdy chciał być po śmierci skopiowany. Nie każdego było jednak na to stać. Trzeba było być bogatym, żeby zasłużyć sobie na wieczność. Jak zwykle liczyły się pakiety testamentowe. Kto i ile mógł zdeponować na koncie Rodziny.

Zwykle na uwzględnienie mógł liczyć ten, który zgromadził najwięcej.

Jednak istniała jeszcze tak zwana przychylność przodków. I ta w zasadzie decydowała. Niekończące się głosowania. Kłótnie i masowe obrażanie. Czyli pieniądze i opinia biegłych. O jedno i drugie trzeba było walczyć jak zwierz.

Stary tylko wymruczał jakieś przekleństwo i jednym skokiem przygwoździł go do ziemi. Velcor wrzasnął przeraźliwie. Ojciec pochwycił rozpaloną do czerwoności lufę broni. Ciągnął ze stękaniem. Wreszcie urwał mu rękę w przegubie i z ogromną siłą wyrzucił karabin w powietrze. Teraz ten trzystukilowy zwierz ścisnął mu gardło. Velcor poczuł, jak przętyk nieomal łączy się z podniebieniem. Kopał, kopał jak szalony w ten na wpół otwarty brzuch.

Uścisk Ojca na moment zelżał. Wtedy Velcor wymknął się spod oślizłych rąk.

Brocząc krwią, pobiegł na oślep w najgłębszy gąszcz. Drid



przypominał rosnącą kukurydzę. Rośliny tłoczyły się w równych rzędach aż po horyzont. Łatwo pękały od uderzeń biegnącego ciała. Wtedy chlapały brązowym sokiem, który zlepiał ziarna kurzu i nasion w sztywną maskę, osadzającą się na twarzy. Roślinne drzazgi doprowadzały do nieopanowanego kaszlu i krwawych wykrztusin. Jeszcze to piekielnie słońce, niemal stykające się ze skórą jak powierzchnia rozpalonego żelazka.

Velcor biegł i upadał. Ojciec postępował tuż za nim. Czuł chłód jego cienia i parszywe, mechaniczne sapanie. Był coraz bliżej.

Raptem zaśmierdziało jego wilgotnymi od moczu portkami, ostrym potem i oddechem zmieszonym z krwią. Biegli przez chwilę obok siebie, równolegle, przeskakując stare śruby i beczki po oleju. Stary odpychał się od ziemi. Dla tak wielkiego ciała użycie rąk w biegu stało się koniecznością. Nagle zaczął uderzać pięściami o ziemię, jakby wybijał w niej bokserski rytm groźnego ostrzeżenia.

Jego ryk popłynął wzdłuż pola. Odbił się od gór i powrócił echem. Zaatakował.

Szybkim ruchem przewrócił Velcora i rozszarpał mu plecy. Skóra zeszała wraz z materiałem, jakby miał w palcach miniaturowy zestaw noży.

Velcor wrzeszczał. Czuł, jak wraz z krwią wycieka z niego życie. Czołgał się przez chwilę, usiłując ściągnąć z siebie ciężką łapę. Ojciec czołgał się tuż za nim. Zerwał się i parł na niego szybkimi ruchami szarżującego niedźwiedzia. Wyrывał okrwawionymi łapskami ziemię. Mielił ją z korzeniami. Rzuczał. Ryczał krótko i chrapliwie.

Velcor zdobył się na ogromny wysiłek. Stanął chwiejnie. Krzyknął raz za razem, dodając sobie animuszu. Zaledwie uszedł przed bryzgami ziemi. To zmusiło go do przerywanego biegu. Kikut ramienia mocno krwawił. Pot zalewał oczy. Przez kilkanaście minut biegł samotnie, łamiąc kruche lodygi. W szybkim ruchu kurz i drobne nasiona dridu dusiły. Wtedy przystawał po oddech. Płakał i przeklinał siebie za głupotę. Po co dał się wciągnąć w te rodzinne rozgrywki? Po co mu były potrzebne fałszywki przychylności testamentowych w kontrak-

tach handlowych? Przecież nie bez powodu wkręcili go w to całe polowanie na Ojca. Siedzą gdzieś tam i żarzą skręta flamarskiego, naśmiewając się z jego naiwnej ofiarności widzianej w obrazie z satelitarnych kamer.

Kombinezon wisiał w strzępach, więc słońce bezlitośnie spaliło mu grzbiet. Tu, na Hagunie, brakowało ochronnej warstwy ozonowej. Tu istniał bezlitośnie rozciągnięty po horyzont haguński grill. Smażył skórę bez dodatków oliwy. W kilka minut rozrzucił na niechronionym ciele pasma spieczonych skórnych pęcherzy.

Velcor nagle usłyszał groźne sapanie. Z boku znów zaszarżował wściekły Ojciec. Coś było z nim nie tak. Jakby mu pękło czoło. Widział w tym pęknięciu roziskrzzone oczy dziwacznych istnień. Przeszył go dziki strach i straszne podejrzenie... Ale już leżał i stary wyciskał z niego oczy wraz z tkanką przekazu świadomości. Robił to profesjonalnie i z łagodnym porykiwaniem. Velcor zgasł bardzo szybko w wielkiej łapie starego. Tylko po co go tak dokładnie kopiował? Kto mu kazał? Poczul otwierające się pliki, zobaczył rozbudzone z niepamięci obrazy. Błysła świadomość, krystalicznie czysta jak nigdy dotąd.

Uruchomiła kalkulacje. Wyrzucił telepatyczne łącza aż po granice układu.

Zrozumiał. Szedł wprost do głównego personifikatora. Bezpieczny na kilkaset następnych lat. Ktoś mu zrobił niezwykłą przysługę. Nie poprzestał na radosnym porykiwaniu. Pobiegł do nowego pana.

## 6.

– Szanowna Rodzino... – inspektor zaczął z oficjalnej stopy. W jego oczach paliły się iskry dobrego humoru. – Nie leży w moim zamiarze litowanie się nad ofiarą. Velcor zasłużył sobie na swój los.

Patrzyli na niego pytającym wzrokiem. Tylko Helrion siedziała półnaga na kolanie Lejola, pieszcząc jego nieogolony policzek. Dawno

już zapomniała o zmarłym mężu.

– Już od pewnego czasu urząd podatkowy wysyłał nam informacje na temat zmiany nazw kont i danych osobowych pewnych ważnych podmiotów fiskalnych. Wiedząc, że Ojciec Nosiciel jest na wojnie, zaczęliśmy być podejrzliwi. Na froncie ze względów bezpieczeństwa nie działają przesyłacze osobowe. Trup jest trupem. No chyba że Ojciec dobrowolnie zrezygnuje ze swojej tożsamości na rzecz transmitowanego. Do tego typu operacji potrzeba skomplikowanych kluczy genetycznych. Zwykle dopiero w laboratoriach armii powstają materiały wszczepialne osobowości poległego człowieka.

Nierzadko z brzydkimi domieszkami propagandowymi.

– Reklama jest nielegalna na cmentarzu Ojca? – Oczywiście. Wpływa na humory testamentowe. Również całodobowe łącze internetowe jest wbrew panującym przepisom. Velcor posiadał login, który upoważniał go do sprawdzania stanów testamentowych. Miał do tego prawo, bo prowadził wasz interes na planecie. W wypadku, gdyby nagle okazało się, że biznes jest nieopłacalny, bo dziedziczy ktoś inny, mógłby zakończyć operacje finansowe nie ponosząc strat. – Spoglądał na nich z cierpkim uśmiechem. Kilkaset osób, a żadnego zainteresowania. Puste oczy i słabe, zrezygnowane ręce.

Po chwili kontynuował. – Wasz brat szybko odnalazł najważniejsze dla siebie sznurki i sprytnie za nie pociągnął. Zrobił coś jeszcze. Coś bardzo brzydkiego.

– Uśmiechnął się na myśl o wrazeniu, jakie zrobi. – Wynajął wolną przestrzeń hostingu Storom. Przedstawiciele tej rasy już wielokrotnie usiłowali korzystać z naszej technologii. Zawsze bez sukcesu. Działał tak zwany system immunologii informatycznej i odrzucał przeszczepy jaźni. Velcor znalazł na to haka. Razem ze współnikiem sprytnie obeszli systemy zabezpieczające. Posiadali wszystkie typy kluczy kodowych do świadomości starego. Kontrolowali przesył danych i najmniejsze ruchy na rynku rodzinnej giełdy. Tam też wprowadzili zasady nowej polityki. Odrzut dotyczył tylko niewygodnych krewnych. Odtąd oświadczenia majątkowo–testamentowe przema-

wiały tylko na jego korzyść, mimo że sprawiały wrażenie stałych niezmiennych.

– Wpadł? – Zdemaskowało go morderstwo Fiadra. To on był tym tajemniczym pomocnikiem. Ale najbardziej zdradziła go osobowość Ojca. Po dokonaniu psychoanalizy byliśmy pewni, że model przychylności testamentowej optuje w podejrzenie stabilnym kierunkiem.

– Strony Hudolfów? – Dokładnie. Szybko okazało się, że pamięć została zamknięta. Nasi agenci nie mogli transmitować się do środowiska cementarnego pomimo ciągłych, skomplikowanych technicznie prób. A rozmowy z krewnymi przestały mieć jakikolwiek sens. Musieliśmy szybko działać w obliczu sytuacji wymykającej się spod kontroli. Firma ubezpieczająca oskarżyłaby nas o celowe zaniedbania procedury. A w takim wypadku przewiduje ona ubezwłasnowolnienie na podstawie diagnozy o chorobie psychicznej. Stan testamentowy pozostał zamrożony w korzystnym dla Velcora punkcie.

– To znaczy, że wszyscy jesteśmy wykołowani przez tego brudnego hodowcę dridu? – Dridu się nie hoduje. Drid się uprawia. – Helrion pośpiesznie schowała cycki pod koszulkę. Pokazała Melkonowi język. – Potem się myje ręce – wyjaśniła. – Pozostawione same sobie mikroskopijne spory i drobiny zainfekują ci skórę i zeżrą ją do zera. Porównaj sobie nasze dłonie. Zobacz moje podziurawione paznokcie. Jak po wylaniu kwasu. A linie papilarne? Dawno ich nie mam! Czego chcesz? Nowego spadku? Może udziału?! Gdzie ty pracowałeś? Walczyłeś? Kupowałeś broń? Nowe działka dziobowe za nasze pieniądze?! – Wszyscy dotąd tolerowali ten wybuch gniewu. Teraz podskoczył nawet Lejol. Odepchnął ją aż upadła na podłogę.

– Wiedziałaś o tym, dziwko! – krzyknął.

– Opanujcie się – uspokajał Hotar, kiedy wszyscy zerwali się z miejsc z zaciśniętymi pięściami. Wrzask kobiet był nie do zniesienia. W ich twarzach widział tylko pałające czerwienią wyszminkowane usta i rozwścieczone oczy. – Cisza, mówię! – zakrzyknął. Musiał jeszcze tupnąć kilkakrotnie nogą, żeby uspokoić szemranie.

– Znalazłem klucze kodowe w telepatycznym przekaźniku Fia-

dra. Miał ten złom w kieszeni, kiedy leżał zasztyletowany.

Wiadomość kompletnie ich zaskoczyła. Klucze powinny być w sejfie.

A do sejfu ma dostęp tylko Papcio. Inspektor zaczął się przechadzać tam i z powrotem. Wszystkie spojrzenia śledziły go w tym niespokojnym marszu.

– Jest jeszcze inny aspekt tej sprawy – dorzucił, spoglądając z pobłażliwym uśmiechem. – W tej chwili siedzącego tu w fotelu Ojca zasiedlają nowe ekspandujące byty. Dusze Storów mają to do siebie, że po śmierci ulegają ekspansji. Bez obawy. Pozostają w granicach ciała organizmu hostującego.

Same wynajdują sobie miejsce.

– Zabić dziada! – krzyczeli.

– No, to akurat byłby niewybaczalny błąd.

– Dlaczego? – pytali jeden przez drugiego.

– Ponieważ obcy, decydując się na zasiedlenie organizmu Ojca, dobrowolnie oddali się pod jurysdykcję Rodziny. Według prawa Ziemi, wszystkie zobowiązania testamentowe czy majątkowe, muszą pozostać wyegzekwowane w stosunku do żyjących jej członków, a z tego co wiem, dzięki tej na wpół legalnej operacji, większość akcji ogromnego bogactwa Storów będzie należała do was. Ostatnia kampania wojenna kompletnie ich wytrzebiła. Dlatego tak błagali o zapis świadomości w tubach przechowawczych. Stamtąd mogli operować w sieci. A w sieci robili wszystko, żeby odnaleźć kogoś takiego jak Velcor i Fiadr.

Rozłożył ręce bezradnie.

– Trudno dziś odnaleźć gdziekolwiek żywego Stora. Tak więc ostrożnie postępujcie z waszym Papciem. Nabrał wartości precedensu.

Wzrok obecnych powędrował na wielkiego, dyszącego stwora w samym centrum rodzinnej sali.

Ojciec był przywiązany w gigantycznym fotelu do oparcia. Pęknięcie na jego czole ciągle się powiększało. Zamiast mózgu miał w głowie tylko jakąś smolistą masę, z której wyzierało kilkaset malutkich ślepi. Na podłodze leżało kilkanaście par szybko wysychających oczu

przodków. Wciąż z fałdy skórnej troda na brzuch wypadały nowe. Zaledwie pełgały w histerycznym, telepatycznym wołaniu o pomoc. Nikt się tym faktem w tym momencie nie przejął. Słuchali z otwartymi ustami i pełnym wytrzeszczem oczu. Nawet nie zauważyli delikatnego uśmiechu Velcora na twarzy starego.

– To oznacza tylko jedno: dziedzictwo – podkreślił Hotar z napięciem malującym się na twarzy. Bał się, że zauważyli nic ich gruntującego się porozumienia. – Wobec tego typu unifikacji, dziedzicznym wszystkim to, co posiadali zmarli przodkowie Storów.

– Mój Boże... Wszystkie ich kopalnie, mobilne kosmodromy, wieże wiertnicze i muzea? – Dokładnie. Chyba że znajdzie się jakiś żywy Stor, który zażąda swojej większej części testamentowego łupu.

Potraktowali tę wypowiedź jak dobry żart. Parsknęli szyderczym śmiechem. Dzieci zawtórowały piskliwym chórem. Lubiły dorosłych w przychylnych nastrojach.

## 7.

Inspektor wszedł do łazienki ostatni. Kobiety poprawiały tu przedtem makijaż i lustro było upudrowane po samą uszczerbioną krawędź. Przemył twarz. Czuł niezwykle gorąco. Już od jakiegoś czasu miał trudności z oddychaniem. Jeszcze ten szybko schnący język, poruszający się jak kawałek sztywnego drewna.

Przetarł lustro i przyjrzał się twarzy. Poprawił grzywkę, delikatnie przyklepując. Lepiej, żeby nikt za wcześnie nie zauważył drobnego pęknięcia na czole. Klauzula zasiedlenia dualistycznego mówiła jasno, że majątek należy do ostatniego w pełni fizycznie sprawnego członka Rodu.

A jego załadowany wprost do jaźni Stor wykazywał ciągle rosnącą fizyczną aktywność. Pochodził z antycznej tuby przechowawczej Fiadra, przywiezionej wprost z linii frontu, o którą stoczyli tak zacięty bój na małe noże.

*Opowiadanie pochodzi ze zbioru Testimonium (Warszawska  
Firma Wydawnicza, 2013).*

## ***Przemek Morawski (podstuwak)***

*Urodzony w roku śmierci Janusza Zajdla. Wciąż pisze gorzej od niego. Po przeprowadzce na wieś odkrył, że nie nabył przy tym umiejętności Tolstoja. Dlatego nadal uczy się pisać.*

## **Przemek Morawski**

### **KRAFTWERK**

#### **1.**

– Niech pan posłucha – porucznik Góra zwrócił się do siedzącego naprzeciw niego Jareckiego, podnosząc ze sterty zalegających biurko papierów jeden z wycinków prasowych. Ze swoją ciemną czupryną i przystojną twarzą o dojrzałych rysach, ubrany w sweter i kraciastą koszulę, porucznik wyglądał raczej na poetę niż milicjanta. Na poetę, co prawda, upadłego, ale takiego, który nie powiedział jeszcze ostatniego słowa. – „By zrozumieć, w jakim sensie nazywam naszą świadomość układem” – Góra zaczął czytać fragment artykułu – „i ustalić, jaki związek łączy ją z naszym ciałem, musielibyśmy zrozumieć samą istotę świadomości. Dość blisko tego, o czym chcę powiedzieć (z kilkoma zaledwie różnicami) plasuje się rozumienie świadomości w ujęciu Levinasa, który widział ją jako obecność bytu, stanowiącego obecność wobec samego siebie. Sama świadomość pochodzi od myśli, która ją myśli. Wystarczy jedynie zrozumieć, czym jest myśl, która myśli świadomość, by móc zrozumieć mój odległy od filozofowania sposób pojmowania tego zagadnienia”.

– To jest po polsku? – spytał Jarecki. Był starszy od Góry. Miał lekką nadwagę i łysiał. Na ulicy można było wziąć go za docenta, ale Jarecki nie był typem myśliciela. Nie przeszkadzało mu to jednak sprawdzać się wyśmienicie w roli śledczego.



– Po polsku, po polsku – odparł Góra ze śmiechem. – Doktor Weiss i jeden z jego ostatnich artykułów. – Nie dziwię się, że wsadzili go do czubków.

Kiedy będzie pan go przesłuchiwał? Czy czasem nie dzisiaj? Porucznik westchnął i zaczął zbierać papiery.

– Nie będę – przyznał. – Major zamknął sprawę śmierci profesora Krafta, więc zeznania Weissa nie są mi już potrzebne.

– Jak to zamknął? – nie dowierzał Jarecki.

– Normalnie. Podobno wczoraj złapali jakichś gówniarzy, którzy przyznali się do tego zabójstwa.

– Co pan powiesz? Kto prowadził przesłuchanie? – SB.

Jarecki uniósł ze zdziwieniem brwi.

– SB zajmuje się taką sprawą? – spytał.

W ciszy, jaka zapadła rozległ się płynący z radia głos Piotra Szczepanika, który śpiewał właśnie *Goniąc Kormorany*.

Siedzący naprzeciwko porucznika Jarecki spojrzał na radiomagnetofon, a później na Górę. Odbiornik był nowym nabytkiem na komendzie i choć miał służyć do rejestrowania przesłuchań, Jarecki częściej używał go do rozrywki.

– Mogę ściszyć, jeśli pan chce – oznajmił teraz.

Porucznik przełożył kupkę papierów na drugą część biurka, przechylił szklankę z kawą, by sprawdzić, czy coś w niej jeszcze zostało, po czym dopił resztkę.

– Nie trzeba – odpowiedział, rozgryzając z niesmakiem fusy.

Jarecki uniósł się znad biurka, odchylił na oparcie krzesła i założył ręce za głowę.

– Więc co z tym SB? – spytał.

Góra, oglądając dno szklanki zastanawiał się, czy powinien powiedzieć wszystko, o czym myśli. Zastanawiał się nie dlatego, że nie ufał Jareckiemu.

Znali się od lat. Od lat siedzieli biurko w biurko w tym małym pokoiku, otoczeni szafami pełnymi akt i pod ciągłym nadzorem łypiącego podejrzliwym okiem orła bez korony, zawieszzonego na ścia-

nie. Jednak przez te lata służby Góra zdążył nauczyć się, że nawet przy osobach zaufanych pewne rzeczy lepiej zostawić dla siebie.

– SB zamyka tę sprawę – powiedział wreszcie porucznik. – Mam przekazać im wszystkie akta.

– Czemu tak ich to interesuje? – Profesor prowadził badania rządowe. Musiały być dość istotne, ale ja nie dowiedziałem się o nich zbyt wiele.

– Myślisz, że ten Weiss wie coś więcej? – Pewnie tak, w końcu razem pracowali. Ale teraz to już nieistotne.

Góra schował wybrane papiery do zniszczonej teczki, zawiązał ją i poklepał dłonią, jakby chciał w ten sposób przypieczętować zamknięcie sprawy. Ogarnęło go przy tym uczucie straty. Stan podobny do tego, w jaki wpadamy, gdy wybudzamy się z najprzyjemniejszych snów.

W radiu spiker skończył właśnie mówić i Maryla Rodowicz zaśpiewała *Żyj, mój świecie*, gdy zadzwonił telefon.

Góra wskazał skinieniem głowy odbiornik, a ręką uczynił ruch, jakby kręcił gałką.

Jarecki podniósł się z westchnieniem i wyłączył radio, a porucznik odebrał.

– Porucznik Góra, słucham – powiedział do aparatu.

W słuchawce rozległ się trzask i po chwili zza ściany szumu dobiegły piskliwe dźwięki, które zdawały się następować po sobie w określonej kolejności. Góra wsłuchiwał się w nie z przejęciem. Znał je już doskonale.

Od pewnego czasu odbierał co najmniej jeden taki telefon dziennie. Łapał się nawet na tym, że na nie czeka.

Jarecki patrzył zdumiony na milczącego porucznika. Góra, nie zwracając na niego uwagi, wsłuchiwał się w ciąg pisków i nagle tchnięty nową myślą, chwycił za kartkę i zaczął stawiać na niej kropki i kreski.

– Co robisz? – zainteresował się Jarecki.

Porucznik, notując, ze słuchawką przyciśniętą ramieniem, przy-

łożył tylko palec do ust i wciąż w skupieniu stawiał kolejne znaki. Kiedy połączenie skończyło się, odłożył długopis i spojrzał na zapisaną kartkę.

– Chyba to rozgryzłem – oznajmił Jareckiemu.

– Co rozgryzłeś? – zapytał tamten zaintrygowany. – Zaraz ci powiem.

Góra zaczął przy serii znaków stawiać litery. Pluł sobie w brodę, że nie wpadł na to wcześniej. Alfabet Morse’a! Przecież to oczywiste. Kiedy każda kreska i kropka zostały opisane, porucznik dłuższą chwilę próbował wyłuskać spośród zapisanych liter coś sensownego. Bezskutecznie. Po jakimś czasie zrezygnował, zmiął kartkę i wyrzucił ją do stojącego przy wyjściu kosza.

– Niech to szlag! – syknął przez zaciśnięte zęby. – Powiesz w końcu o co chodzi? – naciskał Jarecki.

– Już o nic – odparł porucznik. – Jednak nie ma o czym mówić.

Jarecki, przyzwyczajony do małomówności współpracownika, wzruszył tylko ramionami i nie dopytywał więcej.

Porucznik w tym czasie otworzył sporządzoną niedawno teczkę i zaczął ją jeszcze raz przeglądać. Wcześniej nie zastanawiał się nad tym, czy telefony te mogą mieć coś wspólnego ze sprawą profesora Krafta. W tej chwili zaczęło wydawać mu się to bardzo prawdopodobne.

Pierwszy z telefonów odebrał wkrótce po tym, kiedy się nią zajął. Wziął to jednak za uszkodzenie linii i nawet zgłaszał kilkakrotnie. Teraz zyskał pewność, że niezrozumiałe dźwięki nie były wynikiem awarii.

Zanim jego rozważania przerwało pukanie do drzwi, zdążył wyjąć z teczki jedno ze zdjęć przedstawiających miejsce zbrodni i samo ciało, ręcznie pisane raporty, których sporządzone na maszynie kopie znajdowały się w teczce i znaną w portfelu denata kartkę, na której wypisano imię *EWA* oraz ciąg cyfr: *11354*. Zanim drzwi otworzyły się, Góra przykrył notatki wraz ze zdjęciem zalegającymi biurko papierami, a kartkę z portfela odłożył z powrotem do teczki.

Kiedy zawiązał ją, do środka wszedł jeden z oficerów SB, którego

nazwiska nie znał.

– Witam – powiedział, wciąż trzymając rękę na klamce. – Komendant poinformował mnie, że jeszcze nie przekazaliście mi wszystkich akt naszej sprawy.

– Mam je tutaj. Może pan je już zabrać.

Oficer podszedł do biurka i położył rękę na teczce.

– Bardzo dobrze prowadził pan to śledztwo – stwierdził. – W zasadzie niewiele jest już do zrobienia. – Jego kwadratowa, ospowata twarz z nosem boksera i oczami cwaniaka, wyraźnie kontrastowała z miłym tonem głosu.

– Dlaczego pan mi to mówi? – zapytał Góra.

Oficer podniósł teczkę i uśmiechnął się.

– Żeby mógł pan spokojnie przejść do wykonywania pozostałych obowiązków, poruczniku.

Góra nie odpowiedział. Z radia popłynęły rzewne tony pianina, a Krzysztof Krawczyk zaczął śpiewać *Byłaś mi nadzieją*.

Z korytarza zajrzał wąsaty mężczyzna z głową zwieńczoną strzechą ciemnych, kręconych włosów i porucznik przez chwilę miał wrażenie, że piosenkę słyszy nie z radia, ale właśnie od niego.

– Ja już schodzę do wozu – powiedział wąsacz.

Stojący przy biurku Góry oficer ruszył w jego stronę.

– Ja też już wychodzę – poinformował go. – Do widzenia panom – dodał przy drzwiach.

Wąsacz skłonił się tylko i chwycił za klamkę. Góra dostrzegł na jego palcu duży, złoty sygnet, który bardziej pasował do festiwalu w Opolu, niż służby w SB.

– To byli ci...? – zaczął Jarecki, gdy wyszli, ale Góra przerwał mu.

– Tak. Znasz ich? Jarecki zastanowił się przez chwilę.

– Nie bardzo. Tyle co z widzenia – przyznał.

Góra nie pytał o nic więcej, schował do notesu uprzednio wyjęte z teczki zdjęcia i wstał od biurka.

– Nie będzie mnie już dzisiaj – oznajmił. – Jakby stary pytał, to wyszedłem grzebać przy sprawie tego wisiora.

– Wiedziałem, że pan nie wysiedzi – roześmiał się Jarecki. – Idzie pan do Weissa? – Chcę tylko sprawdzić jedną rzecz.

Jarecki cmoknął z udawaną dezaprobatą.

– Ech, panie Góra – westchnął. – Powinien pan w końcu znaleźć sobie żonę. Szybko by panu wypadły z głowy prywatne śledztwa.

Góra stanął w drzwiach i zmierzył wzrokiem towarzysza.

– Psy gończe przy sukach kundleją – odparł.

– Sam pan kundlejesz – rzucił za nim Jarecki bez złości.

## 2.

Szpital wyglądał nad wyraz posępnie i Góra zastanawiał się, jak takie miejsce ma pomagać w odzyskiwaniu psychicznej równowagi. Idąc korytarzem, w którym ostry zapach lizolu mieszał się z niesionymi przez echo jękami i krzykiem, sam bał się, że zaraz zwariuje. Gdy w końcu dotarł do sali doktora Weissa, klaustrofobiczne pomieszczenie tylko pogłębiło tę atmosferę.

Weiss, wychudzony i niemal kompletnie łysy, o posturze zgarbionej, z trzęsącymi się dłońmi, wyglądał jak świeżo ocalony rozbitek. Brakowało mu tylko koca i kubka ciepłej herbaty.

Góra usiadł przed nim, a pielęgniarz zamknął drzwi, informując, że rozmowa nie może potrwać zbyt długo.

Porucznik położył notes na rozchybotanym stole, otworzył go i przez chwilę wpatrywał się w pustą kartkę.

– Nazywam się porucznik Góra – powiedział wreszcie. – Jestem tutaj, aby zapytać pana o profesora Krafta.

Weiss uniósł głowę, a jego twarz skrzywił nerwowy tik.

– Znaleźliście jego ciało? – spytał.

Porucznik odłożył długopis i wyprostował się.

– Czy ktoś rozmawiał z panem o tej sprawie? – Nie – zaprzeczył doktor. – Interesuje mnie tylko, czy profesorowi się udało.

Porucznik zabębnił palcami o blat, ponownie ujął długopis i

przechylił się w stronę Weissa.

– Co udało? – zainteresował się.

– W końcu stąd uciec.

– Nie nazwałbym tego ucieczką – skwitował porucznik. – Skąd pan wiedział, że profesor Kraft nie żyje? Weiss odchylił ze zdziwieniem głowę.

– Nie powiedziałem, że wiedziałem – zaproponował. – Ani, że twierdzę, że nie żyje.

Porucznik odłożył długopis i splótł ręce na piersi.

– Ciało profesora Krafta zostało znalezione w ubiegłym tygodniu – wyjaśnił. – Teraz już pan wie.

Doktor Weiss uniósł brwi.

– Czyżby? – spytał. – Znaleźliście ciało. To nie znaczy, że znaleźliście profesora Krafta.

– Co pan przez to rozumie? – A czy ja w ogóle coś rozumiem? W końcu jestem obłąkany.

Do pomieszczenia, w którym siedzieli, docierały co chwilę krzyki innych pacjentów. Porucznik żałował, że nie może przesłuchać Weissa na komendzie. W takich momentach żałował też, że rzucił palenie. W tej chwili dałby wszystko za jednego Sporta.

– Nad czym pracował pan z profesorem – Góra ponownie zajął się przesłuchaniem.

– Nad świadomością. Badaliśmy, czym jest świadomość i jak można ją naukowo opisać.

– A dokładniej? – Chcieliśmy ją zdefiniować. Wyrazić w kategoriach chemicznych, fizycznych i matematycznych, bez konieczności filozofowania. To była bardzo żmudna praca. Wykorzystywaliśmy przy niej wszelkie możliwe zasoby, nawet skomplikowane maszyny obliczeniowe i komputery.

– I do czego doszliście? Weiss skrzywił się.

– Do niczego. Kiedy wszystko zaczęło się wyjaśniać, Kraft zaczął prowadzić badania dla SB.

– A pan? Weiss uśmiechnął się gorzko.

– Po sześćdziesiątym ósmym? Góra był zdziwiony rzeczowością jego odpowiedzi. Spodziewał się szalonego naukowca, tymczasem Weiss patrzył na wszystko trzeźwiej, niż on sam. Porucznik skupiał się zawsze na prowadzonych śledztwach, a tym, co dzieje się dookoła, interesował się jedynie wtedy, kiedy mogło to popchnąć sprawę do przodu.

– Czy te wasze badania nad świadomością miały coś wspólnego z ucieczką profesora?

Weiss zastanowił się przez chwilę.

– To zależy, czy mu się udało, czy nie – stwierdził.

– A jeśli się udało? Doktor nie odpowiedział od razu. Jakiś czas błędził palcem po blacie stołu, myśląc nad czymś intensywnie.

– Jeśli się udało, to żałuję, że mnie przy tym nie było – odparł w końcu.

– Ale proszę mnie już więcej o to nie pytać.

Porucznik obracał w palcach długopis, zapisując tylko pojedyncze zdania.

– Więc na razie proszę mi powiedzieć coś innego. – Wrócił do przesłuchania. – Czy pracowaliście kiedyś nad czymś związanym z telefonami? – Kiedy Kraft przestał ze mną współpracować, przekazywał mi informacje przez asystentów. Przypominało to głuchy telefon.

– Może Kraft zajmował się czymś takim sam – nie ustępował Góra.

Weiss pochylił się w jego stronę i zajrzał porucznikowi w oczy.

– Nie będę mówił więcej o naszej pracy – odparł. – Przyzwyczaiłem się już do tego, że wsadziliście mnie tutaj i nie chciałbym tego zepsuć.

Góra zmarszczył czoło, zastanowił się przez chwilę i zmienił temat: – Niech pan w takim razie opowie o kontaktach Krafta z kobietami. Miał kogoś? Spotykał się z kimś? Weiss odetchnął i oparł się wygodnie.

– Tutaj akurat sprawa jest prosta. Profesor miał czas tylko na

pracę.

Z nikim się nie umawiał. Nawet na sympozjach nie chodził na dziwki.

Zresztą, z tym jego roztargnieniem pewnie źle by się to dla niego skończyło.

Czy pan wie, że Kraft nie miał kompletnie pamięci do cyfr? Wszystko musiał zapisywać: wydatki, numery telefonów, adresy.

– A czy w jego życiu była jakaś Ewa? – Ewa – westchnął Weiss. – Ewa to co innego.

Porucznik ożywił się.

– Kim była Ewa? – spytał.

Weiss uśmiechnął się w taki sposób, że w końcu w pełni zaczął przypominać pacjenta szpitala dla psychicznie chorych.

– Więc pan nic nie wie o Ewie, poruczniku? – zachichotał. – Nikt na świecie nie wie...

– Proszę odpowiedzieć – zniecierpliwił się Góra.

– Mieliśmy już nie mówić o mojej pracy – odezwał się doktor. – To nie przyniesie nic dobrego. Ani mnie, ani panu. Dlatego skończmy już tę rozmowę.

– Skończymy, kiedy ja tak zadecyduję.

Weiss chwycił rękami blat stołu.

– Niekoniecznie – powiedział.

Góra zdążył w ostatniej chwili złapać notatnik, zanim doktor wstał i wywrócił stół. Nie wiedząc, co zrobić, patrzył tylko, jak Weiss rzuca się w stronę drzwi i uderza o nie całym ciałem. Po chwili do środka wpadło trzech sanitariuszy i zaczęło okładać go gumowymi pałkami.

– Pewne metody sprawdzają się w każdym miejscu – zwrócił się do porucznika trzeci z nich, stając w drzwiach.

Porucznik wstał i podszedł do niego.

– Czy to naprawdę konieczne? – spytał.

– Pan wie, jak robić swoją robotę, my wiemy, jak robić swoją.

Góra nie odpowiedział. Minał go i wyszedł na korytarz.



– Chyba pana nie uraziłem? – rzucił za nim sanitariusz. – Wiem, że pana robota to zupełnie coś innego.

### 3.

– Szach – stwierdził Góra, przestawiając piona.

Trell pochylił się nad szachownicą, wykonał ruch skoczkiem i zbił figurę porucznika.

Porucznik westchnął i wypił przygotowaną na tę okazję setkę wódki. Wódka była ciepła. Krzywiąc się pomyślał, że ta partia zdecydowanie trwa zbyt długo.

– Chyba specjalnie mi się podkładasz – oznajmił Trell. – Jeśli chcesz, to pij bez krępacji, ale graj na poziomie, do jasnej cholery! Porucznik opuścił głowę, potarł ręką czoło i zamilkł.

Towarzysz nie ponaglał go. Mieli przecież czas.

Siedzieli teraz w mieszkaniu Trella, tak w braku kobiecej ręki podobnym do mieszkania porucznika. Jediną różnicą było to, że Trell miał kiedyś żonę i w niektórych miejscach ostały się pamiątki z tego okresu – kryształowe wazony, zakurzone landszafty i zdjęcia.

Na fotografiach przyjaciel porucznika niepozbowiony był jeszcze tej woli działania, którą znaleźć można niekiedy w oczach sportowców, a która w oczach Trella wygasła bezpowrotnie. Mężczyzna też postarzał się znacznie. Jego włosy posiwiały, a policzki stały się wklęsłe. Trudno było uwierzyć, że zdjęcia te wykonano zaledwie kilka lat temu.

Niewiele wcześniej, nim Trella zostawiła żona.

W sześćdziesiątym ósmym Trell stracił nogę, w czasie działań, o których z pewnością nie chciałby opowiadać swoim wnukom. Ani małżonce. Wtedy też skończyła się jego służba.

Porucznik nie pamiętał już, kiedy szachowe spotkania stały się ich tradycją. Grali zawsze w czwartki, z czego zresztą żartowała cała komenda.

Żaden z nich nie potrafił powiedzieć, dlaczego wybrali akurat ten

dzień.

– Zastanawiałeś się kiedyś, czym jest ludzka świadomość? – przerwał wreszcie milczenie porucznik. – Czym są nasze myśli? Czy świadomość może istnieć poza ciałem? Trell uzupełnił właśnie kieliszki wódką i uniósł z politowaniem brwi.

– Nigdy przed pierwszym litrem – odparł, odstawiając butelkę.

– Nie żartuj – zganił go Góra. – Pytam poważnie.

Trell wysunął dolną szczękę, podrapał się po brodzie i wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia – przyznał. – Nawet mnie to nie interesuje. Ciekawe tylko, skąd u ciebie takie rozterki. – Sprawa profesora – wyjaśnił Góra.

Trell wyprostował się.

– Mówiłeś dzisiaj, że zamyka ją SB – stwierdził.

Porucznik przesunął kolejną figurę i dopiero po chwili zorientował się, że ruch był nietrafiony.

– Bo zamyka – zgodził się. – Nie mam zamiaru się w to mieszać. Interesuje mnie tylko kilka rzeczy.

– Co na przykład? – Trell ponownie przestawił skoczka. – Szach – dodał.

Porucznik potarł spocone czoło.

– Na przykład nad czym pracował ten profesor. Na początku to bagatelizowałem, ale im więcej się o tym dowiaduję, tym bardziej mnie to ciekawi. I jeszcze ten Weiss, jego współpracownik. Byłem dziś u niego w szpitalu i nie zgadniesz co.

Trell uniósł brew w wyrazie zainteresowania.

– Psychuszka? – spytał.

Porucznik wziął do ręki zbitego piona i zaczął go przewracać w dłoniach.

– Wzorcowy – potwierdził. – Sam doktor odnalazł się już w tej grze i zadomowił w szpitalu. Tam przynajmniej wie, na czym stoi.

– Właściwie dlaczego go nie sprzątnęli? Tak byłoby prościej.

Porucznik przestawił króla.

– Weiss z profesorem bardzo dużo drukowali w pismach naukowych – zaczął wyjaśniać. – Czytałem te artykuły, ale niewiele z nich rozumiem.

Wiem tylko tyle, że na początku byli dość zgodni. Próbowali udowodnić, że świadomość jest swego rodzaju układem wyładowań elektrycznych, jakie zachodzą w naszym mózgu. Że nie jest związana z naszym ciałem, bo ciało jest jedynie nośnikiem, a nośniki można zmieniać.

– To wciąż nie tłumaczy, dlaczego nie mieliby po prostu pozbyć się tego Weissa – zauważył Trell i wykonał kolejny ruch.

– Zaraz zrozumiesz – zapowiedział Góra. – Wszystko zmieniło się, gdy profesor zaczął współpracować z SB. Wtedy wycofał się ze swoich stwierdzeń i zaczął podważać wyniki badań, więc siłą rzeczy twierdzenia Weissa. Weiss zaatakował go, insynuując, że za postawą profesora stoją jego nowi mocodawcy. Cenzura to wszystko puszczała, bo i tak nie rozumiała, o czym się tam pisze. Ale ktoś musiał zrozumieć.

– Ktoś, kto rozumiał, że wsadzenie doktora do psychiatryka ostatecznie obali jego twierdzenia – ocenił Trell. – Sprytne. Myślisz, że profesor o tym wiedział? Porucznik odłożył trzymaną w rękach figurę, przestawił piona i zastanowił się przez chwilę.

– Trudno powiedzieć. Ale profesor mało wiedział, co dzieje się wokół niego. Zajmował się tylko badaniami.

– Mówiłeś, że znaleźli go w alejce za Maximem. – Trell zbił porucznikowi piona. – Co to w takim razie były za badania? Góra znów napił się ciepłej wódki i wypuścił z sykiem powietrze.

– I to też jest dziwne – przyznał. – Profesora nikt tam nie widywał.

Zresztą, to miejsce nie pasuje mi do niego. Potwierdzał to akt zgonu, w którym twierdzono, że śmierć nastąpiła gdzieś indziej. Ale dokument zmieniono, za przyczynę zejścia wskazując pobicie.

Trell odsunął się na oparcie krzesła.

– Dla mnie wszystko jest jasne – powiedział. – Nie interesuj się tym więcej. Dobrze ci radzę.

Porucznik wykonał ruch gońcem.

– Nie będę – obiecał. – Weissa odwiedziłem z czystej ciekawości. Nie mam zamiaru ściągać sobie na głowę kłopotów.

Trell pochylił się nad szachownicą.

– Ty zawsze ściągasz sobie na głowę kłopoty – przyznał. Potem przesunął skoczka i dodał: – Szach i mat.

#### 4.

Kiedy porucznik wysiadł z taksówki, musiał przyznać przed sobą, że jednak jest pijany. Opierając się o drzwiczki warszawy powolnym ruchem wyjął portfel i zapłacił.

Do bramy szedł jednak prostym, stabilnym krokiem i dopiero kiedy na klatce wpadł na niego jakiś mężczyzna, musiał przytrzymać się poręczy, żeby nie upaść.

Góra sklął go w myślach i podszedł pod drzwi mieszkania.

Drzwi były otwarte.

Jedno spojrzenie wystarczyło, żeby porucznik zorientował się, co się stało. Momentalnie wytrzeźwiał.

W środku wszystko zostało wywleczone na wierzch. Poodsuwano meble, pościągano dywany. Powywracane krzesła i otwartą wersalkę rozpruto, a całość zwieńczono rozrzucając wszędzie powyciągane z szaf ubrania.

Góra podejrzewał, że musi mieć z tym coś wspólnego mężczyzna, którego minął na klatce. Wybiegając na ulicę miał nadzieję, że zdoła go jeszcze dogonić. Na szczęście taksówka odjechała i teraz porucznik widział go paręnaście metrów dalej. Nie myśląc wiele ruszył w jego stronę. Najpierw ostrożnie, tak by pozostać niezauważonym, później biegiem, kiedy miał już pewność, że zdoła go doścignąć.

Gdyby tego wieczoru nie wypił tak dużo, z pewnością byłoby to łatwiejsze.

Ścigany, mężczyzna przeciętnej budowy, biegł ciężko i dystans

między nimi zmniejszał się co jakiś czas. Jednak zawsze wtedy tamten, jak wytrawny maratończyk tuż przed metą, przyspieszał, pozostawiając Górę w tyle.

Przebiegając przez kolejny szpaler bloków porucznik czuł, że traci siły.

Kiedy przyszło mu przeskoczyć przez ogrodzenie, omal się nie wywrócił.

Sam nie rozumiał, jak udaje mu się nie mylić kroków.

Ale tamten też biegł już coraz wolniej. Góra dokładnie widział jego plecy. Zarysowany w ciemnościach kontur kręconej czupryny. Był tuż za nim.

I wtedy ścigany skręcił nagle za winkiel i zniknął.

Porucznik zatrzymał się. Wsparty na ugiętych nogach oddychał głęboko.

Przed nim rozciągała się osiedlowa alejka, która prowadziła wzdłuż bloków. Drzwi pierwszej z bram zamknęły się właśnie.

Góra odruchowo sięgnął za pazuchę i pożałował od razu, że nie zabrał do Trella broni. Przyciskając plecy do zadrapanego muru, ostrożnie wśliznął się do środka.

Tym razem nawet chwycenie się poręczy nie pomogło. Cios był na tyle silny, że porucznik zachwiał się i upadł na plecy. W głowie zaczęło mu się mącić, a pod okiem poczuł piekący ból.

Napastnik minął go i spokojnie odszedł. Musiał być pewien swojej ręki.

Góra słyszał, jak odgłos jego kroków niknie powoli. Potem zasnął. Lub stracił przytomność.

Ocknął się o świecie, wtulony w męską postać. Postać była zaniedbana i właśnie grzebała mu w kieszeni marynarki. Góra w jednej chwili oprzytomniał, podniósł się, wykręcił złodziejowi rękę i przycisnął mu głowę do zimnego betonu.

– Może tu znajdziesz coś ciekawszego – wysyczał. – Chcesz przyjrzeć się jeszcze bliżej? – Ubzdryngolą się jeden z drugim i wszczynają awantury! – krzyknął ktoś z półpiętra. – Już mi stąd, bo

wezwe milicję! Porucznik odwrócił się i zmierzył krzykacza wzrokiem.

– To ja jestem milicja, a teraz wypierdalaj! – odparł.

Przestraszony mieszkaniec schował się za drzwiami. W tym czasie Góra podniósł złodzieja i kopnięciem wypchnął go na zewnątrz.

– Ciebie też nie chcę tu widzieć. – rzucił za nim. Potem otrzepał marynarkę, poprawił włosy i ruszył do siebie.

Mieszkanie wyglądało tak, jak je zastał ostatniej nocy. W wejściu natknął się na sąsiadkę.

– Mieszkanie się zamyka – zganiła go. – Milicja, nie milicja, złodziej w dowód nie zagłada.

Góra minął ją i zatrzasnął jej drzwi przed nosem.

W łazience przemył twarz i obejrzał się w lustrze. Nie było tak źle.

Oko trochę spuchło, a na policzku i skroni tylko niewielkie zadrapania.

Gdyby się wykapał i uczesał, wyglądałby dość przyzwoicie. Góra jednak nie miał na to czasu.

Wciąż oglądając twarz z każdej strony zwrócił uwagę na jeden szczegół.

W widniejącej pod okiem opuchliźnie wyraźnie zarysowało się kółko. Jakby odcisk pierścienia lub sygnetu.

## 5.

– Gdzie jest major? – zapytał Góra od wejścia.

Jarecki spojrzał na niego znad sterty papierów i zagwizdał wymownie.

– A jak wygląda ten drugi? – zainteresował się.

Góra wszedł do środka, zamknął drzwi i podszedł do biurka Jareckiego.

– Major – ponaglił. – Gdzie jest? – A co to? Pali się? – odparł Jarecki kpiąco. – Nie widziałem go dzisiaj.

Może się zdziwisz, ale stary nie musi mi się meldować.

Góra wyprostował się i zwiesił głowę.

– Przepraszam – jęknął. – Jeśli się pojawi, to niech pan mu przekaże, że mam do niego ważną sprawę.

– Witek, co się dzieje – zapytał szczerze przejęty Jarecki.

– Nic takiego – uspokoił go porucznik. Jakby chcąc to potwierdzić, zerknął na leżącą pod ścianą torbę Polsportu i spytał możliwie najspokojniej: – Kopiecie dzisiaj? – Tak – odparł Jarecki. – Miałem nadzieję, że do nas dołączysz.

– Następnym razem.

W radiu rozległy się pierwsze takty *Nikt na świecie nie wie* i jakby wywołany tą piosenką zadzwonił telefon leżący na biurku Góry.

Góra wskazał skinieniem głowy odbiornik i ruszył w stronę aparatu.

Kiedy Jarecki wyłączył radio, porucznik odebrał: – Porucznik Góra, słucham.

W słuchawce rozległy się znane mu piski.

– Profesor Kraft? – spytał Góra, nie zważając na szczerze zdziwionego Jareckiego. Dźwięki nasiliły się, jednak sekwencja pozostała taka sama. Tchnięty nagłą myślą porucznik chwycił aparat, podszedł do szafy, na której stał radiomagnetofon i ściągnął urządzenie na podłogę. Potem przełączył na odtwarzanie kaset, zbliżył słuchawkę do odbiornika i nacisnął nagrywanie.

– Przecież ja mam tam przesłuchanie...

Góra gestem dłoni wskazał Jareckiemu, by był cicho. Odczekał do końca połączenia, po czym wcisnął stop i wyprostował się uradowany.

– W końcu cię mam – powiedział do siebie.

– Już kompletnie ci na mózg padło! – zganił go Jarecki. – Trzy godziny cisnęliśmy go, by zaśpiewał, a ty mi to kasujesz.

– Minuta z trzech godzin cię nie zbawi – skwitował Góra i podniósł radiomagnetofon z podłogi. – Mogę pożyczyć twoją torbę? – spytał, zwracając głowę w stronę Jareckiego.

Jarecki machnął tylko ręką i nie odezwał się. Góra, biorąc to za zgodę, wypakował jego rzeczy na biurko i schował do torby odtwarzacz.

– Dzięki – powiedział, gdy zasunął zamek. – Zwrócę ci jeszcze dziś.

Najpóźniej jutro.

Jarecki pokręcił głową i westchnął.

– Wylądujesz w wariatkowie – rzucił za wychodzącym porucznikiem.

Porucznik odwrócił się w progu i rzekł z uśmiechem: – Właśnie się tam wybieram.

## 6.

Góra szedł szpitalnym korytarzem i nie zwracał uwagi na biegnącego za nim pielęgniarza.

– Nie może pan się dzisiaj zobaczyć z pacjentem – krzyczała mężczyzna.

– I tak jest w takim stanie, że niczego panu nie powie.

– Zaryzykuję – stwierdził porucznik i poprawił wiszącą na ramieniu torbę.

Doktor Weiss siedział na łóżku i człowieka, z którym porucznik widział się zaledwie wczoraj, przypominał jedynie swoją zmizerniałą posturą. Oczy Weissa, jeszcze niedawno bystre i skupione, teraz były rozmyte i pozbawione przytomności. Głowa doktora wciąż opadała i ten nie mógł utrzymać jej w pionie. Kiedy porucznik wszedł, Weiss nawet nie spojrzał w jego stronę.

– Proszę zostawić nas na chwilę samych – powiedział Góra do pielęgniarza.

– Może być pan pewien, że o tym wtargnięciu poinformujemy pana przełożonych.

– Możecie poinformować nawet samego głównego sekretarza, ale



teraz dajcie nam pięć minut.

Pielęgniarka zrobiła oburzoną minę, ale w końcu wyszedł.

– Doktorze – zwrócił się do Weissa porucznik. – Chcę pana o coś spytać.

Weiss wciąż zdawał się nie zauważać jego obecności.

Góra wyciągnął radiomagnetofon i podłączył go do kontaktu.

– Proszę tego posłuchać – powiedział, nachylając się nad urządzeniem.

– Proszę powiedzieć, czy coś się z tym panu kojarzy.

Kiedy porucznik wcisnął start, Weiss ożywił się na chwilę. Z trudem podniósł głowę i spojrzał na stół, na którym leżał magnetofon. Po chwili jednak jego głowa znów opadła i doktor na powrót wydawał się nieobecny.

Zaczął jednak wykonywać ręką ruchy, z początku niewyraźne, które Góra odczytał jako prośbę o coś do pisania.

Porucznik wyjął z torby notatnik i długopis, wsunął je doktorowi w rękę i patrzył z zaciekawieniem.

Weiss mazał przez chwilę przypadkowe zawijasy, po czym zaczął stawiać rzędy zer i jedynek. Spisywał je przez jakiś czas, a następnie każdej serii znaków przyporządkował liczby. Kiedy wszystkie miały już swój odpowiednik, Weiss wypisał pod nimi litery.

Porucznik, wstrzymując oddech, patrzył, jak stawiane przez doktora znaki zmieniają się w wiadomość: Możemy pomóc sobie nawzajem. Znajdź Ewę, a zrozumiesz wszystko.

Góra pochylił się nad Weissem i chwycił go za ramiona.

– Kim jest Ewa? – spytał.

Nim Weiss zdążył odpowiedzieć, do pokoju wszedł łysawy lekarz, w grubych, rogowych okularach.

– Proszę stąd wyjść! – nakazał. – Stan pacjenta jest obecnie bardzo ciężki i wszelkie wizyty są niewskazane.

– Kim jest Ewa? – Góra ponaglił pytanie, nie zwracając uwagi na tamtego.

– Słyszysz pan? – Lekarz położył porucznikowi rękę na ramieniu.

Weiss w tym czasie przechylił głowę, uśmiechnął się i wbił sobie długopis w dłoń.

– Proszę natychmiast opuścić salę! – krzyknął lekarz.

Do pomieszczenia wbiegło trzech sanitariuszy i chwyciło szarpającego się doktora.

Góra podniósł z podłogi notatnik i wyszedł na korytarz.

– Pan porucznik Góra? – spytała go pielęgniarka, gdy znalazł się już na zewnątrz.

– Tak – potwierdził.

– Proszę pójść na dyżurkę. Telefon do pana.

Telefon stał przy oknie. Porucznik wsparł się o framugę, okrył słuchawkę dłonią i odezwał się cicho: – Porucznik Góra, słucham.

– Major cię szuka – porucznik rozpoznał głos Jareckiego. – Wszyscy cię szukają. Dobrze przemyśl sobie kilka rzeczy, zanim wrócisz na komendę.

– Co się stało? – Znaleźli Trella. Martwego. W jego mieszkaniu są ślady bójki. Świadkowie mówią, że wczoraj razem piliście. Zresztą, cała komenda wie, że co czwartek gracie w szachy. Wiedzą, ile jest dwa plus dwa. I jeszcze to twoje oko.

Góra walnął dłonią w parapet. Przymknął na chwilę oczy i wziął głęboki wdech.

– Dzięki – odezwał się.

– Nie ma za co. Wiem, że to nie ty.

Porucznik pożegnał się i odłożył słuchawkę na widełki.

Pocierając czoło dłonią, wyjrzał przez okno.

Z dyżurki widać było szpitalny ogród, bardzo ładny o tej porze roku. Nie to jednak przykuło uwagę porucznika.

– Przepraszam – zwrócił się do jednej z pielęgniarek. – Proszę mi powiedzieć, kim jest tamten pan w kitlu? Kobieta wstała i podeszła do okna.

– To pan dyrektor – stwierdziła.

Dyrektor rozmawiał drugim z mężczyzną. Porucznik Góra rozpoznał w nim esbeka z nosem boksera.

## 7.

Mieszkanie profesora nie było zaplombowane i porucznikowi z łatwością udało się sforsować zamek. Będąc w środku bładził chwilę po omacku, aż włączył niewielką latarkę, którą kupił dzisiaj po wyjściu ze szpitala. Nie zapalał światła. Wiedział, że mieszkania trupów cieszą się szczególnym zainteresowaniem sąsiadów. Sąsiadów i organów władzy.

Porucznik miał pewność, że mieszkanie jest obserwowane. Żywił jednak nadzieję, że po zmroku obserwacja ta jest bardziej senna niż czujna.

Żałował, że nie może przyjrzeć się wszystkiemu w pełnym świetle. Miał nadzieję znaleźć tu odpowiedzi na przynajmniej jedno z trapiących go pytań, a z lichą latarką stawało się to o wiele trudniejsze.

Mieszkanie profesora było spore. Usytuowane w starej kamienicy, składało się z dwóch pokoi, sypialni i dużego salonu. Góra zdążył zorientować się, że salon przerobiono na coś w rodzaju domowego laboratorium.

Po podłodze ciągnęły się liczne kable i porucznik musiał uważać, żeby w któryś z nich się nie zaplątać. Zdziwiło go, że raport z rewizji nic o tym nie wspominał. Ale raport pewnie nie wspominał o wielu rzeczach. To dlatego Góra nie zainteresował się tym miejscem. Prowadząc kilka spraw naraz nie miał czasu, by każdą rewizję przeprowadzać samemu. Teraz żałował, że doświadczenie nie nauczyło go jeszcze tego, by wszystko sprawdzać osobiście.

Przenosząc snop światła na kolejne części pomieszczenia, porucznik ze zdziwieniem dostrzegł liczną aparaturę, której przeznaczenia nie mógł się nawet domyślać.

Tranzystory i pełne diod pudła, od których odchodziły niezliczone ilości kabli, straszyły teraz swoim chłodem, odbijając słaby blask latarki. Gdzieś tam stały urządzenia przypominające maszyny do

pisania, jednak wbudowane w sporych rozmiarów skrzynki, ze szparami, w które powtykane były dziurkowane karty.

Część z tych urządzeń stała na ustawionym w centralnym punkcie salonu stole, który musiał służyć profesorowi również za biurko. Góra rozpoznawał niektóre sprzęty. Widział je już w naukowej prasie, której czytał się w czasie śledztwa. Wielkie maszyny obliczeniowe i komputery. Jednak oglądane w takim stężeniu, przedmioty te wywoływały w nim wrażenie, jakby znalazł się w zupełnie innym świecie.

Najdziwniejsze było ustawione na środku pokoju krzesło. Przypominało krzesła, jakie Góra oglądał w zachodnich filmach, opowiadających o przyszłości i gwiazdnych podróżach. Przede wszystkim jednak porucznikowi kojarzyło się z krzesłem elektrycznym.

I właśnie wtedy, kiedy porucznik chciał się przyjrzeć owemu siedzeniu z bliska, tuż obok rozjarzył się blask zapalniczki, w którym Góra dostrzegł papierosa, dwie plamy oczu i nos, wyglądający jak nos boksera. W chwilę po tym ktoś zapalił światło.

– Tutaj go znaleźliśmy – powiedział bokser, wydmuchując kłęb dymu. – Nie żył już wtedy. Sądzymy, że zabił się sam. Przez przypadek.

Oprócz boksera, w pokoju znajdował się jeszcze kudłaty wąsacz, który stał teraz przy wejściu. Gdy porucznik opuścił latarkę, wąsacz wymierzył w jego stronę pistolet. Bokser w tym czasie zaciągnął się tylko i włożył rękę do kieszeni.

– Mieliśmy nadzieję, że pomożesz nam ustalić, co tutaj zaszło – zwrócił się do porucznika. – Ale jak widać, przeceniliśmy cię.

– Przerwaliście mi, kiedy właśnie zaczynałem się rozkręcać.

Esbek z nosem boksera podszedł do stojącego na środku pomieszczenia krzesła i oparł się o podłokietnik.

– Już za chwilę rozkręcisz się w pełni – zapowiedział ze śmiechem. – Jak tylko podłączymy cię do tej karuzeli.

Góra uważniej obejrzał niespotykany mebel.

Drewniane, obite metalowymi okuciami krzesło zwieńczone zostało stalową obręczą, znajdującą się na wysokości głowy siedzącego. Od obręczy i z tylnej części oparcia, wychodziły dziesiątki kabli, z

których część splatała się w gruby przewód prowadzący do odpowiednio spreparowanego aparatu telefonicznego. Pozostałe kable łączyły się ze skrzynkami upstrzonymi setkami diod, wyglądając jak pędy pozbawionego liści bluszczu.

– Co z tym robicie? – zapytał porucznik.

– To zabawka profesora – wyjaśnił bokser. – My tylko chcemy dowiedzieć się, do czego służy. I ty nam w tym pomożesz.

Wąsacz podszedł do Góry i wciąż trzymając go na muszce, wskazał mu ruchem głowy, by usiadł.

– Dziękuję, postoję – odparł porucznik, zaciskając chyłkiem dłoń na latarce. Przesunął jednocześnie nogę, unosząc jeden z leżących na podłodze kabli.

– Opór nie ma sensu – wtrącił się bokser. – Jak tak bardzo boisz się o swoją dupę, to trzeba było nie rozmawiać z Weissem.

– Weiss niczego mi nie powiedział. Może wy mi wyjaśnicie? Esbek z boksterskim nosem uśmiechnął się szelmowsko.

– Nie jesteśmy w filmie o imperialistycznych agentach – powiedział. – Nikt ci tu niczego nie wytłumaczy.

– Przecież wiem, że się do tego palisz.

Bokser zgniótł papierosa o blat stołu i stanął z założonymi rękami.

– Właśnie przestałem – oznajmił. – I tak byś nic nie zrozumiał. – Splótł dłonie i wyprostował ręce. W pokoju rozległ się trzask jego stawów.

Następnie mężczyzna skinął na wąsacza, a ten ruszył w stronę porucznika.

Gdy był tuż przy nim, porucznik wysunął nogę, naciągając kabel, a tamten potknął się i zachwiał, o mało nie upadając.

Góra wykorzystał tę chwilę, uderzając go w skroń latarką. Nim wąsacz zdołał złapać się za głowę, porucznik doskoczył do boksera i silnym ciosem złamał mu nos.

Wąsacz wypalił. Kula chybiła Górę, wbijając się z głuchym trzaśnięciem w ścianę. Porucznik odruchowo rzucił się na podłogę.

Kolejny pocisk zdążył świsnąć mu tuż nad uchem, po czym strzaskał jedno z wiszących na ścianie zdjęć.

Góra pociągnął płataninę kabli, na których stał funkcjonariusz z wąsem.

Gdy tamten upadł, porucznik zerwał się, chwycił ze stołu jedno z blaszanych pudeł i cisnął nim w leżącego esbeka, wytrącając mu broń z ręki.

Wtedy usłyszał kolejny strzał.

Bokser, jedną ręką trzymając się za krwawiący nos, drugą dobył swój P-64 i mierzył teraz w porucznika.

Góra dał nura w stronę broni wąsacza, chwycił ją i padając na plecy oddał dwa strzały, trafiając boksera w ramię. Gdy tamten upadł, Góra podniósł się i skierował lufę pistoletu w leżącego na podłodze funkcjonariusza z wąsem.

– Koniec tych gier – zaczął porucznik. – gadaj po co wam cały ten szmelc! Wąsacz, trzymając się za rękę, zaczął wyjaśniać z trudem:– Ja nic nie wiem.

Ja tego nie rozumiem – jęczał. – Profesor miał nam pomóc eliminować wrogów systemu. Świadomość... Świadomość to prąd. Tak mówił. I ten prąd można pochwycić. Można zamienić w niego każdego. Można nim kierować.

I można go wyłączyć, kiedy tylko się zechce. Gdyby wszyscy ludzie...

Kula przeleciała tak blisko twarzy porucznika, że poczuł na policzku jej podmuch. Jeszcze zanim bokser zdołał wystrzelić po raz kolejny, Góra przetoczył się na drugą stronę stołu.

Kolejny strzał padł jednak w kierunku funkcjonariusza z wąsem. Wąsacz zgiął się tylko w krótkim spazmie, skrzywił twarz i umarł.

Esbek z nosem boksera nie próbował wstać. Nie miał na to siły. Unosząc tylko trzęsące się ramię usiłował dostrzec postać porucznika. Kiedy w końcu mu się to udało, w pokoju ponownie rozległ się huk wystrzału, po którym mężczyzna nie widział już niczego.

Góra podszedł do martwego napastnika i odebrał mu broń.

Chowając oba pistolety, zaczął w pośpiechu rozglądać się po pomieszczeniu. Wiedział, że ma niewiele czasu. Któryś z sąsiadów z pewnością zadzwonił już na milicję.

Poza urządzeniami, przeznaczenia których porucznik nie znał, w mieszkaniu nie znajdowało się nic ciekawego.

Ubrania, spora biblioteczka, setki skomplikowanych notatek. Ryzy papieru i narzędzia pomiarowe. Gdzieś niedojedzone posiłki. W kuchni tylko kilka naczyń i pusta lodówka. Nigdzie żadnych ozdób czy pamiątek.

Wyjątek stanowiły zawieszona na ścianie zdjęcia.

W ciemnościach porucznik nie zwrócił na nie uwagi, jednak teraz zaczął im się baczniej przyglądać. Na jednym z nich rozpoznał doktora Weissa i profesora Krafta. Stali uśmiechnięci na tle wielkiego komputera. Zdjęcie podpisano „Laboratorium Arkadia. 1967”.

Góra miał już odejść od fotografii, kiedy nagle coś przykuło jego uwagę.

Na komputerze wisiała tabliczka. Porucznik nie bez problemu zdołał odczytać znajdujące się na niej imię.

Trzy prosto wypisane litery.

*EWA.*

## 8.

– Wiem, która jest godzina. – Porucznik ścisnął słuchawkę i oparł dłoń o brudną szybę budki telefonicznej. – To jednak bardzo ważne. Jestem z milicji.

– Bardzo mi przykro, ale nie może pan rozmawiać z pacjentem Weissem.

– Ta sprawa nie może czekać! – Proszę na mnie nie krzyżeć! – oburzyła się pielęgniarka. – Pacjent Weiss jest teraz nieosiągalny.

– Co to znaczy nieosiągalny? Po drugiej stronie linii zapadło krótkie milczenie.

– Pacjent Weiss powiesił się w nocy.

Góra odsunął słuchawkę od ucha i stał dłuższy czas bez ruchu. Potem odwiesił ją na widełki i oparł się plecami o szybę.

Żałował teraz, że rzucił palenie. Trąc dłonią spocone czoło myślał intensywnie. Po kilku minutach wygrzebał z kieszeni ostatnie drobne, wrzucił je do aparatu i zakręcił tarczą.

– Słucham – w słuchawce rozległ się zaspany głos Jareckiego.

– Znajdź dla mnie jedną rzecz – powiedział porucznik.

– Witold? Wiesz, która jest godzina? – Wiem, ale to nie może czekać.

– Czego chcesz? – Jarecki był zbyt zmęczony, żeby się złościć.

– Potrzebuję jeden adres...

## 9.

Laboratorium profesora Krafta nie miało już nic wspólnego z tym, co porucznik Góra widział na zdjęciu. Duża, podniszczona hala była teraz całkowicie pusta. Gdzieś tam tylko wały się strzępki gazet i opróżnione flaszki. Ciągi drobnych okien niemal w całości zostały stłuczone, a ze ścian w niektórych miejscach wystawały stalowe zbrojenia.

Jedyną rzeczą odcinającą się na tle tego wszystkiego był ustawiony w rogu cylinder, sięgający aż po sam sufit, który zdawał się być częścią jakiegoś okazałych rozmiarów agregatora.

Trzeszcząc butami po zalegającym podłogę szkłe, porucznik badał całe pomieszczenie fragment po fragmencie. Kolejne wyszczerbienia, dziury, spęczniałe urywki ścian i posadzki zajmowały jego uwagę. Każde takie miejsce obmacywał ostrożnie dłonią, samemu nie wiedząc, czego właściwie szuka.

Nie przyniosło to żadnego efektu.

Góra nie potrafił stwierdzić, jak długo już trwają te poszukiwania. Powoli zaczynał przekonywać się, że nie mają one sensu. Nie tracił



jednak nadziei.

Zbliżał się do wysokiego cylindra, który zostawił sobie na koniec, jak dzieci chowają czasem najlepsze ciastko, by spróbować je jako ostatnie.

Blaszana konstrukcja rozczarowała go jednak. Przerdzewiałe płyty stali, powyginane i pełne pęknięć, nie skrywały w sobie niczego nadzwyczajnego.

Góra lustrował je dokładnie, próbował bardziej rozewrzeć widoczne w nich szczeliny, ale żaden z elementów tego urządzenia nie wydawał się godny uwagi.

Poza jednym.

Dość niepozorny mechanizm znajdował się na biegnącej od cylindra do ściany rurze. Składało się na niego pięć obręczy, prawie doszczętnie przerdzewiałych, na których widniały ledwie czytelne cyfry. Porucznik spróbował poruszyć jedną z nich ostrożnie. Ku jego zaskoczeniu nie ułamała się. Gdy opadły z niej strupy rdzy, dała się przekręcać dość swobodnie.

Tchnięty nagłą myślą Góra ułożył na nich ciąg cyfr: 11354. Cyfr wypisanych na znalezionej w portfelu profesora kartce.

Nie spodziewał się, że przyniesie to jakiś efekt. Czuł po prostu, że powinien coś zrobić. Kiedy ze ściany, do której przymocowana była rura, wysunął się blok betonu, był naprawdę zdziwiony.

W powstałej w ten sposób szczelinie widać było ciągnący się w głąb korytarz. Porucznik pożałował teraz, że latarkę zostawił w mieszkaniu profesora. Przecisnął się jednak w wąskie przejście.

Zaraz po tym, jak znalazł się wewnątrz, blok za jego plecami zamknął się na powrót.

Idąc po omacku, Góra wyczuł, że droga prowadzi w dół. Kroki stawiał ostrożnie, stopami badając grunt. Jedną rękę przyciskał do ściany.

Porucznik ustalił, że powolna podróż musiała trwać kilkanaście minut, zanim dotarł do większej sali. Nagle pod swoją ręką poczuł gładką fakturę blachy, a nogą zahaczył o biegnący po posadzce kabel.

Wyczuł też dziwny zapach, suchy i ostry, jakby przepalonych bezpieczników. Kiedy po ciemku starał się ustalić, gdzie może się znajdować, oślepiło go jasne światło.

Gdy jego oczy doszły do siebie, porucznik spostrzegł, że znajduje się w sporym pokoju, którego ściany stanowiły blaszane szafy komputera, sięgające po sam sufit, pełne lamp tranzystorowych, przewodów, szpul i komutatorów. Salę wypełniał szum systemu wentylacyjnego, na który porucznik nie zwrócił wcześniej uwagi, biorąc go za dźwięki dochodzące ze znajdujących się na tej wysokości kanałów.

Na środku jednej ze ścian, nad skomplikowaną konsolą, zamontowany został głośnik o średnicy metra. Z głośnika wydobył się teraz szereg szumów i pisków, w których Góra rozpoznał dźwięki, jakie słyszał w czasie tajemniczych telefonów. Dźwięki te ułożyły się po chwili w słowa, najpierw szczątkowe, później całkiem zrozumiałe, wypowiedane głosem o brzmieniu sztucznym i metalicznym.

– W końcu pan do mnie trafił – powiedział głos.

– Profesor Kraft? – zapytał Góra.

– We własnej osobie – potwierdził głos. – Jeśli w tym przypadku wolno mi tak powiedzieć.

Góra z niedowierzaniem raz jeszcze obejrzał całą aparaturę.

– Ale w jaki sposób? – zdziwił się.

– Powinien pan już rozumieć.

Porucznik podszedł do głośnika i dotknął go tak, jak niewidomi dotykają twarzy nowo poznanej osoby.

– To niemożliwe – wyszeptał.

– Myślałem, że czytał pan moje prace.

Góra zrobił minę egzaminowanego ucznia.

– Czytałem – powiedział. – Na niewiele jednak mi się to zdało.

W głośniku zapanowało milczenie i słychać było jedynie szum, łączący się z burczącym odgłosem wentylatorów.

– Przecież to proste – zaczął profesor po chwili. – Wie pan przecież, że nasza świadomość to jedynie układ stale przepływających przez nasz mózg ładunków elektrycznych. Nic nie stoi więc na prze-

szkodzie, by ładunek ten przenieść w inne miejsce.

– I jak udało się panu tego dokonać? – Pracowałem nad tym od lat. Mój transfer to zaledwie pierwszy krok do wielkiej rewolucji.

Góra uniósł ze zdziwieniem brew.

– O jakiej rewolucji pan mówi? – spytał.

– O rewolucji w istnieniu. O powstaniu nowego typu człowieka. O świadomości bez ciała.

– Naprawdę wierzy pan, że tak się stanie? – To już się dzieje. Mój eksperyment najlepiej tego dowodzi. Proszę sobie wyobrazić świat bez ciała. Bez bólu. Śmierci. Świat, w którym dla każdego znajdzie się miejsce. W którym każdy może być tym, kim chce. Wielką sieć, fale podobne do radiowych, dzięki którym będziemy mogli być tam, gdzie tylko chcemy i z kim chcemy.

– I nad tym pracował pan z SB? W sali znów zapanowało milczenie. Komputerowe diody przygasły nieco i porucznik odniósł wrażenie, że profesor przymyka oczy.

– SB nigdy niczego ode mnie nie dostało – bronił się Kraft. – Mamiłem ich tylko opowieściami o wielkim zniewoleniu umysłów. Musiałem. Musiałem z nimi współpracować. Inaczej nie mógłbym kontynuować badań.

– Dobrze pan wie, że to nieprawda. Mógł pan wyjechać.

– I jak pan sobie wyobraża przetransportowanie tego całego sprzętu za granicę? Pracowałem nad tym całe życie. Jak miałbym to zostawić? Porucznik nie uznał tego za wystarczającą wymówkę, jednak zostawił tę ocenę dla siebie.

– Dlaczego w ogóle pan mnie tu przyciągnął, profesorze? – spytał.

Profesor zwlekał z odpowiedzią. Diody mrugały intensywnie, potwierdzając pracę systemu.

– Bo potrzebuję pomocy – przyznał w końcu.

– Ale ode mnie? – Po pomoc dzwoni się na milicję, czyż nie? Góra zaśmiał się.

– Myślałem, że maszyny nie są skłonne do żartów.

– Nie jestem maszyną. I do nikogo poza panem nie mógłbym się zgłosić.

Pan przynajmniej znał już część prawdy.

– Czego więc pan chce? Głośnik zapiszczał tak silnie, że porucznik musiał zatkać uszy.

– Potrzebuję się stąd wydostać – powiedział Kraft. – Jeśli ta maszyna przestanie pracować choćby na chwilę, układ tworzący moją świadomość przerwie się i nie będzie go można odtworzyć. Potrzebuję stabilniejszego systemu.

– W obliczu takiego zagrożenia w dość osobliwy sposób starał się pan ze mną skontaktować.

W głośniku rozległ się krótki szum, po którym Kraft wyjaśnił: – Dysponuję tutaj połączeniem telefonicznym. To przez nie zresztą zdołałem się tutaj dostać. Ale za jego pośrednictwem nie mogę emitować głosu. Ten sposób wydał mi się najprostszy z możliwych. Proszę zrozumieć, że w moim stanie niektóre rzeczy wyglądają inaczej.

Choć Góra wiedział, że profesor go nie widzi, odruchowo skinął głową.

– Mimo wszystko nie wiem, jak mógłbym panu pomóc – powiedział potem.

– Ale ja wiem.

Porucznik zastanowił się.

– Dlaczego miałbym to zrobić? – spytał.

– A ma pan jakieś wyjście? Zamierza pan się ukrywać? Mogę ułatwić panu ucieczkę. W zamian zabierze mnie pan ze sobą.

– Dokąd? – Do USA, oczywiście.

– Dlaczego akurat tam? Diody znów przygasły, tym razem kilkakrotnie od lewej do prawej i porucznikowi zdało się, że widzi profesora kręcącego z politowaniem głową.

– Tamtejszym naukowcom udało się utworzyć rozległą sieć rozproszoną – wyjaśnił Kraft. – Jeśli zdołałbym do niej przeniknąć, znalazłbym się w stabilnym środowisku, w którym układ elektryczny stanowiący moją świadomość nie byłby zagrożony.

– A co ze mną? – Będzie mógł pan do mnie dołączyć. Wejść do idealnego świata.

– Dlaczego miałbym chcieć znaleźć się w pana stanie? – Bo niedługo wszyscy będą o tym marzyć.

\* \* \*

– Naprawdę wierzysz, że redaktor ci to puści? – Paweł poprawił okulary w grubych oprawkach i jeszcze raz spojrzął na ekran laptopa. Prezentowane przez jego kolegę materiały wydawały się absurdalne. Drapiąc się w łysiejący czubek głowy marszczył twarz, jakby na komputerze widział coś obrzydliwego.

– Niedługo będę mieć dowody. – Marek stał za nim, z założonymi rękoma. Mimo zgarbionej sylwetki wyglądał na pewnego siebie. Nawet w spranych sztruksach i powyciąganym swetrze.

– Musiałyby być naprawdę mocne. Nawet w szmatach by ci tego nie wydrukowali. Sam news by się nadał, ale nie w tak poważnym tonie.

Marek pokręcił przecząco głową.

– To wszystko prawda – ocenił. – Wszystko do siebie pasuje. Wszystkie zgony wyglądały tak samo. Wszyscy zmarli śmiercią naturalną. Wydaje się nawet, że bez bólu. I wszyscy byli podłączeni do aparatury o podobnej budowie. Każdy ze zmarłych wykonał ją na własną rękę, ale założenia były podobne, jakby wykonywane według jednego schematu.

– I co twoim zdaniem to udowadnia?

Marek podszedł do komputera i zaczął prezentować fotografie i wycinki z gazet.

– Zgony wystąpiły w różnych miejscach. Tu widać, jak ich częstotliwość narasta w ostatnim czasie. Pierwsze, nieliczne, miały miejsce w latach osiemdziesiątych w USA. Podczas śledztwa jednym z podejrzanych był mężczyzna polskiego pochodzenia, niejaki Góra. Sam Góra został znaleziony martwy w swoim mieszkaniu, wkrótce po

tym, jak zdiagnozowano u niego raka płuc. Zmarł w ten sam sposób, co pozostali.

Paweł zdjął okulary i przetarł zmęczone oczy.

– Myślisz, że to jakaś sekta? Że to jakiś kult samobójców, jak Świątynia Ludu? – Tak mi się wydaje. Nie wiem, jak działa ta organizacja, ale ze znalezionych przeze mnie materiałów wynika, że proponują lepsze życie, przeniesienie się do świata bez zmartwień.

– Sprzedają wycieczki do Bhutanu? – Nie. Ich zdaniem możliwy jest transfer ludzkiej świadomości do Internetu.

Paweł zrobił zdziwioną minę.

– To niedorzeczne – stwierdził. – Gdzie to wyczytałeś? – Udało mi się z nimi skontaktować. Planuję do nich dołączyć, żeby dowiedzieć się więcej.

– To może być niebezpieczne.

– Dlatego o wszystkim ci mówię. Jeśli coś mi się stanie, będziesz miał dość materiału, żeby wyjaśnić kilka rzeczy.

Paweł pokręcił z rezygnacją głową.

– Myślisz, że to wszystko jest tego warte? – spytał.

– Nic mi się nie stanie – zapewnił go Marek. – Będę na siebie uważał. A w razie czego – dodał po chwili – w razie czego ściągniesz mnie z netu.

**Grzegorz Patron (GaPa)**

*Urodzony w 1975r. w Krasnymstawie wyznawca Philipa Kindreda Dicka.*

*Adres email: [gpgapa@gmail.com](mailto:gpgapa@gmail.com)*

**Grzegorz Patron**

**GDY KARMISZ POTWORY**

**1.**

Rodzinca samotny Mężczyzna, który wysiadł z dość wiekowego auta średniej klasy, wydawał się spokojny i zadowolony, chociaż osoby znające go lepiej dostrzegłyby na jego twarzy również oznaki znużenia i spłowiałe echo smutku, barwiące ją stygmatem samotności. Odwrócił się w stronę chodnika, skąd zmierzał ku niemu niepewnym krokiem miejscowy król podwórka, jedyna osoba w zasięgu wzroku. Mężczyzna sięgnął do kieszeni, jakby szukał drobnych, ale się rozmyślił. Ruszył do domu, skinąwszy głową rozkołysanemu dozorczy. Przekraczał właśnie granicę cienia, który rzucał blok mieszkalny, gdy dobiegł go zachrypnięty głos.

– Czekał, sąsiad.

Odwrócił się w stronę wołającego i zrobił krok do przodu, by powrócić na teren oświetlany ciepłymi promieniami słońca. Zmrużył oczy i odpowiedział.

– Dzień dobry. Co tam słyszeć? – Ton jego głosu wydawał się wyprany z emocji.

– Jaki masz pan telefon? – wychrypiął cieć, chociaż odpowiedź najwyraźniej wcale go nie interesowała. Rozbieganym spojrzeniem omiół otoczenie i pociągnął zdrowy łyk z butelki, którą z namaszczeniem włożył do kieszeni poplamionej kurtki. Równie magicznym

sposobem, co uprzednio napój, wyciągnął kartkę papieru, którą zaprezentował. Na potłuszczonym papierze drukowane litery układały się w napis:

*NIE WYŁOŃCZAJ KOMÓRKI! ODLÓŻ JĄ NA BOK! ROZMOWA MOŻE BYĆ NAGRYWANA.*

Drugą dłoń przyłożył do ust, nakazując milczenie.

Mierzyli się przez chwilę wzrokiem, aż na ponaglący gest mężczyzna odłożył telefon do samochodu, ostentacyjnie aktywował alarm auta i dał się poprowadzić na rozchybotaną ławkę. Usiadł twarzą zwrócony ku południowi i powiedział równie spokojnie co na początku.

– Więc co słyhać? Co to za tajemnice? Nie wystarczyło wyłączyć telefon? – Nie wiesz pan, że nawet przy wyłączonym mogą podsłuchiwać? Ja wcale nie mam.

– Ale po co by mieli...

– Do naszego miasteczka przyjeżdżają. Te kreatury – przerwał rozmówca, nie odpowiadając na pytanie.

– O, nie słyszałem. To spore wydarzenie, w końcu przedstawiciele innego gatunku. Z innej planety. W naszej peryferyjnej miejscowości. Wydarzenie naprawdę dużej wagi.

– Taaa, ufojudki zafajdane – przez pobrużdżoną twarz przemknął wyraz pogardy. – A pan pewnie zaraz polecisz trawę na przywitanie małować.

Wiedz pan, że wielu to się nie podoba, to naskakiwanie potworom. A te bestie nas załatwią, a najsampierw takie wymuskane szczypiory.

– Zabobony. Po prostu mało ich znamy. Tak samo jest z każdym obcym, z innej wioski, kraju, kontynentu.

– Już żeś się pan dał przekabacić, z wami inteligencikami zawsze to samo.

Srutki tutki, gadka szmatka. Ale coś wam pokażę.



Zakręcił butelką, przytknął ją do ust. Po konsumpcji skrzywił się i splunął głośno. W tej samej chwili, gdy plwocina osiągnęła chodnik, w jego dłoni znalazł się stary odtwarzacz wideo. Uruchomił projekcję, ustawiając aparat tak, by obaj mogli obserwować ekran. Obraz był niewyraźny i rozchybotany.

– Z daleka nagrywane – wyjaśnił. – Rządowi mają maszynkę, jakiś sygnał wysyła, że blisko wszystko kasuje. Patrz pan uważnie.

W centralnym punkcie kadru siedział mężczyzna. Z jego ust na lśniące płyty podłogi sączył się jakiś płyn, a wokół niego gromadziło się zbiegowisko modnie ubranych przechodniów. Sądząc po torbach, które nieśli, i wielkich witrynach w tle, był to ekskluzywny ciąg handlowy. Dwóch Plangów przyłożyło niewielki przedmiot do karku siedzącego i ten zwałił się bezwładnie, nie broniąc przed upadkiem. Błyskawicznie pojawili się umundurowani agenci, rozpędzając zbiegowisko.

Napój życia raz jeszcze zwilżył gardło ciecia, nim się odezwał.

– Widzisz pan, takie są naprawdę. A te skurwysyny w górze nas sprzedali.

– No, na pewno da się to jakoś wytłumaczyć – odparł mężczyzna niepewnie.

– Taa, rurka w pupsko i po chłopie. I słuchaj, „sąsiad” – wychrypiał jadowicie cieć – nie lubię was. Nie lubię i już. Ale przez pamięć na waszą żonę, co dobrą i uczciwą kobietą była, i w potrzebie zawsze groszem poratowała, radzę wam się z tymi robalami nie zadawać. Bo wiecie, przebite opony da się zakleić, ale szkoda tych dwóch aniołków, co wam po tej świętej kobiecie zostały. Mały rzadko się pokazuje, ale dziewczynka żywe srebro, wszędzie jej pełno. Udana, a to zawiść budzi.

– Pan mi grozi? – Jaki tam pan, „sąsiedzie”. Pomyśl pan, co żeś widział. Oficjalnie nie pokażą tego nigdzie. I o rodzinie pomyśl. To uszanowanie.

Jakimś tajemniczym sposobem ściągnął jeszcze łyk wina wstając, po czym oddalił się zdecydowanie lżejszym krokiem, niż przed spo-

tkaniem, czego nie dało się powiedzieć o jego rozmówcy. Rozległ się przenikliwy dźwięk, gdy roztrzęsiony zapomniał rozbroić alarm, zabierając telefon z auta.

– Ciemnogród – wyrzekł bez przekonania, gdy udało mu się zapanować nad zgiełkiem. Jednak przed oczami ciągle miał widok tego umęczonego mężczyzny, zwalającego się na posadzkę. A obok dwóch Plangów w szarych uniformach, uwijających się niczym mrówki nad martwym świerszczem.

## 2.

Żywe srebro Dziewczynka obrzuciła spojrzeniem ruinę budynku. Nad zabitymi deskami drzwiami wisiał kawałek czerwonej tablicy z wyblakłymi literami *SZKO*. Większość okien była pusta. Podeszła bliżej i zadarła głowę.

Przez chwilę w szczątkach szyb obserwowała odbicie białych nieregularnych chmur, majestatycznie przemierzających niebo, a potem uklękła i podniosła leżący w trawie odłamek szkła. Na przezroczystej powierzchni znajdował się znieruchomiały owad o malutkim, ale twardym pancerzyku, co sprawdziła, delikatnie naciskając go opuszką palca. Stworzenie wydawało się nieżywe. Przeniosła je na wolny od trawy kawałek ziemi i za pomocą szkła zaczęła kopać dołek. Miała tam umieścić żuka, gdy spostrzegła, że poruszył nóżkami. Wyrzuciła szkło, wzięła leżący obok patyk i wokół stworzonka wyryła fosę. Potem pozbierała kamyki, kawałki plastiku, by wznieść niewielki domek. Pałac Pana Owada, tak go nazwała. Przez cały czas z jej twarzy nie znikał wyraz skupienia.

Usłyszała hałas, więc odwróciła głowę. Niewielki asfaltowy placyk otoczony był roślinnością.

„A krzak taki zwykły był, badyle jakieś. I takie tam małe kulki na tym rosły. I on tam się czaił! I ja rzucałam kamieniami, ale on mi zagroził drogę! Naprawdę! I się bałam! Był taki brzydki i śmierdział! I...

miał nogi z gówna! Naprawdę! Naprawdę!” Zza krzaka wyszedł Plang. Był tylko trochę wyższy od niej, odwłok obleczony miał w kolorowy, mieniący się kombinezon. Głowę chronił przezroczysty hełm, wyraźnie widziała zwrócone na nią wielkie potrójne oczy. Nogi... Nogi wcale nie były brązowe. Miał ich sześć, były czarne.

Przypominały odnóża owada, którym się bawiła. Nawet stąd dostrzegła falujące włoski, które je porastały. Trampki, które miał na stopach, były bardzo podobne do tych, które nosiła.

Rzuciła w niego kamieniem, ale trafiła w jedną z butelek, walających się w krzakach. Była gotowa do ucieczki, gdy dobiegł ją dźwięk, wydobywający się ze skrzynki kombinezonu. Tembr był miły w odbiorze, przypominał głos jej brata.

– Znam tę zabawę. Młode samce waszego gatunku dość często się tak bawiły. Udokumentowane są przypadki, gdy butelkę holowano na środek niewielkiego akwenu wodnego i samce rywalizowały, kto pierwszy ją zatopi.

Rzucali kamieniami z brzegu. Ten, kto przegrał, całował płaza.

– Chłopaki bawiły się na dworze? – zdziwiła się dziewczynka.

– Tak, chłopaki.

Plang uniósł niezgrabnie kamień przednim odnóżem chwytym, wycelował, ale ten z głuchym odgłosem wylądował w trawie.

– Skucha – powiedział.

– Skucha? – powtórzyła zaskoczona.

– Gdy w czasie zabawy zawodnik wykona błąd, pozostali gracze zobowiązani są powiedzieć „skucha”. W takiej grze w klasy...

– Nie ma takiej gry – przerwała mu.

Ze skrzynki wydobyło się światło. Na pofalowanym asfalcie rozbłysła figura z połączonych kwadratów z podzielonym na pół okręgiem na górze.

– Potrzebna jest kreda albo kawałek cegły – zakomenderował. Dziewczynka zdawała się nie rozumieć. – Potrzebujemy kawałka kamienia, którym moglibyśmy narysować ten kształt na podłożu.

Wyruszyła na poszukiwania. Wzięła kilka kamieni, które znalazła

koło zrujnowanego budynku. Jednym z nich wyrysowała na popękanym asfalcie szary rysunek. Gdy Plang wytłumaczył jej zasady, spróbowała pokonać planszę. Zaśmiewała się do łez, gdy nie trafiała, a jej partner za każdym razem poważnie wypowiadał słowo „skucha” i musiała zaczynać od nowa.

– A ty? – zapytała w końcu.

Wyświetlił dużo bardziej skomplikowaną figurę.

– Adaptowaliśmy grę do naszych potrzeb – wyjaśnił. Dziewczynka wyrysowała kształt na asfalcie. Zgrabnie stanął na starcie.

– Raz ja, raz ty. Kto wygra ten mistrz! – wykrzyknął i skoczył.

– Skucha! – krzyknęła i aż usiadła, tak ją to rozśmieszyło.

„Nie kłam! Ludzie już gadają, że cały dzień z tym potworem ganiałaś! A co ja ci mówiłem? Jaki wstyd! Zabraniam ci! Rozumiesz!? Zabraniam! Niech sobie mieszkają w stolicy, od nas wara!”.

– To do jutra – rzuciła, gdy zmierzchało. Nawet nie zauważyła, kiedy minął dzień.

– Pożegnanie! – odparł Plang. – Będę czekał na placyku. Przyjdź, nudno samemu.

Awantura zdawała się nie mieć końca. Nie pamiętała ojca takiego, aż kipiał ze złości. Jego uniesiony głos niósł się poprzez cienkie ściany, powracając stłumionym echem z korytarza.

– I nigdzie jutro nie idziesz! Wszystkie fabryki zamykają przez te gnidy, a ty się im wysługujesz! – Ale tato...

– Żadnego ale! Marsz do pokoju! Była noc. Mężczyzna ostrożnie wszedł do sypialni dzieci. Górę piętrowego łóżka zajmował chłopiec. Spał spokojnie, w uchu delikatnym światłem pulsowała muszla urządzenia, dzięki któremu miał dostęp do Sieci Rozrywkowej. Dziewczynka zajmowała dolny poziom. Rzuciła się niespokojnie na łóżku, oddychając chrapliwie. Pogłaskał ją delikatnie po głowie i oddech przybrał zdrowy, miarowy rytm. Jej nienaładowana muszla leżała na półce.

Uśmiechnął się. „Przepraszam, że krzyczałem”, wyszeptał i wyszedł z pokoju.

Przesunął dłonią po twarzy. Ujrzał kolorowe plamy, które nie chciały zniknąć. Delikatnie zamknął drzwi, odgradzając Krainy Snów od świata. Był zmęczony, a jutro... Przyszłość wydawała się rozdygotaną panterą, czającą się na pojemniku z odpadkami, a on zmierzał naprzeciw.

### 3.

Samotny rodzic numer dwa cieniem przesłonięty Lokal swoje najlepsze lata miał za sobą. Wypełniały go drewniane ławy, niby-to-wyczyszczony stół i półmrok. Znajome dźwięki rozbrzmiewające w otoczeniu wyblakłych dekoracji, zamiast dać ukojenie, irytowały. Wszystko niesło wspomnienia, podrażniając. Przeszkadzała nawet nacechowana swoistą bezwładnością działań obsługa, z której tyle razy żartowali.

Córeczka, jego jedyne dziecko, w milczeniu bawiła się widelcem, nim w końcu zdecydowała się odezwać.

– Wiem, czemu nic nie mówisz, tatusiu. Masz żałobę po koledze.

– Żałobę? Jestem... smutny.

– On jest teraz w niebie? – Chciałbym skarbie, chciałbym... – „żeby było niebo”, dodał w myślach.

– Wcinaj fryty, malutka.

Dziewczynka była znudzona. Kołysała się delikatnie i mógł sobie wyobrazić jej małe nóżki, wierzgające pod stołem.

Panujący w lokalu marazm przełamała umundurowana funkcjonariuszka. Młoda kobieta, której nie znał, próbowała nadać głosowi surowe i pełne autorytetu brzmienie. Stała przy dwóch wyraźnie rozbawionych sytuacją obywatelach. Gdyby nie błękitna bluza w komety, w którą ubrany był jeden z nich, nic nie wyróżniałoby ich z reszty towarzystwa, zajmującego sąsiednie stoliki.

– Proszę okazać dokument tożsamości – powtórzyła policjantka. Na policzki wystąpiły jej rumieńce.

Ubrany w błękitną bluzę młodzieniec wstał. Wyraźnie górował wzrostem nad dziewczyną. Rozłożył szeroko ręce i przemówił głośno, tak że uwaga wszystkich skupiła się na nim.

– Nie mam przy sobie nic, co posłużyłoby do identyfikacji. No, może prócz nasienia – zarechotał.

Dziewczyna zareagowała gwałtownie, szarpiąc się z kajdankami, ale wtedy z ubikacji wyszedł drugi funkcjonariusz, popukał się w czoło w kierunku chłopaka i zgarnął zezłoszczoną policjantkę. Fala śmiechu niosła się za nimi, gdy zmierzali ku drzwiom. Uderzyła ze zdwojoną mocą, gdy grający na ustawionych przy wyjściu automatach mężczyzna wykonał obsceniczny gest. Rozległy się gwizdy, ktoś krzyknął: „Brawo, dajesz!”.

Po wyjściu mundurowych obserwował gracza, pokazującego od czasu do czasu nieprzyzwoite znaki, ale zrozumiał dopiero wtedy, gdy facet przeszedł obok niego, zmierzając z pustym kuflem do baru. Mężczyzna miał protezę ręki, robaczywkę, jak nazywano oferowane przez Plangów nielegalnie produkty. Co jakiś czas rozświetlał ją napis *WPLAĆ RATE*, po czym wykonywała, jak się zdawało, niekontrolowany przez właściciela, ruch. Zastanawiał się, jakie jeszcze czynności może podjąć ten produkt, by wymóc zapłatę.

Zatopił się w rozważaniach, aż z zaskoczeniem zdał sobie sprawę, że od dłuższego czasu śledzi rozmowę niebieskiego, jak zaczął go nazywać, z kolegą. Obaj byli podekscytowani technologią Plangów, zdawali się też być przyjaźnie nastawieni do obcej rasy. Co za paradoks, pomyślał. Jeden z – zdawałoby się – światlejszych umysłów w miasteczku wczoraj na cały blok robi awanturę dziecku, że bawiło się z małym Plangiem, a tych dwóch lumpów nie widzi problemu w kontaktach z kosmitami.

Gdy jeden z nich powiedział: „Zobaczysz, każdą chorobę teraz wyleczą”, ze zdumieniem zdał sobie sprawę, że gwałtownie wstał i ruszył do nich, jakby jakaś złowroga siła, nad którą nie panował, przejęła nad nim kontrolę.

Przewrócił niemal pełną szklankę piwa. Ciecz rozlała się po sto-

liku, tworząc na nim bursztynowe fantasmagorie niczym z testów Rorschacha. Niebieski uniósł się powoli, głośno wciągając powietrze. Patrzył na niego groźnie przez chwilę, aż nieoczekiwanie podszedł i objął go.

– Widziałem cię wczoraj na pogrzebie. To był wesoły chłopak. Kawał drania rzecz jasna. Weź małą i szoruj się przewietrzyć. Knajpa to nie miejsce dla dzieciaków.

Rozplakał mu się w spoconą klatę i posłuchał rady. Nie dbał o to, co ludzie powiedzą na zaczerwienione, mokre oczy. Równie obojętne słońce osuszyło łzy.

#### 4.

Szef oddziału Przez niedomknięte drzwi sączył się gwar, który niósł się po całym oddziale. Nowi pacjenci, nawoływania pielęgniarek, roszczeniowi pacjenci, prośby o konsultacje, awanturujący się pacjenci, wdzięczni członkowie rodzin, pracujące aparaty tworzyły kolaż dźwiękowy, który aprobował. Tu toczyła się gra o życie, ale też tu wiódł żywot ordynatora i mężczyzny, chociaż niekiedy kolejność się zmieniała. Nie lubił tylko rozwiązywać problemów, których nie rozumiał, wtrącania się w pracę oddziału osób, które o jego funkcjonowaniu nie miały pojęcia, a najbardziej niepotrzebnej biurokracji.

Tak jak teraz. Po prostu nie wiedział, co zrobić z rachunkiem, który leżał na biurku. Wystawiony przez Plangów opiewał na sporą kwotę, zaś ilość pieczęci, która go zdobiła, nawet na nim robiła wrażenie, co też pewnie było i powodem, dla których się tam znalazły.

W telegraficznym skrócie historię można przedstawić tak: miejsce akcji – modne centrum handlowe. Bohaterem jest bezobjawowy tętniak mózgu, prowadzący do krwawienia śródmózgowego. Biały otyły mężczyzna zgina się w pół i zaczyna wymiotować. Prawda jest taka, że gdy pada na ziemię, już nie ma szans na przeżycie. Lekarz wystawia aktu zgonu. Nekrolog, żałoba, przepływ środków pienięż-

nych.

Jednak dwóch Plangów, będących świadkiem sytuacji, zakłóca przebieg wydarzeń. Przy pomocy tajemniczego przedmiotu podejmują błyskawiczną akcję, której jednym ze skutków ubocznych jest to, że rodzina niedoszłego nieboszczyka oszczędza na nekrologu. Nieprzytomny mężczyzna w ich asyście zostaje dostarczony na oddział. Żartują, są spokojni, informują lekarzy, że ci mają jeszcze prawie cztery ziemskie godziny na wnikliwą analizę sytuacji, postawienie diagnozy, wykonanie niezbędnych czynności, a potem, jak to ujmują, z tym swoim uwielbieniem żargonu, „jak się postaracie, piórnik będzie mu niepotrzebny”. Ulatniają się z obietnicą podesłania rachunku. Kurtyna, oklaski.

Tak też się stało. MRI, operacja, gość jest uratowany. Dzięki super–ekstra–bonusowi czasowemu. Cztery dodatkowe godziny. Wspaniała technologia, na granicy cudu, która jednak zadziałała, napędzana niezmierną technologią.

Bezcenną. Nieosiągalną. Tak załatwiają sprawy. Jak mówią na mieście: „U Planga tylko ryby”. A tyle było nadziei, gdy się pojawili, że ruszymy do gwiazd, uczynimy niebывały postęp, że to, że tamto. Tymczasem przyglądali się nam przez chwilę, a potem uruchomili sprzedaż towarów. Nie technologii, nie wiedzy. Po prostu jakby w pobliżu otwarto kolejny supermarket.

Przerwał rozmyślenia, gdy drzwi uchyliły się na tyle szeroko, by pomieścić Planga. A więc czas stawić mu czoła.

– Strzałeczka – wesóły głos dobiegł od strony skrzynki przymocowanej do kombinezonu kosmity.

– Dzień dobry – odparł spokojnie. Gdy wstał na powitanie, jego oczy znalazły się tylko nieznacznie powyżej potrójnych, przenikliwie w niego wpatrzonych owadzich, a jednak tak bardzo podobnych, oczu. Odwłok Planga obleczony był w szary kombinezon, a więc typ biznesmena. Zdarzało mu się już z nimi rozmawiać, nie umiał jednak ocenić, czy z tym konkretnym egzemplarzem. Nie rozróżniał ich zupełnie.



– To co, bez gry wstępnej, łapiduchu? – zapytał gość, wskazując na leżący na biurku dokument.

– Łapiduch uznawany jest za stwierdzenie, hm, o ambiwalentnym zabarwieniu – odparł machinalnie, starając się zamaskować rozdrażnienie.

– Łapserdak, łapiduch. Wyrazy zaczynające się od „łap” uznawane są za niewskazane w kontaktach oficjalnych? Smakowity kąsek wiedzy o tuziemcach. Bez obrazy, panie doktorze, proszę o wyrozumiałość. Te wszystkie aspekty, niuanse lingwistyczne są porywające, ale bywają zdradliwym lodem – Plang wydawał się zadowolony.

– Oczywiście, nie obrażam się. Rozumiem wysiłek, którego... pan dokonał, aby tak sprawnie się porozumiewać. Co do wyrazów na „łap”, coś w tym jest. Taka na przykład łapówka... – powiedział i zamilkł speszony.

– Heh, sam pan widzi, lekarzu, niebezpieczny lód. Najważniejsze jednak... – Zgrabnie chwycił w przednie odnóża rachunek. W niesamowitym tempie uformował figurę origami. – Pazurczatka – pochwalił się, po czym zniszczył papier. – Nie było sprawy – powiedział miękko.

– To bardzo, khm, dobrze. Dziękuję – odparł. – Życie jest najważniejsze, nagłośnień tę wspaniałą postawę.

– O nie, panie doktorze. Niech wiedzą tylko dwa stworzenia, pan i ja. Za to ofiarowuję wyjaśnienie.

Ze skrzynki rozbłysło światło, przedstawiając trójwymiarową scenę.

Ludzka dziewczynka wraz z małym Plangiem bawiła się na placu zabaw.

Obrazowi nie towarzyszył dźwięk, ale wyraźnie widać było, jaką radość sprawiają im wspólne figle.

– Dziś świętuję, lekarzu. Pocięcha ma wpadł w depresję. Tęsknił za domem, gdzieś w zimnogwiezdnej pustce zostawionym. Lecz karta się odwróciła, gdy spotkał tę oświeconą samiczkę. Cieszy się, raduje, chce poznawać. Więc rachunek, jaki rachunek? A od jutra znowu się liczymy, kto sprytniejszy. Raz ja, raz ty, kto wygra, ten mistrz! – wy-

recytował, uklonił się i opuścił pomieszczenie, zamykając cicho drzwi, przy czym – mężczyzna był tego pewien – najdokładniejszym nawet aparatem nie dałoby się stwierdzić poruszenia stojącej przy wyjściu paproci, o liściach jak posklejane puzzle.

Tak jakby Planga wcale tu nie było. Jednak opływający w pieczęcie kwit także znikł z biurka, co przeczyło tej tezie. A może to wszystko omamy? Skutek zbyt długiego wielogodzinnego dyżuru, którego jeszcze nie odespał.

Opadł na fotel, drapiąc się po policzku. Ciekawe, czy ta mała wie, że jej los splótł się z bladym wielorybem z centrum handlowego? Nie wiedział, gdzie to usłyszał, ale ponoć, jeśli ktoś uratuje czyjeś życie, staje się za nie odpowiedzialny. Czy niewiedza chroni ją przed karmicznymi skutkami beztroskiej zabawy? Tak jak my nie wiemy, jak to było możliwe, że dostaliśmy dodatkowy czas na ratowanie tego pacjenta. Ten rachunek jednak został umorzony.

Wyobraził sobie, że każdy ma Specjalne Urządzenie Ratunkowe. Bezcenny gadżet, który na cztery godziny porywa cię gdzieś pomiędzy kruchą rzeczywistość a zaświaty, dając szansę na otrzymanie ratunku. Nie tak urządziliśmy świat, uświadomił sobie. Na każdej sztuce bez trudu wyszukasz logo producenta i cenę.

Nagle wyprostował się. A gdyby na metce znalazło się także jego nazwisko? Wejść w układ z Plangami? Pomóc im w uzyskaniu zezwolenia na oficjalną dystrybucję w zamian za niewielki, stały procent. Nie, uświadomił sobie, jestem lekarzem, nie handlowcem. Nigdzie już nie muszę szukać, jestem w miejscu, którego pragnąłem. Skontaktuję się tylko z wyznaczoną jednostką rządową, informując o zdarzeniu. Tu moja rola się kończy. Przeczuwał jednak, że wkrótce w nielegalnych kanałach dystrybucji pojawi się pewien nieoceniony gadżet, tak jak masa innego towaru, który rozprowadzali w ten sposób.

Weźmy chociaż ten przyrząd, o wdzięcznej nazwie „Bezkarne głuśce”, dzięki któremu każda kobieta... No tak, ale zapewne istniało też urządzenie o wprost przeciwnym przeznaczeniu, i będą się pojawiać kolejne, udoskonalone modele. Na tym w końcu polega handel, nie-

prawdaż? „Bezkarny głuszc”... Tor myśli nieuchronnie wiódł go ku drobnej, czarnowłosej kobiecie, która niedawno podjęła pracę na oddziale. Nic o niej nie wiedział. Właśnie to zdawało się być najbardziej ekscytujące. Wyobraził sobie, że ją całuje, a jego dłoń powoli przemierza gładkie plecy, z wektorem kierunku skierowanym zgodnie z siłą ciężenia.

Miała zdrowy, miętowy smak. Wtedy uświadomił sobie, że już od paru chwil dziewczyna coś do niego mówi. Weszła niepostrzeżenie, nie zauważył, iż fizycznie jest obecna w pokoju, nie tylko w jego marzeniach, na co miał namacalne dowody. Pocałował ją raz jeszcze.

– Ale mój mąż – wyszeptała zmysłowo.

Więc obędzie się bez nabijania kabzy Plangom, domyślił się, zamykając drzwi.

– Jeśli jest patriotą, zrozumie – odparł.

Tym powinniśmy się zająć, pomyślał, gładząc wdzięczną, jędrną pierś.

Życiem. Zanurzył się w nim.

## 5.

Nasi dzielni obrońcy Pikowy król spoczął na walecie i rozgrywka dobiegła końca. Dowódca, który był wyraźnie młodszy, ziewnął i zaczął się przeciągać.

– Przerwa? – rzucił przyjaźnie w kierunku swego podwładnego, starego wąsatego wiarusa. Leciutko zaakcentował pytanie, ale nie oczekiwał odpowiedzi, w końcu wojsko to wojsko. Obrzucił spojrzeniem niewielkie, wypełnione sprzętem pomieszczenie. Do końca wachty pozostało jeszcze kilka godzin. Znajdowali się głęboko pod ziemią, w schronie, ale nie stanowiło to dla niego problemu. Oczywiście nie działały komórki, ale potrafili zorganizować sobie czas. Przeszedł do stanowiska komputerowego.

Zerknął na monitor i zamarł. – Co do...

Przebiegł palcami po klawiaturze, ale bez skutku. System nie reagował.

Sięgnął po staroświecki telefon, zapewniający bezpośrednią łączność z dowództwem, lecz w słuchawce nie było sygnału.

– Zaczęło się – powiedział z napięciem drugi z mężczyzn, wpatrując się w monitor, na którym wciąż wyświetlane było zdjęcie przedstawiające objęty płomieniami wyglądający na miejsce publiczne budynek, chyba restaurację.

W dachu tkwił charakterystyczny, owadzi w swym kształcie, fragment statku Plangów. Na pierwszym planie akcent kolorystyczny stanowił kawałek niebieskiej – w odcieniu widzianej z kosmosu Ziemi – bluzy. Była pokrwawiona.

– Nie ma łączności – wyjaśnił dowódca. – System wisi – głos mu się załamał.

– Musimy działać. Tak jak nas wyszkolono. Trzeba uzbroić rakiety.

– Nie ma rozkazów...

Wąsacz potrząsnął nim.

– Nie rozumiesz? To nie są ćwiczenia. Nie ma łączności. Może n i c już nie ma. Tylko nas dwóch. Dajemy z wszystkich rur.

Młody człowiek ukrył twarz w dłoniach. Nie mógł zebrać myśli. Ściany schronu napierały nieustępliwie, pozbawiając płuca powietrza. Jak przez mgłę docierały do niego słowa podkomendnego. – Co? – spytał, potrząsając głową.

Tamten powtórzył, powoli i wyraźnie.

– Musimy uzbroić rakiety.

– O nie, nie może tak być. Muszę ją ratować – skierował się do służby, prowadzącej do windy.

– Stój! Tam na górze pewnie jest piekło. Naszą powinnością jest odpowiedzieć na atak. W imieniu całej ludzkości.

– Co mnie ludzkość. Muszę ją ratować.

– Dobra – stary wiarus usiłował być spokojny. – Uzbrowimy system i leć, ratować tą swoją pizdaweczkę.

Stanęli przy umieszczonych po przeciwnych stronach pomieszczenia pulpitych.

– Na trzy – powiedział dowódca i przeszli przewidzianą sytuacją procedury. Światło zmieniło kolor na czerwony. – Wychodzę – wyrzekł, nie patrząc nawet na podwładnego i wcielił słowo w czyn.

– Jak opadnie pył, zmiotę do szufelki twoje resztki, dowódco – z pogardą odparł stary żołnierz. Pracował gorączkowo, ustawiając cele. Ze śluzy dobiegł cichy syk i młody żołnierz powrócił. Zdecydowanym ruchem wyłączył system naprowadzania i usiadł przed komputerem. Wykonywał kolejne czynności, nie przestając mówić. Z początku głos miał niepewny, chrapliwy. Jego towarzysz wpatrywał się w niego znieruchomiały, jakby ktoś wcisnął pauzę.

– Nerwy, człowieku. Nerwy nas zawiodły. Szybki resecik i proszę, jest łączność. A widzisz, to tylko wypadek. Jest biuletyn. Jakiś przemytnik rąbnął w knajpę w mieście na wschodzie. Zresztą, nie oszukujmy się, nasza technika przy ich to jak próba zatrzymania na wielkiej równinie batalionu czołgów przy pomocy procy. Co myśmy chcieli osiągnąć? A nawet jakby coś udało się zniszczyć, wiesz, co by się stało? Nic. Wystawiliby tylko rachunek, który spłacałyby jeszcze nasze wnuki. To dlatego mają tyle oczu, żeby więcej zer się w nich mieściło. Tyle w temacie. Zleciłem sprawdzenie telefonu. Ciekawe jak przełożeni ocenią nasze poczynania. Zgarniemy medale albo pójdziemy pilnować parkingi. Słyszałem, że w tym fachu kluczowy jest dobór odpowiedniego stroju, szczególnie zimą. Może, gdybyśmy się tu powybijali, gdzieś na piątej stronie lokalnego szmatławca pojawiłaby się wzmianka o tym. Może – powtórzył z naciskiem.

Zajął miejsce przy stoliku i rozdał karty. – Wspierany wielusetletnią tradycją oręza wychodzę z dwóch dziewiątek. Rutynowo sobie poczynam.

Drugi mężczyzna przystąpił do rozgrywki. Odruchowo pogładził wąsy.

Ręce mu się trzęsły i czoło płonęło. Kartonowe prostokąty wypływały z dłoni i lądowały na stosie sobie podobnych. Jego myśli

skierowały się ku absurdalnym tematom. Jak z rutyna zrobić uryna? Przystawiamy dwa pierwsze znaki, pozbywamy się trzeciego i chyba będzie dobrze. Po czym z ostatniego zdania zostawiamy końcówkę. Powstały slogan „Chyba będzie dobrze” deponujemy w banku. I te de i te pe.

    Nie patrzyli sobie w oczy – nie kryło się tam nic, czego nie można wyczytać z chłodnej tafli zwierciadła.

**Sebastian Stryjak (Zatrakus)**

*Urodzony w 1995. Pierwsze próby pisarskie zaczął podejmować w 2012.*

*Zafascynowany wszelkimi naukami ścisłymi, a także mitologiami różnych kultur i historią broni oraz wojskowości. Jako humanista najnaturalniej w świecie dostał się na geologię, gdyż nie jest ona prawdziwą nauką ;)*

**Sebastian Stryjak**  
**GL, HF!**

Od: isaacrip@mail.com

Do: ubermedic@mail.com

Temat: Może partyjkę co-opa?

*Sporo czasu minęło, odkąd ostatni raz się kontaktowaliśmy. Nic dziwnego, ja poszedłem na programowanie, a ty... gdzie właściwie? Mimo to nadal pamiętam, jak mordowaliśmy się nawzajem w Quake'u III.*

*Wspaniałe czasy, jednak odwołując się do nich nie proponuję Ci rywalizacji, a raczej kooperację.*

*Wziąłbyś udział w beta-testach mojego najnowszego dzieła. Gra, że tak to określe, z wolna obrasta mięśniami mechanik, zaś twoim zadaniem byłoby pilnować, by w czasie wzrostu mojego dzieła nie zabił go jakiś złośliwy nowotwór.*

*Przemyśl to. Produkcja jest bardzo specyficznym i poważnym symulatorem, prezentującym dość nieciekawą element ludzkiej egzystencji.*

*Pragnę w nim zawrzeć pewien głębszy przekaz, który jako człowiek inteligentny, mam nadzieję, pojmiesz.*

*Pozdrawiam...*

### **Wpis 1:**

Na początek może wyjaśnię, dlaczego zaczynam pisać ten pamiętnik.

Będąc entuzjastą gier video i studentem medycyny zarazem, zaangażowałem się niedawno w bardzo interesujące przedsięwzięcie. Są nim beta-testy symulatora, czy może powinienem był napisać „symulatora”, pracy lekarza na porodówce. Nie pytajcie mnie nawet, skąd autor wziął tak szalony pomysł, bo choć znam go kilka lat, dawno przestałem próbować go zrozumieć.

A cudzysłów? Za moment wyjaśnię, tymczasem – cel. Chcę spisać swoje wrażenia, nie tyle z samego obcowania z programem, co z doświadczenia beta-testów. Jest ono dla mnie całkowicie nowe, a i sam symulator wydaje się bardzo niecodzienny. Myślę, że najlepiej zobrazuje to opowieść o moim pierwszym jego uruchomieniu.

Wersja, którą najprędzej określiłbym mianem późnej alfy, miała już graficznie opracowane menu główne. Utrzymane w odcieniach różu, prezentowało się standardowo: *NOWA GRA*, *KONTYNUUJ*, *OPCJE* oraz *WYJDŹ*.

Spróbowałem rozpocząć nową rozgrywkę i tu nastąpiło pierwsze zaskoczenie, gdyż gra nie reagowała na komendy głosowe. Gestem przeciągnąłem kursor nad *OPCJE*. Kolejnego szoku doznałem, kiedy w zakładce *STEROWANIE* napotkałem odnośniki nie do ruchów dłoni, lecz klawiszy! – Oszalał? – pomyślałem, mimo to przebiłem się przez instrukcję, by - wreszcie zacząć zabawę.

Dopiero patrząc oczami mojego awatara, na wirtualnej porodówce, pojąłem absurdalność swego zadania. Przyszło mi bowiem poruszać z osobna każdym palcem obydwu dłoni, przełączając się między nimi. Dodatkowo klawiatura numeryczna, służąca dodawaniu otuchy rodzącej kobiecie, dopełniała obrazu rozpacz.

Cudem przetrzymawszy fatalnie nagrane krzyki, dostrzegłem wreszcie wyłaniającego się potomka. Wtem jednak zbugowała się fi-



zyka gry, bo dzieciak wystrzelił spomiędzy ud ciężarnej jak z procy! W panice wcisnąłem wszystkie klawisze na raz, a mój awatar ledwo pochwycił „raketowego chłopca”.

Dyszałem ciężko i cieszyłem się, że to już koniec moich mężczyzn.

Bachor został klepnięty, zapłakał, happy end. Kamera opuściła czaszkę mojej postaci, ukazując paskudny model oraz chmurkę dialogową obok niego. Umieszczony w niej napis stwierdzał, iż mogłem wpisać kwestię „wypowiadaną” przez bohatera gry po udanej operacji. W przyływie entuzjazmu wklepałem: *Good luck, have fun babe!*

## **Wpis 2:**

Muszę przyznać, iż pomimo początkowych problemów symulator wychodzi na prostą.

Fakt, sterowanie nie stało się lepsze ani na jotę, lecz autor poszedł przy projektowaniu raczej w stronę radosnego absurdu, aniżeli wymagających precyzji zadań. Do tego najwyraźniej zrezygnował z wkładania w ramy tej osobliwości jakiegoś głębszego przekazu, jak to swego czasu ujął.

Najlepszym przykładem jest dodany właśnie tryb rozgrywki, nazwany *DZIECI FANTASY*. Polega on dokładnie na tym samym, co zwykła gra, czyli pokracznym asystowaniu przy porodzie, jednak zdecydowanie je urozmaica. Jak? Wyobraźcie sobie, że odbierane potomstwo stanowi hybrydę człowieka i ryby.

Albo że płonie.

Albo że zaraz po opuszczeniu matczynego łona teleportuje się pod sufit, więc trzeba je łapać z góry.

Albo... rozumiecie?

Nie mam pojęcia, ile w sumie dziwacznych form noworodków oferują *DZIECI FANTASY*, ale i tak jestem pod wrażeniem. Przypomniały mi się dawne eksperymenty z modyfikowaniem DNA zygot przed wszczepieniem ich do łona matki. W szale eliminowania niepożądanych cech i uaktywniania tych zamówionych naukowcy potrafili

doprowadzić do zaniku małżowin usznych czy pełnego wzrostu ogona. Sprawnego! Szczęśliwie, obecnie można swobodnie decydować o wyglądzie dzieci bez ryzyka. Za niewielką sumkę każdy stworzy wymarzoną maskotkę, względnie klona, jako żywy pomnik na własny obraz i podobieństwo.

I dobrze. Chcą, mogą, robią.

### **Wpis 3:**

Ha! To dopiero! Długo nie czułem, iż warto wysilić się przy kolejnym wpisie, aż nie wyszła aktualizacja z czymś zupełnie niewyobrażalnym – trybem multiplayer! Czytając patchnotes złapałem się za głowę.

– Jak?! W jaki sposób?! – myślałem. – Dziesięciu graczy, każdy steruje innym palcem? Czarno to widzę.

Cóż, myliłem się zupełnie.

Dołączający do rozgrywki zastępują asystentów, którzy, tak jak w singlu, stoją niczym słupy soli. Mogą, póki co, jedynie rozmawiać ze sobą i służyć radą „doktorowi–łapaczowi”. Gdyby nie potencjalny rozwój tego trybu w przyszłości, jego zasadność podważałby dowolny komunikator internetowy.

Swoją pierwszą sesję multi rozegrałem wraz z twórcą symulatora. Na potrzeby testów wyciszyliśmy dźwięk, za wyjątkiem komunikacji między grającymi. Okres oczekiwania przed „wyrzutem” stał się o wiele przyjemniejszy bez wrzasków w tle, toteż rozpoczęliśmy przyjacielską rozmowę: – I co, zamierzasz wydać grę? – zagałem.

– A no. Myślę, że możemy liczyć na spory sukces.

– My? – zapytałem zdziwiony.

– Tak, bo widzisz, pozostali testerzy szybko zrezygnowali. To zapewne kwestia posiadania dosyć wysublimowanego poczucia humoru.

Egzystencjalnego, można powiedzieć. Wystarczy bowiem pojąć, że ludzkie życie nie jest wiele warte, by śmiać się z każdego upuszczonego główką w dół niemowlaka.

– Żartujesz? – zapytałem lekko osłupiały.

– Skądże. Wszak cała mechanika gry jest, mało subtelną przyznam, kpiną z żyworództwa. Obecny poziom technologii pozwala na stworzenie dzieci na wymiar, w dowolnych ilościach, całkowicie pozaustrojowo. Sam o tym doskonale wiesz, studiujesz pewne aspekty Technologii Rozmnażania.

Nim zdołałem jakoś odpowiedzieć, spomiędzy ud poszła mała torpeda.

Zareagowałem błyskawicznie, wciskając łamiącą palce kombinację klawiszy wykręciłem dłonie postaci w koszyczek. Malec wyładował miękko i stabilnie... a za nim wyleciało jeszcze czterech.

Zatkało mnie, gdy brzdące przemykały obok awatara, by rozbić się o posadzkę jak czerwone jajka. Przez otępiały umysł prześliznęło się wspomnienie patchnotes, w których jak byk wśród nowych elementów stało *CIĄŻE WIELORAKIE!* – Widzisz! Na tym polega zabawa! Nikomu takich dzieci nie byłoby żal, ba, nawet pieniędzy na zabieg. Spójrz – powiedział, po czym chyba wbił jakąś komendę w konsoli gry, bo na moim ekranie nastąpiło zbliżenie na twarz jednego z martwych dzieci – ten uroczy bobas byłby dysfunkcyjny przez resztę życia, podobnie jak pozostałe. Weź, musiałeś do tej pory zauważyć, że w symulatorze nie rodzą się żadne zdrowe dzieci! Dzieci fantasy miały to tylko dobitniej pokazać. Swoją drogą, gratuluję refleksu, będę musiał nieco zmniejszyć „szybkostrzelność” przy wieloraczkach.

Do usłyszenia! I rozłączył się.

Ja też wyszedłem z gry, zdjąłem headseta.

Przez resztę dnia siedziałem na kanapie, czując się jakoś nie-swojo. Sam nie byłem pewien czemu.

#### **Wpis 4:**

Pojawił się system punktacji, nabijanie mnożnika przy zonglowaniu dziećmi, cesarskie cięcia... Te ostatnie są w miarę zabawne, bo zgodnie z groteskową konwencją gry, brzuch ciężarnej rozcina się piłą spalinową. Żeby chociaż tarczową, nawet taką do metalu, ale nie!

Szaleństwo...

### **Wpis 5:**

Po kilku tygodniach ćwiczeń nauczyłem się chwytać i bezpiecznie odstawiać wieloraczki. Radzę sobie z nimi nawet przy dziewiątce „pociech”.

W jednym muszę przyznać rację autorowi – choć w czasie moich ćwiczeń wiele wirtualnych bytów przepadło, to jednak satysfakcja z sukcesu, z wyczekiwanego Good luck, have fun babe! była niesamowita! On zostanie kiedyś wielkim, znanym twórcą. Może jeszcze nie teraz, szczerze wątpię, by wielu doceniło „estetykę” oraz otoczkę jego symulatora.

Ale kiedyś. W końcu *dying is fun*.

### **Wpis 6:**

Drań chyba zaczął wymyślać nowe utrudnienia konkretnie na bazie moich rozgrywek.

Gdy tylko zacząłem sobie radzić z bliźniętami jednojajowymi, które po poprzednim patchu zaczęły wystrzeliwać oba naraz, to co pojawia się z najnowszą aktualizacją? Bliźnięta związane pępowinami! Małe dranie nie dość, że lecą z dwóch stron jednocześnie, to przy chybieniu któregokolwiek albo pępowina owija się wokół awatara i zabija go (!), albo ciągnie w dół drugie dziecko! Arrgh! I jak tu utrzymać dobrą punktację?!

### **Wpis 7:**

Czuję, że wkrótce przejdziemy do końcowej fazy testów.

Symulator powoli rośnie, ja sam bawię się przy nim coraz lepiej.

Wcześniejsze poczucie niesmaku opuściło mnie zupełnie. To tylko gra, w różnych strzelankach zabijało się o wiele więcej ludzi, z pełną premedytacją.

A tutaj? Czy kiedykolwiek żal mi było bohatera platformówki, który setny raz wpadł na piłę tarczową? Skąd! Gra nosić będzie tytuł

Birth Simulator 2030, czego osobiście spodziewałem się od początku, ale niech będzie, że obmyślał tę nazwę miesiącami.

### **Wpis 8:**

Kolejny spokojny tydzień testów, sporo poprawek audiowizualnych, a zatem także dziwnych glitchy, których pewnie nie dało się uniknąć podczas mieszania w plikach z grafiką i dźwiękami na taką skalę. Przyznam, że jeden błąd szczególnie zapadł mi w pamięć.

To była zwykła rozgrywka, szczęśliwie pojedynczy bobas. Bez trudu złapałem go, został klepnięty... i nic. Trząśł się, płakał, ale nic nie było słychać.

Cisza. Wszyscy klaskali jak zawsze, tylko słowa awatara nie wyświetliły się. Potem program wyrzucił mnie do pulpitu.

Sam nie wiem... a może mi się zwyczajnie przyśniło? Ostatnio rzadko śpiam, mogłem zapaść w drzemkę przed komputerem i nawet się nie zorientować, że kilka godzin minęło.

### **Wpis 9:**

To już ostatni wpis.

Wkrótce Birth Simulator 2030 wejdzie na rynek, tymczasem jego autor na zakończenie testów podrzucił mi seed z nowym elementem do sprawdzenia.

Wpisując długą sekwencję liczb nie bardzo wiedziałem, czego oczekiwać.

Rozumiałem jedynie, że rzecz nie może być wyjątkowo spektakularna, bo zabrakłoby czasu na zaprojektowanie elementów graficznych na poziomie reszty gotowej gry. Dlatego też spodziewałem się przetworzenia już zaimplementowanych elementów w świeży sposób. Nie pomyliłem się.

Gdy załadowała się sala, jak to w wersji 1.9.2, pojawiła się plansza informująca o moim zadaniu, przywołująca wyniki testów, USG itd.

Przewinałem teorię, której dosyć miałem na wykładach, by zo-

baczyć skrót warunków „misji”. Było tam napisane:

*Pacjentka pragnie pozbyć się niechcianej ciąży. Pomóż jej.*

Przeczytałem te dwa zdania jeszcze raz.

I jeszcze raz.

Wciąż to samo. Wcisnąłem klawisz enter, wszedłem do rozgrywki, nadal niepewny, co robić.

Fakt, już wcześniej były aborcje, ale tylko jako rozwiązanie komplikacji, sytuacji bez wyjścia, w których trzeba było decydować między życiem matki a dziecka.

Wróciły do mnie słowa autora, o dzieciach w symulatorze, oraz kawałek informacji, coś o trisomii chromosomu 21. Ponaglany przez wirtualnego asystenta rozpocząłem zabieg.

Wyuczone ruchy jakby wykonywały się same, mój umysł wciąż był jakby sparaliżowany. Wreszcie kanały rodne opuściło ciche, nieruchome dziecko.

Przeklęty kawałek kodu „zawołał”: *Good luck, have fun babe!*

***Marianna Szygoń (Marianna, Salamandra)***

*Pisać musi, bo inaczej się udusi. A ponieważ pisać każdy może, trochę lepiej lub trochę gorzej, nie zamierza rezygnować z ulubionego literackiego hobby. Urodziła się w roku, w którym pilot Hermaszewski ruszył na podbój kosmosu, a pilot Pirx na podbój srebrnego ekranu. Zapewne dlatego tak bardzo lubi snuć amatorskie opowieści z gatunku science-fiction, choć czasem płodzi też kryminalne historie, dziejące się na pograniczu rzeczywistości. Autorka domowej roboty ebooka Metastaza – do dostania za darmo w internecie.*

**Marianna Szygoń**  
**CZYNNIK ZHANGA**

Zaczęło się od tego, że w siódmym miesiącu wyprawy, na atak serca zmarł nagle inżynier Takada. Miał pecha zakończyć życie na Trytonie, najzimniejszym księżycu Układu Słonecznego, więc nie mogliśmy mu nawet wyprawić pogrzebu. Złożyliśmy tylko ciało w chłodni z odpowiednimi honorami, choć bez przesadnie wystawnej ceremonii. Wszystkich przygnębiła ta śmierć, ale, w gruncie rzeczy, nie było w niej nic niezwykłego. Przynajmniej tak twierdził Zhang, lekarz wyprawy. Takada miał już swoje lata, w Japonii dawno wysłano go na emeryturę; Chińczykom jego wiek nie przeszkadzał. Nikt nie śmiał nawet podejrzewać, że za tym zgonem przyjdą następne.

Nie minął nawet tydzień, a Jacques Chardin, młody wulkanolog z Tianjin, paskudnie złamał nogę w sali gimnastycznej, choć zarzekał się, że regularnie zażywa obowiązkowe mineralizatory. Rozmiękanie kości czasem jeszcze przydarzało się astronautom, ale fanatykowi kultury fizycznej i jedynemu dotąd człowiekowi, który zdobył Olympus Mons na Marsie, coś takiego nie powinno się przytrafić. Po złamaniu szybko pojawiły się tragiczne w skutkach komplikacje i Chardin zmarł we śnie.

Lekarz za przyczynę śmierci uznał skrzep, blokujący tętnicę płucną. Nic podejrzanego, ale już wtedy zaczęłam przypuszczać, że z naszym antypatycznym konowalem było coś nie tak.

Nie chodziło tylko o to, że Zhang nie potrafił zintegrować się z resztą grupy. Jako jedyny Chińczyk w wyprawie organizowanej przez Chińską Akademię Nauk miał prawo czuć się wyobcowany, ale nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że to nie bariery kulturowe stwarzały dystans między nami, a raczej poczucie wyższości i głęboko skrywana niechęć do przybyszy z Zachodu.

Zaniedbanie, które doprowadziło do śmierci Johanna Hartmanna, ostatecznie pogрузило Zhanga w oczach zespołu. Kaszel sejsmologa słyszeli wszyscy, i marnym usprawiedliwieniem dla lekarza był fakt, że chory uparcie odmawiał leczenia. Tak, Hartmann nie należał do hipochondryków. Miał przy tym irytujący zwyczaj pracy przy głośnych dźwiękach muzyki poważnej, więc żadne z nas nie mogło przyjść mu z pomocą, gdy konał w samotności.

Orkiestra berlińskich filharmoników skutecznie zagłuszyłaby każdy bój o ostatni oddech. Hartmann przeleżał w pracowni całą noc, a gdy rano Anna znalazła ciało, przerażone oczy naukowca wciąż pozostały otwarte. Zhang, z właściwą sobie niechęcią, podjął się sekcji zwłok, po prostu się udusił. Oczywiście, nie użył tego prozaicznego stwierdzenia, a jakiegoś mądrego, medycznego terminu, który nic nam nie mówił. Tym razem nie daliśmy się zbyć tak łatwo i lekarz, przyciśnięty do muru, wybąkał wreszcie coś o zapomnianym i zgubnym nałogu palenia, któremu Hartmann miał oddawać się w sekrecie. Oczywiście, nie uwierzyliśmy; nie należeliśmy przecież do pierwszych naiwnych.

Tymczasem zagadkowa niemoc sięgnęła po kolejną ofiarę. Padło na selenolog Annę Fish, wiecznie zadzierającą nosa Angielkę z własną katedrą na uniwersytecie w Pekinie. Znalazła ciało Hartmanna, naturalnym więc było, że stoi następna w kolejce po śmierć. Poza tym, często widywano tych dwoje razem; posądzałam ich nawet o jakiś fatalny romans. Wszystko się zgadzało, nawet ta przeklęta muzyka jako



tło do romantycznych schadzek i to, jak bardzo załamała Annę śmierć Johannesesa.

Lekarz rozpoznał w jej przypadku tylko zatrucie pokarmowe. Zanim jednak zaczęliśmy podejrzliwie przyglądać się pełnowartościowym, choć prawie niejadalnym posiłkom i paranoicznie obwąchiwać wszystkie papki, pasty i przypominające trociny makarony, Zhang wykluczył, by było z nimi coś nie tak, uparcie twierdząc, że nie wykrył żadnych toksyn. Annie ta wiadomość nie przyniosła ulgi; wkrótce pożałowaliśmy, że nie brzmi już głośna muzyka Hartmanna, bo w ciężącej nad stacją ciszy bez przeszkód rozlegały się rozpaczliwe krzyki cierpiącej kobiety.

Organizm Fish nie zareagował na żadną ze stosowanych przez Zhanga terapii. Jej śmierć wstrząsnęła wszystkimi, a najbardziej operatorem łazików, Wildenem. Krótco po symbolicznej ceremonii pogrzebowej znalazłam go w mesie; popijał coś z hermetycznego kubka. Usiadłam obok, rzucając kilka zdawkowych, choć uprzejmych słów. W odpowiedzi, mruknął pod nosem coś niezrozumiałego i odwrócił głowę, zanim zdążyłam spojrzeć mu w oczy.

Nie spytałam o nic więcej, postanawiając poczekać na bardziej odpowiedni moment. Zauważyłam zresztą, że nie byliśmy w mesie sami; Zhang, skryty dyskretnie w kącie, przyglądał się nam uważnie. Zniesmaczona tak bezczelną inwigilacją, spytałam zaczepnie: – Jakież postępy w dochodzeniu, Zhang? Z rozmysłem nie nazwałam go doktorem, choć wiedziałam, jak bardzo Chińczycy lubują się w tytułach. Według mnie, na żaden nie zasłużył.

– Za wcześnie jeszcze na wnioski – odparł z urazą Chińczyk.

– Oj, nie bądź taki oficjalny. – Uśmiechnęłam się jadowicie. – Masz chyba jakąś teorię? – Nie, i nikogo nie powinno to dziwić. Ułamek procenta wszystkich zgonów stanowią incydenty, których medycyna nie potrafi wytłumaczyć – stwierdził oschle, po czym wstał, odsuwając z hukiem krzesło. Zanim opuścił mesę, zdążył jeszcze usłyszeć moją ripostę: – Medycyna czy ty, Zhang? Wychodząc, minął w drzwiach Novacka; jeden rzut oka na lekarza wystarczył, by astro-

chemik odgadł, co między nami zaszło.

– Nie powinnaś obrażać go przy ludziach – stwierdził. – Chińczycy są przeczuleni na tym punkcie.

– Szczerze mówiąc, mam to gdzieś – prychnęłam lekceważąco. – I tak marny z niego specjalista.

– Jedyne w tej części Układu Słonecznego – przypomniał surowo Novacek.

Wzruszyłam ramionami, stwierdzając jednocześnie: – Być może, ale nie ma zielonego pojęcia, jak nam pomóc.

– Bo to nie jego działka. – Usłyszeliśmy nagle całkiem przytomny głos Wildena.

Zaskoczona, obróciłam fotel i znalazłam się z robotykiem oko w oko.

Natychmiast się cofnął, jakby ze wstrętem, ale zdążyłam poczuć w jego oddechu kwaśną, ostrą woń alkoholu.

– To klątwa – odpowiedział na niezadane jeszcze pytanie.

– Co takiego? – Novacek skrzywił się z niedowierzaniem.

Wilden upił z kubka spory łyk płynu i powtórzył: – Klątwa, dyplomowani ignoranci. Zemsta za zakłócanie spokoju zmarłych, kara za bezczeszczenie zwłok. Wszystkich po kolei szlag trafi, bo ty, Chloe, musiałaś przywlec do bazy jakiegoś trupa! Zdziwiona, otworzyłam szeroko oczy; faktycznie, mój łazik odnalazł w okolicach Kaldery Lewiatana sprasowany na miazgę, organiczny strzęp niewiadomego pochodzenia, zatopiony w azotowym lodzie, niczym mucha w bursztynie. Nazwanie go jednak zwłokami było grubą przesadą.

– Ten „trup” to największe odkrycie w historii ludzkości – wycedziłam z pretensją w głosie.

Novacek znacząco położył mi dłoń na ramieniu, jakby chciał powiedzieć: daj spokój.

– Mam gdzieś historię ludzkości! – Wilden skrzywił się niemiłosiernie. – Nie widzisz, że właśnie to nas zabija?

Niedorzeczne pytanie wisiało przez chwilę w powietrzu, nie doczekując się odpowiedzi. W końcu nie wytrzymałam, przerywając

krępującą ciszę nieprzyjemnym, sarkastycznym śmiechem.

– Może więc odprawisz stosowne egzorcyzmy, Jesse? Nie kompromituj się, ty... Kaznodziejo z Kentucky! – zadrwiłam, wstając.

W uszach mojego zmiennika niewinny z pozoru żart zabrzmiał jak obelga. Zaklął głośno i gwałtownie poderwał się z miejsca, zapewne chcąc rzucić się na mnie z pięściami, ale w niskim ciężeniu Trytona poszybował nie tam, gdzie zamierzał, i niezgrabnie wylądował na podłodze. Novacek litościwie pomógł mu wstać.

– Wracaj do siebie, Wilden – rzucił prosto w spoconą, czerwoną twarz robotyka, wykrzywioną wściekłym grymasem. – Wyśpij się porządnie.

Jesse zmierzył go wzrokiem pełnym nienawiści.

– Jeszcze zobaczycie – wychrypiał, ruszając ku drzwiom.

Zostaliśmy sami; już otwierałam usta, by skomentować to, co właśnie zaszło, ale Novacek mnie ubiegł.

– Wszyscy jesteśmy zmęczeni – powiedział spokojnie.

\* \* \*

Nie rozmawialiśmy już więcej o kłątwie. Z nudów postanowiłam zająć się czymś pożytecznym i sprowadzić łaziki z powrotem do bazy, bo mało było prawdopodobne, byśmy w obecnej sytuacji kontynuowali zwykłe programy badawcze. Roboty, noszące niegdyś pompatyczne chińskie imiona, przechrzczone na Jacka i Johnny'ego, na cześć zakazanych w czasie kosmicznych misji, markowych whisky, od paru dni oczekiwały beczynnie na nasze rozkazy na bezdrożach Trytona. Bez przeszkód wyprowadziłam Jacka z Kaldery Kibu i bezpiecznie powiodłam go nad Granią Krakena, ale na kierowaniu Johnnym nie potrafiłam się już skupić. Odkryłam bowiem, że za moimi plecami związał się nieoczekiwany sojusz: Zhang i Novacek przesiadywali w laboratorium całymi godzinami, ale milkli nagle, gdy tylko zjawiałam się w pobliżu. Raz nawet usiłowałam podsłuchiwać, ale dałam sobie spokój, bo zza zamkniętych drzwi dobiegały tylko niezrozumiałe

strzępy słów. Zresztą, rozmawiali po chińsku, a mimo, iż pracowałam dla Chińczyków od dwóch lat, do tej pory nie opanowałam języka moich chlebodawców. Im dłużej myślałam, tym większej nabierałam pewności, że mężczyźni coś ukrywają, opuściłam więc komorę holograficzną i zaczęłam śledzić każdy ich krok.

Gdy tylko wynieśli się do gabinetu Zhanga, zżerana ciekawością, przetrząsnęłam laboratorium, ale znalazłam tylko bezwartościowe analizy jakichś minerałów. Równie mało uzyskałam, przeszukując główną bazę danych stacji. Wszelkie wnioski, o ile do jakichś doszli, musieli ukrywać na osobistych palmboxach, ale włamanie do nich traktowałam jako ostateczność, tymczasowo zadowolając się szperaniem w ambulatorium pod nieobecność Chińczyka.

Już pierwszy rzut oka wystarczył, by pozbyć się nadziei na spektakularne odkrycia. Gabinet lśnił czystością, zupełnie jakby Zhang od dawna w nim nie bywał. Rozczarowana, w ostatniej, desperackiej próbie znalezienia czegokolwiek, rzuciłam się na kosz na śmieci, ale nie znalazłam niczego; żadnej, choćby potarganej czy pomiętej notatki. Zaciekawiał mnie jedynie pojemnik na odpady medyczne; skrywał kilka, najwyraźniej świeżo zużytych, iniektorów. Wyciągnęłam ostrożnie jeden z nich, i, obracając w palcach lekki, kompozytowy walec, usiłowałam odczytać, co zawierał, aż złożyłam w całość nazwę, znanego nawet laikowi, leku przeciwbólowego, godnego następcy zdeponowanej lata temu morfiny. Zhang z pewnością podawał go cierpiącej Annie, ale od jej śmierci minął przecież co najmniej tydzień.

Kogo szprycował tak silnymi prochami? Wildena, Novacka, siebie? Któryś z nich musiał być chory, rozumiałam, dyskretnie opuszczając ambulatorium.

\* \* \*

Wróciłam tam następnego wieczora, wezwana przez Novacka.

Umarł Zhang; jego ułożone na leżance ciało idealnie wpasowywało się w bezduszny porządek, jaki po sobie pozostawił. Nie sililiśmy

się na sztuczne, choć należne zmarłemu przemowy. Milczeliśmy, do upadłego przeciągając zwyczajową minutę ciszy, aż znudzona, zaczęłam przyglądać się Czechowi ukradkiem. Wydawał się jeszcze bledszy i szczuplejszy niż zwykle. W końcu nie wytrzymałam i odezwałam się pierwsza: – Zabiła go klątwa czy prochy? Novacek drgnął. Po zgorzzonej minie poznałam, że zachowałam się niewłaściwie; mało mnie to jednak obeszło.

– Zajęło mu mózg – odrzekł cicho.

Klasnęłam w dłonie, dając upust radości, zupełnie niepasującej do sytuacji.

– Ha! A jednak coś nas atakuje! – zawołałam triumfalnie.

Nie zaprzeczył; westchnął tylko i zmienił temat: – Gdzie Wilden? Wzmianka o robotyku zepsuła mi humor skuteczniej niż śmierć lekarza.

– U siebie – odparłam, zniecierpliwiona. – Znalazł sobie jakąś strasznie pilną robotę. Tak naprawdę boi się tej swojej klątwy, głupi gnojek! Astrochemik skinął głową w milczeniu.

– Trzeba zanieść Zhanga do kostnicy – stwierdził po chwili z przymusem, podchodząc do zwłok. – Pomożesz mi? Skrzywiłam się z obrzydzeniem. Nie miałam najmniejszej ochoty bawić się w grabarza, ale wiedziałam, że muszę zostać z Novackiem, by czegokolwiek się dowiedzieć.

\* \* \*

Ciało lekarza ważyło niewiele. Łatwo było zapomnieć, że czarny, błyszczący worek zawierał ludzkie zwłoki. Przez całą drogę Novacek nie odezwał się ani słowem, ale nie naciskałam. Pozwoliłam, nie bez przykrości, by czeluść lodowatego magazynu, dziwną koleją losu zamienionego na kostnicę i pięć, zastygłych w bezruchu ciał, wywarło na astrochemiku odpowiednie wrażenie. Gdy tylko znaleźliśmy się z powrotem na korytarzu, chwyciłam go za rękę.

– Powiesz mi wreszcie prawdę? – spytałam po prostu.

Spojrzał na mnie smutnym, zrezygnowanym wzrokiem. Oparłszy się o ścianę, oddychał ciężko.

– Za wiele ode mnie wymagasz, Chloe. Sam nie wiem, co jest prawdą... Może to właśnie Wilden ma rację.

Zaniemówiłam; po raz pierwszy od dawna brakło mi jakiegokolwiek rzeczowego argumentu. Jiżi Novacek, sceptyk, ateista, człowiek fanatycznie wręcz rozsądny, nagle wyrywa się z czymś takim? To nie ten sam naukowiec, którego poznałam siedem miesięcy temu. Coś we mnie pękło. Łzy napłynęły mi do oczu.

– Nie każ mi wierzyć w gusła – wyszeptałam, ściskając jego dłoń.  
– Powiedz mi cokolwiek, uwierzę w każde kłamstwo, tylko nie w klątwę Wildena! Mężczyźnie najwyraźniej zrobiło się mnie żal.

– Chodź ze mną – powiedział z rezygnacją. – Coś ci pokażę.

Ruszył przed siebie powoli, ze spuszczoną głową. Brzemie niechcianego sekretu ciążyło mu z każdym krokiem coraz bardziej, a jednak milczał uparcie. Nie odstępowałam go ani na krok, ogrzewając jego kościste, lodowate palce ciepłem mojej dłoni.

– Widzisz, Chloe, to Zhang wymógł na mnie przyrzeczenie, że zachowam wszystko w sekrecie – odezwał się dopiero u progu swej kwatery. – Zgodziłem się, wiesz chyba, że od niedawna mam chińskie obywatelstwo... Cholerny oportunistą, pomyślałam, ale nie powiedziałam tego głośno.

– Kupili cię – rzuciłam tylko z przekąsem, przestępując próg.

Novacek, ku mojemu zdziwieniu, skinął głową.

– Wszystkich nas kupili – przyznał, szukając czegoś w kieszeniach. – Nawet ciebie.

Po chwili wydobył z jednej z nich małe, ciemne pudełko osobistego palmboxa i wetknął je do gniazda dokującego na ścianie. Z wyraźną ulgą opadł na fotel, mówiąc dalej: – Widzisz, Zhang poniekąd nie kłamał, bo naprawdę nie znalazł czynnika infekcyjnego. Na sekcjach trafiał tylko na efekty jego działania: zniszczone narządy z uszkodzeniami typowo mechanicznymi, jakby coś rozpychało tkanki, moszcząc sobie legowisko. Coś nieuchwytnego, co lokując się w organizmie,

niszczyło go i prowadziło do śmierci, znikając następnie bez śladu.

Stukając lekko palcem, uruchomił urządzenie. W powietrzu, nad pulpitem, pojawił się trójwymiarowy obraz zasnutych mgłą gór gdzieś w południowych Chinach. Skrzywiłam się z dezaprobatą; ja osobiście ustawiłam jako obraz powitalny osobistego palmboxa rodzinne Las Vegas.

– Popatrz. – Novacek przywołał na wirtualny ekran kilka zdjęć. – Widzisz te białe plamy? To rozerwana tkanka. Zhang znalazł takie u wszystkich zmarłych. Robił setki analiz genetycznych. Bez skutku... Dopiero, gdy zachorował sam, nastąpił przełom. Znalazł to.

Pokazał kolejne zdjęcie, tym razem z mikroskopu skaningowego, na którym wyraźnie odznaczały się od pofałdowanego, nieregularnego tła, doskonale geometryczne bryły trójwymiarowych sześciątów.

– Wirus? – Oderwałam od ekranu pytający wzrok, ale Novacek zaprzeczył, kręcąc głową.

– To była ostatnia szansa Zhanga – ciągnął dalej. – Skoro czynnika nie można było pozyskać ze zwłok, jedyną możliwością było przechwycenie go w próbce żywej tkanki. – Zanurzył palec w krawędzi sześcianu, aż obraz zamigał, odkształcając się nieznacznie. – To pochodzi z płynu mózgowo-rdzeniowego lekarza. Sam robiłem mu punkcję, wiesz? – Ty? – spytałam ze zdziwieniem, a Jiżi wzruszył ramionami, lekko dotknięty moim niedowierzaniem.

– Ja. Według jego wskazówek. I tak był umierający, niewiele ryzykował, gdybym coś spaprał, nieprawdaż? Nie czułam obowiązku, by odpowiadać na to pytanie, zresztą, myśli zaprzętało mi już coś innego.

– Moment. – Usadowiłam się na fotelu naprzeciwko, by móc przyjrzeć się Novackowi uważniej. – Dlaczego nie wykrył tego u Anny, zanim zmarła? Robił testy na wszystko, co żyje, ale nic nie znalazł.

– Bo to nie jest żywe, Chloe. To automaty wielkości sporych bakterii, sztuczne, całkowicie nieorganiczne. Zhang nie szukał maszyn. Żaden lekarz na jego miejscu nie szukałby czegoś takiego.

– Zwłaszcza, jeśli nie chciałby tego znaleźć – stwierdziłam cy-

nicznie.

Twarz mężczyzny spochmurniała.

– Co sugerujesz? – Że to chiński wynalazek. – Uśmiechnęłam się znacząco.

– Nie – zaprzeczył gwałtownie. – Chińczycy nie mają z tym nic wspólnego. Udział ludzi w powstaniu czynnika Zhanga jest bardzo mało prawdopodobny.

– Naprawdę chcesz to tak nazwać? – spytałam przewracając oczami, ale astrochemik puścił tę uwagę mimo uszu.

Odwrócił się, wywołując na ekranie dziwnie znajomy obraz jakiegoś wykresu z długimi kolumnami liczb poniżej. Westchnął przy tym ciężko.

– Tu masz wynik spektrometrii masowej. Zwróć uwagę na trzecią pozycję.

– Glin 26. Co z tego? – przeczytałam obojętnie, nie dając po sobie poznać, że na te wyniki natknęłam się już wcześniej, przeszukując bazę danych laboratorium. Tyle, że wtedy nie doceniłam ich znaczenia.

– To izotop pierwotny, starszy niż Słońce. Na planetach naszego układu występuje w śladowych ilościach, ale te automaty zawierają go całkiem sporo. Wiesz chyba, co to znaczy? Wiedziałam. W lot pojęłam znaczenie odkrycia przyćmiewającego moje skromne znalezisko z Kaldery Lewiatana; zdążyłam nawet poczuć nieprzyjemne ukłucie zazdrości.

– Gdzie złapaliśmy tę zarazę? – spytałam, kręcąc się w fotelu, by ukryć zmieszanie.

– Jeszcze nie wiem. Mogła siedzieć w pyle gejzerów, w lodzie czapy polarnej. – Drgnął i dokończył powoli, z namysłem: – Albo w tym organicznym fragmencie, który znalazłaś.

Zaskoczona, zatrzymałam fotel.

– Mówiłeś przecież, że „spadek po Zhangu” nie utrzymuje się w zwłokach – zauważyłam sucho, zadowolona, że odkryłam nieścisłość w jego pięknej teorii.

Novacek podparł głowę na dłoni, spoglądając na mnie z wysił-



kiem spod półprzymkniętych, ciężkich powiek.

– Tak mówiłem. Ale każdy automat może pracować w określonym zakresie temperatur... To miejsce, w którym znalazłaś szczątki... Niecka, wypełniona przez lawę z lodowego wulkanu. Gdyby, teoretycznie, gwałtowna erupcja zaskoczyła jakąś żywą istotę z penetrującymi ją automatami w środku, czynnik Zhanga nie zdążyłby uciec ze zwłok, zamarzając wraz z nimi. Ale... – Ale mamy zabezpieczenia – weszłam mu w słowo. – Nic tak po prostu nie może przeniknąć z zewnątrz, a żadna z próbek nie ma kontaktu z wnętrzem stacji. Nawet moje znalezisko leży hermetycznie zamknięte w chłodni, nikt w nim nie grzebał, bo nie mamy astrobiologa.

Novacek wyłączył palmbox i chudymi, kościstymi palcami wyłuskał urządzenie ze ściany. Zanosilo się na koniec rozmowy; by nie pozwolić mu wstać, przysunęłam się jeszcze bliżej. Nie zwrócił na to uwagi, myśląc nad czymś intensywnie.

– W zasadzie masz rację – powiedział. – Ale one są inteligentne, Chloe.

Potrafia się przystosować. Zmieniają taktykę w każdej nowej sytuacji, zapewne znalazły lukę w zabezpieczeniach. Uczą się na swoich błędach, wyciągają wnioski. Jak my... Nie dokończył, jęknął cicho, zginając się w pół.

– Co ci jest? – Zaniepokoiłam się i dotknęłam jego czoła; było zimne, prawie jak u trupa.

– Nic, to zmęczenie – odparł nieszczerze, wyprostował się i, lekko potrząsając głową, stracił moją rękę.

Pomogłam mu przenieść się na łóżko, ale wciąż czułam niedosyt, więc położyłam się obok, odkładając na bok wszystkie konwenanse. Nigdy zresztą się nimi zbyt nie przejmowałam, a w pobliżu nie było już nikogo, kto mógłby mnie potępić.

– Jak myślisz, czyja to spuścizna? – spytałam, przytulając się do ramienia Czecha.

– Kto wie... – odrzekł z przymusem. – Żeby odpowiedzieć na to pytanie, potrzeba lat badań. Dopiero zaczynamy poznawać Trytona,

nawet nie wiemy, skąd do nas przywędrował. Nie zawsze był przecież księżycem Neptuna... Lawa zalała Region Monad miliony lat temu. To musi być bardzo stara technologia. Starsza niż te szczątki, który znalazłaś. Ktoś musiał badać ten księżyc przed nami... Długo, długo przed nami... Przez dobrą chwilę milczeliśmy. Oddech Novacka powoli się uspokajał, pierś zaczęła słabo, lecz regularnie, unosić się i opadać. Obawiałam się, że astrochemik za chwilę zaśnie i niczego więcej się nie dowiem. Jeszcze mocniej przywarłam do jego boku.

– Skoro to technologia – powiedziałam do siebie, ale wystarczająco głośno, by zmusić go do odpowiedzi – to musiała czemuś służyć.

– Taaak – odezwał się po chwili. – Gdyby to był wytwór ludzkości, powiedziałbym, że ma służyć zagładzie, a tak, możemy się tylko domyślać jego przeznaczenia. Zauważ, że każdy z nas chorował na coś innego, a to znaczy, że sztuczne bakterie nie atakują dwa razy tego samego narządu... To nie może być przypadek. One poznają ludzki organizm. Czegoś szukają... – Najslabszego punktu – wtrąciłam z przekonaniem.

– Może nie. Może po prostu niszy, która nie szkodząc nosicielowi, pozwoli im opuścić Trytona. Ten z nas, który przeżyje, może być pewien, że nie opuści bazy sam.

– Tym gorzej dla niego – podsumowałam kwaśno. – Chińczycy już się postarają, by wykorzystać te maleństwa dla własnych celów. Jak myślisz, czemu Zhang tak bardzo pragnął zachować wszystko w tajemnicy? Był kiedyś lekarzem wojskowym, prawda? Nie wierzę, by przestał go kręcić wyścig zbrojeń.

– Zhang nie żyje, Chloe – przypomniał astrochemik zmęczonym głosem, odwracając twarz. – Zresztą, to tylko hipotezy. Wymagają weryfikacji.

– Tak – zgodziłam się skwapliwie. – Rano przyjrzymy się mojej mrożonce jeszcze bliżej.

– Wilden miał się tym zająć – odparł Novacek cicho. – Zapytaj, może znalazł coś ciekawego.

– Wilden? – powtórzyłam przeciągle, unosząc głowę.

Robotyk ostatnio nie opuszczał wirtualnej komory zdalnego sterowania łażnikami. Do tej pory fakt, że Jesse zajął się robotą, nie niepokoił mnie w najmniejszym stopniu, ale słowa Novacka sprawiły, że pozory zdrowego rozsądku u popadającego w paranoję Wildena nagle stały się podejrzane.

Gdzieś na dnie świadomości rodziła się nieubrana jeszcze w myśli obawa, przeczucie zaledwie, ale z gatunku tych, które nie pozwolą zasnąć.

\* \* \*

Zanim jeszcze oddech astrochemika nabrał typowej dla snu regularności, wstałam ostrożnie i pomaszerowałam do pokoju kontrolnego. Wilden faktycznie prowadził robotę; obraz na wirtualnej czaszy rozpiętej nad głową absorbował go tak bardzo, że nawet nie zauważył, gdy stanęłam tuż za nim. Chrząknęłam; drgnął lekko, jak człowiek zaskoczony niespodziewaną wizytą, ale nie przerwał pracy.

– Chloe? To ty jeszcze żyjesz? – spytał, raczej zdziwiony, niż ucieszony.

Pozostawiłam to pytanie bez odpowiedzi.

– Co robisz? – spytałam uprzejmie.

Udał, że nie słyszy. Podeszłam bliżej; jeden rzut oka wystarczył, by stwierdzić, że kieruje Jackiem, robotem, którego kilka dni temu ściągnęłam do bazy, a współrzędne sugerowały, że krąży gdzieś w okolicach Kaldery Lewiatana. Serce zabiło mi mocniej; chwyciwszy oparcie, obróciłam fotel z siedzącym w nim Wildenem do siebie. Jesse spojrzął na mnie ze złością.

– Naprawiam twój błąd – wyjaśnił oschle.

– To znaczy? Skrzywił się zniecierpliwiony i, obracając się do mnie plecami, wyjaśnił: – Odstawiam twojego trupa do domu. Niech dalej spoczywa w pokoju.

Zaniemówiłam; takiej odpowiedzi się nie spodziewałam.

– Oszalałeś – wydukałam, gdy już odzyskałam mowę.

Szarpnęłam znowu oparcie, tym razem mocniej, zanim Jesse zdążył położyć palce na wolancie, a symboliczne ciśnienie sprawiło, że fotel odjechał w bok, zatrzymując się na jednym z ramion półkolistego stanowiska.

Holograficzny obraz zamigał, zniekształcił się i zniknął. Wilden zaklął pod nosem, podniósł się i znieacka kopnął obrotowe krzesło w moją stronę.

Uderzona, straciłam równowagę, lądując na podłodze. Jesse dopadł mnie, zanim zdążyłam wstać, i bez ceregieli wypchnął na korytarz.

– Wynoś się! – warknął.

Wpadłam na ścianę; zanim zdążyłam się od niej oderwać, usłyszałam, jak Wilden barykaduje się w sali kontrolnej. Pozbierałam się w okamgnieniu i wczepiwszy się palcami jednej ręki w zawiasy, by utrzymać ciało w miejscu, biłam w drzwi drugą pięścią, krzycząc jednocześnie: – Ty paranoiku! Nie ma żadnej klątwy. To bezcenna obca technologia, pomoże Stanom wrócić do gry! Całą odpowiedź stanowił tylko jakiś nieokreślony rumor.

– Wilden, jeśli zaprzepaścisz moje odkrycie, to zabiję cię, przysięgam! – Uderzyłam w drzwi ostatni raz, dysząc ciężko, po czym przywarłam rozpalonym czołem do ich gładkiej, kompozytowej powierzchni. Nie dobiegał już stamtąd żaden dźwięk; oderwałam się od nich ze wstrętem.

\* \* \*

Rozcierając obolałą dłoń, ruszyłam z powrotem ku kwaterom załogi, z każdym krokiem nabierając przekonania, że nie wolno mi odpuścić.

Dotarłam do kwatery Novacka z gotowym planem działania w głowie; od razu uruchomiłam palmboxa, nie zważając na mrużącego oczy astrochemika, wyrwanego ze snu przez błękitną poświatę świeżo wzbudzonego ekranu.

– Co jest? – Usłyszałam.

– Nic – odpowiedziałam szorstko, całkowicie pochłonięta przygotowaniem zdalnego dostępu. – Śpij.

– Nic? – wybełkotał, zdezorientowany, po czym dodał z niedowierzaniem: – Akurat... – Muszę wpiąć się w panel komunikacyjny – wyjaśniłam niechętnie.

– Po co? – spytał nieprzytomnie, ale nie odpowiedziałam, więc dodał: – Wzywaliśmy już przecież pomoc.

Skrzywiłam się z niesmakiem na samą myśl o lecącej po nas chińskiej ekipie ratunkowej.

– Nie o to chodzi – zachnęłam się. – Pokieruję Johnnym drogą radiową.

– Co? – Zaskoczony Novacek raptownie podźwignął się na łokciach, aż zatrzeszczał materac.

– Łaziki reagują na proste komendy wysyłane w języku programu.

Przód, tył, lewo, prawo... – wyjaśniałam bez ładu i składu, przedstawiając jednocześnie antenę na częstotliwość robota.

– Nie dasz rady bez holowizji – zauważył rzeczowo.

– Dam. Znam Lewiatana jak własną kieszeń. Każę Johnny’emu przysyłać zdjęcie po pokonaniu każdego odcinka. W dwudziestym pierwszym wieku w ten sposób objechali pół Marsa, i to mając aktualizację wizji co osiem minut – paplałam, zaaferowana, nie przestając przebierać palcami po upstrzonym świetlistymi kwadratami blacie.

Astrochemik bąknął pod nosem coś, co zapewne odnosiło się do mocno rozchwianego stanu mojego umysłu i z powrotem opadł na poduszkę.

Nie prosiłam, żeby powtórzył; właśnie spłynęło pierwsze zdjęcie, znak, że zbudziłam Johnny’ego ze snu w kalderze zamrożonego wulkanu. Nie było zbyt wyraźne, ale pozbawiona dobrodziejstw komory holograficznej i wirtualnych wzmacniaczy obrazu nie mogłam liczyć na więcej. Czułam, że nie będzie łatwo.

\* \* \*

Łazik ruszył przed siebie. Każde ze zdjęć pozwalało na względnie bezpieczne pokonanie metra, czasem dwóch, tonącego w ciemności terenu.

Co chwilę światła Johnny'ego wydobywały z mroku cienie, z których każdy mógł okazać się granią rozpadliny lub wąskim ostrzem pęknięcia w azotowym lodzie. Coraz poważniejszym zagrożeniem okazywały się niewinne, w gruncie rzeczy, pomyłki w seriach komend. Dawno nie używałam tak prymitywnej metody sterowania, a presja czasu jeszcze zwiększała ryzyko błędów. Co chwilę zdarzało się, że robot nie zrozumiał moich intencji i wędrował nie tam, gdzie zamierzałam go wysłać, a każdy chybiony ruch mógł okazać się tragicznym w skutkach.

Dopiero, gdy szczęśliwie ominęłam wszystkie zapadliska i wyprowadziłam łazik na gładki jezior lawowego lodowca, wylewającego się z wąskiego przesmyku między kraterem a równiną, odetchnęłam z ulgą, choć najtrudniejsza część zadania miała się dopiero rozpocząć. Droga nad grań łańcucha Krakena nęciła gładką, bezpieczną powierzchnią, ale nie skorzystałam z jej zaproszenia, zatrzymując łazik w wąskim gardle lodowej przełęczy. Spojrzałam na budzik Novacka, ocierając spocone czoło; dotarcie na granicę równiny zajęło mi przeszło dwie godziny. Robot Wildena nadciągał z ciemności i mógł pojawić się w każdej chwili.

\* \* \*

Niedługo musiałam czekać, by na spływających z przełęczy zdjęciach zamigotał drobny, świetlny punkt, z początku niewiele różniący się od dalekiego Słońca. Nieubłagane zbliżający się Jack rósł w oczach i wkrótce oślepił Johnny'ego, wypełniając ekran jaskrawą plamą. Nie niepokoiło mnie to, oznaczało bowiem, że wciąż znajduję się w centrum uwagi Wildena i, mimo iż obrazy były bezużyteczne, zwiększyłam częstotliwość ich wykonywania, tak by spływały płynnie,

wywołując wrażenie kolejno następujących po sobie klatek starego filmu.

Nagle coś się zmieniło. Zagryzłam w napięciu wargi; gdy zamiast gorejącego słońca reflektorów na kolejnym zdjęciu ukazał się zarys srebrnego korpusu Jacka, zdałam sobie sprawę, że Jesse zamierza obejść mnie bokiem, tuż przy skalnej ścianie, sterczącej z lodu jak uchylona lekko brama. Wróciłam do pisania komend; Johnny nagle ożył, zalewając pajęczne ciało Jacka jasnym strumieniem elektrycznego światła.

\* \* \*

Pchnęłam robota w bok, zagradzając drogę rywalowi. Gdy Jack wycofał się nieznacznie, skupiłam całą uwagę na ustawieniu aparatu tak, by nadążyć za jego ruchem. Czułam, że Wilden planuje jakiś podstęp. Sekundy mijały niepostrzeżenie, maszyny tkwiły w impasie. Zastanawiałam się, czy Wilden już odkrył, w jaki sposób kieruję łązikiem. Teraz, gdy minęło pierwsze zaskoczenie, na pewno się domyślił, z czego wynika opóźnienie reakcji Johnny'ego.

Spodziewałam się fortelu, lecz zakłęłam wściekle, gdy po markowanym ruchu na drugą flankę, Jack nagle zniknął z ekranu, podążając w przeciwną stronę. Johnny ruszył z opóźnieniem i tylko szczęśliwy traf sprawił, że zdołał pochwycić w tryby jednego ze swych kół koniuszek którejs z pajęcznych nóg Jacka. Nie od razu zdałam sobie z tego sprawę; dopiero ze zdjęć wywnioskowałam, że mój łązik, cofając się, ciągnie Jacka za sobą, a z oporu, z jakim reagował na komendy, domyśliłam się, że robot Wildena wciąż walczy, orząc pazurami zamrznięty azot.

Z matni uwolniła go przypadkowa, błędnie wpisana przeze mnie komenda. Lekko jeszcze zdezorientowany, pomknął pokracznie przed siebie, biorąc kurs na centrum towarzyszącej kalderze niecki. Ruszyłam w pogoń, nie tracąc cennego czasu na wytyczanie najbezpieczniejszej trasy.

Bez zastanowienia wybrałam najkrótszą drogę, wiedząc, że zwinnego Jacka trudno będzie dogonić. Podjęłam ryzyko unieruchomienia pojazdu w jakiejś rozpadlinie, pozwalając potoczyć się Johnny'emu tak szybko, jak tylko potrafił. Na szczęście Wilden, najwidoczniej poddając się panice, także zlekceważył nierówności pozornie gładkiej, lodowej glazury.

\* \* \*

Ryzyko się opłaciło. Jacka, pochłoniętego wygrzebywaniem się z jakiegoś płytkiego dołka, dopadłam w ostatniej chwili, by z impetem uderzyć w srebrny odwłok, gruchocąc przy okazji misterne odnóża. Pancerny, żółwi korpus Johnny'ego wepchnął przeciwnika do jamy, utworzonej przez dawno zastygłą breję, ostatecznie pozbawiając go swobody ruchu. Nie tracąc czasu, ze schowka w pancerzu mojego podopiecznego wydobyłam chwytnie ramiona, by z trudem wyłuskać z plecaka Jacka cenną zawartość.

Ta operacja wyczerpała mnie do cna; manipulowanie skomplikowanymi kończynami i wieńczącymi je chwytakami wymagały nie lada zręczności, nawet od operatora dysponującego komorą holograficzną. Czułam, że palce zaraz odmówią mi posłuszeństwa, a nadgarstki usztywni ból i nie zdołam już pchnąć łazika ku ciemniejszej w oddali równinie, więc tylko, po raz ostatni, mściwie staranowałam Jacka. Upewniwszy się, że bezpowrotnie unieruchomiłam pupila Jesse'ego, opadłam ciężko na łóżko tuż przy boku Novacka, natychmiast tracąc świadomość.

\* \* \*

Z kamiennego snu zbudziła mnie nieokreślona jeszcze obawa.

Przewyciężając skurcz zeszywniałego karku, z trudem uniosłam ciężką głowę, by wyłowić z mroku wątry blask budzika. Pomimo niewątpliwego upływu sekund, odmierzanego z bolesną regularnością



przez pulsowanie krwi w skroniach, zegar nie posunął się ani o minutę, monotonnie migocąc trzema czerwonymi zerami. Mrużąc przezornie powieki, włączyłam lampę, ale nie doczekałam się spodziewanej powodzi światła; rozjarzyły się tylko mikre lampy oświetlenia awaryjnego.

Bez zwłoki zbudziłam Novacka, szarpiąc gwałtownie za wiotkie, bezsilne ramię. W końcu niechętnie otworzył oczy i usiadł na łóżku, rozglądając się ze zdziwieniem.

– Pada zasilanie – zauważył obojętnie, jakby zdarzało się to codziennie.

– Nie, to Wilden – wybełkotałam. – Rusz się, Jiżi. Trzeba zajrzeć do elektrowni.

Skinął głową, ale nie podniósł się z miejsca. Stawiał opór, gdy zdecydowanie wzięwszy za rękę, wywlekłam go za sobą na korytarz. Droga do elektrowni okazała się dla nas nie lada wyzwaniem, bo mnie również kręciło się w głowie; najwidoczniej pompy powietrza nie działały już jak należy. Uparcie ciągnęłam Novacka za sobą, ale zniecierpliwiona ciągłymi przymusowymi przystankami, podczas których przyklejony do ściany astrochemik z trudem łapał oddech, zostawiłam go i w dalszą drogę ruszyłam sama.

\* \* \*

Wymuszony półmrok zamienił elektrownię w wyjątkowo odstręczające, nieprzyjemne miejsce. Ciężko się tu oddychało, jakby przesycone nieokreślonym, duszącym zapachem powietrze gęstniało z minuty na minutę. Wildena nie zastałam, a osamotniona konsola głównego inżyniera z porzuconym, ulubionym kubkiem na herbatę Takady, potęgowała wrażenie, że nikt od śmierci Japończyka tu nie zaglądał.

Mimo iż wpatrywałam się w błyszczące diody, z determinacją badając każdą z kontroltek, wciąż nie miałam pojęcia, co jest nie tak. Czułam już słone krople potu, osiadające nad górną wargą i spływające

do ust; wtedy zatrzymałam wzrok na jednej z wielu wskazówek, w odróżnieniu od innych, zatrzymanej na czerwonym, alarmowym polu. W jednej chwili zrozumiałam, jak zemścił się Jesse.

Powoli podniosłam wzrok i w tej samej chwili zadrżałam; zobaczyłam Wildena.

Przed konsolą tonęła w zupełnym mroku hala, wypełniona po brzegi przytłaczającą mieszaniną splątanych, pozornie bez ładu, misternych konstrukcji z rur i urządzeń, które buczały teraz cicho, monotonnie, jak nadsięgający rój. To nie Wilden, zrozumiałam, gdy wreszcie rozpoznałam własne odbicie, zniekształcone przez ścianę z syntetycznego szkła.

Rozczarowana, czym prędzej opuściłam elektrownię.

\* \* \*

Za progiem zderzyłam się z wycieńczonym wyczerpującą wędrówką Novackiem. Niepomna na jego słabość, rzuciłam prosto w bladą jak papier twarz: – Sukinsyna już tu nie ma. Trzeba go znaleźć, i to szybko! Pognałam przed siebie, zanim astrochemik zdążył odpowiedzieć, ale z każdym przeszukanym pomieszczeniem coraz bardziej oczywiste stawało się, że Jesse mógł opuścić stację. Dotarłam wreszcie do wewnętrznej służby.

Z rozmysłem zostawiłam ją na koniec, wciąż karmiąc się głupią nadzieją, że Wilden nie okaże się aż tak nierozsądny. Już z daleka jednak mrugało do mnie zielone oko sygnału blokady, znak, że nikt, przynajmniej w tej chwili, stacji nie opuszczał. Spóźniłaś się, pomyślałam. Od razu zażądałam od komputera panelu kontrolnego służby obrazu z kamery zewnętrznej, zastanawiając się jednocześnie, co zrobić gnojowi, gdy już go dorwę.

U stóp bazy panowała pustka.

Czyżbym się myliła? Łatwo było dać się zwieść zwodniczemu bezruchowi, jaki panował wszędzie tam, dokąd kierowałam oko kamery, ale zdążyłam już uwierzyć w nieobecność Wildena i to nie po-

zwoliło mi odpuścić.

Pospiesznie przeglądając zapisy z kilku ostatnich godzin odkryłam, że Jesse około pięciu godzin wcześniej opuścił stację wielozadaniowym wehikułem ekspedycyjnym TEV.

Spodziewałam się podobnego obrotu sprawy, a mimo to, spoglądając na oddalający się pojazd, oblałam się zimnym potem. Drań po prostu uciekł bez pożegnania. Tylko dokąd?

\* \* \*

Jak burza wpadłam do pokoju kontrolnego, i ledwo sięgnąwszy panelu komunikacyjnego, zanim jeszcze zdołałam włączyć mikrofon, już krzyczałam na całe gardło: – Stacja Andvari do wehikułu ekspedycyjnego! Stacja Andvari wzywa TEV! Wilden, odezwij się, sukinsynu! Nie doczekałam się odzewu. Jesse albo uparcie ignorował wezwania, albo z sobie tylko znanych powodów opuścił pojazd. Zmieniłam częstotliwość i, nie przebierając w słowach, wzywałam uciekiniera bezpośrednio. Krew huczała mi w uszach tak donośnie, że gdy w końcu Wilden odpowiedział, nie zrozumiałam jego słów.

– Czego? – Wyłowiłam z potoku przerywanych zakłóceniami przekleństw.

– Co ty wyprawiasz? – wycedziłam z wściekłością.

– O Boże! Naprawdę się nie domyślasz? Szukam Johnny’ego – wyznał dumie, a towarzyszące jego słowom sapanie świadczyło, że faktycznie pokonuje niewielkie, trytonowe wzniesienia. – Zamierzam skończyć to, co zacząłem. Sadziłaś, że dam za wygraną?

– A przy okazji wykończyć Novacka i mnie, tak? – zagrzmiałam.

– Że jak? – Zdziwienie Wildena zabrzmiało prawie szczerze.

– Byłam w elektrowni – wyznałam sucho.

– I co? – Drobnostka. Hel-3 się kończy.

– Chrzanisz! – Nie udawaj. Dobrze wiesz, że stacja idzie na rezerwie.

Z głośnika rozległ się jakiś nieokreślony dźwięk, podobny do

chrząknięcia albo chichotu, ale natychmiast ucichł.

– Teraz też będziesz się zarzekać, że to tylko przypadek? – Usłyszałam.

– Nie ma przypadków, Wilden – orzekłam kategorycznie.

– Masz mnie za samobójcę? Naprawdę myślisz, że chcę zdechnąć na tej skale? – odparował ostro, okraszając odpowiedź ordynarnym przekleństwem, po czym spytał: – Ile mamy czasu? Zawahałam się; nie zdążyłam się nad tym zastanowić.

– Jakieś sześć godzin, zanim wyczerpie się rezerwa. Może mniej... – Usłyszałam słabą podpowiedź Novacka.

Obejrzałam się, zaskoczona; astrochemik siedział, właściwie półleżąc w fotelu, blady i wyczerpany. Nie wiem, kiedy dotarł do pokoju kontrolnego, w napięciu zupełnie o nim zapomniałam. Wilden zaklął znowu, a do mnie wreszcie dotarło, że użył słowa „mamy”. Nie powiedział „macie”, „zostało wam”; mimo wszystko, wciąż uważał się za członka zespołu.

– Gdyby odłączyć wszystkie niepotrzebne systemy, powinno starczyć na dłużej – powiedziałam po namyśle, układając w myślach listę pomieszczeń, w których można odciąć prąd. – Zyskamy trochę czasu, zanim ostatecznie siądzie zasilanie. Potem zostanie tylko TEV... Wilden, słysząc to, roześmiał się histerycznie.

– Gównu nam to da! – zawył.

– Zaopatrzenie TEVa pozwala na dwutygodniowe wyprawy. Jeśli będziemy mieli trochę szczęścia, starczy zanim przybędzie pomoc, przy minimalnym zużyciu energii, o ile nie utkniesz gdzieś w łańcuchu Krakena.

Wracaj! – rozkazałam.

Przez chwilę panowała cisza, więc wywołałam Jesse'ego ponownie; gdy się odezwał, jego głos był już zimny i opanowany.

– Blefujesz, Anderson. Za wszelką cenę chcesz ściągnąć swojego trupa z powrotem. Prawie ci uwierzyłem!

Nigdy wcześniej nie zwracał się do mnie po nazwisku; zrozumiałam, że nie żartuje.

– Jeszcze parę godzin i nie będziesz miał do czego wracać – zagroziłam.

– Zaryzykuję. – Roześmiał się lekceważąco. – Wytrzymacie tych kilka godzin, nawet bez zasilania. Jestem prawie na miejscu... Właśnie schodzę do kaldery. Bez odbioru! Przerwał połączenie, a ja, pokonana, osunęłam się ciężko na fotel i spojrzałam ze złością na Czecha. Uderzyła mnie obojętność bijąca z jego twarzy, coraz bardziej przypominającej maskę.

– Novacek – wycodziłam przez zaciśnięte zęby. – Novacek, do jasnej cholery, powiedz coś! Pokręcił głową przecząco. Zza splekanych, suchych warg nie wydobył żadnego dźwięku. Bezwiednie zacisnęłam pięści; mnie nie było wszystko jedno.

– Weź się w garść, ty... – zaczęłam ostro, ale zanim zdążyłam go obrazić, z głośnika rozległ się krzyk Wildena: – Andvari! Andvari! Chloe, jesteś tam? Andvari, odbiór! – Tu Andvari – odparłam, zniecierpliwiona. – Co znowu? Zmieniłeś zdanie? – Cholera – zaryczał, ale już nie ze złością, ale z przestraczem. – Coś się spieprzyło...

– Utknąłeś! – zawołałam z triumfem.

Z głośnika dobiegł głośny, nieokreślony trzask.

– Nie... – wydyszał po chwili. – Tracę... ciśnienie... Włosy stanęły mi dęba na głowie. Od razu zerwałam się z fotela; w jednej chwili cała złość gdzieś wyparowała.

– Tylko spokojnie, Jesse – wyjąkałam nienaturalnym głosem. – Wracaj do TEVa. Wracaj natychmiast! – Za... daleko... – Nie pieprz! Idź! – nakazałam, ale w odpowiedzi usłyszałam tylko bolesne rzęzenie.

Odrzucając na bok urazy, rzuciłam się ku konsoli sterowania. Zamierzałam uruchomić holograficzny moduł zdalnego dostępu i przemieścić TEV bliżej Wildena, ale mimo starań, pojazd nie opowiadał. Dopiero po chwili zrozumiałam, że obawiając się mojej ingerencji, Wilden mógł ten moduł po prostu odciąć.

– Jesse, odpiąłeś zdalną?! – krzyknęłam z rozpaczą, ale nie uzyskałam odpowiedzi, więc wrzasnęłam jeszcze raz: – Jesse! – Nie... blokada... hasło... – wydyszał.

– Jakie hasło, Jesse? Jakie hasło?

Z eteru popłynął niezrozumiały bulgot, przechodzący w bolesny, prawie zwierzęcy skowyt. Przez rzęzenie Wildena, gdzieś z tła, z trudem przebijały się słabe słowa Novacka: – Nie pomożesz mu... Ma uszkodzony skafander.

Natychmiast się odwróciłam, spoglądając na Czecha spode łba.

– Co? – Ściągnęłam brwi.

– Jego skafander jest uszkodzony – powtórzył z wysiłkiem.

Zmarłam, nie rozumiejąc; w eterze wciąż dyszał Wilden, ale z upływem sekund coraz słabiej. Gdy zapadła cisza, wreszcie pojęłam.

– To ty! – szepnęłam, zszokowana. – Skafander, elektrownia... Ty? – Ja. – Skinął głową, a raczej pozwolił, by bezsilnie opadła mu na piersi.

– Ale... dlaczego? – wyjąkałam.

Novacek wyprostował się lekko.

– Pamiętasz, co mówiłaś w nocy? – Wykrzesał z siebie resztkę sił i zaczął tłumaczyć: – Że Chińczycy to wykorzystają... A ja nie chcę, by ktokolwiek to wykorzystał... Ani oni, ani wy... Przyznaj, pomyślałaś o tym.

– To chwalebne, Novacek, ale zmiłuj się, właśnie zabiłeś Jesse’ego! – Trudno – orzekł beznamiętnie.

Zamilkliśmy. Oddech Wildena w głośniku ucichł i słyszeliśmy jedynie trzaski zakłóceń wywoływanych przez pole magnetyczne Neptuna. Nie wyłączyłam odbioru, nie miałam na to siły.

– Ale przecież... prędzej czy później ktoś tu przyleci i wszystko zacznie się od nowa – wyrzuciłam z siebie łamiącym się głosem.

Novacek westchnął ciężko i znów wtulił głowę w ramiona.

– Wiem... Przynajmniej... Nikomu niczego nie ułatwię... Nie znajdą tu niczego... Dużo o tym myślałem, wiesz... Czynniki Zhanga zginie, gdy nie będzie żywych, na których będzie mógł się przenosić...

– Novacek, to coś przetrwało miliony lat – przypomniałam, czując osiadający na piersi ogromny ciężar.

– Zamrożone – przyznał. – A nam najpierw zabraknie tlenu...

Zginie, zanim zakonserwuje go mróz... Przykro mi, Chloe... Tak trzeba.

Jego głos cichł coraz bardziej, w końcu przechodząc w niezrozumiały szmer. Wzięłam głęboki oddech, przygotowując się do konfrontacji. Nie zamierzałam tak po prostu umrzeć dla sprawy. A przynajmniej, nie dla tej.

– Co zrobiłeś ze skafandrami? – spytałam, siląc się na obojętny ton.

Zacisnął wargi jeszcze mocniej; najwidoczniej zamierzał zachować tajemnicę uszkodzonych kombinezonów dla siebie.

– Novacek! – Dopadłam go jednym skokiem, widząc, że blada skóra astrochemika sinieje.

Potrząsnęłam nim mocno, chwyciwszy za wiotkie ramiona, ale wtedy powieki ociężałe opadły mu na oczy. Nie podniósł ich już.

– Uszkodziłeś wszystkie czy tylko jeden!? Nie uzyskałam żadnej odpowiedzi. Naraz, z nosa mężczyzny zaczęła płynąć gęsta, ciemna krew; mimo to szarpnęłam jeszcze mocniej.

– Novacek! Ostatnim wysiłkiem podniósł głowę i rozchylił lekko usta, ale zamiast słów, buchnęła z nich wprost na mnie lepka, śmierdząca maź. Cofnęłam ręce z odrazą; Jizi osunął się bezwładnie na podłogę, konając w konwulsjach.

Oślupiałam; przeczuwałam, że wkrótce umrze, ale nie spodziewałam się, że stanę się świadkiem tak gwałtownej agonii.

Od umierającego Novacka odwróciło moją uwagę dopiero nieprzyjemne wrażenie, że ubranie klei mi się do brzucha. Wystarczył jeden rzut oka na materiał, w który właśnie bez przeszkód wżerała się pomieszana z zawartością żołądka wydalina umierającego, by wyrwać mnie z odrętwienia.

Ze wstrętem zdarłam z siebie koszulę i cisnęłam nią jak najdalej. Nie zdobyłam się na to, by czekać aż ociężałe opadnie na podłogę. Miałam dość; ścigana przez niewidzialny patogen, pobiegłam pod prysznic. Sama nie wiem, ile czasu spędziłam wsłuchana w monotony szum wody, za wszelką cenę próbując zmyć z siebie piętno nieuchwytniej zarazy. Musiał jednak być długi, bo, jako że ignorowałam

dźwiękowe ostrzeżenia przed marnotrawieniem wody, komputer odciął w końcu jej dopływ. Dopiero wtedy, osaczona przez nagle zapadłą ciżbę, odważyłam się sięgnąć po ręcznik. Dotarło do mnie, że zostałam na Trytonie sama.

Naprawdę sama.

\* \* \*

Nie miałam wyboru, musiałam wrócić do kontrolnego. Novacek już nie żył; ominęłam zastygłe w ostatnim ataku przedśmiertnych konwulsji ciało i zajęłam miejsce za konsolą. Z początku czułam się nieswojo, świadoma obecności zwłok za plecami, ale, skupiwszy się na pracy, wkrótce i do tego przywykłam. Bezcenne dwie godziny zajęło mi obejście zabezpieczeń Wildena i zniesienie blokady modułu zdalnego dostępu. Odetchnęłam z ulgą, gdy TEV wreszcie ruszył przed siebie; przez kolejne cztery godziny wiodłam go ku bazie po lodowych bezdrożach Trytona.

Światło zgasło nagle, dokładnie w chwili, którą przewidział astrochemik.

Pojazd utknął jakieś czterdzieści kilometrów od stacji; gdyby zasilanie działało choć godzinę dłużej, może dałabym radę sprowadzić go z powrotem. Tak niewiele brakło, bym dopięła swego... Odtąd jedyną moją towarzyszką miała pozostawać ciemność, z początku nieśmiało rozpraszana przez zielone strzałki sygnalizujące przebieg drogi ewakuacyjnej. Ruszyłam w kierunku śluzy; wiedziałam, że muszę tam dotrzeć, zanim i one zgasną.

Po omacku zwolniłam mechaniczne blokady śluzy wewnętrznej, po czym, wodząc rozcapierzonymi palcami po ścianach, na oślep odnalazłam wejście do magazynu skafandrów kosmicznych. Wzdrygnęłam się, gdy dłoń natrafiła wreszcie na rękaw jednego z kombinezonów, lecz szybko zwalczyłam lęk, by obejmując ramionami obłą krzywiznę hełmu, włączyć reflektory.

Natychmiast zalała mnie struga ciepłego, upragnionego światła.



Upojona przyjemną jasnością, po omacku włączałam lampy kolejnych skafandrów, aż zapłonęły wszystkie. Dopiero, gdy palce trafiły w zimną pustkę, w miejsce, które kiedyś zajmował strój Wildena, przyszło otrzeźwienie – stałam przecież przed koniecznością wyboru, który przypominał upiorną grę, zwaną niegdyś rosyjską ruletką.

Który wybrać? Mrużąc powieki, odczytywałam kolejno nazwiska nieżyjących już ludzi, aż trafiłam na Novacka. Zwalczyłam ponure uczucie goryczy i rozczarowania, towarzyszące wspomnieniu astrochemika; gdzieś po obrzeżach racjonalnego umysłu plątała się myśl, że właśnie ten skafander będzie bezpieczniejszy od innych, bo po cóż Novacek miałby go psuć, skoro wiedział, że i tak umiera? Odsunęłam od siebie natrętne wspomnienie starego ziemskiego przesądu, piętnującego zakładanie odzieży zmarłego.

Dokonałam wyboru.

\* \* \*

Gdy zamknęłam za sobą wrota stacji i ogarnęłam wzrokiem znajomy, przyprószony wiecznym szronem krajobraz, niepokój powrócił. Miałam w plecaku powietrza na ponad osiem godzin i jakieś czterdzieści kilometrów do pokonania. Przeżyję, o ile skafander zachowa sprawność, jeżeli zdołam odnaleźć TEV, nie zabłądzą na mroźnych bezdrożach Trytona i nie skończy mi się tlen. Jeżeli TEV nie nawali... Dużo nazbierałam tych „jeżeli”, ale postanowiłam o nich nie myśleć.

Powlokłam się po bezdrożach zamrożonego księżycy, zaskakująco obojętna na groźne piękno trytonowego krajobrazu. Nie zwracałam uwagi na ukryte pod lodem skały, piętrzące zamrożoną lawę i wyginające ją w fantastyczne kształty. Na barwy lodu, który ubogi w czystą biel na Ziemi, tutaj pstrzył się pasmami różu, czerwieni i zieleni.

Nad głową, mimo obecności Słońca, królowały widywane na Ziemi tylko nocą gwiazdozbiory, lekko, prawie niedostrzegalnie za-

snute drobną mgiełką cienkiej, rzadkiej atmosfery. To niebo nie było do ziemskiego podobne, pomyślałam z żalem. Tam nieboskłon bezustannie przecinały samoloty, błyszczące klejnotami światel pozycyjnych. Tu królowała pustka, cisza i samotność. Tu naprawdę czułam, że jestem ostatnią z żyjących.

Porzuciłam wspomnienia, by skupić się wyłącznie nad tym, jak odnaleźć TEV, bo na zlodowaciałym gruncie Trytona, jak na szkle, ślady wehikułu, za którymi mogłabym podążać, były ledwo widoczne. Gdzieś tylko dostrzegałam je wyraźniej, odcisnięte w pyle odległych gejzerów, który, rozwiewany wichrami na setki kilometrów, opadał na Region Monad warstwą czarnego śniegu.

Przemierzałam tę drogę wielokrotnie, ale za każdym razem oglądałam ją z żółwiej perspektywy Johnny'ego. Teraz wszystko wyglądało inaczej.

Skarlałe pagórki i stłamszone nawałem lodu grzbiety zlewały się w jedno z nieodstępnym półmrokiem. Marszu nie przerywały szerokie bruzdy skamieniałych lodowych spękań, ubierające w mozaikę wschodnią półkulę Trytona, ani nie ułatwiały orientacji poszarpane brzegi nielicznych kraterów.

Teren był monotony i w swej jednostajności zdradziecki; przecucie powoli przeradzało się w pewność, że zabłądziłam. Stąpając po azotowym szkle, połyskującym tylko gdzieś bladym odbłaskiem gwiazd, wiele razy ulegałam złudzeniu, że dostrzegam świetlne refleksy, tańczące na szybach TEVa, by po chwili z rozczarowaniem stwierdzać, że to tylko miraż.

Wtedy, gdy zaczynałam już wątpić, lód przede mną załśnił doskonałym błękitem. Nad ledwo zaznaczonym horyzontem, skrywającym przed moimi oczami krater Lewiatana, wschodził właśnie Neptun. Wynurzając się znad ciemnej grani, wyglądał, jakby Tryton wydawał go na świat z głębin swego mroźnego wnętrza. Czuje, błękitne oko ostatniej planety, choć dalekie i zimne, prowadziło mnie jak potężne bóstwo. Skupiając wzrok na błękitnej wstędze, ruszyłam przed siebie bez obaw.

Dopiero gdy w oddali zamajaczyła jasna sylwetka pojazdu, odważyłam się spojrzeć na wskaźnik poziomu powietrza w plecaku. Zaskakujące, ale mimo iż zastygł na czerwonym polu, wciąż nie brakowało mi tchu. Instynktownie przyspieszyłam, nie wierząc jeszcze we własne szczęście.

Odetchnęłam z ulgą, szepcząc dziękczynne słowa pod adresem dawno zapomnianego bóstwa mórza. Z bijącym sercem uruchamiałam wehikuł, ale przynajmniej on mnie nie zawiódł, tocząc się po gładkiej równinie ku kraterowi Andvari.

\* \* \*

Od tego czasu nic więcej się nie wydarzyło. Przez pancerne wizjery wehikułu ekspedycyjnego spoglądam na uśpioną, milczącą stację badawczą.

Mam sporo czasu, by analizować to, co zaszło w jej wnętrzu. Wolę nie zastanawiać się nad tym, co będzie, gdy rozładują się ogniwa pojazdu, zanim jeszcze przybędzie pomoc. Odsuwam jak najdalej myśl o, być może bliskiej już chwili, kiedy w moim ciele uaktywni się czynnik Zhanga.

Neptun krąży nad horyzontem, sprawdzając, czy wciąż żyję. Słońce właśnie zachodzi, a noc na Trytonie trwa długo – prawie trzy ziemskie doby.

Chcę doczekać świtu.

Dziś nie mam innych marzeń.

### **Andrzej Trybula (andrzejtrybula)**

*Rocznik 1970. Z wykształcenia prawnik. Zawodowo zajmuje się zarządzaniem. Mieszka z rodziną na przedmieściach Opola. Zwolennik kotów, kawy, świętego spokoju i dobrej literatury SF czytanej na kanapie przy kominku. Pisarz–amator z zaliczonym debiutem na papierze. Lubiący łamać schematy. Recenzent na portalu literackim Herbatka u Heleny, gdzie można znaleźć większość jego opowiadań. Autor dwóch niepublikowanych powieści. Nie spocznie dopóki nie zobaczy ich w wersji książkowej.*

### **Andrzej Trybuła**

#### **VAMOK**

Mam nadzieję, że przejście do lądownika było ostatnią przesiadką w tej podróży. Ile to już razy mnie budzili: dziewięć, dziesięć? Przystałem liczyć gdzieś w okolicy Układu Margala, nie ma sensu. Przyjechać, zrobić swoje i jak najszybciej wracać do domu, najlepiej w najbliższym możliwym oknie startowym. To jest mój cel, jedyny i najważniejszy, nic innego się nie liczy.

Pieprzyć magazyn! Pieprzyć cholerny Vamok! I pieprzyć głupiego Bruno Glocka! Niech mnie wywali z roboty albo sam pisze sobie ten dumny artykuł.

Przechodząc próg ze złości uderzam w przepierzenie, zapominając, że jest zrobione z najtwardszych form grentowych. Rozeźlony siadam w fotelu szamocząc się nerwowo z uprzężą – prawa ręka boli jak cholera.

No i dopadła mnie chandra. – Prawie rok w przestrzeni – jęczę cicho, z trudem powstrzymując łzy. Do dzisiaj nie wiem, czy ten wyjazd to kara czy nagroda. Dlaczego ja?... Przecież byli inni, młodszy? Zbieram się w sobie, dopiero gdy lądownik opuszcza stację orbitalną.

Przez chwilę odczuwam lekkie drgania, które znikają wraz z wyjściem poza zasięg gravu. Przez przedni bulaj widzę wyłaniającą się Marlinę. Wreszcie coś ciekawego. Jedyna prywatna planeta, jaką znam. A właściwie to nie znam, dopiero mam poznać.

Korporacja Pralax zazdrośnie strzeże swych tajemnic. Zainteresowanie tracę po jakichś dwudziestu minutach. W sumie nic ciekawego. Kolejna geoida obrotowa typu „Ziemia”, widziałem takich już dziesiątki. Teraz czeka mnie dwugodzinny dryf opadający po orbicie. Znudzony sięgam po komunik.

Zdumiewające, przekaz wyprzedził mnie o dwa tygodnie! Na pewno będzie coś nowego, Bruno lubi dozować napięcie.

Jaskrawe światło zwiastuje początek transmisji. Siedzę w poczekalni i czekam – niedługo. Po chwili słyszę kroki, zaraz potem wchodzi Glock.

Ekstrawagancki i szokujący jak zwykle. Znowu zmienił kolor skóry, tym razem na błękitny. Miało być chyba symbolicznie, a wyszło... jak zwykle. Z burzą ognistorudych pukli opadających na ramiona wygląda jak jakaś groteskowa Schwantzfetka ze starych niemieckich bajek porno. Korzystając z pasu anty wzbija się w górę i sunie w moją stronę niczym zjawa. Długi, obsyty piórami płaszcz rozwija się, falując za nim jak muślinowy welon na wietrze.

– Witam mojego ulubionego redaktorka. Jak tam samopoczucie, podróż służy? – szczerzy zęby w uśmiechu, drocząc się przy tym jak zwykle. – Ooo! Widzę, że coś niezbyt. Trzeba pocieszyć biednego Tadeuska? Mam coś, co powinno choć trochę podnieść ci ciśnienie. Skończyliśmy zwiastun i okładkę, a ja nie wiem, co mam z tym zrobić. Wyobraź sobie, wszyscy mi kadzą! Ktoś musi wreszcie ocenić to dzieło krytycznym okiem fachowca.

– No to dawaj, nie dręcz mnie więcej – odpowiadam, umiejętnie udając zaciekawienie.

Bruno uśmiecha się i znika. Zamiast niego pojawiają się kadry z filmu.

Jakieś pomieszczenie – normalne. Ascetycznie wyposażone

wnętrze wyraźnie stylizowane na standardowy komunal. Jedynym elementem ozdobnym pokoju jest stojące pośrodku wielkie łoże – ciekawa koncepcja? Na materacu leży Cora Lavigna, nasza gwiazda. Kamera daje zbliżenie. Piękna, wyuzdana do granic twarzy dwudziestolatki. (Efekt permanentnej charakteryzacji plastycznej, ale przecież widz o tym nie wie). Cora udaje, że śpi, śniąc swoje zwykłe fantazje. Muszę przyznać, że w tym, co robi, jest cholernie dobra, najlepsza. Zdecydowanie warta milionów, które zarabia. Coś się zaczyna dziać.

Instynktownie zwiększam percepcję, zwracając baczną uwagę na szczegóły.

Nozdrza Lavigny drżą niepokojąco. Nabrzmiące wargi pociągane lubieżnie zębami ścierają się jedna o drugą, jak w walce. Palec wskaźujący lewej dłoni łąduje na ustach wsysany i wysysany do wnętrza jak najlepsze narzędzie miłości. Przez chwilę tańczy z oplatającą go końcówką języka, kreśli wokół niej zmysłowe elipsy i linie. Z gardła Cory dobiega pierwszy, zduszony jęk rozkoszy, zapowiedź tego, co ma się dopiero wydarzyć. Kamera robi powolny odjazd do tyłu. Delikatna narzuta z naturalnego jedwabiu zsuwa się w dół odsłaniając coraz więcej z wdzięków pięknego, kobiecego ciała. Dłonie aktorki ściskają jędrne piersi w przedziwnym połączeniu siły i delikatności. Długie palce szczypią i pociągają do góry sterczące, ciemne sutki, znacząco kontrastujące z mlecznobiałą karnacją reszty ciała. Prawa ręka schodzi coraz niżej. Miękkie uda rozchylają się zapraszając do środka, między siebie. Lavigna pręży ciało z rozkoszy, wygina plecy. Przewraca się na brzuch. Wypina pupę, pokazując wszystkie wdzięki. Wreszcie nie wytrzymuje, sięga po leżące na poduszce małe, niebieskie pastylki. Bierze jedną do ust. Opada na łoże w oczekiwaniu zmiany.

To, co dzieje się później, to już zupełny odlot. Orgiastyczne szaleństwo wizji nawiedzonego reżysera. Szare ściany odpadają na boki, niczym zmiecione pstryknięciem olbrzyma trójwymiarowe puzzle. Mały, skromny pokój w jednej chwili zmienia się w olbrzymią salę balową Pałacu Lazeriańskiego wypełnioną tysiącem splątanych ciał kotłujących się na podłodze. Cora jest.

Tetrarchinią, uprawia seks na tronie z tuzinem niewolników naraz. Jej głośne jęki odbijają się echem od wysokich sklepień łukowych. Obrazy skaczą jak szalone, przenosząc widza z miejsca na miejsce. Kojarzę większość z nich.

Same kultowe ikony turystyki. Są więc luksusowe wnętrza wielkiego liniowca Petronius. Upiorne i duszne jaskinie Flugorii. Długie korytarze domu kobiet na Venus III. Złociste plaże Mangusty i wielki kanion księżycy Pygret Six. Scena finałowa rozgrywa się na Krwawej Arenie korsarzy z Kordelii. Cora Lavigna w otoczeniu plejady gwiazd z branży. Największe zbiorowe szczytowanie w historii filmu. Napisy. Obraz zanika powoli. Wracam do poczekalni.

– Kto to zrobił? – pytam, nie chcąc tracić czasu.

– Lazlo... i jak, podoba się? – Bruno Glock wierci się w oczekiwaniu na werdykt, niczym kapryśne dziecko.

– Powiedz Madziarowi, że jak na budżet z siedmioma zerami to się nie popisał – przez chwilę wyobrażam sobie minę Glocka, gdy odbierze przekaz. – A tak naprawdę, złóż mu gratulacje. Świetna, profesjonalna robota. Szczególnie podoba mi się to przejście z szarej rzeczywistości do świata marzeń, jest naprawdę... nowatorskie. Lazlo się wreszcie postarał, chociaż nie ustrzegł się drobnych błędów.

Nie bez satysfakcji, przez kolejne pięć minut wymieniam wszystkie, nawet te najdrobniejsze uchybienia, jakie zauważyłem w zwiastunie. Chyba zarobiłem na chleb, ale o tym dowiem się dopiero za pół roku.

– Muszę kończyć! – Bruno jest znudzony. Tyle czasu przy jednej czynności to dla niego zdecydowanie za długo. – Mamy już film i większość materiału na magazyn. Do szczęścia brakuje tylko twojego tekstu z fabryki pastylek. Spisz się dobrze, to cię ozłocę. Pamiętaj, że mi zależy, dlatego wysłałem właśnie ciebie. Kontrakt z Pralaxem to życiowa szansa, wreszcie możemy wejść do pierwszej ligi. Już czuję ten zapach, sławy i pieniędzy? Wracaj szybko i nie szalej za bardzo, pa! Kontakt zanika. Ściągam komunik w milczeniu. Obraz Marliny wypełnia całą przestrzeń bulaja. Na chwilę odzyskuję spokój.

\* \* \*

– Pan Tadeus Krall... z magazynu Glock? Kobieta od razu robi na mnie wrażenie. Nigdy wcześniej nie spotkałem prawdziwego naukowca. Tylko modelki w okularach przebrane w kitle, ale to się chyba nie liczy. Jest inna, intrygująca. Lekko niedbały wygląd dodaje jej tylko uroku. Twarz trzydziestolatki – nienaturalnie normalna, wcale nie kryje pierwszych zmarszczek. Delikatny makijaż podkreśla zmysłowe piękno zielonych, lekko zamglonych oczu. Długi fartuch narzucony na obcisły, służbowy garnitur, niezbyt skutecznie ukrywa całkiem zgrabną figurę sportsmenki. Kobięco rozchyłona w dekolcie bluzka odsłania uwodzicielsko sam wierzch mocno opalonych piersi.

– Doktor An March, główny botanik stacji, czekaliśmy na pana – przedstawia się z uśmiechem.

Przyjmuję wyciągniętą dłoń pąsowiejąc na twarzy, niczym uczeń, przed piękną panią profesor. Gwałtowna erekcja mało nie rozwała mi spodni.

Fala szybkich skurczy podbrzusza prawie przygina do ziemi, wstrzymuje dech w piersiach. Na udach czuję wyraźnie rozchodzące się ciepło płynu.

Z zażenowania spuszczam wzrok na podłogę. Doktor March uśmiecha się lekko pod nosem. Jak ktoś, komu udał się świetny dowcip.

– Niech się pan nie przejmuj – wyraźnie powstrzymuje się od śmiechu.

– Nie zdążyłam uprzedzić. Marlina w specyficzny sposób działa na ludzi.

Jej atmosfera jest przesiąknięta Vamokiem, jak ziemskie powietrze tlenem.

Sama o mało nie miałam przed chwilą orgazmu. Dla swojego dobra musi pan cały czas używać stopera, nadmiar dopaminy może nawet zabić.

Już całkiem na poważnie podaje mi mały dozownik substancji



blokującej.

Cierpliwie pokazuje, jak przymocować go do ramienia.

– Jak to działa? – wyduszam z siebie pierwsze ciche słowa. Cholera, cała pewność siebie spłynęła mi w spodnie wraz z nasieniem.

– Dawka starcza na dwa tygodnie, potem trzeba wymienić dozownik.

W pokoju znajdzie pan zapas na pół roku. Proszę nigdy tego nie zdejmować, nawet we śnie.

Odprowadza mnie do kwatery. Na szczęście, po drodze nie spotykamy nikogo więcej z personelu. Z mokrą plamą na spodniach chyba spaliłbym się ze wstydu. Dziwne skrupuły jak na kogoś z „tej” branży.

\* \* \*

Umówiliśmy się w stołówce, w porze lunchu. Odświeżony, ze stoperem na ramieniu i nową parą spodni na nogach czuję, że powoli odzyskuję swój dawny wigor. Z narastającym entuzjazmem turysty podążam w ślad za Robem zmierzając najkrótszą drogą do celu, przynajmniej taką mam nadzieję. Ten Rob jest jakiś dziwny, nie reagował, gdy chciałem programować go głosem – sam ruszył. Widocznie wersje używane w przemyśle różnią się znacznie od tych zwykłych, ulicznych, do których tak przywykłem w mieście. Na szczęście nie muszę iść daleko, już za pierwszym zakrętem widać wejście do transszybu. Trochę większe niż standardowe, ale charakterystyczne czerwone guziki wszędzie są takie same. Drzwi otwierają się z cichym sykiem. Wchodzę do środka, patrząc na mapę przejazdu. Kantyna jest na samej górze. Znowu nie muszę nic mówić, po prostu jadę.

W stołówce jest jakieś dwadzieścia osób. Mijając poszczególne stoliki wyraźnie czuję złośliwy wzrok na plecach. Słyszę ciche chichoty, czyżby już wiedzieli? Razem z doktor March czeka na mnie jakiś dziwak. Włochaty gość postury niedźwiedzia, ubrany w coś, co od biedy można porównać ze strojem hutnika. Gęsty zarost prawie w całości wypełnia miejsce twarzy.

Spod krzaczastych brwi patrzą na mnie świdrująco niebieskie oczy.

– Jestem Marvel, kierownik tutejszej placówki – przedstawia się krótko, gdy siadam obok nich.

– Krall – odpowiadam równie obcesowo co on. – Kiedy mogę zacząć - zwiedzanie fabryki? Chciałbym to zrobić jak najszybciej.

– No właśnie, jest pewien problem – drapie się po brodzie w zakłopotaniu.

– Tu, w środku, możesz chodzić sobie, gdzie chcesz. An cię oprowadzi.

Niestety, na otwarte plantacje na razie nie możemy cię wypuścić.

– Zapewniono mnie, że będę miał dostęp do wszystkiego? – pytam, udając oburzenie.

– Mamy kwarantannę. Wychodzenie na zewnątrz jest zbyt niebezpieczne – wtrąca An. – W okresie ostatniego miesiąca aktywność biologiczna Marliny wzrosła ponad tysiącrotnie.

– Co jest przyczyną? – rzucam przytomnie, rezygnując z manieri wymagającego turysty.

– Nie wiemy na pewno – dopowiada. – Podejrzewamy, że może mieć to coś wspólnego z Cyklem Krojana, specyficzną koniunkcją planet tutejszego układu występującą raz na sto dziewięćdziesiąt trzy lata, ale na razie są to tylko przypuszczenia. Wszystko ostatecznie wyjaśni się za dwa tygodnie, podczas apogeum. Na razie na zewnątrz pracują tylko maszyny.

– Nie za bardzo rozumiem, a jeśli koniunkcja nie będzie miała nic wspólnego ze wzrostem aktywności planety? – pytam, patrząc na Marvela.

– Przeszedłeś chrzest. Na własnej skórze poznałeś jak Marlina działa na ludzi. Żyjemy w miarę normalnie tylko dlatego, że trzykrotnie zwiększyliśmy dawkę stopera, a w nocy dodatkowo rozprowadzamy go razem z powietrzem.

Jeśli za dwa tygodnie nasączenie związków Vamoku w atmosferze nie zacznie spadać, czeka nas tylko jedno. Jak najszybsza ewa-

kuacja, i oby nie było za późno.

\* \* \*

Następny dzień w całości spędzam na zwiedzaniu fabryki. Mimo zagrożenia, muszę normalnie pracować. An okazuje się wielce przydatnym przewodnikiem. Jest inteligentna, dowcipna, a przy tym dysponuje olbrzymią wiedzą na temat uprawy Vamoku. Pozytywnie zmęczeni wracamy wieczorem do kwatery. Podsumowuję świeżo nabyte informacje.

Co wiem? Marlina jest planetą lunarną. Dzięki szczególnej odmianie fotosyntezy CAM ponad dziewięćdziesiąt pięć procent procesów życiowych zachodzi tu właśnie w okresie nocnym. Słynna niebieska pigułka to tak naprawdę bardzo silny alkaloid wydzielany przez wierzchnie warstwy rogowej naskórki miejscowych roślin zwanych Pędem Grela. Vamok zbiera się tylko w nocy.

Rośliny puchną wtedy, wyśliniając żywicę i tworząc w ten sposób nową, wierzchnią warstwę ochronną, wytrzymałą na tyle, by skutecznie chronić organizm przez cały następny upalny i suchy dzień. To naturalne zjawisko wykorzystwała korporacja Pralax tworząc na planecie pola uprawne z arealem przekraczającym pięćdziesiąt milionów hektarów. Potęga.

– Żałuj, że nie widziałeś zniw – An staje w zadumie, patrząc przed siebie. – To najpiękniejsze przeżycie, jakiego mogłam doświadczyć.

Najpierw jest cicho, jakby świat jeszcze nie istniał. Cała planeta tonie spowita lekkim woalem gazu z parujących roślin, promienie słońca odbite w lustrze tutejszego księżyca zabarwiają mgłę na krwistoczerwony kolor.

Jest niesamowicie. Wielkie niczym miasta kombajny suną majestatycznie przez bezkresne pola, tworząc nurt wyginający wiotkie rośliny w kierunku przejścia. Pola falują jak morze, to w jedną, to w drugą stronę; przyływ – odpływ, przyływ – odpływ. Patrząc zapominasz, że to obcy świat.

A potem... rośliny zaczynają śpiewać.

– Śpiewać?

– Tak! Człowiek niby wie, że to krzepnący Vamok odparowuje gazy, ale śpiew jest... jakby ludzki. Przy tym przejmujący i dziwny. Jednocześnie przepiękny i groźny, wesoły i smutny, nieokreślony, ale piękny – działający na zmysły. Wszystko znika o świcie. Znowu jest cicho. Pola nieruchomieją.

Pierwsze promienie wschodzącego słońca w jednej chwili zmieniają wiotkie istoty roślin w twarde głązy, zdolne do przeżycia roku bez kropli wody.

Kombajny kończą swój powolny, jednostajny ruch do przodu. Świat zamiera.

Zauroczony opowieścią patrzę jej prosto w oczy. Jeśli moje źrenice błyszczą tak wyraźnie jak te, które widzę przed sobą, to oboje musimy być chorzy lub szaleni. Wyraźnie czuję gorący oddech na swej twarzy.

Po plecach przechodzą mi dreszcze – falami, jedna po drugiej. Czuję, że głupieję całkowicie, poddając się pożądaniu. Nie bacząc na konsekwencje zewnętrzną częścią dłoni dotykam jej policzka – drży.

Rzucamy się na siebie jednocześnie, nim jeszcze drzwi kwatery zdążyły zamknąć się na dobre. Normalnie byłbym pewnie bardziej delikatny, jednak tutaj jesteśmy jak wyposzczone zwierzęta w rui. Prymitywnie pospieszni i zachłanni, spragnieni fizycznej bliskości jak wody czy powietrza.

Pierwsze namiętne pocałunki miażdżą usta, odbierają oddech. Chaotycznie zrywamy z siebie ubrania znacząc na podłodze przebytą drogę – od ściany w przedpokoju, przez fotel, do biurka stojącego w rogu. Stojąca na drodze do szczęścia lampka nocna z hukiem ląduje na podłodze ustępując miejsca plecom An. Zdecydowanym ruchem obracam ją i przygniatam brzuchem do blatu. Przez chwilę całuję po szyi, plecach, zjeżdżając... powoli... śliskim, gorącym językiem... wzdłuż kręgosłupa... w kierunku pośladków... pomiędzy... i niżej. Moje palce podążają za głową delikatnie gładząc jej skórę. Pieszczę długo i na-

miętnie, z każdą upływającą chwilą coraz bardziej otumaniony ostrym zapachem kobiety gotowej na spełnienie. Wreszcie nie mogę już wytrzymać, podnoszę się. An wyczuwa wyraźnie chwilę, podsuwa się, wypina biodra. Kolanami rozsuwam jaj nogi na bok i wchodzę... Głośny jęk oznajmia światu, że zostałem przyjęty. Czuję jakbym odleciał. Jakbym nie był istotą myślącą, jedynie zlepkiem mięśni i ścięgien wprawianych w ruch siłą żądz. Nie myślę, działam instynktownie. Moje ciało działa niczym solidna maszyna biologiczna zaprogramowana w milionach lat ewolucji na jeden cel. An nie pozostaje bezczynna, lekko unosi tułów do góry. Lewą rękę kładzie mi na pośladku, dociskając do siebie w rytm naszych ruchów. Unosi się jeszcze bardziej, odchyła głowę. Nasze usta znów łączą się w pocałunku, języki splatają niczym oślizłe węże. Ciała lgną do siebie, spajając w jedno. Przytulam ją mocno ściskając w dłoniach nabrzmiące z rozkoszy piersi. Nasz wspólny rytm przyspiesza. Teraz działamy jak dobrze zsynchronizowane zegarki tuż przed wybiciem pełnej godziny.

Odgłosy jęków, stęków, achów łączą się ze sobą w jedną wielką kakofonię miłości. Tempo ruchów staje się coraz szybsze, zawrotne, grozi zgubieniem rytmu. Nie mam już siły. Zaraz, zaraz, jeszcze trochę, jeszcze tylko chwil... An dochodzi jako pierwsza, odpada ode mnie, łapiąc się kurczowo za brzeg biurka. Cała drży w środku, kurczy się i rozkurcza. Fala wstrząsów targa jej ciałem przechodząc w głośny krzyk rozkoszy. Resztką sił, zachłannie dopycha się do mnie, jakby było jej mało: mocniej, głębiej. Przenikam na samo dno jej źródeł i... wybucham.

Przez małą chwilę, ułamek sekundy (a może całą wieczność?) nie jestem sobą. Jestem czymś innym, sam nie wiem? Nie jednością – wielością.

Z otchłani, ciemnej niczym puste przestrzenie kosmosu, patrzę spalany pragnieniem bliskości na wielką, niebieską kulę płynącą leniwie tuż nade mną.

Otwieram dziób w żalonym ryku miliarda gardeł. Tęsknota jest tak wielka, że aż rozrywa ciało. Rozpościeram błoniaste odnóża, spi-

nając je w jeden wielki płaszcz drganiowy. Ból znika, fale kontaktu przenikają mnie/nas/ich błogim ciepłem rozkoszy. Rozpalają wewnętrznie, dodając sił do lotu, przyzywają... Omam znika, znów jestem sobą. Wyprany całkowicie z sił życiowych zwałam się na łóżko z głośnym jękiem. An czeka tam na mnie skulona.

Powoli wyrównujemy oddech. To dopiero vamokowe szaleństwo!

\* \* \*

– To wszystko nie wygląda najlepiej! – Taaa? – pytam leniwie, zainteresowany bardziej kontemplowaniem słodkich krągłości tyłeczka doktor An March, niż tym, co ma do powiedzenia. Z lubością gładzę ją po aksamicie wewnętrznej części uda, patrząc jak krótkie, białe włoski stają na baczność, zbudzone elektryczną magią opuszków palców. Mimo przesyty, w głowie dalej mam tylko jedno.

Dziesięć dni ostrego wyuzdania z rzadka przerywane przykrą koniecznością wykonania normalnych, codziennych obowiązków. Dziesięć nocy spędzonych prawie w całości na eksperymentalnych formach poznawania fizycznych możliwości ludzkiego ciała. Po takim maratonie każdy powinien być strzępem człowieka, dogorywającym wrakiem spokojnie czekającym na zejście. Cieniem dawnego siebie. Upiorem z podkrążonymi, przekrwionymi oczami, marzącym jedynie o śnie wiecznym. Tymczasem czuję się jak nigdy dotąd. Jakbym znowu miał dwadzieścia lat. Wypoczęty, silny, beztroski, sprawny, a przede wszystkim, cały czas, na okrągło, gotowy na więcej.

– Z tą planetą związana jest pewna tajemnica, której nie rozumiemy.

– Jaka tajemnica? – zwykła ludzka ciekawość, poparta dodatkowo dziennikarskim zmysłem wykrywania sensacji bierze górę nad pierwotnym instynktem.

An siada na łóżku (Jezu, co za piersi!).

– Słuchaj, od trzech dni mamy tu prawdziwą „noc polarną”.

Planety skutecznie pokryły słońce i wszystkie linie komunikacyjne. Nie mamy łączności i nic nie wiemy. Jesteśmy kompletnie odcięci od świata. Wcześniej prosiliśmy centralę o szczegółowe informacje na temat Cyklu Krojana, ale niczego nie dostaliśmy. Wczoraj Marvel się wkurzył, wziął za dupę Cynthiana z łączności, każąc mu włamać się do zastrzeżonej części centralnej bazy danych, i wiesz co? – Co? – Nic, nic tam nie ma? Cholera, możesz to sobie wyobrazić?! Marlina to przecież najważniejsza inwestycja Pralaxa. Jedyna planeta klasy Ziemi będąca prywatną własnością. Od stu lat poważne źródło zysków, a w centralnej bazie danych nic nie ma? – Podejrzane! – No właśnie, też od razu tak pomyśleliśmy. Cynthian zrobił obejście, specjalny podprogram przeszukujący strzępy informacji i znaleźliśmy.

– Co znaleźliście? – tym razem ja też siadam w kucki na pościeli. Nagie ciało An już nie przeszkadza mi myśleć.

– Jeszcze dwieście lat temu Marlina należała do Galaktycznych Zasobów Rządu Ziemi ze statusem Kolonii. Idealnie się do tego przecież nadaje.

Ciśnienie, temperatura, skład powietrza – cała atmosfera podobna do ziemskiej. Rząd założył tu nawet specjalną placówkę badawczą, mającą przygotować planetę do zasiedlenia, i nagle ciach, wszystko się kończy.

Dwadzieścia lat później właścicielem całego układu jest już Pralax.

– A co w tym dziwnego? – trochę się uspokajam, przerywając An. – Pralax to gigant. Według ostatnich danych Galstatu kontroluje już ponad trzydzieści procent międzyświatowego handlu, produkcji i usług. Posiada własną armię i służby dyplomatyczne. Nawet wywiad i kontrwywiad.

Spokojnie mogli kupić dziesięć takich układów jak ten. Wiesz jak to jest, po prostu interes. Ktoś w Rządzie Światowym dostał w łapę i tyle, albo kupili cały Rząd. Już wtedy musieli wiedzieć, że jest tu Vamok.

– Nie o to chodzi. To, że Pralax kupił cały układ, nikogo nie

dziwi. Co innego jest niepokojące. Pogrzebaliśmy dokładnie i sprawdziliśmy nazwiska wszystkich członków dawnej placówki badawczej.

– I co? – nagle ukłucie strachu przeszywa mi serce.

– Nikt nigdy nie wrócił z Marliny. Ponad trzysta osób.

\* \* \*

Znowu sen, a raczej zwid na jawie. Niebieska kula jest tuż pod mną – spadam gwałtownie. Płomienie liżą skórę, lecz nie czynią krzywdy, łaskoczą.

Rozpiera mnie wszechogarniająca, euforyczna radość. Poczucie bliskości spełnienia. Napinam się cały przyjmując kształt grotu, przyspieszam... Rozdzierający uszy gwizd syreny zrywa nas z łóżka, szybko stawiając na nogi. Drzwi rozsuwają się z sykiem w trybie awaryjnym. Na korytarzu migają czerwone światła, słychać tupot biegnących nóg – krzyki. W drzwiach staje Marvel z szalonym błyskiem w oczach.

– Grel oszalał! – wrzeszczy. – Niekontrolowany rozrost. Wszystkie bariery pękają, tunel zawalony. Za pięć minut wszyscy przy Grazach. Ewakuacja! Wrzucamy na siebie to, co mamy pod ręką. Pędzimy korytarzem razem z innymi. Niektórzy są w szoku, całkiem nadzy. Jestem szybszy od An, łapię ją za rękę i ciągnę mimo dojmującego bólu w kroczu. Za nami słychać zgrzyt i trzask pękającej konstrukcji, huk spadających elementów, wrzaski ludzi. Nie oglądamy się do tyłu. Do hangaru wpadamy w grupie. Kilka Grazów jest jeszcze wolnych, operatorzy machają na nas poganiając rękami. W pełnym pędzie wbiegamy przez właz do środka – fotel, uprząż. Siódmy, ósmy – czternasty, piętnasty, jest pełna obsada. Kłapa zapada z hermetycznym szczękiem obejmymy.

Jest cicho, czy już jesteśmy bezpieczni? Grazy są pełne, przez pancerne szyby patrzymy w stronę korytarza, nikt więcej nie przybędzie? Formuje się konwój, do przebycia jest tylko/aż dziesięć kilometrów otwartej przestrzeni, potem platforma i wolność. Nikt nie wie, co nas czeka na zewnątrz.



Wielkie drzwi hangaru powoli zaczynają sunąć w górę.

Reakcja Grela jest błyskawiczna, chyba reaguje na ruch. Pierwsze wielkie jak drzewo pędy wślizgują się od spodu, dając miejsce następnym. Grube na pięść ściany mną się jak papier w ręku dziecka, trzaskają zawiasy. Drzwi rozerwane siłą miliona pras nikną w czerwonej ciemności. Przed nami nie ma przestrzeni, jest nieprzenikniony las pędów. Pulsuje złowrogo czekając na odpowiedni moment.

– Reflektor! Włącz reflektor! – krzyk dochodzi chyba z mojego gardła.

Usłyszeli. Cały konwój tonie w tysiącach lumenów czystego światła.

Grel cofa się poza zasięg, przed nami otwiera się coś na kształt alei węży gigantów. Ruszamy pełną mocą, zdobywamy teren, rośliny są w odwrocie.

Już blisko, widać instalacje. Pierwszy Graz wylatuje w górę w gwałtownej erupcji drogi rozwalanej potężną siłą od spodu. Ląduje na boku, reflektory gasną w ostatnich podrygach mocy. Pnącza szaleją, rozszczelniają kadłub, porywają ludzi, rozrywają złapane ciała na części. W powietrzu walczą ze sobą o łupy, by potem delikatnie, wręcz pieśczośliwie, owinać je w małe kokony. Drugi Graz wystrzeliwuje w górę jak piłka, z przodu, z tyłu – następny i następny. Cała droga upstrzona kraterami jak Księżyc. Operator robi, co może, by utrzymać pojazd na kursie. Ludzie wrzeszczą skuleni ze strachu w fotelach. Łapią się za głowy. Kolej na nas.

Piskliwy wrzask niezliczonej ilości gardeł o mało nie rozsadza mi czaszki.

Rośliny odpuszczają, zwracają się w innym kierunku. Pobudzony, z obłędem wymalowanym na twarzy spoglądam w niebo, przypatrując się tej cudownej odsieczy.

Poznaję! Istoty ze snów. Kamienne ptaki kosmosu. Miliardy, zasnuły całe niebo.

Kołużą, by opaść chmurą wprost na drgające w ekstazie końcówki pędów.

Pikują, rozszarpując i tnąc zielone fałdy pazurami na strzępy. Grel szaleje jak wzburzony ocean. Pojedyncze jężory wystrzelują co chwilę w górę, łapiąc swą cenną zdobycz w locie. Potem powoli owijają się wokół i tak splecione zastygają w konwulsjach. Bitwa czy taniec zalotników? Sam nie wiem. Najważniejsze, że droga jest przejezdna.

Wjeżdżamy pod platformę – tylko trzy Grazy. Zrezygnowani, spoceni, w zupełnej ciszy, ze spuszczoneymi głowami zajmujemy miejsca w lądownikach.

Start – bez problemów.

Mam tylko nadzieję, że opuszczam vamokową krainę śmierci raz na zawsze.

Ze wstrętem odwracam się od prześwitu bulaja. Ktoś na mnie patrzy. Pierwszy raz widzę zmęczone oczy An – są przepiękne. Uśmiecha się przez łzy.

– Chyba nie pozwolą ci o tym napisać!

## **Jarosław Turowski (Hanzo)**

*Urodził się w 1990 roku, mieszka w Abramowie, na Lubelszczyźnie.*

*Pisze głównie horrory, okazjonalnie opowiadania obyczajowe. Finalista Horyzontów Wyobraźni 2013. Zafascynowany prozą Stephena Kinga, Cormaca McCarthy'ego, Clive'a Barkera i Dana Simmonsa. Oddany fan sagi Kinga o Rolandzie Rewolwerowcu i Mrocznej Wieży, a także serialu The Walking Dead. Publikował w zbiorach opowiadań Człowiekiem jestem oraz Pokłosie.*

## **Jarosław Turowski CZERWIEN, CZERŃ, CZERWIEN...**

– Kto pierwszy wyciągnie asa, przegrywa – mówi LaFleur, a my gapimy się na tańczące w jego dłoniach karty.

Siedzimy przy stole w jadalni. Pomieszczenie oświetla czerwona lampka awaryjna. Godzinę wcześniej przecięliśmy kabel przerywnika, by światełko nie migało. Nie może być mowy o żadnym kancie. Stawka jest zbyt wysoka.

Na czarnym blacie leży nóż. Właz za moimi plecami jest zamknięty.

W szkarłatnym, awaryjnym oświetleniu LaFleur wygląda jak nawiedzony marynarz, który zbyt długo przebywał na morzu. Zauważyłem to już dawno, kilka tygodni temu, lecz teraz skojarzenie to wydaje się szczególnie trafne.

Grzywka opada tłustymi strąkami na czoło. Niestrzyżony od tygodni, kręcony zarost na twarzy. Pośród tej skłębionej, miedzianej chaszczki wystaje tylko nos – złamany w połowie, z okazałym strupem na grzbiecie. Nieco powyżej błyszczą kaprawe oczka. LaFleur to szalenie, jestem tego pewny jak nigdy dotąd. Kosmiczny kapitan Ahab,

którego białym wielorybem jest przetrwanie. Tfu! Czerwonym wielorybem! Nie widzieliśmy przecież nic białego od miesiący. Tylko czerwień, czerń, czerwień... Nieustające miganie lampek awaryjnych z narastającym akcentem na czerń. Rezerwy słabną.

Kiedy się skończą, pozostanie tylko śmierć.

Słychać szelest wysłużonych kart i miarowe kapanie wody do zlewu.

Kran nie działa, jak i wszystko na tym jebanym statku. Włazy – otwierane i zamykane tylko ręcznie. Okna widokowe – zatrzaśnięte na głucho. Panele sterowania zamienione w zwęgloną płataninę przewodów i plastiku. Ster ani drgnie, nawet pod uderzeniami największego z młotów. Radiostacja nie działa. Radary też. Wodę trzeba pompować ręcznie. Padło wszystko oprócz awaryjnego oświetlenia, ale i ono padnie. Czerwień, czerń, czerwień... Od kilku miesięcy to samo. Kurwa.

Gapimy się na dłonie LaFleura, od czasu do czasu zezujemy też na siebie.

Nauczyliśmy się ostrożności. Cross zaciska szczęki, na łysej głowie pulsuje nabrzmiąta żyła. Oczy ma puste, lecz uważne. Zastanawiam się, jaki jest jego plan w razie przegranej. I czy w ogóle ma jakikolwiek. Wygląda na spiętego, lecz trzyma nerwy na wodzy – na pewno coś przygotował.

LaFleur kładzie przetasowaną talię obok noża.

– Teraz kolejka idzie od najstarszego – przypominam.

Wzrusza ramionami, a po chwili przytakuje, wykrzywając wargi w podkowę.

Z szerokich nozdrzy dobiega świst głębokiego oddechu. Nie jest zadowolony, ale sięga po leżącą na wierzchu kartę. Honorowo – tak jak ustaliliśmy.

Czas zamiera.

LaFleur wpatruje się w wylosowaną kartę tak długo, jakby nie rozumiał wyrysowanych na niej symboli. Wreszcie odchyła się do tyłu i wybucha obłąkańczym śmiechem. Z kącików oczu ciekną mu łzy, a

sadło trzęsie się pod koszulką z emblematem intergalaktycznej rozgłośni rockowej.

– Walet, kurwa, walet – charczy, rzucając kartonik na blat.

Nie kantuje.

Po kartę sięga Cross. Zagryza zęby tak mocno, że widać dokładnie każdy, napięty do granic możliwości mięsień na jego szczęce. Sprawdza pospiesznie, jakby zaglądał pod spódnicę samej Meduzie. Rzuca na stół.

Król pik.

Teraz moja kolej. Nabieram głębiej powietrza, powtarzając sobie w myślach, że cokolwiek się wydarzy, muszę zachować pokerową twarz.

Muszę pozostać o jeden krok przed nimi. Dłoń drży mi tak bardzo, że o mały włos a przewróciłbym całą talię.

Wstrzymuję oddech.

I sprawdzam.

Uśmiecham się od ucha do ucha, wypuszczając z ulgą powietrze. Spojrzenia LaFleura i Crossa palą mnie jak lasery.

– Dama – oznajmiam...

...rzucając asa trefl na blat.

Nim orientują się, co jest grane, zrywam się z krzesła i kopię z całych sił blat od spodu. Stół podrywa się, zahaczając o podbródek Crossa i przewala się na LaFleura.

Rzucam się na właz, w uszach dzwoni mi adrenalina. Kręcę żelaznym kołem jak wariat. Jeden obrót. Drugi. Trzeci. Mało. Czwarty. Piąty. Ciągle mało. Nie precisnę się. Szósty. Słyszę LaFleura ryczącego jak łoś ze wścieklizną. Siódmy. Wypadam na korytarz, palce Crossa muskają mi szyję.

Biegnę. Prawo. Lewo. Lewo. Prawo. Zza pleców dudni echo pościgu. Idiota Cross marnuje siły na wyzwiska. Obiecuje, że przetrąci mi kark. LaFleur po prostu ryczy. Odbiło mu do końca. A ja biegnę. Przed oczami migają mi kolory.

Czerwień, czerń, czerwien... Rozmazane smugi. Nie zwalniam.

Ześlizguję się po drabinie o dwa poziomy w dół. Skręcam w prawo. Czerwień, czern, czerwien... Dudnienie buciorów nad głową. Prawo. Lewo. Jeszcze poziom w dół. Więcej czerni, mniej czerwieni. Wpadam do maszynowni.

Zwalniam do szybkiego marszu. Nie słyszę pogoni. Może pokłnęli haczyk i pomyśleli, że uciekłem na mostek. Po to właśnie klużyłem, zamiast skierować się od razu tutaj. A może zaczaili się gdzieś i czekają, aż wpadnę im w łapy? Niedoczekanie! Może zwyczajnie się zmęczyli? Albo sami skoczyli sobie do gardeł? Takie rozwiązanie pasowałoby mi najbardziej.

W powietrzu kłębi się gorąca para. Zwaliste kształty silników stoją, rozmazane pośród krwistych obłoków, niczym jakieś surrealistyczne żuki-olbrzymy. Żaden nie działa. Sprawdziliśmy je kiedyś centymetr po centymetrze. Ocieram czoło. Zawilgotniała koszulka przykleja mi się do pleców. Wreszcie docieram do schodów.

Stopnie prowadzą jeszcze głębiej, na najniższy, w połowie zalany wodą pokład. Schodzę jak długo to możliwe, a potem płynę. Awaryjne oświetlenie odbija się w delikatnych falach, jakie wzburzyłem na powierzchni. Czerwień, czern, czerwien... Można dostać świra. Naprawdę. LaFleur dostał. Cross pewnie też. A ja? Nie zastanawiałem się. Nie chcę. Płynę.

Czy przewidują, że spróbuję przedrzeć się na tylną część statku? Może tak, a może nie. Jakby nie było, wiem, że nie uda mi się ukrywać dłużej niż dobę.

Za mało tu miejsca na gierki w chowanego. Docieram do przeciwnych schodów, prowadzących w górę. Zatrzymuję się na chwilę. Nabieram wody w drżące dłonie i piję. Garść. Dwie. Trzy. Jest ciepła, ale dobra. Przywykłem do metalicznego posmaku.

Od kiedy padła większość systemów naszego statku kosmicznego, nigdy nie brakowało nam wody. Gorzej było z jedzeniem. Gorzej? Mało powiedziane. Z zapasami jedzenia było fatalnie! Skończyły się dawno temu.

Nie potrafię ocenić jak dawno.

W chwili awarii załoga liczyła sobie dwadzieścia cztery osoby. Dzisiaj jest nas tylko trzech.

Pozostałych dwudziestu jeden ludzi zjedliśmy.

\* \* \*

Nie ma szans, żeby obecny stan rzeczy trwał dłużej niż dobę. Statek jest za mały. Któryś z nas zginie, by posłużyć pozostałym dwóm za obiad.

Nie ma innego wyjścia. I tak dziwię się, że było nas jeszcze stać na w miarę cywilizowane zachowanie. Karty – kto by pomyślał! Spodziewałem się, że już dawno temu zapanuje chaos. Beztroska masakra. Byleby zaspokoić głód.

Cholera, to będzie długi dzień.

Statek (*Priscilla*, co za nazwa) znajduje się gdzieś na rubieżach Drogi Mlecznej. Ciężko określić dokładniej, od miesięcy nie mamy zielonego pojęcia o niczym, co dzieje się na zewnątrz. Liczę, że ktoś nas odnajdzie.

Kosmos się skurczył. Odległości, które jeszcze kilkanaście lat temu uważano za niemożliwe do pokonania, dziś są niczym niedzielna wycieczka za miasto.

Kurwa, muszą nas uratować! Nie po to żyliśmy jak plemię dziczących kanibali, by zdechnąć w tej żelaznej puszczy. Mógłby przeżyć chociaż jeden, by opowiedzieć, co tutaj zaszło. Przekazać światu informacje o aktach odwagi, parszywych zdradach i nieludzkich mordach. Chociaż ja... Boże, błagam! Nie zwariowałem! Gdybym miał możliwość, zjadłbym cokolwiek innego, a nie ślinił się na myśl o golonce z LaFleura. Jestem człowiekiem! Wykształconym. Kulturalnym. Nie wariatem. Nie bestią. Uratujcie! Siedzę w pomieszczeniu, które mieściło kiedyś nasz mały ekosystem.

Rosły tu piękne rośliny. Produkowały tlen. Opieram plecy o metalową ścianę i patrzę na pobożowisko strzaskanych doniczek. Zjedliśmy te roślinki.

Nawet korzonki. Pozostała ziemia i odłamki tworzywa sterczące z niej niby kości. Kiedy zabraknie tlenu? To kolejna zagadka. Burczy mi w brzuchu.

Kiszki palą żywym ogniem. Czuję się, jakby mój osobisty kwas żołądkowy chciał zezreć mój osobisty żołądek. Kurwa, nie jest to miłe uczucie.

Wiem, że nie powinienem tego robić, ale wpycham do ust garść gleby i żuję. Zęby kolebią mi się w dziąsłach na wszystkie strony, a po brodzie ścieka zabłocona ślina. Gapię się przed siebie. Czerwień, czern, czerwien...

Uciec i się schować. Czekać beczynn timer. Jestem pizza. Powinienem coś zrobić. Cokolwiek. Zasadzić się na LaFleura i Crossa. Odwrócić role. Ze zwierzyny zamienić się w myśliwego. Poszukać kluczyka, który kapitan schował gdzieś na *Priscilli*, kiedy zamknął wszelką dostępną broń palną w sejfie. Cholera, gdybym dorwał się do karabinów, załatwiłbym tamtych dwóch czubków! O ile sami się już nie załatwili. Niepewność dobija.

Siedzę tu już parę godzin i niczego nie słyszałem. Powinienem wstać i coś zrobić. Walczyć. Nie spałem od kilku dni. Jeżeli będę tylko tak beczynn timer siedział, to zasnę. A wtedy znajdą mnie jak na talerzu...

...i zjedzą.

To ja muszę przeżyć, a nie oni. Te kreatury. Te bydlaki. Mordowali i jedli przyjaciół!

Siedzę. Patrzę. Czerwień, czern, czerwien... Nie mogę zwariować. Uratują mnie. Kiedyś...

Wypluwam przeżutą glebę. Razem z ziemią wypadają z moich ust dwa zęby.

Czerwień, czern, czerwien...

Przysypiam.

\* \* \*

– Przecież wiesz, gdzie znaleźć kluczyk, cymbale.



– He? Unoszę głowę i z trudem otwieram jedno oko. Mija dłuższa chwila, nim wirujące kleksy krystalizują się w wyraźny obraz.

Dwa kroki przede mną siedzi po turecku Emily. Jest taka, jaką zapamiętałem: młoda, pociągająca, fałszywie niewinna. Pod wzorzystą piżamą rysuje się kształt małych, ale sterczących piersi. Przeszło rok wcześniej kochaliśmy się w jej kajucie. Była pijana po urodzinach kapitana.

Następnego dnia nakazała mi, żebym zapomniał o tym, co między nami zaszło i nie robił sobie nadziei na powtórkę. Częściowo usłu-chałem.

Przestałem marzyć, że kiedykolwiek jeszcze pójdziemy do łóżka. Ale jej piersi będę pamiętał zawsze i wszędzie.

– Przecież wiesz, gdzie znaleźć klucz od sejfu, cymbale – powtarza i wgryza się w mięso.

Ślina napływa mi do ust. Patrzę na nią jak urzeczony.

Trzyma w drobnych dłoniach ludzką nogę. Dziewczyna pałaszuje, jakby jadła udko kurczaka. Spod czerwonego mięsiwa wystaje okrągłe zakończenie kości udowej, a zwisającą luźno skórę porastają czarne, kręcone włoski. Na stopie ciągle tkwi czarny bucior. Po brodzie Emily ścieka krew.

– Ty nie żyjesz – mówię cicho i powoli, bardziej do siebie, niż do niej.

– Żyję – odpowiada, przeżuując łąpczywie.

– Powiesiłaś się... Zjedliśmy cię miesiąc temu, kurwa mać! – Tym razem wrzeszczę. Z oczu ciekną mi łzy.

– Mhm – mruczy, kręcąc głową. Policzki ma wypchane pokarmem.

– Czyja to noga? Śmieje się.

– Czyja to noga?! – pytam ponownie. – Crossa? LaFleura?! Gryzie udo i rzy jak czarownica.

– Twoja – mówi wreszcie.

Spoglądam w dół.

Tak. Moja.

\* \* \*

– Khy! Zrywam się na równe nogi. Rozszalałe serce tłucze o żebra. Zdrętwiałą od snu szyję żądlą setki igiełek. Uświadamiam sobie, że to był tylko koszmar.

Podła, obleśna scenka wykreowana przez mój mózg. Emily nie żyje od miesiąca – jadłem przecież steki z jej ciała.

Przechadzam się po rozsypanej ziemi, by doprowadzić się do używalności.

Staram się poruszać bezgłośnie. Nie słyszę niczego prócz własnego oddechu i skrzypienia gleby pod podeszwami butów.

Wydaje mi się, że spałem całkiem długo. Czuję się niezwykle wypoczęty.

Głodny, ale rześki i gotowy do działania.

Postanawiam poszukać tego kluczyka. Stary, dobry Huck zamknął w sejfie wszystkie karabiny i pistolety, żebyśmy nie powystrzelali się jak kaczki. Dzień później znaleźliśmy go z podciętymi żyłami. Wiedział, że ktoś zechciałby w końcu wydusić z niego torturami, gdzie ukrył klucz, więc skończył ze sobą sam. Huck był porządnym facetem. Widziałem, że odkąd przeszliśmy na kanibalizm, jest mu źle. Wypalał się z dnia na dzień. Czuję się fatalnie, kiedy pomagałem obrabiać go z mięsa. To było do dupy. Ale musiało tak być.

Emily nazwała mnie cymbałem i twierdziła, że wiem, gdzie Huck ukrył klucz. Niby to tylko sen, ale czy na pewno? Może to podświadomość chciała mi coś przekazać w ten sposób? Drepczę w tę i z powrotem, rozmyślając gorączkowo. Karabin mógłby uratować mi życie. Odmienić los. Pocieram obolałe skronie. Ciężko mi zebrać myśli.

Wspominam imprezę, która zaowocowała seksem z Emily. Czterdzieste urodziny Hucka. Wszyscy mieli mocno w czubie, kiedy kapitan przyniósł jeszcze kilka butelek whisky. Wtedy ululaliśmy się już na całego, a Emily zaczęła się do mnie kleić. Skąd Huck wytrzasnął nadprogramowy alkohol? Reguły lotów kosmicznych są purytańskie,

zatem musiał trzymać gorzałę w ukryciu. Tylko gdzie? – Skafandry.

Słyszę, jak spomiędzy moich warg dobywa się to jedno, z pozoru niewinne, słówko – słówko, które może uratować mi życie.

Skafandry. Kurwa, to oczywiste! Śluz nie da się otworzyć ręcznie. Odkąd uświadomiliśmy sobie, że jesteśmy zamknięci w *Priscilli* jak szczury w klatce, nikt nie zwracał nawet na nie uwagi! Dwa tuziny grubych i szczelnych, srebrnych kombinezonów... pełnych najróżniejszych kieszeni i skrytek.

Podniecenie wzbiera w moich żyłach. Próbuję się uspokoić. Tłumaczę sobie, że to tylko przypuszczenie. Bardzo prawdopodobne, ale jednak tylko przypuszczenie. Muszę zachować spokój. Jeśli dam ponieść się emocjom – zginę.

Nawet jeżeli moje rozumowanie ma sens, czeka mnie sporo pracy, by dostać się do karabinów. Przede wszystkim muszę zachowywać się cicho.

Nie dać się namierzyć. Działając skrycie i z rozwagą, mam szansę. Jeżeli polecę „na hurra”, LaFleur i Cross dorwą mnie w mig. Bez paniki, stary.

Miej na uwadze, że nawet, kiedy będziesz cichutko jak mysz pod miotłą, możesz napatoczyć się zupełnie przypadkowo na któregoś z tych dupków.

Są silniejsi. Musisz się zabezpieczyć. Mieć pod ręką jakąś broń, jakikolwiek kawałek żelastwa, którym będziesz mógł się posłużyć w razie wpadki.

Zaciskając pięści, rozglądam się po pomieszczeniu. Dawno nieobcinane paznokcie wbijają się w spody moich dłoni i spuszczają trochę krwi.

Przyływ nadziei sprawił, że boję się jeszcze bardziej. Mam szansę ujść z życiem i nie mogę tego zmarnować. Mam szansę! Uspokój się, uspokój! Czerwień, czerń, czerwien... Czerwień, czerń, czerwien...

W najdalszym kącie dostrzegam zwalisko porozpieprzanych lamp, które oświetlały kiedyś rośliny. Wyciągam jedną i zapierając się

nogami o klosz, odrywam długi pręt. Drżącymi palcami odkręcam śrubki mocujące podstawę stojaka. Jestem wyczerpany i pracuję jak mucha w smole, ale wreszcie mi się udaje. Unoszę nagi pręt o długości prawie dwóch metrów. W czerwonym świetle prezentuje się on niczym dzida jakiegoś dzikusa.

Dzida ludożercy.

Chichoczę cicho. Czeka mnie sporo roboty.

\* \* \*

Magazyny, w których przechowywane są skafandry, znajdują się w przedniej części statku: niedaleko mostka kapitańskiego, gdzie odbyła się pamiętna impreza oraz w pobliżu jadalni – ponurego miejsca, w którym losowaliśmy, kto „odpada”, odkąd pozostało nas siedmiu (wtedy jakakolwiek ucieczka z góry skazana była na porażkę – zbyt wiele ważnych oczu i silnych rąk).

Postanowiłem, że tym razem nie będę szedł przez maszynownię, ale przez górne pokłady. Zaufałem w tej kwestii instynktowi.

Wspinam się po zimnej, stalowej drabinie. Jestem tak zmęczony, że muszę odpoczywać co dwa poziomy, a potem nawet częściej. Żelastwo, które ściskam w prawej dłoni, nie ułatwia wspinaczki. Muszę uważać, by nie zastukało o szczeble. Kurestwo jest ciężkie, ale niezbędne. Jeżeli LaFleur lub Cross tropią mnie z nożami, ten pręt utrzyma ich w razie czego na dystans. Modłę się jednak, by do tego nie doszło. Chcę ich spotkać dopiero z karabinem w garści. Co jeżeli w decydującym momencie zabraknie mi sił, by zrobić użytek z tej prowizorycznej dzidy? Zarzną mnie. I zjedzą. Karabin jest pewniejszy. Wystarczy nacisnąć spust. To moje wybawienie.

Wreszcie docieram na najwyższy pokład. Siadam na podłodze z żelaznej kratki, oddycham ciężko. Ześlizgiwanie się w dół nie kosztowało żadnego wysiłku. Wdrapywanie pod górę wyzuło mnie z sił. Mięśnie palą żywym ogniem.

Z trudem zginam i prostuję palce. Nie przewidziałem tego, kurwa

mać! Jakim cudem? Czy głód i brak snu rzuciły mi się aż tak bardzo na mózgowicę? Nie ma się czym zadreć. Czas to najcenniejsze co mam i szkoda tracić go na banialuki. Później będzie mi potrzebny bardziej, by przetrząsnąć te wszystkie skafandry. Zaciskam zęby i z trudem wstaję. Z prętem w dłoni ruszam przed siebie.

Czerwień, czerń, czerwien... Mijam rzędy kajut. Drepnę wąskim korytarzykiem, nad głową migają lampki awaryjne, a po prawej i lewej swe bezzębne paszcze szczerzą otwarte na oścież włazy. Czasy, kiedy spaliśmy tutaj – dwadzieścia cztery osoby bez większych problemów na głowie – wydają się prehistorią. Czuję w powietrzu ulotny zapach damskich perfum, który już w chwilę później rozwiewa się pod odorem niemytego, męskiego ciała.

– Gdzie wędrujesz, kochaneczku? Staję w pół kroku, a serce zamiera mi w piersi. Korytarz wiruje wokół własnej osi. Znowu rozmazane smugi. Czerwień, czerń, czerwien... Nie wierzę, że mój plan wziął tak szybko w łeb. Odwracam się.

Cross. Suszy zęby jak pies gończy. W czarnych oczach odbija się rząd awaryjnych lampek. Przyczajony do ataku, stoi w lekko pochylonej pozycji.

W jednej garści ściska pręt podobny do mojego, palce drugiej zaciska na nożu, który leżał wcześniej na blacie jadalnianego stołu.

Cofam się, by za plecami mieć tylko ścianę. Odruch, którego nauczyły mnie ostatnie tygodnie. Nie spuszczam Crossa z oczu.

– Jesteś mój – mówi cicho, oblizując wystające zęby długim językiem. Jest głodny.

Zauważam, że dłoń, w której ściska nóż, drży nieznacznie. Zalewa mnie przeświadczenie, że najpierw rzuci we mnie tym nożem, a od razu potem doskoczy, by zdzielić prętem.

Gram na czas.

– Gdzie LaFleur? – W dupie.

Wysuwa lekko do przodu jedną stopę i bark. Teraz jestem już pewny, że nie mylę się co do jego planów.

– Pojemna dupa – mówię.

Napinam mięśnie całego ciała, by uskoczyć od razu po tym, jak Cross zaatakuję. Staram się nie patrzeć na ostrze, aby nie zrozumiał, że go przejrzałem.

Wbijam wzrok w jego twarz, szukając jakiegokolwiek zapowiedzi walki.

Sekundy wloką się jak godziny.

– Rozbiłeś mi...

Cross urywa w pół zdania. Otwiera szerzej oczy. Wygląda, jakby ktoś przekręcił pokrętko emocjonalne w jego mózgu z pozycji „zuchwała czujność” na „skrajne przerażenie”.

Czuję się tak samo. Ciarki przechodzą mi po plecach, a włosy stają dęba. W jednej paskudnej sekundzie dociera do mnie, że obaj mamy przejebane: i ja, i Cross.

Od dziobu *Priscilli* dobiega terkot karabinu maszynowego. Roznosi się po wąskich, klaustrofobicznych korytarzach niczym lawina skalna. Kiedy ustaje, długo jeszcze słycać huczące echo.

A potem dziki ryk LaFleura. Ryk obłąkańca.

– Chodźcie do tatuśka, skurwysyny! Przełykam ślinę.

Patrzę na Crossa.

Cross patrzy na mnie.

Moja mina mówi: błagam...

Jego pozostaje bezgranicznie zdumiona i wystraszona. Kalkuluje coś pod tą łysą glacą. Wiem, że to robi, mimo iż wygląda, jakby zaraz miał popuścić w spodnie. Znam go nie od dziś. Cross – cwaniaczek. Łysa, chuda ciota, która przetrwała tak długo tylko dzięki podstępным układom.

– Cross...

Nie słucha. Wypuszcza z dłoni nóż i łapiąc się oburącz za pręt, zaczyna tłuc nim o podłogę.

– Tutaj! LaFleur! Tutaj! Cross drze się cienkim, łamliwym głosem w takt uderzeń. Po czole spływa mu pot. Wygląda, jakby zapomniał o całym, bożym świecie.

Wykorzystuję to. Trzema długimi susami dopadam do niego i

dźgam żelazną dzidą niby średniowieczny rycerz kopią. Wkładam w pchnięcie resztki sił.

– Urgh – charczy, wypluwając spomiędzy warg strumyk krwi. Spogląda na mnie zdziwionym wzrokiem i osuwa się na ziemię.

Martwy. Przebiłem go na wylot.

– Cross?! Krzyk LaFleura dochodzi z bliższej odległości. Skubaniec nie marnował czasu. Słyszę w jego tonie nutkę zaniepokojenia.

– Cross?! Krótka seria z karabinu. Znowu odrobinę bliżej.

Chwytam tylko nóż i rzucam się do ucieczki...

\* \* \*

Czerwień, czerń, czerwien...

Ześwirowałem. Kurwa, wreszcie.

Jestem w ciasnej klitce. Nie pamiętam, jakie było jej pierwotne przeznaczenie. Od tysięcy godzin pełnych strachu i rozpaczki składujemy tu szczątki...

Siedzę pośród połamanych, obdartych z mięsa kości i czaszek. W głowie mam pustkę. Jedyna lampka awaryjna, która wisi nad otwartym na oścież włazem, mruga powoli, jakby wiedziała, że to już koniec.

Czerwień... Czerń... Czerwień...

Przeglądam się w ostrzu noża. Szeroki, błyszczący jak lustro kawałek metalu, z którego spogląda na mnie para matowych oczu, osadzonych na wychudłej twarzy. Oczy są czarne. Twarz czerwona. Jakżeby inaczej... Czy to ja? Płaczę jak małe dziecko.

Zostało nas dwóch. Ja i LaFleur.

On ma karabin. A ja nie. On najadł się ciałem Crossa. A ja nie. On czuje się zwycięzcą. A ja nie.

On zwariował. I ja też.

Przytykam ostrze do szyi, a potem odsuwam i zaglądam zaciekawiony, czy ciągle widać na nim moje odbicie.

Próbowałem wyssać cokolwiek szpiku z kości, ale najwidoczniej ktoś pomyślał o tym wcześniej.

Głód. Co za uczucie! Gorsza jest tylko porażka.

Czerwień, czerń, czerwień... odbija się w ostrzu noża. Wychudzona twarz robi dzioba. Puszczą oczko. Wywała jęzor. Kpi ze mnie. Kurwa mać.

– Wiedziałem, że zastanę cię tutaj.

Unoszę głowę.

LaFleur. Kopniakiem odtrąca czyjeś żebra w bok i siada naprzeciwko mnie. W prawej, zwisającej luźno dłoni trzyma karabin. Palce lewej zaciska na kawałku mięsa, który pałaszuje niczym kanapkę. Czerwone światło zalewa potężne bary i mieni się w miedzianej szopie.

– Łydka – mówi. – Moje ulubione.

Z kącików ust sączy się krew. Ginie pośród skołtunionej brody.

Siedzimy w milczeniu. Słysząc tylko mlaskanie LaFleura. Nie mogę oderwać oczu od posilającej się gęby.

– Nigdy bym nie pomyślał, że to ty zostaniesz razem ze mną na sam koniec.

Kiwam głową. Automatycznie jak cyborg. Mięso wygląda na soczyste.

– Myślisz, że mnie znajdą? – pyta.

– Nie.

– Ja też. To byłby cud.

– Nie będzie.

Spoglądamy na siebie.

– Zro...

Rzucam się do przodu jak atakująca kobra. Tnę grube paluchy zaciskające się na karabinie. Bryzga krew. LaFleur tłucze mnie pięścią w głowę. Miażdży mi ucho.

Leżę oszołomiony. Widzę karabin i cztery ucięte serdelki. LaFleur próbuje sięgnąć po broń. Kopię go w bark. I jeszcze. I znowu. Potężny bebecch przyciska mnie do podłogi. Duszę się. Szamotanina. Dźgam nożem na ślepo. Seria z karabinu. Dźgam.

Kolejna seria. Krew rzyga wszędzie dokoła. Dźgam. Dźgam. Dźgam. Czerwień, czerń, czerwień... Ciało LaFleura nieruchomieje.



Odtaczam je na bok. Chłepczę krew. Moje prawe ramię rwie bólem. Śmieję się i płaczę, a nade mną suną rozmazane smugi. Czerwień, czerń, czerwień... Nie wierzę, że to prawda. Nie wierzę. Załatwiłem skurwysyna. Załatwiłem wszystkich. Szlocham i ryczę ze śmiechu. Lampka miga jakby szybciej. Czerwień, czerń, czerwień... Czerwień, czerń, czerwień...

\* \* \*

Siedzę przy stole w jadalni. Pomieszczenie oświetla czerwona lampka awaryjna. Godzinę temu naprawiłem kabel przerywnika, by światełko znowu migalo. Przyzwyczailem się do tego. Czerwień, czerń, czerwień... To koi nerwy. Właz za moimi plecami jest otwarty.

Dzień wcześniej wyciągnąłem przy tym stole asa trefl, a jednak żyję i mam się dobrze. Zmiażdżone ucho i przestrelone ramię pulsują miarowym bólem, ale poza tym wszystko jest w porządku. Czy mnie znajdą? Nie wiem.

Chyba nie wierzę już w ratunek. Jestem potwornie głodny. I zmęczony.

Z kuchni słyhać bulgotanie. Gotuję gulasz. Czuję, że będzie pyszny.

W końcu byłem kiedyś kucharzem na tej kosmicznej łajbie!

*Franek Zarzecki (syf)*

*Amator pisania opowiadań fantastycznych, z jedną skromną publikacją papierową na koncie. Na chwilę obecną kura domowa na utrzymaniu konkubiny. Niechętnie – dzień po dniu – zbliża się do 30. roku życia.*

**Franek Zarzecki**

**TAJEMNICA BABIEGO LATA**

**1.**

Tajemnica końca wakacji wisiała w powietrzu jak tłusta mucha upasiona przed nadejściem jesieni. Mały zdawał się słyszeć jej bzyczenie, ale – jak to z bzyčeniami między szeleszczącymi liśćmi jabłunki bywa – nie umiał powiedzieć, skąd dochodzi.

Kręcił się po gospodarstwie i między grządkami marchwi, buszował w stodole, na strychu oraz pośród starych zdjęć w albumie. Niczego nie znalazł, ale niekiedy – mógłby przysiąc – prawie czuł na policzkach drzenie przekrwionych skrzydełek.

– Tata, tata – krzyknął malec. – Patrz, żołnierze jadą.

Chłopiec bawił się na podwórku w cieniu domu dziadków. Było południe, a słońce późnego sierpnia wciąż rozsiewało ostatki letniej spiekoty. Panowała leniwa cisza i niemalże dało się słyszeć, jak pękają pęczniejące od soku porzeczki.

– Daj mi spokój – odparł mężczyzna, odpalając papierosa. Niedopałek poprzedniego wgniół w ziemię butem. – I nie drzyj się, matka śpi.

Ojciec był podenerwowany od czasu, kiedy mama wróciła z Warszawy i nie mogła przestać płakać. Wyrwała sobie garść włosów, a potem zamknęła się w pokoju i nie wychodziła. Wszystko zaczęło się

mniej więcej wtedy, pomyślał chłopiec, gdy przestali w telewizji puszczać dobranockę. Nie potrafił ocenić, czy te dwa fakty są ze sobą powiązane.

Szosa, wzdłuż której leżała wieś, jechały wojskowe ciężarówki. Mały z podziwem patrzył na zacięte twarze żołnierzy, ciemne mundury i karabiny.

Któryś z mężczyzn mu odmachał. Po chwili pojazdy znikły za zakrętem.

– Tata! – krzyknął. – A gdzie oni...

Wewnątrz domu coś z hukiem pękło. Rozległ się kobiecy wrzask. Na drewnianej podłodze zadudniły kroki. Szyby wibrowały od płaczu. Ojciec zerwał się z ławeczki i rzucił papierosa.

– Kurwa! Mówiłem ci, gówniarzu, żebyś się nie darł – ryknął, wbiegając do domu. – Potem się z tobą policzę.

Chłopcu zaszkliły się oczy, więc zostawił zabawki i uciekł do ogrodu.

## 2.

Dziadek wracał polną drogą. Na ramieniu niósł kosę. Ostrze umazane było sokiem trawy. Za plecami miał czerwieniejące słońce, a przed sobą długi cień. Poprawił kaszkiet i pomachał chłopcu.

Mały siedział pod akacją w rogu ogrodu. Przyglądał się z zaciekawieniem cieniutkim białym nitkom, które poprzyklejały się do liści i kolców drzewa.

Pajęczki, które się zaczepiły, przędły kolejne i odlatywały.

– Jak się czuje mama? – spytał mężczyzna.

– Chyba niedobrze.

Dziadek zdjął czapkę. Po ogorzałych policzkach ściekały krople potu.

W końcu spytał: – Chcesz iść do sklepu? – Tak.

– Poczekaj chwilę. Muszę porozmawiać z rodzicami – odparł

dziadek. – Nie wychodź sam na szosę.

– Ale...

– Chłopcze, droga jest niebezpieczna.

– Dobrze, dziadku.

Mały chciał powiedzieć, że przecież tego dnia na drodze były tylko trzy pojazdy, a wczoraj żadnego nie zauważył. Jedyne we wtorek – wtedy, gdy mama wróciła – było ich tak dużo, że aż się pogubił w rachunkach. Miał wrażenie, że oglądał dziki wyścig. Lubił liczyć przejeżdżające samochody.

Miał specjalny zeszyt, gdzie wieczorem zapisywał, jakie marki zobaczył.

W domu uspokoiło się. Mama przestała płakać, tata wrócił na ławeczkę palić papierosy, a babcia podreptała na kółko różańcowe. Przyszedł także dziadek.

– Idziemy? – Idziemy – odparł chłopiec.

Wyszli we dwóch na szosę.

### 3.

Przez okno do sklepu wpadały promienie zachodzącego słońca. Cienie rozsypały się po pomieszczeniu jak kredki z dziurawego pudełka. Lepy na muchy zwisały z sufitu jak smutne girlandy.

– Dlaczego tu nikogo nie ma? – Stara Jankowa wyjechała, jej synowie też – powiedział dziadek. – Ale pozwoliła wszystkim korzystać ze sklepu.

– Naprawdę? – Tak.

Chłopiec nie zastanawiał się długo i podszedł do stoiska z gazetami wziąć Kaczora Donalda i jakiś dziennik. Tata lubił czytać wiadomości i z pewnością by się ucieszył. Mały znalazł tylko Wyborczą sprzed paru dni.

Zgarnął oba czasopisma i rozejrzał się za chrupkami, bo zamrażarka była wyłączona i lody się rozpuściły.

– Dziadku – powiedział, gdy wyszli na zewnątrz. – Myślę, że rodzice chowają przede mną jakąś – podekscytowany, wziął głęboki oddech – tajemnicę.

– Tajemnicę? – Tak. Jest gdzieś ukryta, ale ja ją znajdę.

Mężczyzna ze smutkiem popatrzył na chłopca i odparł: – Nie powinieneś jej szukać.

– Dlaczego? – Myślę, że ta tajemnica i tak sama cię znajdzie.

Mały, pomimo słów dziadka, podskoczył kilka razy z radości.

#### 4.

Noc była ciemna. Okno wyglądało tak, jakby ktoś je zalał atramentem.

Jedynie blady blask księżyca odkrywał kawałeczek podwórka.

Coś skrobało w szybę. Mały, co prawda, wiedział, że to tylko gałąź wiśni – dziadek mu kiedyś pokazał – ale i tak czuł się nieswojo. Od kiedy wyłączyli prąd, wszystko stało się głośniejsze i bardziej niepokojące.

Za jedną ścianą słychać było skrzypienie i ciche jęki. Szelest wykrochmalonej pościeli. Za drugą szepty paciorków. Chłopiec przykrył głowę poduszką i spróbował zasnąć.

#### 5.

Tajemnica, tajemnica – mały myślał, siedząc pod stołem – już koniec sierpnia, a nikt jeszcze nie wspomniał o pakowaniu i powrocie do domu, do Warszawy. Od samego rana przeglądał swój zeszyt i liczył dni do końca wakacji. Zostało ich pięć. Dzisiaj powinien już z rodzicami wsiadać do pociągu, bo przecież trzeba kupić nowe buty, piórniki, kredki, podpisać książki i uprać plecak, żeby być gotowym na rozpoczęcie szkoły.

– Po co – spytała babcia po wyjściu z pokoju mamy – ją w nocy męczyłeś? Nie zauważyli chłopca.

– A jak myślisz – odparł ojciec. – Bo to moja żona.

– Jest taka słaba – powiedziała babcia, nastawiając na piecu czajnik z wodą. – Gdybyś jej nie wysyłał do Warszawy tydzień temu.

– A jaki ja miałem wpływ...

– Gdybyś to ty pojechał! – I tak pewnie za parę dni będzie po nas wszystkich.

– Ale to nie ona by teraz leżała i się męczyła.

– Przestańcie. – Przez drzwi przedarł się kobiecy krzyk.

– To twoja wina – szepnęła babcia, wracając do pokoju mamy.

Tata rzucił w jej stronę gazetą.

Mały tymczasem wygramolił się spod stołu. Miał rozdziawione usta.

W dłoni bezradnie trzymał stępioną kredkę.

Ojciec spojrzał na syna.

– Szlag by was wszystkich trafił – powiedział, chwytając paczkę papierosów, i wyszedł.

Mały słyszał nieustający jęk mamy. Chciał się do niej przytulić, ale bał się wejść do pokoju. Podniósł gazetę i przyjrzał się obrazkom. Na zdjęciach zobaczył żołnierzy, smutnego pana, który groźnie machał ręką z mównicy, i spalone ruiny miasta. Odcyfrował podpis. Warszawa.

Chłopiec uświadomił sobie, że tajemnica wcale nie musi być tłu-  
stą muchą, którą można złapać na nitkę, ale potrafiącą uządlić osą.

## 6.

Z szosy dochodził śpiew. Wysokie, jazgotliwe wycie starych kobiet rozdzierało powietrze jak kartkę papieru. Małemu przypomniał się pogrzeb prababci.

– Od powietrza, głodu... – Słowa kołysały się niczym płomienie

zniczy.

– Wybaw nas, Panie! Otworzyły się drzwi pokoju mamy. Babcia wybiegła z chustą w jednej i różańcem w drugiej dłoni. Przeżegnała się, widząc chłopca.

– Mamo – krzyczała leżąca na łóżku kobieta.

– Od nagłej – głos babci przyłączył się do śpiewu – i niespodziewanej śmierci... Była blada i zupełnie łysa. Włosy niby nici babiego lata rozsypały się po pościeli. Powietrze przesycił zapach wymiocin i czegoś paskudnego jak gotowane kości. Uniosła głowę – jej nos był umazany krwią, wokół ust wystąpiły wybroczyny – i wyciągnęła rękę w kierunku syna.

– ...wybaw nas, Panie.

– Mamo – krzyknął chłopiec i przerażony wybiegł z domu.

## 7.

Na czele procesji szło kilku mężczyzn w mundurach. Nie wyglądali już na żołnierzy. Nie mieli broni. Nie mieli włosów. Podpierali się jeden o drugiego i potykali o własne nogi.

Za nimi podążał ksiądz. W dłoniach niósł monstrancję. Odbijające się od złoceń słońce boleśnie raniło oczy.

Dalej był korowód ludzi. Szli miarowo, krok za krokiem, niby w rytm grobowej pieśni. Nad pochodem powiewały kościelne sztandary. Na ramionach mężczyzn spoczął drewniany Jezus, inni nieśli drzwi z ciężkim ciałem zmarłego żołnierza.

Chłopiec płakał, ale nikt na niego nie zwrócił uwagi.

– Banda starych kurew – rzucił ojciec, otwierając puszkę z piwem. – Głośniej wyjcie, to może was tam na górze usłyszą.

Ze stodoły na drugim końcu podwórza wyszedł dziadek. W dłoniach niósł gwoździe i młotek. Upuścił je, zobaczywszy procesję i chłopca. Ruszył biegiem w stronę domu. Utulił małego i zasłonił mu oczy.

– Wszystko będzie dobrze – szepnął.

Tymczasem niebo nad horyzontem zrobiło się szare, a po oknie pokoju mamy ściekało kilka kropel krwi.

## 8.

Podniósł się delikatny wiatr. Niósł ze sobą szarość. W powietrzu wirowały płatki popiołu. Podmuchy czesały cieniutkie jak włosy niteczki pajęczyny.

Babie lato pokrywało świat lepkiem całunem.

– O kurwa – zakrzyknął ojciec i wbiegł do domu.

Ludzie stali jak słupy soli. Po chwili figura Jezusa z łoskotem upadła na asfalt. Niektórzy padli na kolana, inni na ziemię, owijali twarze chustami i koszulami. Księdzu zadrżały ręce, ale nie upuścił monstrancji. Wziął głęboki wdech i zaczął dalej śpiewać: – Dobry Jezus... Pochód znów ruszył.

Żołnierze – podniósłszy kolegę, który przewrócił się i zastygł w bezruchu – dalej dreptali przed siebie.

Dziadek w pierwszej chwili rzucił wnuka na trawę i osłonił go własnym ciałem. Potem wziął chłopca w ramiona i uciekł do domu. Wpadli w sieni na ojca.

Matka pluskała się w kałuży własnej krwi jak ryba rzucona na brzeg.

Z rozciętej tętnicy sączył się leniwy strumyk. Ręce były w ścianę, a pięty starły się o deski podłogi. Jej oczy były śnięte.

Ojciec w milczeniu odpalił papierosa i wyszedł.

Chłopiec już nawet nie płakał.

## 9.

Szli we dwóch połą drogą. Po jednej i po drugiej stronie na



cienkich łodygach kołysały się opasłe kłosa żyta i pszenicy. Łupinki pękały z cichym trzaskiem, a ziarno spadało w piach. Słońce stało wysoko, ale było wyblakłe.

Stary zastanawiał się, skąd nadszedł pył. Spalona stolica, zwęglone stocznie Gdańska, kościoły Krakowa czy może Kaliningrad albo Grodno. Co, jeżeli przemieszały się jedne z drugimi gdzieś nad polami lucerny? Nie sposób rozpoznać po zapachu. A popioły którego miasta jutro przywlecze wiatr? Mężczyzna czuł w zmęczonych kościach, że już dzisiaj przyjdzie ochłodzenie. Popatrzył smętnie na pojedyncze nitki, zwisające z krzaków komosy. Pajęczki próbowały uciekać, ale tak naprawdę to nie miały gdzie uciec.

## 10.

Dziadek zabrał małego nad rzekę. Usiedli w cieniu kępy starych olch przy zarośniętym trzciną zakolu. Wiatr szeleścił schnącymi liśćmi. Prószył drobinami popiołu.

Mężczyzna ucałował wnuka i utulił go do snu. Długo tulił. Potem oparł się o drzewo, czekając, aż powiew babiego lata i jego utuli.